

Norton Andre

Sasha Miller

CÓRKA KRÓLA

To The King A Daughter

Tom I cyklu

Dąb, Cis, Jesion i Jarzębina

Przekład Ewa Witecka

Wydanie oryginalne: 2000

Wydanie polskie: 2003

PROLOG

Można się spodziewać, że przy wszystkich drogach znanych podróżnym znajdują się świątynie, niektóre omszałe i starsze niż trzy ostatnie dynastie władców. Są tam większe sanktuaria – katedry – a także mniejsze kościoły i kaplice w każdej wiosce i miasteczku. A czyż Wielka Świątynia Wiecznego Blasku nie przewyższa wszystkich innych świętych przybytków w całym Rendelu? Te sanktuaria zbudowano ku czci Tego, kogo nie można zobaczyć ani zrozumieć, ale pod czyją władzą znajduje się wszystko, co żyje.

A przecież Wszechpotężny pozostaje w sidłach Mrocznych Tkaczek, nie znających ani litości, ani troski o żywoty, które wplatają w Odwieczną Sieć. Pilnują tylko, żeby wzór nie za bardzo się zmienił. Dlatego w jednym miejscu urywają, strzępią, ale pozostawiają nić życia, gdzie indziej urwaną nić wplatają w inny czas i miejsce, a niekiedy nawet w inną część Sieci Czasu. Żywym się wydaje, że mogą swobodnie podejmować decyzje, postępować tak, jak uznają za stosowne, ale ich nić przechodzi przez palce jednej z Tkaczek. To dzięki nim jedni żyją, drudzy umierają, królestwa powstają, upadają i zostają zapomniane; mimo to Odwieczna Sieć nigdy nie pęka. Czy Nieznany kiedykolwiek przygląda się tej tkaninie? Jeśli nie, na cóż zdają się błagania nędznych śmiertelników? Są tylko nićmi, lecz jakże wielobarwnymi! Ile kolorów ma sieć historii, jaka powstaje na Krosnach Czasu! Istnieje wiele opowieści o tych, których nici są dziwnie splatane, a kres ich żywota bardzo różni się od jego początków.

Spójrzcie na tę część sieci historii, która obejmuje kraj zwany Rendelem, wielki przynajmniej w oczach jego mieszkańców, gdyż to na dziedzińcu Wielkiej Świątyni Wiecznego Blasku rosną Cztery Drzewa, a w jednym z jej okien można zobaczyć odbicie Rąk Mrocznych Tkaczek. Pewnej jesiennej nocy, gdy padał deszcz ze śniegiem i jeden ze śmiertelników odważnie trzymał się życia, dostrzeżono w tym odbiciu, że Tkaczki zaczęły tkać nową nić, a urwały starą. Wtedy dokonały się zmiany uważane dawnymi laty za niemożliwe.

Tkajcie teraz dobrze, Mroczne Tkaczki, bo wzór już nie układa się w znany wam sposób.

1

Zimna szara mgła wczesnego poranka zamieniła się w przenikający wszystko deszcz ze śniegiem przed południem, kiedy padł ich ostatni koń. Stało się to na Bagnach Bale lub na ich skraju; żaden zdrowy na umyśle Cudzoziemiec nie zapuszczał się na te pełne bezdennych bajorek i niestabilnych wysepek mokradła, jeśli nie musiał.

Kobieta, którą zdjęto w ostatniej chwili z wyczerpanego konia, zanim runęła razem z nim, w jakiś sposób zdołała utrzymać się na nogach, ale tylko dlatego, iż podtrzymało ją szerokie, twarde ramię i wytrzymałe, zahartowane w bojach ciało wojownika.

Instynktownie przycisnęła rękami obrzmiały brzuch i grymas bólu wykrzywił jej niegdyś piękną, teraz wychudzoną twarz.

– Jak się czujesz, pani Alditho? – Ten grzmiący głos wydobył się z klatki piersiowej, która znalazła się bardzo blisko jej twarzy. Pod fałdami mokrej żołnierskiej opończy czuła dotyk cienkiej, kosztownej kolczugi, której nie mógł nosić zwykły żołnierz. Starając się ukryć oznaki bólu, podniosła oczy na ogorzałą twarz Hasarda, marszałka Domu Jesionu. Końce jego bujnych siwych wąsów, szarpane lodowatym wiatrem, zasłaniały mu usta.

– Tak dobrze, jak to możliwe, panie. – Wypowiedziała te słowa, każde oddzielnie, jakby były nanizane na zbyt luźny rzemyk. Zdołała przy tym przywołać na usta żaloszny cień uśmiechu.

Dwaj mężczyźni, ubrani w żebracze łachmany włożone na naszywane metalowymi płytkami kaftany, zdejmowali podróżne sakwy z leżącego konia. Nie widziała ich twarzy. Nagle przeszył ją ostry ból i na chwilę pociemniało jej przed oczami. To byli wszyscy, jacy jej pozostali – tylko ci dwaj żołnierze i dawny dowódca zastępu Domu Jesionu. Wierzyła, że to właśnie upór i determinacja mężczyzny, który teraz ją podtrzymywał, zaprowadziły ich aż tak daleko. Teraz ze wszystkich sił, jakie jej pozostały, musi starać się uhonorować jego oddanie, nie okazując niewieściej słabości.

Najbardziej potrzebowali schronienia. Bez niego zamarzną do rana. Nie mogli udać się do posiadłości Rodu Jesionu, gdzie byliby bezpieczni. Pani Alditha znów podtrzymała ręką ciężki brzuch.

Hasard wyglądał zupełnie inaczej niż w dniach swej chwały, gdy był marszałkiem Domu Jesionu i wodzem zastępów, którymi dowodził z błyskotliwą inteligencją i

znajomością żołnierskiego rzemiosła zdobywaną od chłopięcych lat. Nadal jednak chronił ją najlepiej jak mógł; starał się osłonić własnym ciałem niby tarczą przed lodowatymi podmuchami. Nie czas teraz na...

Tyle zniszczonych istnień, zakończonych ciosem sztyletu w mroku lub miecza za dnia, trucizną podaną z chytrym uśmieszkiem, który unosił tylko jeden kącik ust. Tyle zabitych kobiet, a wszystkie z Domu Jesionu. Usiłowała wymazać to z pamięci, ale nie mogła zapomnieć, że żyje dotąd z powodu dziecka, które nosi w łonie – a które prześladowcy wydarliby żywcem z jej ciała, gdyby mogli – choć przecież to właśnie dziecko ściągnęło na nią śmiertelne niebezpieczeństwo. Kiedyś temu zaprzeczała, teraz już nie. Nosi w łonie dziedzica nie tylko Domu Jesionu, lecz także Domu Dębu, jeśli zwycięży wola króla w sprawie wyboru następcy. Jest to bowiem jego jedyny potomek, legalny lub nie. Na pewno jej dziecko więcej znaczy niż ona sama i jej towarzysze razem wzięci. Uciekli tej właśnie nocy, ostatni ludzie z Domu Jesionu, próbując umknąć przed prześladowcami noszącymi herb Cisu, domu królowej, która, gdyby mogła, sięgnęłaby poza samą śmierć, żeby się zemścić.

Mężczyźni, którzy odwiązali sakwy, czekali na rozkazy.

Raczej poczuła, niż zobaczyła, że Hasard podniósł głowę. Jego ochrypty głos dotarł do niej poprzez huk burzy:

– Rzeka... – usłyszała.

Ach, tak, rzeka; pani Aldicie mąciło się w głowie. Ta droga wodna, po części naturalna, po części uregulowana przez ludzi, od dawna była szlakiem handlowym, ale nie przy tak złej pogodzie. Tej nocy nie zapewni im bezpieczeństwa, obojętne w którą stronę popłyną; nie uchroni ich przed pościgiem, nie mieli jednak innej drogi ucieczki.

Jeden z żołnierzy minął ją i jej wiernego obrońcę. Czyżby istotnie dotarli do wcześniej przygotowanego bezpiecznego miejsca, mimo jej słabości, mimo burzy? Podsyciwszy w sobie całą dumę Rodu Jesionu, do jakiej była zdolna, zdołała utrzymać się na nogach, kiedy po kilku chwilach Hasard polecił jej iść, i ruszyła chwiejnym krokiem. Nie mogła jednak zajść daleko dzięki samej sile woli. Była bliska omdlenia, gdy niejasno zdała sobie sprawę, że podniesiono ją i posadzono na czymś wilgotnym, co pachniało jak zdechłe ryby i gnijące od dawna przedmioty. To musiała być lektyka. Jej przypuszczenia potwierdziły się, kiedy cuchnące siedzisko zakołysało się podczas wsiadania na podobną do tratwy łódź przeznaczoną do transportu ciężkich towarów. Podniosła rękę do ust i ugryzła ją aż do krwi.

W tej chwili rzeczą najmniej im potrzebną był poród, który – o czym była przekonana mimo braku doświadczenia – miał wkrótce nastąpić. Musi zachować milczenie najdłużej jak będzie mogła.

Potem wydało się jej, że zmorzył ją sen, że coś jej się śni. Usłyszała w pobliżu

jakiś odgłos, przytłumiony krzyk, i nie wiedziała, czy to ona sama krzyknęła, czy jeden z jej towarzyszy. Łódź. Tak, byli na jakiejś łodzi.

Brzęk ciężki łuku – łuku z mocnego cisu, danego z woli Najwyższego jako broń – wdarł się w jej sen. Dysząc ciężko, pochylając głowę do przodu, zaczęła mówić do dziecka, które w sobie nosiła:

– Dąb i Cis, Jesion i Jarzębina naprawdę są twoje... mój synu, moja córko, kogokolwiek urodzę.

Ból tak silny, jakiego nigdy dotąd nie zaznała, przesłonił jej cały świat. Prawie nie słyszała odgłosów bitwy. Tylko niejasno zdała sobie sprawę, że żołnierze ginęli obok niej, że Hasard, choć trafiony strzałą, wskoczył do wody i resztkami sił wypchnął łódź na ciemne, ponure Bagna Bale, źródło niebezpieczeństwa. Łódź ruszyła do przodu i natychmiast, pochwycona przez silny prąd, zaczęła się obracać. Gdyby Alditha miała czas, mogłaby dostać mdłości. Zamiast tego zemdląca.

Znacznie później poczuła ciepło, zobaczyła nikłe światło i pochylony nad sobą cień.

– Przyj, kobieto! – rozkazał ten cień. – Przyj tak, jak musimy robić wszystkie, kiedy jesteśmy w twojej sytuacji.

Spróbowała więc, pragnąc posłuchać każdego rozkazu, który położyłby kres jej cierpieniom. Gdy tak parła, coś śliskiego opuściło jej ciało. A potem poczuła, że sama także gdzieś się ześlizguje. Otoczył ją mrok, ale jeszcze przedtem usłyszała czyjś głos, daleki i cichy:

– To dziewczynka...

Zazar trzymała krzyczące niemowlę wysoko w pełnym blasku ogniska. Dziewczynka była zdrowa, a jej głośnie krzyki dowodziły, że ma dużą szansę na przeżycie. Była też duża – tak, to dziecko prawie rozdarło na dwoje swoją rodzicielkę. Jasny puszek już wysechł na jej główce i patrzyła na świat, teraz już uciszona, jak gdyby rozpoznała – dzięki wiedzy ponad swój wiek – gdzie się znajduje. A może też – dlaczego.

– Ta kobieta nie żyje. – Krzywonoga starucha, która służyła Mądrej Niewieście, spojrziała na swoją panią. – Była szlachetnie urodzona, ale wszystkich nas prędzej czy później czeka taki sam koniec. Dziecko też oddamy podwodnym pożeraczom? Joalowi się nie spodoba, jeśli udzielisz schronienia Cudzoziemce.

Zazar, zgodnie z odwiecznym zwyczajem, umyła dziecko i owinęła je w powijaki utkane z najmniejszego trzciniowego puchu.

– Potrzebujemy smoczka. Użyj butelki z drugiej półki – poleciała, jak gdyby nie usłyszała pytania Kazi.

Kazi posłuchała, gderając; kiedy niemowlę otworzyło buzię, żeby znów

zakrzyczeć z głodu, butelka, pełna mieszanki, której Zazar używała do karmienia przygarniętych sierot wszelkiego rodzaju, była gotowa.

– Joal przybędzie... – znów zaczęła Kazi. Zdrową stopą popchnęła bezwładne, zakrwawione ciało obcej kobiety i westchnęła.

Zazar wiedziała, że Kazi już zdołała niepostrzeżenie – a przynajmniej taką miała nadzieję – ukraść z opończy zmarłej błyszczącą, okrągłą broszkę z niebieskim kamieniem. Na pewno był to najpiękniejszy klejnot, jaki Kazi kiedykolwiek miała... w istocie jedyny. Zazar postarała się wpoić Kazi przekonanie, że jej pani widzi wszystko. Niech stara myśli, że Mądra Niewiasta nie zauważyła broszki i dlatego nie odbierze jej swojej służce.

Tak naprawdę wcale jej to nie obchodziło.

– Tak, zgadzam się z tobą. Ta kobieta nie żyje – odparła spokojnie Zazar. – Niech Joal weźmie to, co z niej pozostało. Ale dziecko... – powiedziała powoli.

Niemowlę sprawiało wrażenie zadowolonego, nasyconego i sennego. Zazar pochyliła się nizej nad latarnią oświetlającą wszystkie akcesoria jej zawodu – kości i nasiona, suszone liście, sztywne, suche ciało okrągłookiego węża.

Ostrożnie rozsunęła kocyki spowijające dziecko. Musiała mieć całkowitą pewność.

Tak, podobieństwo zarówno do ojca, jak i do matki można było dostrzec nawet teraz w nieukształtowanych rysach maleństwa. Z niczym nie dałoby się pomylić koloru puszku na główce lub przyszłego królewskiego kształtu nosa, ust, owalu twarzy. Wiele razy oglądała tę kobietę w misce używanej do jasnowidzenia, a wszyscy w Rendelu znali z widzenia ojca dziecka. Co więcej, kości wróżebne potwierdziły te wizje.

Uśmiech znikł z twarzy Mądrej Niewiasty; zacisnęła usta. O tak, wielokrotnie czytała w kościach wróżebnych w ciągu minionych dziesięciu dni i za każdym razem opowiadały tę samą historię.

Teraz trzymała w ramionach Tę, Która Dokona Zmian, może nawet rozerwie okowy samej Krainy Bagien. Czy będzie to na dobre, czy na złe? Zazar nie wiedziała; kości wróżebne nie chciały jej tego zdradzić. Na chwilę napadła ją pokusa. Tak łatwo byłoby położyć rękę na usteczkach i nosku dziecka i spowodować, że córka pójdzie w ślad za matką, jak zażądałby od niej każdy mieszkaniec Krainy Bagien.

Ale coś jej tego zabraniało. Wiedziała, kogo pielęgnuje. Skinęła głową, zanim ponownie przykryła maleńkie ciało. To nie do Kazi przemówiła, lecz do Kogoś, kto mógł rozkazywać im wszystkim.

– To królewska córka. – Starannie dobrała uroczyste słowa, które zgodnie z prawem powinny powitać to dziecko przy dźwiękach fanfar obwieszczających jego narodziny. – To córka naszego szlachetnego króla!

Kazi przycupnęła i zwinęła się w kłębek; Zazar nagle odwróciła się, by na nią spojrzeć, jakby przypomniawszy sobie, że ktoś jej słucha. Wysunęła palec wskazujący ręki trzymającej dziecko i skierowała go na służebną.

– Masz milczeć! – Nić Mocy wypłynęła z palca, okrążyła Kazi i znikła w skórze kobiety.

To nie wola Kazi skłoni ją do milczenia teraz i w przyszłości, ale magiczna energia.

Mądra Niewiasta, nie wstając, przysunęła się na kolanach do nieruchomego ciała arystokratki. W blasku ogniska wychudła twarz zmarłej wyglądała staro, z jej dawnej urody, z której byli tak dumni jej krewni, pozostały tylko nagle ślady. Zazar przyjrzała się jej uważnie i roześmiała.

– Moi mali nocni studzy rechoczą i popiskują z zachwytu. Córko Domu Jesionu, gdzie jest teraz twój mężczyzna? Może z czasem odniosłabyś zwycięstwo, ale tak naprawdę nigdy do ciebie nie należał, pożądał tylko twego ciała, uroda zaś szybko przemija. – Pochyliła lekko głowę. – A mimo to niechętnie nosiłaś w łonie to dziecko. Pamiętam twoją służebną. Przybyła do mnie po lekarstwo, którego, jak wiem, nie tknęłaś. Czy pod wpływem jednej lub drugiej Mocy? – Urwała i zamyśliła się. – A może stało się tak dlatego, że miałaś urodzić Tę, Która Dokona Zmian, i to ona ci na to nie pozwoliła? – Zmarła nie mogła odpowiedzieć, a na razie Zazar nie miała ochoty rzucać kości wróżebnych, by spojrzeć poza tę izbę i tę chwilę.

Kazi nieśmiało przerwała milczenie.

– Ono nie ma imienia. To dziecko...

To prawda; zwyczaj nakazywał, żeby to matka nadała imię córce. A przecież te usta nigdy już nie wymówią ani słowa.

– W takim razie ja nadam jej imię – stwierdziła Zazar, prawie tak, jak gdyby się spodziewała, że ktoś jej tego zabroni. – Pochodzi z Domu Jesionu i zabiła tę, która ją urodziła. Nazywa się Jesionna Córka Śmierci.

Kazi zaprotestowała piskliwie.

– Nie mów tego! Nie mów tego!

– Będzie nosiła imię Jesionna – powtórzyła Zazar – a co do reszty, zapomnij o tym teraz, Kazi.

Błoto i tnące uderzenia gałęzi jeżyn zszargały kubraki królewskich żołnierzy, ale nawet w półmroku widać było pióropusze na ich hełmach i herb Domu Cisu – łuk ponad kręgiem z cisowych gałęzi – na piersiach i plecach. Odeszli od martwego konia i zebrali się w grupę, czekając na rozkazy. Jeden żołnierz, najlepszy tropiciel z nich wszystkich, przykucnął, czytając ślady w błotnistej ziemi.

– Kierowali się tam, panie. – Skinieniem głowy wskazał na brzeg rzeki. – Ślady

nadal są świeże. Jesteśmy blisko nich, tuż-tuż. Myślę, że coś nieśli. Ich ślady są głębsze, niż powinny.

Pan Lackel z Gwardii Pałacowej Jej Królewskiej Mości, który stał nieco z boku i opierał pięści na biodrach, poruszył się teraz.

– Hasard, ten stary wilk, przebiegł swój ostatni szlak... a może nie? Zejdź w dół brzegiem i sprawdź, czy są tam tropy. Hasard miał mało czasu. – Spod jego hełmu wyrwało się warknięcie:– Ale z tym chytrusem nigdy nic nie wiadomo.

Najwyraźniej mówił raczej do siebie niż do swoich podwładnych, a w jego głosie brzmiał mimowolny podziw.

Ktoś zawołał znad brzegu rzeki. Gwardziści ustawili się w szyku bojowym i wyciągnęli miecze. Chociaż zbiegowie muszą być wyczerpani, nikt nie poszedłby bez oręża na spotkanie z nimi. Może mają jeszcze dość sił, żeby się bronić.

Gwardziści królowej minęli głęboki rów, pewnie wyżłobiony przez dziób łodzi, i skupili uwagę na bezwładnym ciele zwróconym twarzą w dół. Ramiona leżącego unosiły się i opadały, miotane prądem. Długa, śmiercionośna strzała sterczała między jego łopatkami. Nie należała do nich, poznali to po niebieskich pasach na lotkach. To kolor Domu Jesionu. Odruchowo zbili się w gromadę, czujnie wypatrując jakiegokolwiek zmiany w otoczeniu. Przynajmniej wiatr ucichł, a gałęzie drzew przerwały dziki taniec. Mężczyzna, który pierwszy dotarł do ciała, chwycił je za pas i z wysiłkiem wyciągnął na brzeg. Nie odwrócił zwłok, bo znacznie bardziej interesowała go tkwiąca w nich strzała.

– No więc? – zapytał oficer. – Który to szwadron nas wyprzedził?

– Żaden z naszych. – Tropiciel musnął palcem sztywny grot. – Ten gość miał pecha. Ominęła go okazja do walki z nami. – Zastanawiał się chwilę. – To musiało się tak stać...

– Znałeś go? – Pan Lackel nachylił się niżej.

– Nie mogę jeszcze nic powiedzieć, panie.

Tropiciel musiał skorzystać z pomocy jednego z żołnierzy, żeby przewrócić ciało i wystawić ubłoconą twarz zabitego ku światłu.

– Nie znam go, panie. To był tylko prosty drużynnik. Ale spójrz tu, panie. – Skrajem ciężkiej od wody tkaniny stał błoto ze sprzączki podtrzymującej kołczan. Na sprzączce wyraźnie widać było zarys liścia. – To już nieraz widywaliśmy.

– Jesion! – Lackel szarpnął ociekającą wodą brodę. – Tylko dlaczego miałby zginąć z ręki towarzysza broni?

Tropiciel wzruszył ramionami.

– Prawda, że to herb Jesionu. Nie rozumiem tego. Może ktoś ukradł strzały Domu Jesionu i użył ich, żeby nas zmylić.

Tropiciel i jego pomocnik puścili zwłoki i natychmiast coś wciągnęło je w nurty

rzeki z taką siłą, że przestraszeni ludzie w panice wgramolili się na brzeg.

– Spójrzcie tam! – zawołał głośno inny gwardzista. Z każdą chwilą robiło się coraz ciemniej, ale mgła się rozproszyła i wszyscy zobaczyli nieopodal Łódź, uwięzłą w kłębowisku pływającej roślinności. Następne zwłoki zsunęły się z łodzi do wody.

Lackel nie ruszył od razu w tamtą stronę, bo był zbyt skonsternowany. Drużynnik Domu Jesionu zabity strzałą z herbem Jesionu! W pościgu uczestniczyli nie tylko gwardziści królowej, lecz także członkowie rodu tej kobiety. Widać wymierzili srogą sprawiedliwość, nieuniknioną nawet w tym głuchym zakątku. Dzielnym Hasard, dzielniejszy niż każdy ze znanych Lackelowi ludzi... Dotknął brzegu hełmu, jakby salutował zwierzchnikowi lub godnemu szacunku wrogowi. Teraz jednak zmroziło go coś więcej niż lodowaty wiatr. Ta, która wyprawiła go z tą szaloną misją, miała, jak mówiono, własne metody szpiegowania. Szeptano też, że niektórzy jej słudzy nie mieli ludzkiej postaci. Ale takie myśli lepiej zachować dla siebie...

Łódź na rzece zakołysała się i zanurzyła lekko, jakby do jej rufy przywiązano coś ciężkiego. Potem woda wokół niej zakotłowała się z głośnym pluskiem, a stojący na brzegu ludzie cofnęli się szybko. Opowieści o tym, co można spotkać w głębinach Bagien Bale, pełne były krwawych szczegółów. Ręka nieboszczyka zsunęła się po chropawym drewnie, kiedy coś wciągnęło w głębinę drugie ciało. Nie wszyscy oni zginęli od strzał, obojętne, czy należeli do Domu Jesionu, czy też nie.

– Panie! Tam, obok dziobu!

Nie mieli pochodni, którą mogliby zapalić, lecz wisząca nad łodzią blada, jakby trupia poświata, dostatecznie jasno oświetlała tę scenę. Lackel nie zauważył ciała kobiety, więc wywnioskował, że niewiasta, słabsza od mężczyzny i dodatkowo osłabiona zaawansowaną ciążą, zginęła wcześniej i że odciągnęło ją stworzenie, pożerające teraz trupy dwóch żołnierzy, którzy jej towarzyszyli.

Roześmiał się i podniósł ręce w drwiącym pozdrowieniu w stronę drugiego brzegu.

– Mieszkańcy bagien, oddaliście nam przysługę – powiedział cicho. – Nie szykujcie się do ataku na nas; nie walczymy z wami ani na was nie polujemy. Tej nocy pełniliśmy misję, którą, jak się zdaje, skończyliście za nas. I za to wam dziękujemy.

Jego żołnierze zaczęli się wycofywać. Każdy szedł tyłem, z wyciągniętym mieczem, w obawie, że ktoś lub coś wynurzy się z głębin, by ich tam wciągnąć.

Błyskali białkami oczu jak konie zmuszone wbrew woli do udziału w bitwie.

Lackel podniósł głos:

– Dostyc! Widzicie, że zakończyliśmy pościg, a ktokolwiek to zrobił, wyświadczył nam przysługę.

Nie mógł jednak przestać myśleć o strzale z herbem Jesionu, wbitej w ciało sługi

Domu Jesionu. Lud Bagien... tamta strzała nie miała z nimi nic wspólnego. Lackel wiedział, nawet jeśli jego podwładni nie mieli o tym pojęcia, że dowódcy zastępów każdego z domów nie pozwoliliby na użycie herbu lub wyraźnie oznakowanych strzał innego domu, nawet po to, żeby zmylić prześladowców.

Na dworze knuto zawiłe intrygi. W ostatnich kilku dniach krążyło mnóstwo plotek o tak zwanych wyprawach myśliwskich, których uczestnicy używali broni raczej nadającej się do pojedynków. Może nie bez powodu doszło do rozłamu wśród członków Rodu Jesionu. Wychowywany w ukryciu królewski syn – nieważne, czy zrodzony z królowej, czy z niższej rangą matki – mógł teraz być cenną zdobyczą, zwłaszcza dla słabnącego domu.

Jeśli tak się rzeczy miały, te plany zostały pokrzyżowane na skraju Bagien Bale, tak samo jak zadanie jego własnego oddziału. Lackel może teraz złożyć prawdziwy meldunek o tym, co się stało; nie wątpił, że spodoba się to jego pani, królowej Rendelu.

Joal, wódz Ludu Bagien, stanął z gniewną miną w drzwiach chaty Zazar.

Skrzywił się z obrzydzeniem na widok ciała, które wciąż leżało na podłodze.

– To Cudzoziemka! Trzeba odesłać ją na bagna. Nakarmić milczących.

Joal był niskim mężczyzną o zdeformowanym ciele. W jego upiętych wysoko, gęstych siwiejących włosach tkwiły kości palców co najmniej pięciu wrogów. Za nim tłoczyli się inni członkowie Ludu Bagien, ale nikt, podobnie jak on, nie miał ochoty przekroczyć progu tej chaty.

– Dobrze, Joalu – odparła obojętnie Zazar. – Zrób to, co każe zwyczaj.

Joal nadal nie odchodził od drzwi.

– Czuję zapach krwi... krwi z porodu. Czy ta Cudzoziemka urodziła żywe dziecko? Oddaj je nam!

Zazar utkwiała spokojne spojrzenie w oczach wodza.

– Pilnuję mojego zajęcia, tak jak ty twojego, Joalu. – Podniosła dziecko zawinięte w tkaninę z trzciny puchu. – To jest moja córka, której nadałam imię Jesionna. Z racji mojego rzemiosła mam do tego prawo.

– Masz już jedną uczennicę, Mądra Niewiasto. – Joal brudnym kciukiem wskazał na Kazi. – Zwyczaj też tak każe. Kto twierdzi, że potrzebujesz jeszcze jednej?

– Tak, mam już jedną uczennicę z waszego ludu – odrzekła spokojnie. – Odrąciliście ją z powodu jej skrzywionej, źle zagojonej nogi, a ja ją ocaliłam, kiedy nikt jej nie chciał i gdy groziła jej śmierć. Ale to dziecko jest moją przybraną córką, której pomogłam przyjść na ten świat. Ma się nazywać Jesionna, bez względu na to, jaka krew w niej płynie. Sama Pani Śmierć była świadkiem, kiedy nadawałam jej imię jako przybrana matka! – Uśmiechnęła się ponuro. – Możesz domagać się tylko tego,

do czego masz prawo, i dobrze o tym wiesz.

Joal cofnął się o krok, napierając na stojących za nim współplemieńców. Zazar rozumiała, że zwyciężyła. Wódz Ludu Bagien mógł ocenić wartość każdego mężczyzny i większości kobiet, ale Zazar była wyjątkowa, jedyna w swoim rodzaju. Tylko ona sama знаła swoje pełne imię i wiedziała, kto ją zrodził. Nikt nie lubi zadawać się z nieznanym i na tę przezorność Ludu Bagien Zazar liczyła.

– Weźcie zmarłą, zostawcie dzieciaka – polecił w końcu Joal. Dwaj jego podwładni zwinęli drobne ciało kobiety w poplamione maty i odeszli.

Zazar doskonale zdawała sobie sprawę, że Joal jest zagniewany. Prychnęła z pogardą. Joal i jego współplemieńcy... nie musiała się ich obawiać, nie musiała mieć się przed nimi na baczności. Ale przed sztuczkami Cudzoziemców tak. Musi posłać swoich emisariuszy i dowiedzieć się, co może dla niej oznaczać ten nieoczekiwany bieg wypadków.

Najwcześniejsze wspomnienia Jesionny sięgały czasów, gdy miała cztery lata; widziała w nich to samo, co robiła teraz, jako duża, ośmioletnia dziewczynka – mieszała w kotle pełnym kleju z mięczaków, uważając, żeby mieszanka nie zaczęła kipieć. Musiała długo gotować się na wolnym ogniu; inaczej rozdzieli się na części składowe i będzie do niczego. Wszyscy mieszkańcy wioski używali tej śmierdzącej, obrzydliwej substancji do naprawy krytych strzechą dachów ich chat. Ich własny dach – jej i Zazar – znów zaczął przeciekać, więc nie mogły dłużej zwlekać z jego naprawą. I, oczywiście, również dach Kazi. Ona też tu mieszkała. Jesionna mogła nie pamiętać o Kazi, tak jak Kazi ignorowała Jesionnę. Po prostu się nie lubiły, chociaż Jesionna nie wiedziała, dlaczego.

Jeszcze raz głęboko zamieszała cuchnącą miksturę, wydobywając z dna kotła muszle mięczaków i wyjmując te, które mogła, za pomocą gałązki, żeby nie poparzyć sobie palców. Słyszała, że niegdyś było to zajęcie Kazi, ale teraz staruszka ochoczo przekazała je Jesionnie, w każdym razie wtedy, kiedy Zazar nie było w pobliżu; cóż, przejmowała obowiązki i to jej przypadała cała zasługa. Jesionna zapragnęła mieć w pobliżu kogoś innego, mniejszego i łatwiejszego do pokonania, komu ona mogłaby z kolei przekazać tę pracę, ale nikogo takiego nie było. Może by się zresztą i znalazł ktoś taki, ale stworzenia, które nazywała piskaczami, ostatnio rzadko pojawiały się w pobliżu.

Tak naprawdę nigdy nie udało jej się zobaczyć piskaczy, chyba że od czasu do czasu kątem oka, ale na pewno je słyszała, kiedy odwiedzały w nocy Zazar. Piszczwały, szczebiotały, czasami mruczały. Jesionna uznała, że muszą to być bardzo miłe, małe stworzonka. Zapragnęła wziąć jedno na ręce i pogłaskać, ale na razie nie mogła sobie pozwolić na taki luksus. Po prostu miała za dużo do zrobienia.

W dodatku, odkąd grzmiąca gwiazda pomknęła ku północy, rozjarzyła niebo i uderzyła w ziemię tak mocno, że ta zadrżała aż po Bagna Bale, piskacze rzadziej przybywały do Zazar. Teraz wszyscy dorośli chodzili zmartwieni, zwłaszcza od kiedy obudziła się jedna z ognistych gór i przesłoniła niebo ciemnymi chmurami pełnymi iskier. Lecz to wszystko nie wywarło większego wrażenia na Jesionnie, a także w najmniejszym nawet stopniu nie zmniejszyło liczby uciążliwych obowiązków, które musiała wykonać.

Dach ciągle wymagał naprawy, żeby mogły przynajmniej spać nie zalewane przez częste deszcze. A samo zgromadzenie dostatecznej ilości pożywienia, tak żeby

wystarczyło im na dłużej niż jeden dzień, zabierało większość czasu, jaki im jeszcze pozostał. Pod tym względem wcale nie różniły się od mieszkańców wioski, położonej u podnóża małego pagórka poniżej chaty Zazar, w pobliżu jednego z głębokich bajorek pokrywających powierzchnię Bagien Bale. To bajorko – jedno z nielicznych – różniło się od pozostałych tym, że woda w nim wypływała, bulgocząc, spod ziemi i była względnie świeża. W innych bajorach stał pokryty śluzem, cuchnący płyn, którego ludzie unikali jak mogli, gdy wyruszali na poszukiwanie pożywienia. Zazar nie miała w pobliżu chaty bajorka ze świeżą wodą, wołała więc łąpać deszczówkę w wielki gar, który służył do picia i kąpieli. Kiedy używała tego garnka do innych celów – jak gotowanie wstrętnego kleju, warzenie napojów lub przyrządzanie duszonego mięsa, którym zwykle się żywiły – musiały czerpać wodę z jeziora obok wsi, tak jak wszyscy inni. Jesionna cieszyła się, że na razie odpadł jej ten obowiązek. Nawet Kazi nie mogła jej zmusić, żeby mieszała w wielkim kotle i jednocześnie szła do jeziora, niosąc dzbany na wodę.

Jesionna zawsze czuła się nieswojo, kiedy odważyła się zejść do wioski. Wiedziała, że jest inna niż tamtejsi wieśniacy; zdawała też sobie sprawę, że jej obecność ich krępuje. Nie rozumiała natomiast, dlaczego różni się od wszystkich innych. Musiała jednak się z tym pogodzić.

Zresztą sama Zazar też była inna – zarówno od mieszkańców wioski, jak i od Jesionny. Opowiedziała coś niecoś o tym dziewczynce, kiedy pewnego razu, co rzadko jej się zdarzało, nadużyła pewnego napoju, którego surowo zabroniła tknąć Jesionnie. Zazar stwierdziła, że żyje wielokrotnie dłużej niż najstarsi członkowie Ludu Bagien i że zostanie tutaj długo po tym, jak oni wszyscy wymrą. Wyznała też, że kiedy ona sama się starzała i potrzebna była następna młoda, silna Mądra Niewiasta, po prostu wydawała ją na świat, w odosobnieniu i bez pomocy. Dodała, że Lud Bagien wie o tym wszystkim. Dziewczynka uznała to za nieprawdopodobne i stwierdziła, że coś takiego na zawsze zwróciłoby plemię przeciw Zazar... jeśli te historie były prawdziwe. Lecz Lud Bagien w jakiś sposób akceptował Zazar, tak jak odtrącał jej wychowankę. Może z powodu napitków, które Mądra Niewiasta potrafiła przyrządzić, uzdrowicielskich mikstur i maści ziołowych odpędzających najgorsze owady, które dokuczały wszystkim mieszkańcom Bagien. Nawet Joal zwracał się do Zazar głosem, w którym brzmiał szacunek pomieszany z niechęcią.

– Jak tam klej? – zapytała z tyłu Kazi.

Obudzona nagle z zamyślenia dziewczynka aż podskoczyła.

– Myślę, że jest prawie gotowy – odrzekła. – Wiesz o tym lepiej ode mnie. Teraz ty powinnaś się nim zająć. – Uśmiechnęła się słodko, wiedząc, że miksturę trzeba będzie mieszać jeszcze przez całą godzinę. Nie chciała jednak stracić szansy na uwolnienie od uciążliwego zajęcia. – Zazar nie byłaby zadowolona, gdyby się zepsuł.

Kazi zmarszczyła brwi, ale wzięła kijek do mieszania. Jesionna była teraz wolna i mogła się zająć przyjemniejszymi pracami.

Po pierwsze, musi zmienić ubranie. Do pracy przy kotle wkładała starą, postrzępioną koszulę utkaną z trzciniowego puchu, żeby rozbryzgująca się maź nie poparzyła jej lub nie zniszczyła ubrań ze skór luppersów, które przybrana matka z takim trudem dla niej uszyła. Widziała, że jej stroje są znacznie ładniejsze od odzienia wieśniaków; Zazar użyła skór bardzo młodych luppersów, a potem wygarbowała je w sobie tylko znany sposób, aż stały się równie miękkie jak tkaniny przywożone przez kupców. Dziewczynka zdjęła koszulę i wcisnęła na nogi rajtuzy. Naga do pasa, przypięła nagolenice z kwadratowych płytek ze skorup żółwi, które osłaniały jej nogi od kostek po kolana. W kilku miejscach nagolenice były uszkodzone przez kły węży, od ukąszeń których ją ocaliły. Następnie włożyła wysokie buty i starannie przywiązała tę ochronną część stroju, żeby dobrze przylegała i nie krępowała jej ruchów. Zauważyła, że nagolenice ledwie sięgają jej do kolan: znów urosła. Już wkrótce Zazar będzie musiała dodać następny pas płytek na samej górze.

Na koniec włożyła przez głowę kaftan ze skóry luppersa. Zastanawiała się, czy nie wziąć jeszcze płaszcza, jak przykazywała Zazar, ale postanowiła tego nie robić. Dni jeszcze nie były na tyle chłodne, żeby musiała nosić wierzchnie okrycie. Wsunęła jednak za nagolenice nóż o brzeszczocie z muszli. Zdjęła z półki drewniane naczynie z maścią przeciw dokuczliwym bagiennym owadom i wtarła ją w skórę. Raz o tym zapomniała i pokąsały ją tak dotkliwie, że chorowała kilka dni. Potrząsnęła innym drewnianym dzbankiem, gdzie trzymały perły na handel wymienny, i zdała sobie sprawę, że pozostała w nim tylko jedna perła. Domyśliła się, dokąd udała się jej przybrana matka. Kiedy Zazar zamierzała coś nabyć, zawsze zabierała wszystkie perły oprócz jednej, pozostawionej na szczęście i jako zaczątek nowych, cennych znalezisk.

Teraz Jesionna wiedziała, co ma zrobić. Wzięła koszyk i wymknęła się tylnymi drzwiami. Nikt nie może jej potępić za to, że poszła łowić perły. Po drodze może też znaleźć coś do jedzenia. Nikt nie musi wiedzieć, że tak naprawdę po prostu ucieka od ciągłej pracy, uciążliwych obowiązków, a zwłaszcza od Kazi.

Dziewczynce nie pozwalano robić tego, na co miała ochotę. Musiała uczyć się na lekcjach, jakich od lat udzielała jej Zazar, choć czasem kosztowało ją to dużo wysiłku. Mądra Niewiasta twierdziła, że Jesionna jest jej uczennicą, a dziewczynka chłonęła tę wiedzę jak głodny sute jadło.

A wiedza wcześniej obudziła w niej ciekawość. Przed wszystkim pragnęła się dowiedzieć, dlaczego i dokąd Zazar wędrowała sama poprzez najdziksze połacie Bagien Bale, jak gdyby miała jakiś tajemny cel. Nie wszystkie podróże miały coś wspólnego z kupcami.

Jesionna postanowiła, że dzisiaj zbierze się na odwagę i spróbuje rozszerzyć

granice znanego sobie obszaru. Wyjdzie poza strefę, gdzie, według Zazar, mogła bezpiecznie się zapuszczać.

– Są miejsca, do których jeszcze nie możesz się zbliżyć – powtarzała jej zawsze. – Kiedy będziesz dostatecznie duża, sama tam cię zaprowadzę, żebyś mogła dowiedzieć się więcej tym, kim jesteś i kim możesz zostać. Aż do tej chwili musisz być cierpliwa.

W tonie Mądrej Niewiasty i w iskrach, jakie czasami strzelały jej z czubków palców, było coś takiego, co skłaniało Jesionnę do posłuszeństwa. Teraz jednak Zazar od kilku dni nie było w chacie, bo wyruszyła w podróż, a narzucona przez nią dyscyplina stopniowo osłabła. Jesionna zamierzała wykorzystać nieobecność przybranej matki na tyle, na ile starczy jej odwagi. Z lekkim sercem zostawiła więc Kazi i zniknęła w zaroślach na skraju polany, na której stała chata Zazar.

W stołecznym mieście Rendelsham stała Wielka Świątynia Wiecznego Blasku, główna i największa katedra poświęcona Najwyższemu Władcy Nieba i Ziemi. Budziła swoim pięknem podziw i nabożną cześć. Była dziełem najlepszych rzemieślników w kraju. Strzelisty dach podtrzymywały wysokie białe kolumny wyrzeźbione na podobieństwo czterech Wielkich Drzew, które z kolei były herbami czterech rządzących Rendelem domów.

Świątynia Wiecznego Blasku chlubiła się też różnej wielkości oknami, ozdobionymi obrazami z kawałków kolorowego szkła, które umieszczono w otworach okiennych z wielką wprawą i mistrzostwem. Największe z tych okien wieńczyło główne wejście. Okrągłe i zaprojektowane głównie dla ozdoby, przepuszczało niewiele światła. Kwiaty i liście o barwach drogich kamieni – rubinu, granatu i różowego kwarcu, szafiru i akwamaryny, złotego topazu, żółtego kwarcu i cytrynianu, szmaragdu, chryzoprazu i turmalinu – symbolizujące Cztery Domy, zalewały tęczowym blaskiem wszystkich, którzy weszli do środka. Pozostałe okna, zarówno małe, jak i duże, wyobrażały budujące sceny z życia codziennego, na które miały w ten sposób wywierać dobroczynny wpływ. I nic dziwnego, że sceny te często zawierały podobizny fundatorów, którzy je zamówili.

Trzy najmniejsze okna były ukryte przed wzrokiem wszystkich, z wyjątkiem najbardziej dociekliwych ludzi, z których tylko nieliczni wracali do nich po raz drugi. Małe okienka mimo swego piękna budziły niejasny strach, bo zmieniały się wraz z upływem czasu, a ich twórcy nie mieli na to wpływu. Jeden z tych witraży przedstawiał Ręce i Sieć Mrocznych Tkaczek. Po pojawieniu się grzmiącej gwiazdy, która uderzyła w północne krainy z taką mocą, że ziemia zadrżała i obudziły się ogniste góry, to z okien, które prawie się nie zmieniło za ludzkiej pamięci, zaczęło ulegać widocznym metamorfozom. Ręce Mrocznych Tkaczek poruszały się szybciej,

a Sieć, nad którą pracowały, zmieniała wygląd.

Drugie okno, ukazujące bagiennego loppersa, również ulegało zmianom. Mały loppers odszedł już od bajorka, nad którym przedtem siedział, i zniknął w zaroślach. A powierzchnia bajorka zmaciła się, jakby coś groźnego i złego usiłowało wyjść na brzeg.

Ale to trzecie okno zapowiadało największe niebezpieczeństwo, choć nieliczni, którzy to zauważyli, nie mieli pojęcia, czego są świadkami. Ów tajemniczy witraż przedstawiał obojętną twarz, białą i prawie nieprzezroczystą. Brak wszelkiej akcji sprawiał, że uważano to okno za nieinteresujące. Teraz jednak coś poruszało się w jego głębi, jakby jakiś stwór, jeszcze bardziej niebezpieczny i przerażający niż ten ukryty pod powierzchnią Bagien Bale, wynurzał się z gęstej burzy śnieżnej.

Mieszkańcy Rendelsham woleli nie patrzeć na witraże samowolnie zmieniające pierwotny wzór i za piękniejsze uważali cztery żywe drzewa, które od dawna rosły na dziedzińcu Świątyni Wiecznego Blasku. Dąb, Jesion, Cis i Jarzębinę bardziej nawet niż rzeźbione, marmurowe kolumny katedry uważano za symbole czterech domów rządzących Rendelem. A przecież te drzewa również niosły przesłanie, że nie wszystko jest w porządku w królestwie Rendelu. Na Dębie pojawiła się śnieć, zaledwie ślad, ale toczyła korę coraz mocniej. Jesion pochylił się smętnie i gubił liście, choć nie była to jego pora; najtroskliwsza opieka nie mogła powstrzymać powolnej śmierci drzewa. Nawet Jarzębina zapadła na jakąś nieznaną chorobę, choć kilka zielonych pędów nadal dzielnie walczyło o utrzymanie drzewa przy życiu. Tylko Cis dobrze się trzymał. Nie tknęła go żadna z plag, które poraziły trzy inne drzewa. Ludzie patrzyli na to, dziwili się i zastanawiali.

Królowa Ysa mogła oglądać drzewa – symbole na dziedzińcu katedry z okna swojej komnaty na zamkowej wieży. W całym zamku tylko ta wieża należała wyłącznie do niej. Trzykrotnie wyższa niż koślawe bagienne drzewa, strzelała w górę z samego serca królewskiej siedziby. Przewyższała nawet inne wyniosłe wieże Rendelsham; była od dawna opuszczona, bo uważano ją za niedostępną, zanim królowa objęła ją we władanie. W odległej przeszłości był to punkt obserwacyjny najważniejszej twierdzy Rendelu. Teraz tylko Ysa tam przebywała, odkąd osobiście wydała odpowiedni rozkaz. Z tego podniebnego schronienia mogła widzieć całe miasto i często spoglądała na Cztery Drzewa na dziedzińcu Świątyni Wiecznego Blasku. Szukała w wieży odosobnienia od świata i ludzi. Patrząc z góry na te drzewa, nie niepokoiła się ich stanem. Cis, symbol jej własnego Rodu, rósł silny i zdrowy, a to zawsze było dla niej najważniejsze, nawet gdyby pozostałe trzy drzewa wreszcie uschły.

Kiedy zaczął się schyłek Dębu? Królowa dotknęła podłużnego wisiorka w kształcie cisowej szpilki z wypolerowanym, lecz nieoszlifowanym szmaragdem w

środku; zieleń była barwą Domu Cisu. Mniej więcej w tym samym czasie co Dąb zachorował Jesion; wtedy to opiekujący się Czterema Drzewami ogrodnicy zaczęli się naradzać, próbując znaleźć powód tego niedomagania i może lekarstwo. Osiem lat temu...

Ysa usiłowała przegnać tę myśl, zanim ją do końca sformułowała. Tak, osiem lat, ale to na pewno tylko czysty zbieg okoliczności, że ta data zbiegła się z niefortunną śmiercią ostatniej rywalki Ysy w walce o władzę, kobiety z Domu Jesionu. Nigdy nie mogła zrozumieć, dlaczego króla Borotha zdawały się pociągać tylko blade, chuderlawe arystokratki z Rodu Jesionu. Ale tak było. Ysa mogła ignorować dziewczki służebne i kobiety z ludu, które brał do swego łoża, ale nie wysoko urodzone damy z wielkich rodów rządzących królestwem. Może dlatego każdą z nich – sformułowała to ostrożnie – zabrała przedwczesna śmierć, zanim Borothe uległ pokusie, by się z nią przespać. Takie postępowanie doprowadziłoby do wojny; Cis zwróciłby się przeciw Jesionowi, a Jarzębina pomaszerowałaby do boju z Dębem.

W jednym z najdawniejszych okresów historii Rendelu Dom Jesionu dostarczał królestwu władców. W rezultacie główne gałęzie tego rodu zawsze kłóciły się ze sobą, rywalizując o pierwsze miejsce w państwie. Wystarczyła niewielka zachęta, żeby zwrócić przeciw sobie różne frakcje, a każda myślała, że ta druga spiskuje przeciw niej, chcąc doprowadzić do jej upadku.

Zginęło przy tym tak wielu członków Rodu Jesionu, że teraz temu całemu domowi groziło wymarcie. Jednakże Borothe mógł winić za to tylko siebie. Gdyby miał dość rozsądku i wyrzekł się miłostek z kobietami z domu Jesionu, ona, Ysa, nie musiałaby usuwać rywalek. Nie mogła ryzykować, że pojawi się nowy następca tronu, rywal jej syna, Floriana, który urodził się rok po niefortunnej śmierci ostatniej arystokratki z Rodu Jesionu na Bagnach Bale.

Jej syn. Pod wpływem nagłego impulsu królowa opuściła komnatę na wieży i muskając kamienną podłogę rąbkiem długiej, ciemnozielonej, aksamitnej sukni, w obłoku woni mocnych pachnideł, zeszła po krętych schodach, by złożyć wizytę w apartamentach księcia.

Florian wstał późno i jeszcze nie skończył porannego posiłku. Matka zauważyła, że mieszał łyżką w misce owsianki; zjadł tylko smażony bekon i jeden kęs świeżo upieczonego chleba. Talerz z owocami stał nietknięty.

– Chcę kucyka – oznajmił mały książę matce na powitanie.

– Powiedz “dzień dobry” – zwróciła mu uwagę Ragalis, jego niańka. – Nawet książęta muszą zachowywać dobre maniery.

Florian pokazał niańce język.

– Chcę kucyka – powtórzył. – I chcę go teraz.

– Tego ranka? – odparła, próbując znaleźć w synu coś sympatycznego. Już nie

pierwszy raz zachował się tak niegrzecznie i żadni opiekunowie, jakich mu znajdowała, nie potrafili go tego oduczyć. Florian doskonale zdawał sobie sprawę ze swojej pozycji społecznej i ochoczo to wykorzystywał.

Teraz twarz pociemniała mu ze złości.

– Teraz! Teraz! Teraz! – krzyczał.

Ysa знаła te oznaki. Za chwilę Florian zacznie ciskać wszystkim, co ma pod ręką. Potem rzuci się na podłogę i będzie wrzeszczał tak długo, aż zachryplnie.

– Zjedz śniadanie i odrób wszystkie lekcje, a potem porozmawiamy o kucyku – powiedziała szybko.

– Zjem resztę chleba i odrobę połowę lekcji. A później pojeżdżę na kucyku, którego mi obiecałaś. – Podniósł pokrywkę z talerza z owocami i wykrzywił twarz w udanym przerażeniu. Jęknął głośno, jak śmiertelnie ugodzony, chwycił talerz z kandyzowanymi owocami i miskę z owsianką i wyrzucił wszystko na podłogę.

– To niczyja wina, że nie podano ci świeżych owoców, paniczu – wyjaśniła Ragalis. – Jeszcze na nie za wcześnie. Chętnie poślę po nową porcję, jeśli tylko zechcesz.

– Nie! – burknął i zaczął opychać się chlebem, bo wiedział, że matka dopilnuje, żeby dotrzymał obietnicy.

Ysa westchnęła. Wymieniły z Ragalis spojrzenia ponad głową chłopca. W twarzy opiekunki królowa wyczytała niezadowolenie ze sposobu, w jaki ona, jego matka, psuje i rozpieszcza syna. Nie mogła jednak nic na to poradzić. Florian jest zbyt podobny do swego ojca, który zawsze sobie pobłaża, pomyślała Ysa. Nawet wygląda jak Borothe – ma ciemne proste włosy, zupełnie inna niż jej kędzierzawe i kasztanowe. Nie chciała się zastanawiać, w jakim stopniu jej postępowanie przyczyniało się do braku dyscypliny u syna.

Po powrocie do wieży spotkała się z panem Lackelem, dowódcą Gwardii Pałacowej Jej Królewskiej Mości. Dowódcy poruczano na ogół znacznie bardziej odpowiedzialne zadania niż zdobycie kuczka dla księcia, lecz Lackel przyjął rozkazy królowej z powagą, ukłonił się i zasalutował, po czym ruszył na poszukiwania odpowiedniego zwierzęcia. Oby Najwyższe Moce miały nas w swej opiece, pomyślała Ysa, jeśli w królewskich stajniach nie ma akurat odpowiedniego kuczka.

A potem zapomniała o tym incydencie. Czekwała na nią ważna księga – zbiór prawie zapomnianej wiedzy. Ysa nie miała w sobie nawet odrobiny mocy czarodziejskiej, uważała jednak, że może zrekompensować ten brak dzięki nauce, a w owej księdze było opisanych wiele czarów. Dzisiaj chciała wypróbować jeden z nich: wezwać niewidzialną istotę, która może jednak stawać się widzialna, by udawała się niezauważona wszędzie tam, gdzie ona, Ysa, ją skieruje, a potem wracała ze zdobytymi informacjami. Doskonale zdawała sobie sprawę, że taki sługa może okazać

się bardzo użyteczny w intrygach, które zawsze knuto zarówno na dworze, jak i poza nim. Istoty widzialne, które kiedyś przywołała czarami, okazały się nieprzydatne do większości zadań, bo budziły za dużo strachu, a wróg zawsze może przekupić szpiega. Nie jest to jednak możliwe z niewidzialnymi stworzeniami.

Upadek grzmiącej gwiazdy poczynił wiele szkód w północnych krainach. Na dwanaście dni jazdy we wszystkich kierunkach ziemia drżała i huczała niczym gong, a w miastach budynki padały jak ścięte olbrzymią kosą. W tundrze jurty zawaliły się na mieszkających w nich ludzi i wielkie szczeliny rozwarły się w ziemi. Tam również, podobnie jak gdzie indziej, obudziły się ogniste góry i zaczęły posyłać w niebo kłęby cuchnącego dymu. Strumienie rozpalonej skały wypaliły drogi w polach lodowych i zmieszana z dymem para wodna przesłoniła cały Nordorn niemal nieprzeniknioną mgłą.

Na południowy brzeg tej położonej na dalekiej północy krainy runęły dwie gigantyczne fale, siejąc zniszczenie w miastach Morskich Wędrowców. Tylko te ich statki, które znalazły się poza portem, miały szansę ocalenia, a i z nich ponad połowa zatoneła. Ludzie morza poszli więc na dwór króla Nordornu.

– Nie zostaniemy tutaj, wasza królewska mość – oświadczył Snolli, obecny wódz naczelny Morskich Wędrowców, których zginęło tak wielu. – W najlepszych czasach byliśmy niespokojnym ludem, a obecne sprawiają wrażenie najgorszych. Jedno z naszych miast przestało istnieć. Tak jak nasi przodkowie w przeszłości, zabierzemy nasze kobiety, nasze dzieci, nasze dobra i zamieszkamy na naszych statkach, dopóki nie znajdziemy bardziej gościnnej ziemi, żeby zbudować nowe miasto. – Położył rękę na ramieniu swego syna Oberna. Obern ledwie osiągnął wiek męski według zwyczajów Morskich Wędrowców, ale wyglądał na wielce obiecującego następcę swojego niezłomnego ojca.

Cyornas, król Nordornu, skinął śnieżnobiałą głową.

– Jeśli chcecie odejść, nie będziemy was zatrzymywać – rzekł. – Gdyby nie ciężkie brzemie, które dźwigamy jako strażnicy Pałacu Ognia i Lodu, my również moglibyśmy ulec pokusie poszukania szczęśliwszej krainy. Lecz dokonano za nas wyboru dawno temu. Teraz musimy zrobić wszystko, co w naszej mocy, by zlikwidować skutki katastrofy, która na nas spadła i żyć dalej. Wiem jednak, że niektórzy spośród nas nie chcą tu pozostać teraz, kiedy samo niebo zwróciło się przeciwko nam. Aby zbadać, czy będą oni mile widziani gdzie indziej, wyślę mojego emisariusza, hrabiego Bjaudena.

Smukły mężczyzna o włosach barwy miodu wystąpił spośród tych, którzy w pełnych szacunku pozach uczestniczyli w spotkaniu króla Cyornasa ze Snollim, Morskim Wędrowcem. Ukłonił się i rzekł: – Dziękuję ci, mój królu, za powierzenie

mi tej ważnej misji. Proszę tylko, żebyś przyjął pod swoją opiekę mego syna Gaurina, troszczył się o niego podczas mojej nieobecności i traktował jak własnego, gdybym nie wrócił.

– Z radością, Bjaudenie – odparł Cyornas. – Będzie mi równie drogi jak mój syn Hynnel i zaden nie będzie lepiej traktowany od drugiego. – Zwrócił się do Snollego. – Zgodzisz się przyjąć Bjaudena na swój własny statek, gdzie będzie najbezpieczniejszy?

– Przyjmę go – odparł Snolli. – A jeśli będzie miał pomyślne wieści, odeślę go naszym najszybszym brygiem, żeby złożył ci meldunek.

– W takim razie obaj jesteśmy zadowoleni – oświadczył Cyornas. – Wypij teraz ze mną róg piwa; ale najpierw wymienimy krople krwi dla przypiecztowania tej umowy.

Zgodnie ze zwyczajem Cyornas ukuł się w palec wskazujący; Snolli zrobił to samo i zetknęli palce, żeby ich krew się mieszała. Potem spleli ramiona, zbliżyli głowę do głowy tak, że mogli policzyć sobie wzajemnie rzęsy, i jednym haustem wychylili rogi pełne piwa. Snolli wyraźnie czuł się lepiej przy tej ceremonii niż podczas uroczystego posłuchania na królewskim dworze, które musiało być dla niego męczące.

Cyornas, król Nordornu, odwiódł obecnych od uroczystego świętowania korzystnego układu zawartego między Morskimi Wędrowcami a Nordornianami. Wiedział bowiem coś, czego jeszcze nie wyjawiał nawet swoim najbardziej zaufanym doradcom – szeptali o tym tylko przestraszeni robotnicy, którzy wszystko widzieli. Pałac Ognia i Lodu bardzo ucierpiał od uderzenia grzmiącej gwiazdy. Jedna jego ściana – ta, która przylegała do grobowca uspiionej istoty, z niewymowną trwogą zwanej Wielką Ohydą – pękła. Ci, którzy strzegli grobowca, wyczuwali teraz, że potwór zaczął się poruszać i może się obudzić.

3

Jesionna uklękała na małej wypukłej wysepce, gdzie znalazła sporą kępę najlepszej trzciny. Znieruchomiała w napięciu. Teraz, mając szesnaście lat, umiała już ukrywać, że wyczuwa niebezpieczeństwo. Wśród wielu mocnych zapachów wyczuła w tym miejscu ślad pewnej szczególnej woni, która mogła oznaczać kłopoty. Nie podniosła jednak głowy, lecz nadal cięła trzinę, z której mlecznobiałego puchu można było prząść nici i tkąć pewien rodzaj tkaniny. Nóż z muszli nie bardzo się do tego nadawał. Łodygi trzciny były twarde, a ta szczególnie. Jesionna kontynuowała to zajęcie tak energicznie, że krople potu wystąpiły jej na czoło.

Bagienny loppers z chrapliwym krakaniem przeleciał nad wysepką zaledwie na odległość ręki od dziewczyny. Z pluskiem wpadł do zimnej wody i zniknął. Teraz Jesionna uznała, że może się odwrócić.

Dotknęła okrągłego, kamiennego dysku, przedziurawionego w środku. Kiedy po raz pierwszy odkryła ten amulet, zakurzony i zapomniany, na jednej z półek Zazar, w naiwności ducha uznała go za ozdobę, nanizowała na sznurek spleciony z roślinnych włókien mieniących się przyćmionymi odcieniami błękitu i zieleni i zawiesiła na szyi.

Miała kiedyś jeszcze jedną ozdobę: kolczyki ze złotego drutu, z brunatnymi wisiorkami. Zazar powiedziała, że nabyła je od pewnego kupca, Jesionna straciła kolczyki, kiedy odłożyła je na bok na czas kąpieli i ktoś je ukradł. Kiedy zaczęła nosić znaleziony dysk, Zazar wyjaśniła jej prawdziwą naturę amuletu i nauczyła się nim posługiwać. Dała też Jesionnie kawałek drewna, który nazwała Prowadzącym-do-domu. Twierdziła, że wskaże jej drogę, gdyby dziewczyna zabłądziła na bagnach. Lecz dysk, nazwany przez Mądrą Niewiastę kamieniem mocy, zainteresował Jesionnę znacznie bardziej. Nosiła go cały czas, wiedząc, że jest czymś więcej niż zwykłą ozdobą.

Chociaż nie usłyszała za sobą najmniejszego ruchu, ostrzegawczy zapach stał się silniejszy. Rozpoznała smród mazidla, którego myśliwi z Bagien używali do ochrony przed atakami dokuczliwych owadów w takich miejscach jak to. Jesionna wrzuciła ostatnią ściętą trzinę do koszyka.

Intruzów było co najmniej dwóch, może trzech; nie miała co do tego żadnych wątpliwości. Mogli nieść włócznie i tarcze z żółtych skorup, jakby rzeczywiście wyruszyli na polowanie, ale Jesionna była pewna, że to ona jest ich zwierzyną. Jeśli ma rację, zna tych przybyszów od czasu, gdy wszyscy uczyli się chodzić.

Upewniwszy się, że zebrana trzcina jest w koszyku, nie podnosząc oczu,

przemówiła wyraźnie, bez akcentu Ludu Bagien.

– Czy dopisuje ci szczęście, Tusserze? – zapytała. Mówiła tak spokojnie, jakby siedziała przy ognisku Zazar, zwracając się do kogoś, kto miał siedzibę Mądrej Niewiasty. Miała nadzieję, że w jej głosie brzmiała pewność siebie.

Tak, było ich co najmniej trzech i mieli złe zamiary, skoro się nie pokazali. Jeżeli to Tusser im przewodził, to pomagali mu jego wasale – pochlebcy, Sumase i Todo.

Jesionna doskonale wiedziała, że jest znenawidzona, gdyż różni się od Ludu Bagien.

Przy różnych okazjach wieśniacy i wieśniaczki dawali jej do zrozumienia, że nie została wrzucona do jednego ze strumieni na żer mieszkańcom głębin tylko dlatego, iż Mądra Niewiasta adoptowała ją zaraz po urodzeniu. Była Cudzoziemką w każdym calu; świadczyła o tym jej smukła postać, delikatnie rzeźbione rysy i jasne włosy.

Nie, nikt z Ludu Bagien nie darzył jej życzliwością. Nienawidzili Cudzoziemców, lecz jeszcze bardziej bali się Zazar, której dziwnemu kaprynowi Jesionna zawdzięczała życie.

Zaledwie przed kilkoma obrotami księżyca, kiedy stała się kobietą według standardów Ludu Bagien, dziewczyna zaczęła zdawać sobie sprawę, że nie tylko Tusser patrzy na nią inaczej, lecz także część tych, którzy dopiero niedawno zostali uznani za mężczyzn i dopuszczeni do narad przy ognisku. Może to właśnie ta odmienność obudziła zainteresowanie Jesionna. Nie oznaczało to, że już nie uważano jej za wyrzutka społeczeństwa. O sprawach między mężczyznami i kobietami, zarówno z Ludu Bagien, jak i spośród Cudzoziemców, Zazar powiedziała jej tylko tyle, żeby trzymała się od tego z daleka.

Mimo to zrobiło się jej nieprzyjemnie, kiedy domyśliła się, dlaczego Tusser i niektórzy mężczyźni się na nią gapią. Znow podziękowała w myśli losowi za to, że chata Zazar znajduje się z dala od wsi i że reputacja Mądrej Niewiasty budzi dość lęku, by omijano jej siedzibę. Teraz jednak Jesionna zdała sobie sprawę, że nie może liczyć na to, iż Mądra Niewiasta przyjdzie jej z pomocą.

Zapuściła się zbyt daleko w głąb Bagien, wszystko przez to, że usiłowała iść za Mądrą Niewiastą podczas jednej z jej tajemniczych wypraw. Zazar wymknęła się jej jak zwykle – Jesionna nie umiała ocenić, czy przypadkowo, czy rozmyślnie. Kiedy indziej potrafiła wykorzystać nawet słabe tropy, jednak tropiąc przybraną matkę, w pewnej chwili wpadała w konsternację; wyglądało to tak, jak gdyby Zazar nagle wyrosły skrzydła i uniosła się w powietrze. Zastanawiała się nawet, czy Mądra Niewiasta nie poddaje jej próbie, z której jednak dotąd Jesionna nie wyszła zwycięsko.

Dziś dziewczyna zboczyła z drogi, by znaleźć sobie inny cel wyprawy. Często chodziła samotnie nawet wtedy, kiedy nie tropiła Zazar – robiła to już jako

ośmioletnia dziewczynka. Zbiór trzciniowy będzie dostatecznym wytłumaczeniem po powrocie; może nawet Zazar zapomni ją wypytać. Dobrze wiedziała, że Mądra Niewiasta potrafi czytać w umysłach ludzi i poznawać ich uczynki – wystarczyło, że na kogoś popatrzyła.

Jednak tego dnia Jesionna nie zachowała ostrożności; więcej myślała o swoich pragnieniach niż o tym, co może się zdarzyć. Znalazła się na odosobnionej ścieżce, z której zazwyczaj nie korzystali nawet myśliwi. Z powodu swojej bezmyślności miała teraz stać się zdobyczą – a przynajmniej takie zamiary mieli tropiciele.

Zarośla zakotyły się i na otwartą przestrzeń wyszło trzech przysadzistych, cuchnących młokosów o ziemistej cerze. Zrobili krok do przodu i zatrzymali się nagle.

Jesionna dobrze wiedziała, co zobaczyli: skuloną na miniaturowej wysepce Cudzoziemkę, najwyraźniej całkowicie bezbronną. Między ścigającymi a ściganą niczym zamkowa fosa rozciągało się ponure, ciemne bajorko. Żaden zdrowy na umyśle współplemieniec młokosów nigdy nie spróbowałby przejść w bród tego bajorka. Na ich twarzach odmalowało się zakłopotanie. Dziewczyna mogła niemal odczytać ich myśli. Zauważyła, że wszyscy trzej są nieźle wystraszeni.

Oczywiście istniało racjonalne wyjaśnienie jej obecności na wysepce, ale Jesionna wolała, żeby bali się jak najdłużej. Tusser warknął coś z oburzeniem. Nigdy łatwo nie godził się z przeciwnościami.

– Zgubiłeś się, tarczowniku? – Dziewczyna zwróciła się do niego, jakby pytał ją o drogę, a ona zamierzała udzielić mu wskazówek. – Musisz wrócić po swoich śladach...

W odpowiedzi Tusser tylko roześmiał się nieprzyjemnie.

– Chodź no tutaj, dziewczyno, i zabawimy się wszyscy. Znamy różne miłe igraszki. – Pokręcił biodrami w jednoznaczny sposób i Jesionna zrozumiała, że jej najgorsze podejrzania były słuszne.

Zacisnęła palce na sznurku z amuletem. Obserwowali ją uważnie, to prawda. Ale...

Zerwała się na równe nogi. W jednej ręce trzymała koszyk z trzciniową, drugą zaś zakręciła nad głową kamieniem mocy, który znalazł się na końcu sznurka.

Grzmiący huk napełnił polankę. Po pierwszym wybuchu fali dźwiękowej, kiedy trzej prześladowcy, przerażeni, cofnęli się o kilka kroków, huk zamienił się w monotonne brzęczenie. Z amuletu wypłynął cień, który stopniowo otulił i zasłonił mgłą całe jej ciało. Ta sztuczka, której nauczyła ją Zazar, a ona ćwiczyła ją na wszelki wypadek, działała. Po zaskoczeniu malującym się na twarzach prześladowców o płaskich nosach i szerokich ustach zrozumiała, że ledwie ją widzą, chociaż ich mgła nie ukryła przed jej wzrokiem.

Musi teraz iść bardzo ostrożnie, żeby nie natknąć się na nich, kiedy przejdzie przez wodę na twardy grunt. Zbliżali się coraz bardziej; unosili tarcze, gotowi cisnąć jedną włócznią, drugą trzymając w rezerwie.

Jesionna dotknęła stopą ciemnej wody. Nieprzejrzysta powierzchnia zadrżała, gdy przeniosła na tę nogę cały ciężar ciała. Wiedziała, co robi. Przedtem odkryła bowiem dobrze ukryte na dnie bajorka szerokie kamienie, ułatwiające przejście; z pewnością ktoś je tam w tym celu niegdyś umieścił.

Tusser uparcie stał w miejscu, za to jego dwaj towarzysze cofnęli się o kilka kroków. Jesionna straciła pewność siebie. Jeżeli pójdzie ścieżką ukrytą pod wodą, wyjdzie na wysoki brzeg niemal tuż obok Tussera. Nie przestawała kręcić nad głową kamieniem mocy na niebieskozielonym sznurku. Nie wątpiła, że wciąż jest niewidzialna.

Teraz Tusser podniósł włócznię. Chęć pochwycenia zdobyczy zaczynała brać w nim górę nad pierwszym zaskoczeniem i lękiem. Jesionna nigdy nie wypróbowała czarodziejskiego cienia, ale wiedziała, że nie zapewni jej prawdziwej ochrony, nie stanie się zaporą ani tarczą osłaniającą ją przed orężem. Może tylko strzec jej, mącąc wzrok wroga.

Dotarła do ostatniego kamienia. Serce w niej upadło, gdy zrozumiała, że posunęła się za daleko – uwierzyła, że prześladowcy zawahają się przed nieznanym. Zazar nieraz już zwracała jej uwagę, żeby nie zaczynała działać od razu po zdobyciu nowej wiedzy. W milczeniu przysięgła sobie, że następnym razem uważniej posłucha przybranej matki – jeśli jeszcze będzie miała okazję po temu.

Teraz zagwizdała. Tej sztuczki nigdy nie wypróbowała, czytała tylko o niej na pokrytej ledwie widocznym pismem tabliczce – nie wiedziała, kto je wyrzył – na podstawie której Zazar nauczyła ją posługiwać się kamieniem mocy.

Może ten gwizd nie był tak przeciągły jak powinien, ale natychmiast połączył się z brzęczeniem amuletu. Z ulgą i zdumieniem Jesionna zauważyła, że magiczny wisior zareagował. Ochronna warstwa mgły wokół niej zgęstniała i okazało się, że dźwięk kamienia mocy unieruchomił słuchaczy, przynajmniej na jakiś czas.

Zamierzała teraz zejść z ostatniego podwodnego kamienia, a potem ominąć Tussera. Myśliwy wpatrywał się teraz nie w otaczający Jesionnę cień, ale w coś, co wyczuła za sobą. Miała ochotę się obejrzeć, ale paniczny strach na twarzy Tussera był poważnym ostrzeżeniem. Podniósł się poziom wody wokół jej kostek i sparaliżował ją strach, gdy zrozumiała, że coś porusza się w głębi bajorka.

Lęk przewyciężył efekt działania amuletu. Tusser cisnął włócznią. Todo wrzasnął, rzucając się z powrotem pod osłonę krzaków. Sumase już zniknął.

Chociaż Jesionna przestała gwizdać, głośny dźwięk powtarzał się przy każdym obrocie kamienia mocy. To, co znajdowało się poza nią, wydało okropny, chrapliwy

ryk. Tusser pochylił się, trzymając w pogotowiu drugą włócznie, i zawołał, rzucając wyzwanie zarówno Jesionnej, jak i ryczącemu stworowi:

– Potworze z głębin! Niech twoim posiłkiem stanie się ta cudzoziemska czarownica, a nie ja!

Mogło tak się stać, gdyby Jesionna nie zdążyła zejść z ostatniego podwodnego kamienia i dotrzeć w bezpieczne miejsce – które znajdowało się blisko Tussera, o wiele za blisko. Woda zawirowała i podniosła się wyżej. Zrozpaczona dziewczyna nie przestała wywijać amuletem, który wciąż brzęczał. Wołała zaryzykować starcie ze stojącym przed nią wrogiem, którego znała, niż z tym, co leniwie wynurzało się za nią.

Zebrała się w sobie, by zrobić ostatni krok. Głos nieznanej istoty był coraz głośniejszy, ale coraz bardziej piskliwy, aż w końcu przeszył jej skronie jak ostra igła.

Tusser upuścił włócznie i złapał się za głowę, a z szeroko otwartych ust wyrwał mu się wrzask obłądnego przerażenia, który zagłuszył brzęczenie amuletu Jesionny.

Nie wycofał się całkowicie; odskoczył w bok i wylądował w zaroślach. Gałęzie złamały się pod jego ciężarem. Nawet nie próbując wstać, zaczął oddalać się na czworakach. Przeszkodziła mu tarcza, która utkwiała między dwiema grubszymi gałęziami. Zrzucił ją jednym ruchem ramienia i zostawił. Połamane gałęzie podniosły się i ukryły go.

Jesionna zachowała dość przytomności umysłu, żeby spróbować dotrzeć na twarde gruntu, kiedy nieznany stwór skupił całą uwagę na Tusserze. Potknęła się i padła na kolana. Amulet przestał się kręcić i mocno uderzył ją w ramię.

Zamiast brzęczenia rozległ się głośny ryk. Jesionna mimo woli odwróciła się i spojrzała w tamtą stronę.

Wszyscy znali potwory żyjące w największych głębinach bajerek i ciemnych strumieni na Bagnach Bale z opowiadań i legend, z rysunków w mule i na ścianach. Lud Bagien był nawet wdzięczny tym stworzeniom, uważając je za dodatkową zaporę przeciw przenikaniu ludzi ze świata zewnętrznego. Ale bardzo rzadko widywano te stworzenia w świetle dziennym.

Monstrum ukazało tylko przednią część cielska, reszta nadal była ukryta pod kipiącą powierzchnią bajorka. Jesionna dobrze znała małe bagienne luppersy; do jej obowiązków należało łowienie ich dla mięsa i skór. Ale nawet rysunki, które widziała, nie ukazały ogromu stworów, które Zazar zwała straszidłami, a wieśniacy strachami.

Ta wielka paszcza, żółtozielona, otoczona palisadą zębów, mogła należeć do luppersa większego niż pagórek, który Jesionna niedawno opuściła. Złowrogie żółte oczy, osadzone wysoko, obracały się niezależnie od siebie, szukając... czego? Dziewczyna gorączkowo wgramoliła się na twarde gruntu, chociaż wyczuła że

straszydło mogło równie dobrze poruszać się na ziemi, jak i w wodzie. Odważyła się spojrzeć za siebie. Monstrum bez trudu unosiło się na powierzchni bajorka, przyglądając się jej tak, jak gdyby nie miało wątpliwości, że może bez pośpiechu zakończyć polowanie.

Tereny Bagien Bale zawsze były zdradzieckie; czasami drżąca powierzchnia wody kryła czające się pod nią niebezpieczeństwo. Jesionna stała już na gruncie zdolnym wytrzymać jej ciężar, ale wiedziała, że mając za plecami potwora z głębin, musi odejść stąd jak najprędzej, a wybór kierunku może zdecydować o jej życiu lub śmierci.

Była tak zmęczona, że nie miała już sił wymachiwać amuletem; nawet ta słaba broń była teraz bezużyteczna.

Wstała z trudem. Zniszczyła czar ochronny, a w dodatku zgubiła koszyk, nadal miała jednak kamień mocy i nóż z muszli. Była to niewielka pociecha; wątpiła, czy jakakolwiek znana na Bagnach broń mogłaby się jej teraz przydać.

Przed nią połamane gałęzie wskazywały drogę, którą wycofał się Tusser.

Skoczyła do przodu w momencie, gdy zabrzmiał za nią głośny ryk. Nie obejrzała się. Drapały ją ciernie i krzaki smagały jak bicze, ale przedarła się przez nie najszybciej jak mogła.

Te zarośla przypominały miniaturowy las; wierzchołki krzewów kołysały się nad jej głową tak wysoko, że mogłyby uchronić ją przed każdym zwykłym niebezpieczeństwem. Nie zatrzymają jednak potwora, jeśli zechce ją ścigać. Nie wolno jej teraz upaść. Nawet na najbardziej stabilnych skrawkach łądu można było trafić na grząskie miejsca, a nieostrożni wędrowcy szybko tonęli w bagnie.

Nadal miała swój kamień mocy. Uderzył ją właśnie w kolano, poranione przez ciernie, które podarły jej strój ze skóry luppersa. Zabolało Jesionnę tak mocno, jakby sparzył ją płomień z kuchennego ogniska. Nieostrożnie skoczyła do przodu i upadła na twarz. Ziemia pod nią drżała od ciężkich kroków. Monstrum z bajorka musiało wybrać tę chwilę do rozpoczęcia polowania i znajdowało się teraz na tym samym co ona skrawku łądu.

Kiedy dziewczyna spróbowała poczołgać się dalej, ścigający ją stwór znów ryknął. Nie był to łowiecki zew, lecz głos wściekłości i bólu. Bestii musiał się przytrafić jakiś niefortunny wypadek, może poraniły ją ciernie. Cokolwiek się stało, Jesionna do końca życia będzie za to wdzięczna losowi. Coraz głębiej wdzierwała się w zarośla, za każdym jej ruchem z gąbczastego podłoża buchał smród gnijących roślin. Dyszała ciężko z braku czystego powietrza; w końcu wyrwała się na otwartą przestrzeń. Ostre ciernie ostatniej gałęzi rozdarły jej ciało i odzież, ale znowu odważyła się spojrzeć za siebie.

Krzaki za nią kołysały się gwałtownie. Rozległ się jeszcze jeden okrzyk

wściekłości, ale nie wydało go bagiennie monstrum. Nad ramieniem Jesionny przeleciała włócznia; na pewno przebiłaby dziewczynę, gdyby akurat się nie odwróciła.

– Ty diablico! – Tusser był tak blisko, że mógłby jej dotknąć. Jesionna odskoczyła w lewo. Myśliwy musiałby się odwrócić, żeby wyciągnąć włócznię, która utkwiała w zaroślach. Nadal jednak był uzbrojony w śmiertelny kościany nóż, jakimi zręcznie posługiwali się mieszkańcy Bagien.

Skoczył ku niej jak błyskawica, zanim zdołała się podnieść, ale zatrzymał się tak nagle, jakby uderzył w niewidzialną zaporę. Nawet twarz mu się spłaszczyła. Krzyknął; a nóż wypadł mu z ręki, ale rzucił się na ziemię i pochwycił go.

Zręcznie, jak umieli to czynić myśliwi z Ludu Bagien, rzucił nożem w Jesionnę. Ale ta sama siła, która wcześniej powstrzymała go tak gwałtownie, teraz zatrzymała jego broń. Nóż uderzył w niezauważalną przeszkodę, brzęknął o nią i upadł na ziemię.

Tusser wrzasnął z wściekłości niemal tak głośno jak potwór z bajorka. Białe płatki piany pojawiły się w kąciakach jego szerokich ust.

– Powstrzymaj stracha! Powstrzymaj połykacza! On...

Na brzegu bajorka, z tyłu za prześladowcą, Jesionna nadal widziała ruch w zaroślach. Nie miała pojęcia, czy niewidzialna tarcza zdoła ją ocalić, ale wstąpiły w nią nowe siły. Znow poderwała się i skoczyła w lewo. Teraz Tusser odzyskał nóż i jedną włócznię; druga przepadła, gdy rzucił ją w bagiennego potwora.

Jesionna zrozumiała, dlaczego monstrum ryknęło z bólu i dlaczego Tusser usiłował tak szybko uciec. Lęk przed potworem, którego zranił, walczył w nim z pożądaniem pogardzanej Cudzoziemki. Dziewczyna uznała, że dlatego zaatakował ją tak zuchwale, bo jego towarzysze byli w pobliżu. Gdyby Sumase i Todo teraz pojawili się na drodze, którą musiała wybrać, znalazłaby się w pułapce.

Preraźliwy krzyk dobiegł zza ściany krzaków. Tusser odwrócił się błyskawicznie, wykonał skok długi jak luppers i zniknął.

Mając jeszcze w uszach ten krzyk bólu i strachu, Jesionna również uciekła – w przeciwnym kierunku niż Tusser. Czy to Sumase, czy Todo stał się zdobyczą wodnego monstrum? Ten okrzyk na pewno wydarł się z ludzkiej piersi. Czy Jesionna może mieć nadzieję, że niewidoczna Moc, która ocaliła ją od ataku Tussera, osłoni ją też przed bagiennym potworem? Dyszała ciężko w biegu, chwytając powietrze. Gdy znow znalazła się przed ścianą zarośli, zaczęła przedzierać się przez nie gorączkowo, łamiąc gałęzie, z nadzieją, że znajdzie za nimi otwartą przestrzeń. Nie mogła już myśleć ani układać planów, mogła tylko biec co sił w nogach.

W stajniach królewskiej rezydencji w Rendelsham piętnastoletni książę Florian chłostał jednego ze stajennych.

– Zostawiłeś kołtun w grzywie mojego konia! – wrzasnął ostrym, nieprzyjemnym głosem. – Powiniennem cię bić, aż zdechniesz, zdechniesz, zdechniesz!

– Miej litość, panie – błagał stajenny, próbując osłonić się przed ciosami.

– Wiesz, że mógłbym to zrobić. Mógłbym zatłuc cię na śmierć. Zastanawiam się, jak długo by to trwało.

– Florianie! – Książę drgnął z zaskoczenia i odwrócił się szybko. Widać było, że ma nieczyste sumienie..

– My tylko tak się bawiliśmy, matko – rzekł. – To tylko taka zabawa.

– Czy to prawda, Dinasie?

– Było tak, jak powiedział książę Florian, pani – odparł stajenny. Próbował ukryć krwawą pręgę od książęcego biczka do konnej jazdy, przecinającą mu policzek. – Bawiliśmy się trochę za ostro. Proszę o wybaczenie, pani.

– Nie jestem pewna, czy mogę uwierzyć choć w jedno wasze słowo – powiedziała królowa, krzywiąc usta z goryczą. – Ale uznam, że nic złego się nie stało, jeśli porzucicie tę grę, i to natychmiast.

– Och, i tak już się nią zmęczyliśmy – oświadczył Florian. Wolnym krokiem podszedł do matki. – Jak dziś się czuje ojciec?

– To dlatego przyszłam tu po ciebie. Czuj się troszkę lepiej. Chce cię zobaczyć.

– Naprawdę? – Książę wyglądał na przybitego. – A jeśli pójdę i będę bardzo, ale to bardzo grzeczny, czy dostanę pudding śliwkowy na deser?

– Powinieneś chętnie odwiedzać swojego chorego ojca, zamiast domagać się, żebym cię przekupiła – powiedziała matka.

– Tak, oczywiście... ale czy będzie pudding śliwkowy?

– Wydam polecenie kucharzowi. Ale musisz się wzorowo zachowywać przy południowym posiłku. Mamy dziś na dworze pewnego ambasadora.

Florian skrzywił się. Nie lubił przyjmować ambasadorów, których musiał zabawiać.

– Nie będę śpiewał – burknął.

– Nikt cię o to nie prosi.

– Ty również nie powinnaś tego robić – ciągnął książę.

– Obowiązkiem gospodarzy jest zabawiać gości. Ty masz usprawiedliwienie, ponieważ fałszujesz – odparowała królowa.

– Chcę, żebyś śpiewała tylko dla mnie. – Dąsał się chwilę, a wreszcie wzruszył ramionami. – Prawdę mówiąc, nie obchodzi mnie to, jeśli będą zonglerzy i tancerki.

Jakież on podobny do swojego ojca, pomyślała królowa Ysa, smutno kiwając głową. No cóż, nadal jest bardzo młody. Jeszcze zdąży nauczyć się dążenia do wznioślejszych celów, zdąży stać się godnym następcą tronu. Boroth jest chory, to prawda, ale nie grozi mu śmierć. Tego ranka czuł się znacznie lepiej. Może nawet

dojdzie do siebie na tyle, żeby samemu zacząć wychowywać syna.

Tak rozmyślając, wyprowadziła Floriana ze stajni i poszli w stronę lekko ufortyfikowanej letniej rezydencji, pod każdym względem, oprócz obronności, mogącej się równać z zamkiem, gdzie znajdowały się królewskie komnaty. Teraz mogła zacząć myśleć o sprawie, którą chciał załatwić wysłannik z północnych krain.

Hrabia Bjauden był równie znudzony jak książę Florian, ale wiedział, że nie wolno mu tego okazać. Odruchowo zaczął się bawić noszoną nad łokciem bransoletą, wyrzeźbioną z opalizującego, mlecznobiałego kamienia, którą odziedziczył po przodkach. Opanował się, wsunął ją na miejsce i nakazał sobie w duchu uważać na to, co się wokół niego dzieje.

Siedział na honorowym miejscu przy stole naprzeciwko krzesła obitego czerwonym aksamitem, na którym rozpostarto królewski płaszcz. Gdyby władca był obecny, zajmowałby właśnie to honorowe siedzisko, z ulubionymi towarzyszami po obu stronach. Królowa, jako jego zastępczyni, zasiadła u szczytu stołu, ale nie na monarszym krześle. W dalszej części Wielkiej Sali ustawiono resztę stołów, przy których siedzieli dworzanie. Gwar rozmów niemal ogłuszał Bjaudena.

Książę Florian obrócił się w krzesło i otwarcie ziewnął. Uczta wydana na cześć gościa trwała dalej. Cały pieczony łabędź, podany z piórami, spoczywał pokrajany na półmisku. Florian prócz puddingu śliwkowego pochłoniął kilka innych legumin, nic więc dziwnego, że był teraz śpiący. Królewski syn był bardziej niż pulchny i mimo młodego wieku miał nalaną twarz. Bjauden pomyślał o swoim synu Gaurinie, bezpiecznym na dworze Cyornasa, króla Nordornu. Cyornas nigdy by nie pozwolił Gaurinowi na takie zachowanie, chociaż był on tylko królewskim podopiecznym. Jednak Bjauden ukrył swoją dezaprobatę; wiedział, że królowa kocha syna, a on musi ją prosić, by pozwoliła przybyć i zamieszkać w Rendelu tym z jego ludu, którzy woleli uciec z chaosu panującego teraz na Północy.

Ku swojej konsternacji przekonał się, że gości na dworze nie zabawiano, jak było w zwyczaju na Północy, cichą muzyką i uprzejmą, błyskotliwą rozmową. Najpierw królowa Ysa zaśpiewała jakąś pieśń chrapliwym kontraltem, lekko fałszując w pewnych miejscach. Później popisywali się nieokrzesani cyrkowcy, którzy zonglowali ogniem i żywymi szczeniętami na przestrzeni między wysokim stołem i resztą towarzystwa. Na koniec wędrowni grajkowie – nie mógł nazwać ich muzykantami – śpiewali głośno, choć niezbyt melodyjnie. Rozbolała go głowa.

Nie wierzył, że jego misja zakończy się sukcesem. Królowa najwidoczniej bardzo lubiła rządzić. Jej małżonek nadal żył, choć był chory i słaby, a ona robiła wszystko po swojemu, nie zdołała tylko zdyscyplinować swojego syna, następcy tronu. Świadczył o tym sam kształt jej twarzy o kwadratowym, energicznie zarysowanym

podbródka. Podejrzał, że urodę zawdzięczała kosmetykom. Przyłapał się na tym, że zauważyła nieistotne szczegóły, żeby tylko zabić jakoś czas. Królowa ładnie wyglądała; miała na sobie wspaniałą, ciemnozieloną suknię usianą maleńkimi złotymi listkami dębu. Herb Domu Dębu przedstawiono na malowidłach w całej Wielkiej Sali – na jednym widniał stojący na tylnych łapach niedźwiedź na tle dębowych liści, a otaczało go motto: **Siła zwycięża.**

Na głowie królowa nosiła wymyślny czepek z przypiętą broszą z jej własnym herbem. Był to krąg z gałązek cisu zwieńczony koroną. Nad kręgiem umieszczono łuk, którego uchwyt z zielonych kamieni przecinała wstęga z mottem **Tego zawsze bronię.**

Królowa prawdopodobnie miała już młodość za sobą; trudno to było określić w słabym świetle kilku starannie rozmieszczonych świec. Bjauden czuł, że takie oświetlenie stołu królowej nie było przypadkowe. W Wielkiej Sali panował półmrok, bo okna zaciągnięto kotarami dla ochrony przed wiosennym chłodem i wszędzie rozstawiono kandelabry. U sufitu wisały duże żyrandole, dając własny błądy, chybotliwy blask.

Czy rzeczywiście chce sprowadzić swój lud do tego kraju? Czy nie będzie lepiej poszukać dla nich schronienia gdzie indziej? Rozmyślenia przerwało mu pytanie królowej, którego nie dosłyszał.

– Wybacz mi, piękna pani – rzekł. – Twoja uroda i gościnność sprawiły, że na moment popadłem w roztargnienie. Muszę powiedzieć, że było to dla mnie niezwykle przeżycie.

– Pytałam o twoją małżonkę i byłam ciekawa, dlaczego nie uświetnia ona swoją obecnością naszego towarzystwa, panie.

– Niestety, jestem wdowcem...

Nagle coś spadło na ciemnofioletowy wierzchni kubrak Bjaudena, najlepszy, jaki posiadał. Kiedy się odwrócił, dostał w twarz mokrą papką z przeżutego ciasta. Odruchowo sięgnął po sztylet; nie mógł ukryć tego gestu. Księżę Florian otwarcie wybuchnął śmiechem.

– To dla ciebie i twoich głupich rodaków z Północy – oświadczył księżę. – Chciałbym, żebyś się stąd wyniósł.

Krew odpłynęła z twarzy Bjaudena. Ostrożnie wytarł policzek serwetką.

– Najgorszy cham ma lepsze maniery niż ty – powiedział cicho i uprzejmie. – Gdybym miał wolną godzinę i nieco prywatności, nauczyłbym cię, jak należy się zachowywać... ku radości twojej matki.

Twą królowej pozostała obojętna. Ysa nie zareagowała oficjalnie ani na grubiańskie zachowanie syna, ani na odpowiedź Bjaudena. Wstała, dając znak, że uczta jest skończona.

– Natychmiast idź do swojej komnaty, Florianie – rozkazała spokojnym, ale groźnym tonem. – Porozmawiam z tobą później. Posunąłeś się za daleko. – Zwróciła się teraz do gościa: – Zechciej przyjąć moje przeprosiny, panie. To prawda, mój syn jest trochę rozpieszczony, ale ma tylko piętnaście lat. Nie musiałeś sięgać po broń.

– Twoje przeprosiny są niepotrzebne, pani. To ja powinienem cię przeprosić za moją niedopuszczalną reakcję. Nie przywykłem, żeby mnie opluwano – odrzekł pełnym napięcia głosem. – Obawiam się, że naraża to na niebezpieczeństwo moją misję.

Królowa Ysa uśmiechnęła się nieprzyjemnie.

– Tak też by się stało, gdyby twoja prośba miała przedtem jakąkolwiek szansę na pozytywne rozpatrzenie. Nie przydzielę wam nawet skrawka ziemi w żadnej z naszych czterech prowincji na zbudowanie miasta. – Była to tak kategoryczna i obraźliwa odpowiedź, jakiej królowa mogła udzielić, nie przekraczając granic elementarnej grzeczności.

– Rozumiem. Wybacz, że zabrałem ci czas, pani. Najchętniej – dodał Bjauden przez zaciśnięte zęby – opuszczę waszą królewską mość już teraz i nie będę dłużej się narzucał, nawet nie poproszę o nocleg. – Ukłonił się, odwrócił plecami – było to oznaką braku szacunku, o czym dobrze wiedział, ale wcale go to nie obchodziło – i opuścił królewską Wielką Salę.

Później tego samego wieczoru księżęemu chłopcu do bicia wymierzono dotkliwą chłostę, a Florian, ku swemu zaskoczeniu, został zwymyślany przez matkę jak nigdy dotąd.

Bardzo tym oburzony książe posłał po jednego ze swych sług, mężczyznę imieniem Rawl, który miał reputację mordercy. Kiedy Florian patrzył na niego w blasku jedynej świecy, którą odważył się zapalić, Rawl naprawdę wyglądał jak zbir.

– Znasz tego okropnego hrabiego Bjaudena, który jadł z nami kolację dziś wieczorem?

– Tak, panie. Podawałem chleb do stołu. Dobrze się przyjrzałem hrabiemu.

– To doskonale, ponieważ chcę, żebyś jeszcze raz mu usłużył. Próbował rzucić się na mnie ze sztyletem, i to bez powodu. Za zwykłego psikususa.

– Jaka to ma być usługa, panie?

– Pozostawiam to twojemu uznaniu, ale jeśli nie wróci, nie będę go żałował.

Sługa milcząco potarł kciuk o palec wskazujący i Florian zrozumiał, że Rawl oczekuje zapłaty. Książe poszperał w kufrze, wyjął sakiewkę pełną złotych monet i podał bandycie.

Rawl zważył w rękę sakiewkę i skinął głową z zadowoleniem.

– Za tę cenę mogę mu oddać naprawdę wielką usługę. Chciał ziemi, prawda,

panie? A więc dajmy mu ziemię, która mu się nie spodoba.

– Tak sądzisz? – Książę przechylił na bok głowę z zainteresowaniem. – Co chcesz przez to powiedzieć?

– Na Bagnach Bale jest pewne starożytne miasto, niegdyś piękne, teraz zaś całkowicie zrujnowane. Tam nocne stwory pożerają ciała zbłąkanych wędrowców razem z kośćmi, tak że nie ma nawet śladu, że kiedykolwiek żyli.

– Naprawdę? Skąd się o tym dowiedziałeś?

– Czasami wyruszamy, by zapolować na Bagniaków. To dobra zabawa, ale trofeum nie nadaje się do pokazania na ulicach Rendelsham, dlatego zostawiamy zabitych tam, gdzie nikt nie chodzi. Potem wracamy i jest tak, jak powiedziałem. Nie ma ani ciała, ani kości, nic nie zostaje.

Florian wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

– To bardzo ładnie brzmi. Tak, naprawdę bardzo ładnie. Hrabiego powinno się tam zabrać i zostawić... koniecznie. – Książę nie miał pojęcia o sprawach życia i śmierci, sam nie zaznał nigdy bólu. Mówił tak, jakby planował pozbycie się zabawki, która mu się znudziła. – Ale bądź ostrożny, moja matka nie może się o tym dowiedzieć. I uważaj na jego sztylet.

W odpowiedzi Rawl uśmiechnął się od ucha do ucha, ukazując ciemne, połamane zęby.

– Nie obawiaj się, panie. Opuszczałem to miasto i wracałem tu wiele razy i nigdy nic złego mnie nie spotkało, oprócz kilku ukąszeń owadów. A w razie potrzeby umiem trzymać język za zębami.

– W takim razie ruszaj śladem tego podłego hrabiego, który opuścił nasz zamek w nader niegrzeczny sposób. I to on chciał uczyć dobrych manier mnie, następcę tronu!

– Stanie się tak, jak ma się stać – odparł sługa, wśliznął się w mrok i zniknął księciu z oczu.

Jesionna tak często zapuszczała się na Bagna Bale w ślad za Zazar, że nauczyła się określać kierunki. Przywarła do splątanych gałęzi krzaka, licząc, że dzięki temu łatwiej zachowa równowagę i odzyska panowanie nad sobą. Rozejrzała się wokoło, szukając wzrokiem jakichś punktów orientacyjnych, które wskazałyby jej bezpieczną drogę ucieczki przed bagiennym potworem. Była pewna, że monstrum, nawet się nie śpiesząc, ściga ją wielkimi skokami, posuwając się naprzód szybciej niż człowiek na otwartej przestrzeni.

Ponownie usłyszała brzęczenie owadów. Nie było już krzyków, wróciły zwyczajne odgłosy życia na Bagnach. Odetchnęła głęboko; musi na razie zachować ostrożność, mimo że nie było słyhać odgłosów pogoni. Niestety, nie mogła skierować się na ścieżkę prowadzącą w stronę, w którą uciekł Tusser.

Jesionna ostrożnie okrążyła wysoki krzak, do którego zaprowadziły ją mniejsze krzaczki, i znalazła się na otwartej przestrzeni. Było tu nieco jaśniej; splątana roślinność nie zasłaniała tak mocno dziennego światła jak w innych częściach Bagien, gdzie nawet za dnia panował wieczny półmrok. Dziewczyna nie spodziewała się jednak tego, co teraz zobaczyła.

Bagna Bale składały się głównie z połączonych ze sobą wysepek i mokradeł. Ludzie z Bagien żyli na największych połaciach twardego gruntu, jakie zdołali znaleźć. Tam budowali swoje wioski – każdą zamieszkiwał jeden klan – ale ich domostwa nie mogły długo się opierać zimowym burzom śnieżnym. Te byle jakie chaty miały ściany z połączonych mułem, ciasno splecionych gałęzi; do każdej lepianki była przycumowana prymitywna łódź, żeby ludzie mogli dotrzeć w bezpieczne miejsce, kiedy woda się podniesie.

Jesionna miała przed sobą płaski teren, jak okiem sięgnąć wyłożony kamieniami, między którymi rosły kępy trawy o ząbkowanych brzegach. Na najdalszym krańcu tej płaszczyzny stał dęba...

Olbrzymi loppers! A więc okrążył teren, żeby zastawić na nią pułapkę! Na ten widok Jesionna przywarła do wysokiego krzewu i podniosła rękę do ust. Wzięła głęboki oddech i w tej samej chwili zdała sobie sprawę, że potwór jest z kamienia, równie martwy jak głazy, na których stoi. Musiał znajdować się tam od wielu lat; była to tylko zniszczona przez czas podobizna monstrum, które do połowy ujrzała w tamtym bajorku.

Jesionna przysiadła na piętach, bo umazane błotem nogi uginały się pod nią, nie

mogła oderwać wzroku od szkaradnej kamiennej rzeźby. Ten potwór musiał być spokrewniony z luppersami, ale nie stał, jak one, na czterech łapach. Wznosił się na potężnych tylnych kończynach, a przednie opierał na olbrzymim brzuszysku.

Gigantyczna paszcza, którą monstrum goniące przedtem dziewczynę otworzyło, by pochłonąć wszystko, co się uda schwytać, była zamknięta. W połowie zasłaniała ją zielony porost podobny do kozucha na powierzchni bajorek. Za to oczy potwora budziły prawdziwą grozę – wielkie, wyłupiaste, umiejscowione na wierzchu czaszki.

Jesionna dobrze wiedziała, że nie jest to żywe stworzenie, tylko kamienna podobizna wykonana w niewiadomym celu. A jednak te oczy – tak ogromne, że nie dałoby się ich zasłonić obiema rękami – świeciły jaskrawożółtym blaskiem. Ich źrenice miały kolor świeżej krwi. Dziewczyna nie mogła uwierzyć, że te ślepia nie są żywe i że potwór nie korzysta z nich przy swoich okropnych zamiarach.

Desperacko czepiała się resztek zdrowego rozsądku, ale nie miała najmniejszych wątpliwości, że te ślepia zauważyły jej przybycie. To tylko skała, tłumaczyła sobie. Figurę musiano tu umieścić bardzo dawno temu, bo skąpa trawa okalająca kamienne cielsko urosła tak wysoko, że zasłaniała potężne tylne łapy.

Karcąc się w duchu za naiwność, Jesionna zmusiła się, by wstać. Mocno ścisnęła w rękę amulet. Powoli się odprężała; im dłużej wpatrywała się w posąg, tym mocniejsze było przekonanie, że te patrzące na nią oczy to jakaś sztuczka. Ten kamienny przedmiot nie mógł żyć, bez względu na to, jak świadomie zdawał się ją obserwować.

Przez wszystkie lata, które spędziła jako uczennica Zazar, podczas wszystkich podróży z Mądrą Niewiastą i samotnych wędrówek, Jesionna nigdy nie widziała takiego miejsca i takiej kamiennej rzeźby.

Lud Bagien lepił z gliny garnki i miski, a potem je wypalał, by nadawały się do użytku. Nie dysponował jednak żadnymi narzędziami do obróbki kamienia. Ale... coś sobie uświadomiła. Kamienie, po których przeszła przez bajorko, tak wygodnie rozmieszczone, również nie były dziełem natury. Może położyli je ci sami ludzie, którzy stworzyli wielkiego, kamiennego luppersa.

Kamienne zwierzę nie może skakać, rozszarpać ani pożerać. Dziewczyna powoli, ostrożnie ruszyła do przodu. Kiedy podeszła bliżej, nabrała pewności, że podobizna luppersa powstała w dalekiej przeszłości. Kto ją wykonał i w jakim celu, pozostało dla niej tajemnicą. Może jednak to odkrycie bardziej przypadnie Zazar do gustu niż koszyk z trzcinowąną, który i tak opuściła podczas ucieczki.

Gdy weszła z błotnistej ziemi na kamienny bruk, mimo woli podniosła rękę i ściskając kamień mocy dłońią pozdrowiła olbrzymi posąg.

Spomiędzy palców dziewczyny trysnęły iskry; poczuła, że jej nietypowa broń zaczyna się rozgrzewać. Nie spróbowała jednak zakręcić amuletem nad głową. W

jakiś sposób była pewna, że jego ostrzeżenie – lub ochrona – nie będzie tu potrzebne.

Jesionna odważnie zatrzymała się przed górującą nad nią kamienną figurą.

Czyżby w żółtych oczach zaszła subtelna zmiana? Czy zaświeciły jaśniej, gdy kamień mocy rozgrzał się w jej ręce? Znów poczuła, że ktoś jej się przygląda, ale z dużej odległości. Przyjrzała się amuletowi i zauważyła, że także świeci. Był tak gorący, że z trudem go trzymała, niczym wyjęty z ogniska rozżarzony węgiel.

Może to tylko jej wyobraźnia, ale... z amuletu wytrysnął wąły płomyk, zamigotał raz i drugi i zgasł. Wraz z nim zniknęło również uczucie, że ktoś ją obserwuje i cała tajemnicza aura otaczająca dziwnego kamiennego stwora. Teraz miała przed sobą tylko kawał rzeźbionej skały, który nie mógł być żywy. Oprócz brzęczenia owadów nie słyszała innych dźwięków; ziemia też nie drżała pod ciężkimi krokami wielkiego cielska, choć trochę się tego spodziewała.

Krok za krokiem Jesionna okrążyła monstrualny posąg, oglądając go od góry do dołu.

Pnącza okręciły się wokół tylnych łap stworzenia, jakby takie słabe pęta mogły go uwięzić. Kiedy obeszła rzeźbę i stanęła naprzeciw niej, zauważyła, że przednie łapy luppersa, złożone na okrągłym brzuchu, nie zakrywały wyrytych tam rzędów znaków.

Wśród Ludu Bagien nie było uczonych. W każdym pokoleniu przebywała wśród nich jedna Mądra Niewiasta, taka jak Zazar, choć nie należała do plemienia. Mówiono, że Mądre Niewiasty żyją dwukrotnie dłużej od przeciętnego mieszkańca Bagien. Wszystkie one przechowywały powierzone im starożytne kroniki, tak jak teraz Zazar, i na nich opiekunka nauczyła Jesionnę czytać. Dziewczyna spędziła wiele godzin, ucząc się odczytywać znaki, z których pomocą strażniczki tradycji zapisały wydarzenia ich zdaniem godne zapamiętania. Umiała posługiwać się tym pismem równie dobrze jak jej nauczycielka; i przeczytała nawet notatki, jakie Zazar postanowiła swego czasu dodać do kronik. Nigdy jednak Jesionna nie widziała czegoś takiego jak te kolumny kropek, prostych kresek i wijących się linii na brzuchu rzeźby.

Przykucnęła, ściskając oburącz kamień mocy. Już nie parzył, ale była pewna, że ostrzeże ją przed każdym niebezpieczeństwem. Wprawdzie nie umie odczytać tajemniczej inskrypcji, może jednak przynajmniej nauczyć się jej na pamięć.

Królowa Ysa była niezadowolona z postępów swoich planów – a dokładniej z ich fiaska. Latami próbowała wezwać maleńkiego niewidzialnego sługę i nigdy jej się to nie udało. Dawniej robiła to często, potem coraz rzadziej, bo zauważyła, że te usiłowanie bardzo źle wpływają na jej urodę. Ze swoją bladą cerą i żółtawymi oczami, które tak często miewały kobiety o kasztanowych włosach, nabrała wielkiej wprawy w stosowaniu kosmetyków.

Pół roku temu, spróbowała jeszcze raz. Było jeszcze gorzej niż zwykle.

Czary należało rzucać, wyglądając tak naturalnie, jak to tylko możliwe, bez ozdób, w prostym stroju. Po tej ostatniej strasznej próbie, kiedy przejrzała się w lustrze, chcąc poprawić swój wygląd, doznała wstrząsu. Bez kosmetyków jej twarz wyglądała jak oblicze starej kobiety. Nietknięte pędzelkiem brwi były usiane siwymi włoskami. Oczy nabrały zimnej barwy stali. Nieuszminkowane usta królowej wyglądały jak cienka kreska; mocno zaciśnięte wargi odzwierciedlały nieustający gniew, który rzeźbił też zmarszczki na jej czole. Obwisła szczęka, kwadratowa i ciężka, bardziej pasowała do żołnierskiego hełmu niż do czepka damy.

Nie mogła znieść swojego widoku. Wyszła za mąż, mając piętnaście lat, urodziła Floriana dwa lata później. Teraz, zaledwie po trzydziestce, wyglądała tak, jakby przekroczyła pięćdziesiątkę. Wstrząśnięta, sięgnęła po słoiki i buteleczki z kosmetykami; za ich pomocą zdołała stworzyć maskę, która ukryła większość oznak starości. A przynajmniej taką miała nadzieję.

Chronicznie chory król Boroth powoli zbliżał się do kresu swoich dni. Ysa początkowo uznała to za skutek nadużywania napojów alkoholowych, których wypijał mnóstwo. Stopniowo jednak zdała sobie sprawę, że chodzi tu o coś więcej. Wyglądało to tak, jakby tracił energię, moc, na której od dawna się opierał. Nie wiedząc, co robić, Ysa ukrywała postępujące osłabienie męża najlepiej jak mogła, przypisując je lekkiej niemocy, przeziębieniu lub bólom stawów. Nie mogła jednak postępować tak w nieskończoność.

Kiedy ogniste góry zaczęły się budzić i pluć ogniem, kiedy zatrzęsała się ziemia w stolicy Rendelu, stan zdrowia Borotha zaczął pogarszać się jeszcze szybciej. W końcu król nie wstawał już z łoża i tylko najbardziej naiwni twierdzili, że jeszcze kiedyś je opuści.

Budziło to mieszane uczucia w sercu królowej. Była zadowolona, że mąż ostatecznie wycofał się z kierowania sprawami królestwa, bo w ten sposób zdobyła większą władzę. Jeszcze bardziej uradował ją fakt, że przestał flirtować z pałacowymi dworakami, chociaż w istocie nie darzyła go uczuciem i już dawno zapomniała o zazdrości. Nie chciała jednak, by umarł. Miała nadzieję, że Boroth pożyje dostatecznie długo, żeby Florian dorósł przed objęciem tronu, a ona nie musiała walczyć o regencję dla siebie. Ysa wiedziała, że lepiej jest rządzić jako szara eminencja w cieniu tronu, niż otwarcie dzierżąc władzę, którą musiałaby przejąć z konieczności. To jednak musi potrwać. Florian nadal był zbyt niedojrzały, aby sprawować rządu bez rady regencyjnej.

Dlatego własnoręcznie pielęgnowała Borotha, usiłując przekazać mu część swojej siły i determinacji. Liczyła na to, że wysiłkiem woli przywróci mu jeśli nawet nie zdrowie, to przynajmniej uchroni go od zniedołężnienia.

I pewnie byłoby się jej to udało, ale potem ognista góra wybuchła zaledwie w

odległości kilku kilometrów od Rendelsham, tam, gdzie nigdy przedtem jej nie było. Wstrząsnęła miastem tak silnie, że aż dzwony zadzwoniły na wszystkich wieżach. Po tej katastrofie Borothe dostał ataku i Ysa pośpieszyła czuwać u jego boku.

– Odwagi, mężu – powiedziała. – Miasto jest całe pomimo wstrząsów. Nie musisz się niczego bać.

– Chcę wina – zażądał król. – I to zaraz.

Zareagował w jedyny znany sobie sposób, chcąc upić się do nieprzytomności. Mimo to Ysa gestem rozkazała Rugenowi, osobistemu słudze króla, by spełnił życzenie swojego pana. Ledwie Rugen zdołał postawić tacę na stoliku obok królewskiego łoża, kiedy następny wstrząs, znacznie silniejszy, omal nie przewrócił butelki z winem.

– Nasz kraj ginie! – zawołał Borothe. – I ja ginę razem z nim! – Opadł zemdłony na poduszki. Ysa szybko napełniła czarę winem i przytknęła mu do ust, ale Borothe nie zareagował. Nalała trochę wina na dłoń i zaczęła nacierać nim ręce męża, usiłując go ocucić.

I wtedy zdarzyło się coś, czego do tej pory nie zrozumiała. Przy jej dotknięciu cztery wielkie Pierścienie na palcach króla – tajemnicze Pierścienie, które tak długo nosił na kciukach i palcach wskazujących, że metalowe krążki wydawały się częścią jego ciała – przeniosły się z jego rąk na jej ręce. W tajemniczy sposób ześliznęły się ze spuchniętych palców Borothe'a i przesunęły nad dwoma pierścieniami, które nosiła Ysa – jeden na palcu wskazującym prawej ręki, drugi na kciuku lewej. Wstrząśnięta, natychmiast spróbowała zsunąć Pierścienie i włożyć na palce króla. Bez powodzenia – nie dały się zdjąć.

Po kilku chwilach król przyszedł do siebie na tyle, że wypił zawartość butelki.

Wkrótce potem zapadł w drzemkę, a raczej w zamroczenie alkoholowe. Ysa wstała z brzegu mężowskiego łoża. Rugen nadal stał w pobliżu, starając się zachować obojętną minę. Jeżeli nawet zauważył zdumiewające przejście Pierścieni, na pewno – królowa dobrze o tym wiedziała – zachowa to dla siebie. Bez wątpienia przez te wszystkie lata poznał znacznie większe tajemnice.

– Przynieś królowi tyle wina, ile zapagnie – poleciła słudze. – Dopilnuj, żeby było mu wygodnie. Niech śpi.

Kiedy obejrzała się na Borothe'a, odniosła wrażenie, że teraz zapadł w prawdziwy sen. Czy dlatego, że bardzo tego pragnęła? Kiedy drzwi królewskiej komnaty zamknęły się za nią, Ysa miała dość czasu, by w samotności uważnie przyjrzeć się Pierścieniom, które, najwidoczniej z własnej woli, przeniosły się na jej ręce. Zdjęła własne pierścienie i włożyła je na inne palce.

Królewskie Pierścienie nie przypominały zwykłych klejnotów. Były masywne, ciężkie i gładkie, bez drogocennych kamieni. Te szerokie obrączki wykuto z metalu

tak rzadkiego, że potem już nigdy nie znaleziono go w Rendelu. Połyskiwały zielenią i złotem, niekiedy czerwienią migocącą na tle błękitu i purpury. Zamiast oczek miały kawałki drewna – w każdym inny. Jedynymi ozdobami tajemniczych Pierścieni był małe złote listki, odpowiadające czterem gatunkom drzew – herbów czterech domów.

Ysa mruknęła “Dąb” i zgięła palec wskazujący prawej ręki, dotykając nim dłoni. Cis. Teraz z kolei prawy kciuk przemieścił się pod palec wskazujący, ukrywając swój Pierścień. Jesion. Palec wskazujący lewej ręki królowej zadrżał, ale się nie zgiął. Ysa w napięciu wpatrzyła się w palec, który jej nie posłuchał. Koniuszkiem języka zwilżyła wargi. Jarzębina – rozkazała po raz ostatni. Lewy kciuk królowej drgnął gwałtownie, niezależnie od jej woli, lecz również się nie zgiął.

Ta sprawa będzie wymagała dalszych przemyśleń i badań. A więc prawdą jest to, czego się dowiedziała, czytając potajemnie stare kroniki. Tajemnicze Pierścienie wybrały właśnie ją, by je nosiła. Nagle zdała sobie sprawę, że czuje się lepiej, jakby mniej obciążona troskami niż w ostatnich tygodniach. Jej wszystkie zmysły jakby się wyostrzyły. Wydawało się jej, że mogłaby, gdyby zechciała, sięgnąć myślą do każdego zakątka pałacu – może i miasta, tak, nawet całego kraju – i dowiedzieć się, co każdy jego mieszkaniec myśli i czuje.

Poczuła wyraźny przypływ energii. Teraz, pomyślała. Teraz mogę wezwać magicznego sługę! Królowi na razie nic nie groziło, a ją ogarnęła gorączkowa niecierpliwość, by wypróbować symptomy rosnącej mocy i dowiedzieć się, czy Pierścienie pomogą jej w tym przedsięwzięciu.

Pospieszyła w stronę komnaty na wieży, swojego schronienia, gdzie przechowywała wszystkie magiczne przybory. Po drodze minęła drzwi apartamentów Floriana. Przekonała się przy tym, że wyostrenie zmysłów to nie produkt jej wybujałej wyobraźni. Nie musiała uchylać drzwi i zaglądać do wnętrza; wystarczył jej słuch. Dwa złączone ciała przewracały się na łożu i dyszały ciężko jak zwierzęta. Florian, następca tronu, zajmował się tym, co najbardziej lubił. Nierządnicą, którą tej nocy trzymał w objęciach, to jedna z pałacowych służek. Ysę rozbawiła myśl, że takie kobiety będą się znajdować dopóty, dopóki będzie żył męski potomek rodu Borotha, ale w porę powstrzymała śmiech.

No cóż, przynajmniej nie była to ta dziewczyna, której mogła się spodziewać – córka Jaddena, drobnego nadgranicznego barona, luźno tylko powiązanego z każdym z Czterech Rodów. Ojciec najwidoczniej przywiózł ją do stolicy z zamiarem podsunięcia jej księciu, uważając, że wyciągnie z tego jakieś korzyści. Jakie to szczęście, pomyślała królowa, że Florian ma prawie takie same upodobania jak jego ojciec. I że ma dość zdrowego rozsądku, żeby nie wiązać się z kobietą niższego pochodzenia, z którą by nie chciał lub nie mógł się ożenić.

Weszła po schodach do swojej komnaty i zamknęła za sobą drzwi. Cztery wielkie

okna wychodzące na wschód, zachód, północ i południe zasłaniały przejrzyste firanki, mieniące się delikatnymi barwami tęczy, gdy poruszył je zbłąkany podmuch wiatru.

Na środku okrągłej komnaty stało masywne krzesło, wyrzeźbione z cennego drewna. Krzesło miało barwę krwi i było z tak twardego materiału, że jego obróbka wymagała specjalnych narzędzi i wielkiej siły. Obok, na stoliku z tego samego drewna, leżała magiczna księga, nadal otwarta na stronie z zaklęciem przywołania niewidzialnego sługi, tak jak Ysa ją zostawiła. Z boku stał mniejszy stolik i krzesło; usiadła tam, by zdjąć czepek i zmyć z twarzy kosmetyki. Włosy królowej, mniej zniszczone przez czary, które tak postarzyły jej twarz, miały czerwonawy odcień, podobnie jak wielkie krzesło. Kiedy wyjęła spinki, spłynęły wspaniałą, kasztanową kaskadą na ramiona.

Włożyła skromną suknię z czerwonego aksamitu, z kapturem, gdyż na dworze i w komnacie panował chłód. Nasunęła kaptur na głowę, podeszła do wielkiego krzesła, wzięła księgę i rozpoczęła rytuał. Łatwo jak nigdy dotąd wypowiedziała trudne słowa zaklęcia, które odbiły się echem od kamiennych ścian i utworzyły zawieszoną w powietrzu sieć energii. Na oczach królowej sieć zmaterializowała się w istotę, która, zaskoczona, najwyraźniej zapomniała, że ma skrzydła. Chroniąc stworzenie przed upadkiem, Ysa położyła je sobie na kolanach. Rozkoszując się tą chwilą – choć wiedziała, że niebawem ujrzy w zwierciadle to, co ostatni magiczny obrzęd zrobił z jej twarzą – głaskała przybysza tak długo, aż przestał drżeć. Maleńkimi łapkami uczeplił się sukni królowej, ale nie chciał na nią spojrzeć. Chwyliła za kark małe stworzonko. Szamotało się w jej rękach, kopiąc i trzepocząc skórzastymi skrzydełkami. Podniosła więc więźnia na wysokość oczu, narzucając mu swoją wolę, podporządkowując go sobie.

Stworzonko otworzyło pyszczek, ukazując ostre zęby. Miało purpurowy język z zakrzywionym do góry czubkiem. Mały więzień zaświergotał, a potem wydał przeciągły, piskliwy okrzyk protestu. Królowa trzymała go tak długo, aż nabrała pewności, że należy tylko do niej.

– Leć i szukaj – rozkazała i podrzuciła stworka do góry. Zatrzepotał skrzydłami i skierował się w stronę okna naprzeciwko swojej pani. W locie kontury jego ciała jakby się zamgliły, a potem nagle zniknął.

Ysa zmarszczyła brwi, przyglądając się uważnie miejscu, gdzie po raz ostatni widziała swego posłańca. Potem spokojnie splotła na kolanach dłonie, czekając. Przez ten czas pozwoliła sobie na luksus odświeżenia wspomnień.

Minęło ponad szesnaście lat, odkąd użyła z powodzeniem swoich mocy i osiągnęła całkowite zwycięstwo. Tamta żalosna kobieta dostatecznie długo ukrywała swój stan dzięki modzie – obcisłemu stanikowi kończącemu się tuż pod piersiami i obszernej, fałdzistej spódnicy. Byli tacy, którzy nie wiedzieli, że Alditha jest w ciąży

do chwili, aż prawie zaczęła rodzić. Ale w końcu ta wiedźma została zdemaskowana i umarła razem ze swoim przeklętym bachorem. Na Bagnach Bale nie ma ucieczki przed śmiercią. Nikt też nie zażądał okupu za jej śmierć, bo Dom Jesionu nie chciał rozgłaszać swojej hańby. Królowa wybuchnęła głośnym śmiechem, podobnym do gdakania kury vorse. W wielkim łożu w królewskiej sypialni leżał... właśnie, kto? Człowiek? Innym mogło się tak wydawać, ale ona wiedziała, że to tylko pusta skorupa, którą uważa się za żywą, bo jeszcze nie przestała oddychać. Teraz, kiedy stało się to, czego nie mogłaby sobie wyobrazić, łatwiej będzie utrzymać króla przy życiu.

Znów utkwiała wzrok w Pierścieniach – jej Pierścieniach. Nosiła je od bardzo niedawna, wciąż wydawały się obce, ciążyły jej na rękach. Wiedziała jednak, że to uczucie szybko minie.

Przecież i tak rządziła Rendelem – od lat, na długo zanim choroba przykuła jej męża do łoża. Ciężko pracowała, poświęcając młodość i urodę dla podtrzymania iluzji, że król jest zdrowy. I tak musi pozostać, przynajmniej na jakiś czas. Mając Pierścienie na rękach, będzie wiedziała, czy ktoś wtrąca się w życie jej męża. Z ich pomocą bez trudu zdołała przywołać latającego stworka, po wcześniejszych nieudanych próbach. Teraz, kiedy dysponowała Pierścieniami, czuła, jak rośnie jej moc.

Borothowi i Florianowi dobrze się wiodło pod jej rządami, nawet zanim te magiczne klejnoty same przeniosły się na jej palce. Teraz jeszcze bardziej będzie nad nimi dominować. Zadała sobie pytanie, dlaczego Pierścienie tak długo czekały z uznaniem tego faktu. Przestała myśleć o mężu i synu i zaczęła wyliczać w myśli tych, którzy mogliby zagrozić jej w przyszłości.

Jesionowo opustoszało. Połowa posiadłości tego rodu zniknęła, zalana przez Bagna Bale, nazwa domu nic teraz nie znaczyła. Ze spokrewnionych rodów pozostali Yacasterowie, Mimonowie, Lerkandowie i może jeszcze jacyś inni, nie była tego pewna. Miała jednak na nich własne sposoby; śledzili ich wynajęci przez nią szpiedzy. Kłopoty na Północy – tak, dostała takie meldunki; potwierdził je ten cudzoziemski hrabia Bjauden, który niedawno przybył i szybko opuścił Rendel i którego nikt więcej nie widział. Lecz wojna z najeźdźcami, dobrze zorganizowana, zjednoczy nawet zwaśnione rody pod tym samym sztandarem. Uznała, że Północ jest bezpieczna.

Wysłany tego wieczoru skrzydlaty zwiadowca poinformuje ją, co się dzieje za północną granicą. A jednak nie opuszczał jej niejasny niepokój; wiedziała, co trzeba zrobić w razie wyższej konieczności, lecz takie działania wysałyby z niej energię, a wolała zachować ostrożność. Gdyby dotąd zawsze nie miała się na baczności, nie mogłaby tej nocy siedzieć tak spokojnie, obserwując i układając plany.

Królowej przyszło na myśl, że jej wysłannik nie wróci prędko. Wstała, zaskakująco pełna sił, wcale nie zmęczona, i podeszła do stołu pod ścianą. Z odrobiną lęku wzięła zwierciadło, żeby obejrzeć szkody wyrządzone tym razem przez czary. Ku swemu zdziwieniu zauważyła, że jej dotychczas blade i wychudzone oblicze jakby odmłodziło. Usta były pełniejsze, bardziej pulchne, siwe włoski w brwiach zniknęły, a głębokie zmarszczki na czole i wokół ust znacznie się wygładziły.

– Wspaniale – powiedziała. – Och, tak!

Teraz zrozumiała już wszystko. Przez cały ten czas to Pierścienie – a nie jej wola, nie jej wysiłki – podtrzymywały siły Borotha, sprawiały, że jego organizm funkcjonował. Kiedy mimo to zawiódł, zdecydowały się przejść do niej. No cóż, nawet jeśli Boroth stał się pustą skorupą, ona dysponuje środkami, które uchronią go przed śmiercią tak długo, jak to będzie konieczne. I nie ucierpi z tego powodu.

Za pomocą kosmetyków podkreśliła odzyskaną urodę, usuwając zmarszczki i przywracając skórze świeżość, aż stała się jeszcze bardziej olśniewająca niż w dniu, kiedy poślubiła władcę Rendelu. Zachwycona tym, co pokazało jej zwierciadło, zapatrzyła się w nie, nucąc cicho.

W rytm tej pieśni, niemal nieświadomie, zaczęła gładzić Pierścienie.

Vold splotął, tak jak wcześniej miasta Shater, Dosa i Juptue. Na przepelnionych pokładach statków zawodziły dzieci i słychać było rozdzierające łkanie kobiet, które musiały patrzeć na zagładę swojego świata zaatakowanego przez armię z dalekiej Północy. Chociaż Morscy Wędrowcy nadal nie tracili odwagi, bo żeglowanie było ich sposobem życia, nawet najgłupszy z uciekinierów nie potrzebowali wyraźniejszych znaków, żeby zrozumieć, iż muszą uciekać najszybciej jak tylko zdołają.

Morski Wędrowiec Snolli na pewno nie był głupcem. Krew sączyła mu się z osłoniętego kolczugą ramienia, a twarz zastygła w groźną maskę, gdy wbił miecz w pokład przed sobą, patrząc wzdłuż rufy na szalejącą na brzegu morza pożogę.

Bez względu na to, do jakich dokonań byli zdolni Morscy Wędrowcy, najlepiej umieli budować statki. Dzięki temu znali dalekie morskie wybrzeża i obce kraje równie dobrze jak swoje własne domy. Tak było kiedyś – teraz jednak ten świat zmienił się na gorsze. Na śródkręciu solidnego okrętu Snollego panował niemal chaos. Pomimo wyzywającej postawy kapitana, szkarłatnożółty blask płomieni rozlewał się na niebie coraz szerzej.

Ci, którzy mieli wyprowadzić “Śmigłą Mewę” na morze, pracowali bez wytchnienia. Snollego otaczała jego drużyna – ci wojownicy, którzy nie odnieśli poważnych obrażeń i mogli przywlec się na to pożegnanie dotychczasowego życia. Syn kapitana, Obern, wraz z Harvasem, Czytającym-w-falach, dołączył do tej grupy. Obaj nieśli duże skórzane sakwy. Statek, na którym przedtem służył Harvas, splotął,

ale Czytający-w-falach nadal starał okazać się użyteczny, aż znajdzie inny korab i znów będzie mógł wykorzystywać wrodzone zdolności. W pobliżu stały też trzy kobiety, ocalałe spośród tych, które walczyły u boku wojowników, strzelając z łuków do wroga w dniach poprzedzających klęskę. Harvas wyjął z sakwy, którą mocno przyciskał do boku, Rogi Pożegnania i podał wszystkim mężczyznom i kobietom. Obern nalał do każdego rogu odrobinę wina.

Zrobiwszy co do niego należało, zajął swoje miejsce za Snollim – jak zawsze w bitwie miał strzec pleców ojca. Zgiełk na pokładzie nie ucichł, a przecież wszyscy, którzy otaczali wodza, usłyszeli jego słowa – słowa tak stare jak ich lud.

– Stójcie, trzymając stal w pogotowiu. – Głos Snollego nie zdrzął, wódz nie zawahał się, powtarzając starożytny nakaz. – Zrobiliśmy wszystko, co mogliśmy. Chwała tym, którzy polegli. – Podniósł róg w toaście. – Cześć tym, którzy zginą następni! – Jednym haustem opróżnił róg i cisnął puste naczynie za burtę. Drużynnicy powtórzyli jego gest. Wrzucając do morza Rogi Pożegnania, dali znak Wiatrowi i Fali, że przewidzieli swój los, ale że tak łatwo się nie poddadzą.

Obern musiał wziąć się w garść, żeby nie zakłócić tej podniosłej chwili, wypływając trunek. Wino miało kwaśny smak, bo nie było przeznaczone do radosnych ceremonii. Miało symbolizować gorycz pożegnania, i to posępne przesłanie rozumiał każdy z chwilą, gdy skosztował tego napitku. Obern przełknął wino z determinacją, choć w duchu szalał z gniewu, odpowiadając ten złowieszczy obrządek.

O tak, walczyli, i to jak walczyli! Prawie trzy lata bitew, z góry przegranych utarczek, upartych bojów, wciąż nowych klęsk poprzedziło tę noc. Nie oni pierwsi spośród Morskich Wędrowców dokonali tego wyboru; pracowali gorączkowo nad załadowaniem sześciu statków, dla bezpieczeństwa wyprowadzonych już z portu, sprowadzili ostatnich pobratymców, którzy opuścili nadmorskie domy. Byli tylną strażą i właściwie nie mieli nadziei, że Wiatr i Fala przyjdą im teraz z pomocą.

Skąd przybyli najeźdźcy, dowodzeni przez ponurych jeźdźców dosiadających bestii rodem z nocnego koszmaru, uzbrojonych w pręty plujące mgłą, która wypalała ofiarom płuca? Żaden ze szpiegów Snollego nie zdołał się dowiedzieć, co wywabiło te potwory z północnych, pokrytych lodem obszarów i nakłoniło, by wdarły się do pięknego kraju, w którym Morscy Wędrowcy mieszkali od niepamiętnych czasów. Tak, wrogów można było zabić, ale każdy z tych, których wzięto do niewoli, zdawał się umierać po prostu wysiłkiem woli, zanim udało się wydobyć z niego jakieś informacje. Za to najeźdźcy nie brali jeńców; mężczyźni, kobiety i dzieci dusili się w obłoku trującej mgły i szybko konali.

A teraz wrogowie zdobyli ostatni z zamków obronnych, a raczej jego otoczone płomieniami ruiny. Tylko otwarte morze pozostało tym, którzy uciekli na niewygodne, przeładowane statki.

Grupa skupiona wokół Snollego nadal stała na pokładzie rufowym, patrząc na ogień odbijający się w chmurach.

– Latający stwór! – Stojący na oku żeglarz wskazał ręką na punkt na niebie, który zniżył lot i kierował się w stronę ich statku. Obern popatrzył bystrym wzrokiem zwiadowcy.

Zobaczył dwa stwory; jeden wyglądał jak mała kropka na tle nocnego nieba, ale za nim leciał znacznie większy. Obernowi wydało się, że mniejszy kształt jakby zniknął z pola widzenia. Młodzieniec przetarł oczy, pewny, iż większe stworzenie po prostu połknęło mniejsze. Wyglądało na to, że ich śledzi. Na pewno nie był to zwykły morski ptak. Obern nigdy nie widział niczego podobnego nawet w obcych krajach. Ze wszystkiego, co zdarzyło się tej nocy, to zjawisko było najdziwniejsze i najbardziej odmienne od wszystkiego, co dotąd znali. Ogarnął go strach i złe przeczucia.

Najwidoczniej nie tylko jego. Ciężka łuku zabręczała tuż za nim. Strzała trafiła, ale nie strąciła latającego szpiega. Tajemnicza zjawa nagle wzleciała jeszcze wyżej, jak lanjelen przeskakujący strumień. Potem zawróciła gwałtownie i zniknęła w mroku.

Oberna przeniknął zimny dreszcz, nie tylko od morskiego wiatru. Nie wątpił, że był to czarodziejski zwiadowca, ale nie wiedział, kto go wysłał i dlaczego.

Jesionna zbliżyła twarz do posągu olbrzymiego luppersa. Zapomniała o strachu, gdyż tak bardzo zainteresowała ją wyryta na kamiennym torsie inskrypcja. Z coraz większym trudem widziała dziwne znaki. Nagle zdała sobie sprawę, że upłynęło już dużo czasu i że zbliża się noc. O zmroku pojawią się niebezpieczeństwa, przed którymi wszyscy Ludzie Bagien szukali schronienia. Wyprostowała się, rozejrzała wokoło i wyteżyła słuch. To prawda, postąpiła nierozważnie, ale na szczęście nie słyszała już ryków ani dudnienia ciężkich kroków potwora. Uznała, że mogą istnieć trzy powody takiego rozwoju wypadków: luppers, który ją ścigał, zmęczył się i wrócił do swojej podwodnej siedziby; zabili go trzej myśliwi albo on pożarł ich wszystkich i teraz śpi po posiłku. Tę ostatnią ewentualność uznała za najmniej prawdopodobną.

Wiedziała, któredy prowadzi właściwy szlak, ale zdawała sobie też sprawę, że Tusser mógł ochłonąć ze strachu i, kipiąc gniewem, zastawił na nią pułapki wzdłuż ścieżki twardego gruntu. Za całą broń miała tylko zakrzywiony kamienny nóż, którym ścinała trzciniową; jakimś cudem nie zgubiła go podczas ucieczki.

Wiedziała, że nie jest to bezpieczna część Bagien. Zdawała sobie sprawę, że pozostając w tym miejscu, w każdej chwili naraża się na niebezpieczeństwo, jeśli nie ze strony kryjących się w bajorkach potworów, to ludzi, którzy niedawno zamierzali ją skrzywdzić.

Jesionna wstała ostrożnie. Dawno temu jacyś ludzie – lub inne istoty – urządzili tu sobie schronienie. Skoro kamienie przetrwały tak długo pod powierzchnią wody, do tego miejsca też może prowadzić starożytna droga.

Znowu popatrzyła w stronę kamiennego potwora. Tym razem jednak skupiła uwagę nie na samym posągu, lecz na okalających go krzakach, dostatecznie gęstych i groźnych, by podrzeć na strzępy jej strój ze skór luppersów. Wśród skarłatych zarośli sterczały olbrzymie kolce, długie jak jej palec, o groźnym, żółtawym połysku. Znała je i wiedziała, że są śmiertelnie niebezpieczne dla ludzi.

Kiedy Jesionna znalazła, się w wydłużającym się cieniu kamiennej figury, zauważyła, że otaczające ją zarośla są w jednym miejscu rzadsze. Mogła to być ścieżka prowadząca prosto w pułapkę, ale zrozumiała, że jeśli nie chce ponownie natknąć się na Tussera, musi nią pójść, bo prawdopodobnie jest to dla niej jedyna szansa na bezpieczny powrót do domu. Tusser na pewno trzymałby się z daleka od takiego miejsca jak to. Instynktownie znowu zakreśliła nad głową magicznym amuletem, który wcześniej tak dobrze się jej przysłużył. Mimo że tym razem nie

wezwała mocy, otrzymała odpowiedź. Jasny zielony blask oświetlił przed nią drogę – a przynajmniej jej początek. Jesionna wyprostowała się i z determinacją ruszyła w tę stronę.

Chociaż oddalała się od posągu lupporsa, czuła, że stąpa po twardym podłożu, dalszej części tego samego bruku, choć całkowicie zarośniętej. Blask na krzewach prowadził ją do przodu. Po chwili zauważyła, że znajduje się na wąskiej drodze – brukowanej, choć kamienie były tu mniejsze – niemal w całości ukrytej pod bagiennym mchem i kępami trawy. Problem w tym, że prowadziła ona w przeciwnym kierunku niż Jesionna chciała pójść. Nie widziała jednak żadnego odgałęzienia drogi, a magiczne światło prowadziło ją w coraz gęstszym mroku. Nie mogła przecież przedzierać się przez rosnące z obu stron drogi krzaki i iść na oślep przez grzęzawisko.

Jesionna dwukrotnie obejrzała się za siebie i przeszył ją zimny dreszcz strachu; wydało się jej, że ciemność pochłania odcinek drogi, który już przeszła.

Po raz drugi wyszła na otwartą przestrzeń. Nie zauważyła tu żadnych śladów bruku, a grunt był podmokły. Uświadomiła sobie, że musi znaleźć laskę lub kij, żeby sobie pomagać, gdy będzie szukała przejścia. Odwróciła się w stronę ostatniego krzaka, który minęła w drodze na tę polanę. Chociaż panował tam gęsty mrok, dostrzegła swoim bystrym wzrokiem, że na krzewie nie ma cierni, tylko zwiędłe liście, lgnące do gałązek. Po listku przebiegł jakiś owad i po raz pierwszy Jesionnę przeniknęło uczucie triumfu. A więc zna Bagna równie dobrze jak każdy wojownik, skoro tu znalazła to, czego szukała – coś pożytecznego dla zwierząt i ludzi.

Warto jednak zachować ostrożność. Uważnie, by nie dotknąć zwiędłych liści lub szkodliwych porostów, z całej siły uderzyła z góry kamiennym nożem w dużą, grubą gałąź. Po drugim celnym ciosie, wymierzonym w miejsce, któredyś wędrowały owady, połowa gałęzi odłamała się z trzaskiem. Dziewczyna uderzyła po raz trzeci, a potem szybko odskoczyła, zanim zdołały ją zranić kłujące liście. Część gałęzi odpadła, odstaniając pod korą korytarz, w którym kłębiły się zdeorientowane owady. Jesionna wytrząsnęła je, zwracając im wolność; szybko przeniosły się na inne gałęzie. Sięgnęła po omacku do sakiewki u pasa i wyjęła mały pakiecik. Włożyła na szyję sznurek z amuletem; uwolniwszy w ten sposób ręce, rozwiązała przewiązany trawą woreczek i położyła go na dłoni. W woreczku była odrobina czerwonego pyłu. Ostrożnie na niego dmuchnęła, w taki sposób, że obłoczek pyłu przylgnął do wybranej przez nią gałęzi.

Te maleńkie owady, które nadal tkwiły pod korą, zaczęły wypadać jak ciemny deszcz. Jesionna, trzymając gałąź z dala od siebie, potrząsnęła nią energicznie. Upewniła się, że gałąź jest już pusta i że może jej używać jako laski podróżnej. Czując się pewniej z kijem w ręce, chociaż był kruchy i wyjedzony w środku przez

owady, odwróciła się i przyjrzała polanie, gdzie w powietrzu już zaczynały się unosić roziskrzona stworzonka polujące w nocy. Musi się skupić na znalezieniu najlepszego przejścia. Dźwięczały jej w uszach wszystkie słyszane od dziecka ostrzeżenia. Bagna Bale ożywały w nocy i w miarę jak robiło się coraz ciemniej, pojawiali się coraz groźniejsi ich mieszkańcy.

Stuknęła kijem w ziemię przed sobą i stwierdziła z ulgą, że dopisało jej szczęście. Najwyżej na palec pod powierzchnią błota natrafiła na twarde gruntu. Podążyła tym ukrytym szlakiem. Ścieżka dwukrotnie skręcała i dziewczyna bała się, że się skończy. Ale sondując teren po obu stronach, odnalazła dalszy ciąg dróżki, chociaż jej kierunek zmieniał się co pewien czas.

Duża otwarta przestrzeń nie spodobała się wychowance Zazar. Nie było jeszcze tak ciemno, żeby ewentualny obserwator mógł się ukryć w mroku. W dodatku odkryła, że kamień mocy na jej szyi świeci teraz bladym, zielonkawym blaskiem. Mimo tego nie wsadziła go za pazuchę ani nie włożyła znów do sakiewki u pasa. Chociaż to światło mogło zdradzić jej obecność każdemu, w jakiś sposób podnosiło ją na duchu.

Ściana wyższych zarośli, wzdłuż której teraz się kierowała, zakręcała w stronę brzegu jednego z wolno płynących bagiennych strumieni. Gdy tam dotarła dosłownie potknęła się o dowód świadczący, że kiedyś była to uczęszczana droga. Potarła stłuczoną nogę i przyjrzała się kamiennemu blokowi ustawionemu na dwóch innych, co tworzyło razem rodzaj mostu. Zauważyła również dalej następne inne kamienie, co obiecywało bezpieczne przejście.

Weszła na pierwszy z tych kamieni i stała chwilę, odpoczywając. Podczas ostatniego etapu wędrówki musiała skupiać całą uwagę na drodze, co bardzo ją zmęczyło. Przypomniała sobie Prowadzącego-do-domu, podarowanego jej przez Zazar, więc umieściła kij podróżny w zgięciu ramienia, by móc ponownie otworzyć sakiewkę u pasa. Wyjęła z niej kwadratowy kawałek drewna, używany tak często i od tak dawna, że był gładki niczym skóra loppersa. Nie mogła wymyślić lepszej okazji do wypróbowania, czy dar Mądrej Niewiasty działa tak, jak powinien.

– Zazar – powiedziała, podnosząc drewnienko do ust, tak jednak, by nie dotknęło jej skóry. Poczowała płynący od niego mocny zapach. – Zazar – powtórzyła, zastanawiając się, czy po prostu nie traci czasu. Może znajdowała się za daleko, by magiczny przewodnik zadziałał.

Ale nagle deseczka zaczęła słabo świecić, a na jej powierzchni pojawiła się kręta linia, wyblakła jak gęsta trawa rosnąca wokół kamieni, na których stała dziewczyna. Może to było to, o co chodziło, a może nie. Jesionna nigdy dotąd nie zbadała mocy Prowadzącego-do-domu i wiedziała, że znajduje się bardzo daleko poza granicami znanego sobie obszaru Bagien. W gęstniejącym mroku rozległ się chrapliwy krzyk –

może wydał go jakiś potwór z głębin. Na szczęście nie dobiegał z kierunku, w którym miała pójść.

Ruszyła wielkimi krokami do przodu tak szybko, na ile starczyło jej odwagi. Po ukształtowaniu terenu zorientowała się, że dotarła na jeszcze jedną wysepkę, którymi usiany był ten rejon – może dostatecznie dużą, by pomieściła osadę Ludu Bagien.

Poczuła zresztą zapach dymu i piekącego się mięsa rogaczaka, ale nie skręciła w tamtą stronę. Nikt z urodzonych na Bagnach Bale lub tam wychowanych ludzi nie zbliżał się do siedziby innego człowieka bez rozpoznawczego sygnału umożliwiającego identyfikację. Dziewczyna nie знаła tej osady, a nauczono ją nie ufać nieznanym. Po chwili zrozumiała pożytek płynący z tej nauki. Usłyszała bicie w bębny, co stanowiło powszechnie używany sposób porozumiewania się na odległość; jednak palce tego, kto uderzał w mówiący bęben w odpowiednim rytmie, wydobywały dźwięki, których Jesionna nie rozpoznała.

Zorientowała się wreszcie, dokąd dotarła – znajdowała się w pobliżu zagrody jednego z rywali Joala, oddalonej o mniej niż pięć kilometrów od jej własnej wioski. Nie mieszkali tam ani wrogowie, ani przyjaciele – mieszkańcy obu osad współpracowali ze sobą w razie potrzeby – ale równie dobrze mógłby to być obcy kraj. Zazar bezkarnie wędrowała po całym obszarze Bagien Bale, ale bez towarzystwa Mądrej Niewiasty Jesionna nie spodziewała się gościnnego przyjęcia.

Zeszła ze zwyczajnej już teraz ścieżki i powędrowała na wschód z nieco większą pewnością siebie niż dotychczas. Używając podróznego kija przy każdym kroku, miała pewność, że nie zejdzie na niebezpieczny teren, ale wyczuła, że uderzenia bębna tworzą jakby niewidzialny sznur, starający się ściągnąć ją na manowce. Amulet na jej piersi znów zaczął się rozgrzewać i świecił coraz mocniej, ale dziewczyna nie potrzebowała tego ostrzeżenia, aby trzymać się z dala od obcych. Raz czy drugi przykucnęła, drżąc na całym ciele w rytm uderzeń bębna, bo zobaczyła cienie, które w księżycowej poświacie okazały się uzbrojonymi wojownikami z Ludu Bagien. Musieli wysłać najlepszych myśliwych, ale chyba jeszcze żaden nie zwrócił uwagi na kryjówkę Jesionnej.

Dziewczyna szła dalej, wykorzystując całą swoją wiedzę o Bagnach, aż spostrzegła punkt orientacyjny. Dopiero wtedy odważyła się podbiec szybko do słupów drzwiowych chaty Zazar. Zatrzymała się w pół kroku, kiedy skulona przy wejściu Kazi wstała. Wyglądało na to, że celowo czekała na straży.

– Biegamy sobie, tak? – Garbata kobieta zagroziła drogę Jesionnie. Dziewczyna była pewna, że Zazar jeszcze nie wróciła, inaczej bowiem Kazi nie ośmieliłaby się tak zachować. Długa nieobecność Mądrej Niewiasty dodała staruszce odwagi.

Jesionna ruszyła prosto przed siebie, aż Kazi musiała zejść jej z drogi, powłócząc wykrzywioną stopą. Wewnątrz chaty panowało znajome ciepło, a powietrze

przesycała mieszanka zapachów ziół zebranych przez Zazar.

– Ona dowie się, co zrobiłaś... – mruknęła stara.

Jesionna odwróciła się plecami do Kazi, aby włożyć kamień mocy i magicznego przewodnika do sakiewki u pasa, a potem postanowiła stawić czoło nieprzyjaciółce. Rozżarzone węgle w jamie na ognisko nie dawały dużo światła, ale lampa olejowa rozlewała migotliwy blask z niskiego stolika obok stosu poduszek Zazar. W tym świetle coś zabłysło wśród fałd szala na piersi Kazi.

Zdając sobie sprawę, że Jesionna to zauważyła, starucha natychmiast przyłożyła rękę do piersi i iskierka zgasła. Ale dziewczyna już wiedziała, że Kazi chce coś ukryć. Chociaż nie przyjrzała się temu z bliska, odgadła, że jest to jakiś metalowy przedmiot. Zorientowała się też, że Kazi ukrywa go także przed Zazar. No cóż, prędzej czy później rozwiąże tę zagadkę. Kiedy dowie się, co starucha chce zachować tylko dla siebie, zyska nad nią pewną władzę. Jesionna zdawała sobie sprawę, że Kazi jej nienawidzi od początku. Stara plotkara miała wyjątkowo złośliwy język. Na pewno to ona przyczyniła się do utrzymania bariery dzielącej Jesionnę i Lud Bagien.

– Ona się dowie – powtórzyła złowieszczo Kazi. – Ona się dowie, co robisz.

Jesionna nie zwróciła uwagi na groźbę brzmiącą w słowach starej sługi.

– Co się dzieje? Czy klanowi strażnicy opuścili wioskę? – zapytała.

Kazi zmarszczyła brwi i odpowiedziała po chwili wahania.

– Cudzoziemcy, twoi krewni, przyszli po ciebie. Mieszkasz teraz na Bagnach. Kiedy oni są na Bagnach, to zabijają i palą. Karmią nami swoje psy.

Jesionna uśmiechnęła się szeroko.

– Wspaniała perspektywa – odrzekła. – A więc strażnicy chcieliby wydać mnie tym najeźdźcom? Myślę, że Zazar będzie miała coś do powiedzenia w tej sprawie.

Dziewczyna wzięła miskę z półki, sięgnęła po leżącą na stole chochlę i naląła sobie gęstej zupy z kluskami z kotła, który zawsze wisiał nad ogniskiem.

Ysa, królowa Rendelu, Pierwsza Kapłanka Santize siedziała w ciemnościach.

Zapadła już noc, a jej małeńki wysłannik nie wrócił. Żeby skrócić sobie czas oczekiwania, teraz, kiedy była zadowolona ze swojego wyglądu, postanowiła sprawdzić zdobytą przez siebie wiedzę o Czterech Wielkich Domach za pośrednictwem magicznych Pierścieni, które je przedstawiały, każdy inny. Podniosła prawy kciuk z Pierścieniem do ust i czubkiem języka dotknęła złotego listka.

– Dąb – powiedziała.

Niespodziewanie odniosła wrażenie, że jakaś niewidzialna cząstka jej samej przemknęła przez zamek, by dowiedzieć się, co myśli głowa Domu Dębu. Na dole, w labiryncie korytarzy, pokoi i wieżyczek, nawet w wykutych w skale lochach panował Spokój. Boroth nadal chrapał jak świnia, nieświadomy, że nie jest już panem

Pierścieni.

– Cis. – Dotknęła językiem Pierścienia na palcu wskazującym prawej ręki. To był herb jej własnego domu. Prawem dziedziczenia głową Rodu Cisu był Florian, którego od dnia narodzin uważała za nieudacznika. Na długo przed jego narodzinami Boroth zwrócił uwagę na kogoś innego. Ojciec, dbający o odpowiednie cechy charakteru swoich potomków, którzy zapewniali przetrwanie rodu, już w pierwszych chwilach życia Floriana skończyłby z synem, który sprawił mu tak wielki zawód. Teraz, kiedy Pierścienie stały się jej własnością, bardziej niż dotąd widziała we Florianie tylko narzędzie. Musi jednak przez cały czas pamiętać, że nigdy nie zyska pewności, czy to narzędzie nie zwróci się przeciwko niej w chwili, gdy trzeba będzie zadać szybki, mocny cios. Florian był teraz sam i spał, najedzony. Można było uważać, że on się nie liczy, miał jednak zwolenników. Gromada pochlebców przymilała się do następcy tronu, knuła intrygi i walczyła między sobą o jego względy. Ale wszyscy Wielcy Panowie królestwa nie czuli dla młodego księcia nic poza pogardą.

Zawahała się na chwilę, zanim dotknęła Pierścienia na lewym kciuku.

– Jesion. – Niewiele zobaczę, powiedziała sobie z wściekłością. I tak właśnie powinno być. Wątpliwe prawo tego rodu do tronu Rendelu rozwiało się jak zeszloroczne liście; sięgało tak daleko w przeszłość, że stało się już legendą. Zaraz, zaraz, coś tam jest...

Ponownie dotknęła czubkiem języka miniaturowej złotej igielki cisu. Zobaczyła zrujnowane miasto, daleko na południu. Czyżby wyczuła poruszenie w tych ruinach? Nie, nic tam nie było, na pewno nic. A jednak... dlaczego zwróciła głowę akurat w tym kierunku, w stronę wciąż gęstniejącego szarego zmierzchu za oknem wychodzącym na południe? Jesionna... Jesion. Po raz trzeci posłała wezwanie, ale nie otrzymała wyraźnej odpowiedzi. Nic, na pewno nic. Mimo to królowa nadal zafrasowana, szybko polizała ostatni Pierścień – Jarzębinę. Uważano ten dom za najśłabszy ze wszystkich; jego tradycyjnym sprzymierzeńcem był Jesion, a podobne przymierze łączyło Dąb i Cis.

Tak, otrzymała jakąś odpowiedź, ale daleką i słabą. Co teraz robią w Domu Jarzębiny? Erft, tytułarny przywódca, był za stary, aby dosiąść rumaka bojowego. Przez prawie cały ubiegły rok nie widziano go poza murami jego największego zamku. Znow go poszukała, tym razem celowo, i dotarła do niej ledwie zrozumiała odpowiedź. Tak, Erft bez wątplenia jest takim samym zerem jak jego król. A przecież... Ponowiła próbę, bo znalazła wskazówkę, iż jest coś więcej. Erft nie miał rodzzonego syna przed upadkiem Jesionowa... kiedy? Siedem, osiem lat temu? Usłyszała szept małej, ledwie podrośniętej dziewczynki. Tylko córkę...

Królowa skrzywiła się. Niezbyt lubiła osoby tej samej płci co ona. Przed laty

wydarzył się pewien przypadkowy incydent, który zniechęcił Ysę. Kiedy potężny czarownik lub czarownica spotka słabszego od siebie, może wyciągnąć z niego moc, a tamten incydent – polegający na dotknięciu Ysy – był ostrzeżeniem. Czyżby teraz wyczuła kogoś takiego? Odważnie przywołała wspomnienia – jakby biegnąc korytarzem, otwierała po kolei drzwi, żeby zobaczyć, co się za nimi czai.

Rozszerzyła zasięg magicznego postrzegania i znalazła to, czego szukała. Tak, Erft miał dziedziczkę – wnuczkę, która sprawiała wrażenie słabowitej. Lecz lata mijają szybko i skoro ta dziewczyna przetrwała pierwszy groźny okres życia i nadal żyje... no cóż, musi mieć w sobie jakąś siłę. Ma na imię... Ysa znowu poszukała w myślach, ignorując ból skroni.

Laherne! Królowa nagle zakończyła poszukiwania i otworzyła szeroko oczy, na moment zbita z pantafelów. Jak mogła zapomnieć! W żyłach tej Laherne płynęła krew nie tylko Domu Jarzębiny, lecz także Domu Jesionu, w rezultacie zawartego wiele pokoleń temu małżeństwa, które miało połączyć siły obu domów. Rezultatem tego związku była mała dziewczynka, delikatna jak żółta róża w herbie Domu Jarzębiny i nieskalana jak jego motto: “Tutaj znajdziesz prawdziwy pokój”.

Ysa usiadła na swoim krześle, opuszczając ręce na kolana. Tak, chociaż jeszcze młoda i nieświadoma tego, kim jest, ta kreatura, krzyżówka Jarzębiny z Jesionem osiągnęła wiek zamążpójścia. Usta królowej wykrzywił przebiegły uśmiešek. Jednak wszystko poszło po jej myśli. Ród Jesionu wyginał, Ród Jarzębiny prawie. Można jednak doprowadzić do koncentracji mocy, łącząc w jedno pozostałości Czterech Wielkich Rodów, z których narodzi się jeden dziedzic. Książę Florian, z Domów Dębu i Cisu, jeszcze nie miał żony. A jeśli chodzi o jego skłonności do uganiania się za każdą spódnicą, żona następcy tronu będzie musiała się nauczyć radzić sobie z tym, jak przedtem lepsze od niej. Choćby sama Ysa.

Królowa potarła czoło, by zmniejszyć ból. Na pewno nie może mieć nadziei na znalezienie żony dla syna za granicą. Szpiedzy pracujący dla pewnych osób, które kontrolowała, dali jej jasno do zrozumienia, że Rendel nie musi szukać nowej krwi dla wspomnienia wymierających wielkich rodów. Był to czas zawierania układów, szukania wrogów, a nie wysyłania poselstw do sąsiadów z propozycją korony dla córki któregoś z potężnych domów.

Jesion i Jarzębina. Położyła prawą rękę na lewej, zasłaniając Pierścienie Dębu i Cisu. To dla ciebie typowe, pomyślała. Krótką chwilę zadowolenia przerwał jej ruch w oknie naprzeciwko. Latający wysłannik królowej wpadł przez zwieńczony łukiem otwór; szybko wyciągnęła ręce, by go schwytać. Ku jej zaskoczeniu maleńkie stworzonko drżało jak w febrze. Pogłaskała malca łagodnie, nucąc, by go uspokoić. Przestał drzeć po kilku chwilach. Królowa podniosła swojego sługę na wysokość oczu; w jego główce jarzyła się wiedza, którą gotów był jej przekazać.

Na moment zakręciło się jej w głowie, kiedy nagle zaczęła widzieć oczami swojego wysłannika. Wisiała teraz wysoko w powietrzu, a w dole szalał pożar, zmieniający noc w dzień na skutym lodem wybrzeżu. Musiał to być jakiś kraj na północy, ojczyzna nieokrzesanych wędrowców. Płonął zamek tak potężny, że widok ten wstrząsnął królową. Buchające płomieniami mury nie wyglądały na barbarzyńską budowlę. Przez chwilę widziała zniszczenia i jeźdźców dosiadających dziwaczych, monstrualnych bestii; otaczali płonąca twierdzę.

Znowu doznała zawrotu głowy, gdy zawisła nad wodą i w blasku wschodzącego księżyca zobaczyła tnące fale okręty. Wiedziała że ta flota mogłaby siać popłoch wzdłuż wybrzeży Rendelu. Mieszkańcy Północy uciekali, przynajmniej ci, którzy zdołali uniknąć śmierci w swojej fortecy. Może zechcą przedrzeć się na południe? Musi natychmiast wzmocnić oddziały obrony wybrzeża.

Zauważyła przepływający za sobą cień. Odwróciła się i ujrzała budzący grozę pysk latającego stworzenia, które nie było ptakiem. Natychmiast zrozumiała, że ma ono zamiar schwytać ją i połknąć. Uświadomiła też sobie, że taka zdobycz jak ona byłaby dla prześladowcy najwyżej małą przekąską i że potwór w rzeczywistości szukał raczej uciekinierów na statkach...

Później obraz znikł, a królowa wróciła do siebie, znów oddzielona od swego sługi. Posadziła sobie stworzonko na ramieniu. Wyczuwała policzkiem szybkie bicie jego serca. Dobrze się jej przysłużyło. Zasługiwało na imię.

– Visp – powiedziała. – Będę cię nazywać Visp. – Latający stworek zamruczał, jakby mu się to spodobało. Gdyby tak mogła znaleźć takich ludzi, którzy służyliby jej choćby w połowie tak dobrze jak Visp.

6

Boroth znowu śnił; szamotał się w pościeli, walcząc z jakimś groźnym napastnikiem. Potem legł na łożu, wpatrzony w czarny baldachim. Serce waliło mu jak młotem; w ustach czuł niesmak, jakby się najadł błota z podwórza, a głowa bolała go jakby od głębokiej rany. Oczy go piekły, a z wieloletniego doświadczenia wiedział, że gdyby spojrział w zwierciadło, zobaczyłby, że są przekrwione.

Jak zawsze, przebudzenie było gorsze niż koszmarne sny. Pewna myśl nie dawała mu spokoju. Usiadł powoli, jego sflaczałe ciało nie mogło już sprawniej się poruszać. Zaschło mu w ustach, umierał z pragnienia. Jedną ręką sięgnął do stolika obok łoża i zaklął. Nocna lampka, która powinna zawsze się palić, zgasła. Księżyc jednak świecił tak jasno, że król dostrzegł puste łóżko jego osobistego sługi.

– Rugen! – wychrypiał, podnosząc głos.

Był sam w wielkim łożu na podwyższeniu. Nie zasunięto ani kotar z prawej strony, ani tych w nogach łoża, tak że król widział nocny mrok. Boroth zmrużył oczy. W ciemności drgały widoczne iskierki. Przeniósł na łokieć cały ciężar ciała i sięgnął po te iskierki, zsuwając się na brzeg łoża po zmiętoszonej pościeli.

– Staffhard! – Nawet jego przyboczny gwardzista zniknął... Czy wszyscy go opuścili? Czyżby jego sny się sprawdziły? Czy rzeczywiście został sam, by stawić czoło temu, co czyha w ciemnościach? Czuł mocny zapach wina. Ślina napłynęła mu do ust i przełknął ją konwulsyjnie.

Musi się napić. Kiedy dostanie pełny kielich wina, wszystko w jego świecie ponownie znajdzie się na swoim miejscu.

Te świetlne punkciki to na pewno oczy! Śledziły go. Za zasłoną wisiał podręczny miecz króla. Nie odrywając wzroku od świecących oczu, szukał nerwowo po omacku, aż znalazł broń i zacisnął dłoń na rękojeści miecza.

– Na Widmo Kambara, kim jesteś? – Obliznął wyschnięte wargi. O Mocy, do której się zwrócił, już dawno zapomniano w tych czasach. Miał nadzieję, że nadal go chroni.

Tylko że... płonące w mroku oczy przykuły jego wzrok. Zaczął się dusić, z coraz większym trudem wciągał powietrze do płuc. Widział te oczy, a za nimi...

Ciemność koloru jednej z ciemnoczerwonych kotar jego łoża. W tej ciemności dostrzegł szarawą poświatę. Zbliżała się powoli, przybierając kształt liścia. Zamroczone winem król zaczął trzeźwieć. To rzeczywiście był liść, wielkości dorosłego mężczyzny; stał prosto niczym gwardzista na posterunku.

Liść. Co to za liść? W jego pamięci zaczęło ożywać pewne wspomnienie, ale umysł miał przytępiony i coraz bardziej potrzebował wina. A potem rozpoznał ten liść. Jesion! Tak – to był liść Jesionu! Na oczach króla liść poruszył się, rozpląnął i zamienił w kobietę, której twarzy Boroth już nigdy nie spodziewał się zobaczyć.

– Alditho...

– Borocie... – szepnęła tak cicho, jakby westchnęła. Wyciągnęła obie ręce, a potem zniknęła królowi z oczu.

Boroth zdał sobie sprawę z dziwnego uczucia, z jakim ściska miecz. Broń wypadła mu z ręki; gorączkowo obmacał palce, szukając tego, czego tam nie było – metalowych obrączek, zagłębionych w jego obrzmiałym ciele. Obrączki z metalu i drewna już nie ścisnęły jego palców. Z niedowierzaniem dotknął głębokich bruzd, gdzie ostatnio nosił Pierścienie – na kciukach i na palcach wskazujących obu rąk. Zrodzony ze strachu gniew znalazł ujście w ryku wściekłości... i wtedy ktoś się odezwał.

– Wasza królewska mość! Panie królu! – W komnacie rozwidniło się, tajemnicze oczy znikły. Paliła się świeca, niezwykle jasna. Oszołomiony, wstrząśnięty Boroth zamrugał kilkakrotnie.

– Rugen?

– Tak, wasza królewska mość. Jestem tutaj. Czego sobie wasza miłość życzy?

Trudno się pozbyć dawnych przyzwyczajęń. Boroth był dostatecznie pobudzony, żeby znów odegrać rolę wyznaczoną mu przez los – rolę władcy i przywódcy.

– Przynies mi wina! – rozkazał ochryple. – Gdzie się podziewałeś, ty podstępny łotrze? Czyżbyś w nocy zabawiał się z rozpustną dziewczką, zapominając o swoich obowiązkach? Rano każę cię obedrzeć ze skóry...

Rugen zdążył już okrążyć łożo. Odstawił ciężki, podwójny świecznik i widać było, jak pospiesznie nalewa wino z wysokiego dzbana do kielicha. Boroth gwałtownie wyrwał mu ten kielich z ręki, aż kilka kropel upadło na łożo. Przechylił go do ust i pił jak człowiek konający z pragnienia. Opuścił kielich i westchnął głęboko, z zamkniętymi oczami czekając, aż jak zwykle poczuje się lepiej. Ale tym razem tak się nie stało.

Na pewno to był tylko sen. Przecież nawet dobrze go nie zapamiętał. Tak, to sen. A jednak w dawnych czasach niektóre sny zsyłano ludziom jako ostrzeżenie. Znowu podniósł kielich i popatrzył na swoją rękę. Więc jednak...

Pierścienie zniknęły! Ale jego dawna moc nie opuściła go. Alditha przyszła, żeby go ostrzec, żeby coś mu powiedzieć.

Cisnął kielich w mrok i rzucił się w poprzek łoża w stronę Rugena. Zaskoczony sługa cofnął się, ale król zdołał złapać go za koszulę i przyciągnąć bliżej. Rugen stracił równowagę i padł na kolana, czepiając się pościeli, by nie przewrócić się na

plecy.

Boroth zbliżył twarz do twarzy sługi.

– Gdzie są Pierścienie? – wrzasnął i potrząsnął Rugenem z dawną siłą. – Zginiesz, jeśli natychmiast mi nie powiesz! Gdzie są moje Pierścienie?!

– Wasza...wasza królewska mość, ja ich nie mam! – Rugen uczeplił się łoża, usiłując jak najłagodniej uwolnić się z uścisku swego pana.

– Więc kto je ma? – Boroth już nie był zamroczony winem. Przespał wiele dni, ale to wydarzenie otrzeźwiło go całkowicie, może już na zawsze. Dobrze wiedział, na czyich palcach znajdują się teraz magiczne Pierścienie.

– Jej królewska mość królowa, panie...

Rugen omal nie runął na podłogę, kiedy Boroth puścił go równie szybko, jak przedtem złapał. Ale król już nie zwracał na niego uwagi. Wyciągnął ręce do światła i przyglądał się im. Głębokie ślady w ciele zdawały się z niego kpić. Pierścienie wpiły mu się w skórę, więc chyba ktoś ściągnął je siłą.

A więc to tak! Głowa pulsowała mu bólem i walczył z mdłościami, ale miał wrażenie, że otworzył niewidzialne drzwi i wpuścił przez nie tyle światła, aż wreszcie zobaczył po raz pierwszy od wielu lat, w jakim stanie się znajduje.

Po kolei dotknął kciuków i palców wskazujących, wypowiadając szeptem, sam do siebie:

– Dąb. – Potarł kciuk, jak gdyby nadal tkwiła na nim metalowa obrączka. – Cis. – Teraz się skrzywił. – Jesion. – Co się działo z Jesionem? Nie pamiętał, ale przypomniał sobie, gdy wino wywietrzeje mu z głowy. O, tak, na pewno sobie przypomniał! – Jarzębina! – Już nigdy, przysięgł sobie. Już nigdy nie pozwoli sobie na wypicie takiej ilości wina, nie pozwoli się tak poniżać. Pierścienie należały do niego, spełniały jego życzenia od czasu koronacji. Nie da się z nich ograbić. Odzyska je, nawet jeśli nie zwróci mu to tej, której wspomnienie przybyło do niego, by powiadomić go o kradzieży Pierścieni.

Tak się stanie.

Do tej pory Wiatr i Fala ułatwiały Morskim Wędrowcom pospieszną ucieczkę. Przeciężone statki kołysały się na ciemnym nocnym morzu i nikt na ich pokładach nie był wolny ód strachu, ale zrodzone na północy demony nie mogły posłać swoich wierzchowców na morze za uciekającymi okrętami. Tego zbiegowie mogli być pewni. Ich wrogowie nie zdołaliby też wysłać za nimi wielkich bloków lodu; nie o tej porze roku. Był to czas sztormów końca zimy. Ale pomimo gorączkowych wysiłków, które podejmowali do ostatniej chwili, uciekinierzy nie zdołali zgromadzić dostatecznej ilości prowiantu i innych zapasów, a nie zamierzali na razie lądować.

Ci z dowódców statków, którzy byli w dobrej formie i mogli utrzymać się na

nogach, zebrali się na naradę na jednym pokładzie. Trzy osłonięte przed wiatrem latarnie oświetlały mały krąg, w którym wodzowie uklękli lub przykucnęli, skupiając uwagę na tym, co kapitan tego statku pokazywał na poplamionej solą mapie.

Kiedy zbliżali się do nieznanego lądu, musieli być przygotowani do walki, odparcia napaści, a potem do jak najszybszego powrotu na swoje statki. W większości tych wypraw brały udział tylko jedna lub dwie jednostki. Teraz jednak nie mieli własnych portów, w których mogliby bezpiecznie się schronić i wyremontować uszkodzone statki.

Kapitan wskazał punkt na mapie.

– Tu jest Volen. Nie wchodzi w rachubę, bo podróż trwałaby za długo i przymieralibyśmy głodem jeszcze przed połową drogi. Sezon sztormów zacznie się za kilka dni.

Jeden z uczestników narady poruszył się i Obern podniósł wzrok. To był Grabler, którego rad jego ojciec często słuchał.

– Płynmy na południe i podkradnijmy się do brzegu. – Słowa Grablera zabrzmiały ostro, niemal jak rozkaz.

– Na południu są same moczary, z wyjątkiem Idimu, a to kupa gruzu. Nie dałoby się nawet wysadzić bezpiecznie na ląd wszystkich naszych ludzi. A co do Bagnach Bale – cóż, wszyscy o nich wiedzą.

Morscy Wędrowcy nie byli władcami morza; nikt tak zresztą nie twierdził.

Lecz od wielu pokoleń nauczyli się z nim współistnieć. Muszą zbudować tymczasowy port i znaleźć schronienie dla tych, którzy pilnowali domowego ogniska podczas nieobecności wojowników. Słyszeli dostatecznie dużo opowieści o Bagnach Bale, żeby trzymać się z daleka od tych najeżonych rafami i kończących się klifami wybrzeży, których od pokoleń unikali żeglarze mniej od nich ostrożni.

– Jest tam jeszcze coś. – Inna ręka pojawiła się w kręgu słabego światła wokół latarni.

Nawet gdyby Obern nie znał ręki swojego ojca, rozpoznałby noszony na kciuku szeroki pierścień naczelnego wodza; jego czerwone oko zdawało się rozpalać nawet od tak nikłego blasku. Jego ojciec doskonale znał się na mapach. W płonącym zamku, który nadal rzucał czerwoną poświatę na niebo za nimi, Snolli zgromadził dużą kolekcję map i dobrze płacił każdemu Wędrowcowi, który podróżował do nieznanych ziem, aby przywoził opisy swoich wypraw.

– Na południe – wyjaśnił Snolli. – Za Bagnami Bale, po drugiej stronie rzeki granicznej. Otrzymaliśmy wiele meldunków o tych okolicach. Przed pięciu czy sześciu laty nikomu z nas nie powstało w głowie, by zapuścić się na wody, które Ród Jesionu kontrolował ze swojej twierdzy granicznej. Oni byli urodzonymi żeglarzami, bez względu na to, jak inni ich nazywali. Ale teraz cała ich posiadłość, Kraj Jesionu,

jest niezamieszkała. Wielki zamek, Jesionowo, świeci pustkami jak Vold, spustoszone ogniem i mieczem. Wielmoże z południa skaczą sobie do gardła, a spośród nich tylko Ród Jesionu szukał morskich szlaków. Nie otrzymaliśmy żadnych informacji od Dorocznych Kupców, żeby ktoś objął w posiadanie to, co zniszczyli sami Rendelianie.

Wśród otaczających go dowódców przebiegł pomruk. Dla większości była to nowina, ale niektórzy dobrze znali tę historię. Snolli przemówił do tych, którzy o tym nie wiedzieli.

– Na ostatniej biesiadzie Święta Środka Zimy słyszeliście, jak przedstawiciel Dorocznych Kupców meldował, że w całym Rendelu wrze jak w kotle ze smołą postawionym na zbyt wysokim płomieniu. Tamtejszy król nadużywa mocnych trunków, a następca tronu to utracjusz. Wielmoże z Rady Królewskiej obserwują się nawzajem uważnie, aby któryś nie zagarnął tego, co pozostali doradcy też uważają za swoje. Kto więc tam rządzi?

– Właśnie – zgodził się z nim jeden z niższych rangą wodzów. – Jeśli nie król, to kto?

– Królowa Ysa włada pewnymi mocami i ma siłę woli, którą potrafi wykorzystać. Wygrywa jednego wielmożę przeciw drugiemu, posługując się czarną magią, żeby zapewnić sobie poparcie, którego potrzebuje.

Snolli stuknął palcem wskazującym w mapę, dokładnie tam, gdzie ukazywała wąską zatoczkę.

– A więc do Jesionowa? – Jego gestowi odpowiedziały okrzyki pozostałych dowódców.

– Niech tak będzie – oświadczył Grabler. – Tam jest dobry port. Rzeka, która ma w nim ujście, płynie przez żyzne ziemie, teraz prawie niezamieszkałe. Mówi się, że mały statek może podpłynąć i rzucić kotwicę tuż przy bramie zamku. Chociaż ci, którzy usiłowali go zniszczyć, bardzo się starali, niełatwo jest obalić kamienne mury tak mocne jak te w Jesionowie. Będziemy potrzebowali tylko tymczasowego miejsca pobytu i wtedy wyślemy zwiadowców, żeby się dowiedzieć, czemu musimy stawić czoło.

– Podobno na to miejsce rzucono Krwawą Kłątę – wtrącił Hengrid, który zawsze wietrzył niebezpieczeństwo i widział złe strony każdego projektu.

– Czy my pochodzimy z Rodu Jesionu? – spytał Grabler wyzywająco. – Krwawa Kłątwa dotyka tylko potomków tych, na których ją rzucono. My nie jesteśmy słabeuszami z południa, którzy walczą za pomocą kłąt, zamiast z mieczem w dłoni. Uważam, że nasz naczelny wódz mądrze zdecydował. Musimy mieć jakiś port przed sezonem sztormów. Jeżeli inni nasi pobratymcy wywalczyli sobie wolność, wysłannicy Dorocznych Kupców zawiadomią nas o tym. Wtedy nasi bliscy będą

mogli przyłączyć się do nas.

– Tak zostało powiedziane i tak usłyszane. – Snolli spojrzął po kolei na każdego dowódcę.

Wszyscy powtórzyli te słowa. Kapitan zwinął mapę i wstał.

– Wciągnąć chorągiewki sygnalizacyjne. Płyniemy na południe.

Obern wysunął się zza pleców swojego ojca Był prawdziwym Jeźdźcem Fali i to już od ponad dziesięciu lat, ale zawsze zapuszczał się na zachód, do zamorskich archipelagów wysp, dużych i małych. Miał szczęście jako jeden z Morskich Wędrowców, że nigdy wcześniej nie musiał uciekać przed wrogiem, nie mając bezpiecznego portu na końcu morskiego szlaku.

Doroczni Kupcy nie oddalali się zbyt daleko od bezpiecznych wybrzeży. Przybywali, by sprzedać łupy z wypraw wojennych na początku jesieni lub w Święto Zimy, kiedy w przyjaźni spotykało się kilka klanów. Oberna zawsze ciekawiły ich opowieści, a Snolli popierał te jego zainteresowania i polecił mu zapisywać te historie, które zdawały się mieć w sobie żdźbło prawdy.

A teraz ocalali z płonącego Voldu uciekinierzy kierowali się na południe, płynąc przez te same wody, których niegdyś tak uparcie broniono przed nimi. Obern wiedział jak wszyscy, że będą zmuszeni zatrzymać się podrodze i zdobyć prowiant. Lecz między opustoszałym portem, do którego zmierzali, a obszarem niespokojnego morza, gdzie teraz walczyli z falami, rozciągały się Bagna Bale, a o nich Cudzoziemcy wiedzieli niewiele i nigdy nie próbowali dowiedzieć się więcej. Zupełnie jakby czerń, gęściejsza niż zwykły mrok, zasłaniała tę zalaną wodą krainę przed resztą normalnego świata.

Obern pomyślał znów o skrzydlatym stworze, który wyglądał jak cień na zalanym łuną pożaru niebie. Dlaczego ich nie ścigał, kiedy miał wolną drogę? Czy z powodu tego mniejszego latającego stworzenia, które zniknęło tak nagle, że stojący na oku marynarze przysięgali, iż wcale go tam nie było? Nie wiadomo, dlaczego pozostawił ich w spokoju. Nikt nie wiedział, co to było, mieli tylko pewność, że stwora posłali ich wrogowie. Zapytał o to Fritjiego.

Niektóre z morskich klanów miały Czytających-w-falach. Pewni ludzie, mężczyźni i kobiety, rodzili się ze specjalnymi talentami; wszyscy o tym wiedzieli. Nikt nigdy nie wątpił, że na świecie jest wiele rzeczy, których rodzaj ludzki jeszcze nie rozumiał. I chociaż ludzi obdarzonych niezwykłymi zdolnościami było niewielu, zachęcano ich, aby wykorzystywali to, co wynieśli z łona matki, dla dobra krewnych i klanu. Wszyscy Czytający-w-falach potrafili ustalić kurs statku dostatecznie dobrze, żeby wytrawny marynarz mógł nim popłynąć. Niektórzy umieli nawet przewidywać sztormy. Fritji, Czytający-w-falach z klanu Snollego, był jednym z nich. Teraz potwierdził podejrzenia Oberna.

Czy ten zagadkowy stwór był sługą dosiadających potworów nieprzyjacielskich jeźdźców, czy też pochodził z innych miejsc? Mogli tylko czekać i patrzeć.

– Nic dobrego z tego nie wyniknie.

Wyrwany z zamyślenia Obern aż podskoczył. Hengrid nieświadomie odpowiedział na pytanie, które syn Snollego zadał sobie w myśli. Ten oficer jak zwykle mówił zagadkami.

– Dokończ tę myśl, Hengridzie.

– Nigdy nic dobrego nie wyszło z prób lądowania na tym wybrzeżu. Rendelianie zapalą w nocy przyciągające światła, kiedy tylko dostrzegą nas dostatecznie blisko.

Zdenerwowany Obern odparł ostro:

– I co z tego? A gdzie chciałbyś, żebyśmy się ulokowali razem z naszymi rzeczami? Ci, którzy nas wyprzedzili, skierowali się na Wyspy Zewnętrzne. Myślisz, że da się tam utrzymać pokój, kiedy tyle statków, ile palców u ręki, zechce zarzucić kotwice w miejscu, gdzie mogą się wcisnąć zaledwie dwa?

Hengrid był znany z tego, że zawsze ostrzegał przed sztormami i wieścił zagładę. Lecz jednocześnie zasłynął jako dobry topornik i posłał wielu nieprzyjaciół na Statek Śmierci. Obern nie mógł sobie pozwolić na zlekceważenie jego ostrzeżenia.

– Tam są przyciągające światła – powtórzył dobitnie Hengrid, jak człowiek, który zauważa tylko to, co najgorsze.

Przyciągające światła? Obern próbował sobie coś o tym przypomnieć. W czasach, kiedy brał udział w wyprawach wojennych, nigdy nie dotarł na morza południowe. Morscy Wędrowcy przezornie unikali raf i zdradzieckich mielizn oraz wzburzonych, mętnych wód tam, gdzie spotykały się morze i wielka rzeka wypływająca z Bagien Bale. A przecież żeby dotrzeć do Jesionowa, będą musieli zaryzykować żeglugę po tych niebezpiecznych, zbyt płytkich wodach.

Wreszcie przypomniał sobie, co wie o przyciągających światłach. W dzisiejszych czasach te historie uważano za niewiele bardziej prawdziwe niż opowieści o duchach.

Miały to być światła umieszczone na brzegu, które przykuwały wzrok sternika i w jakiś sposób opanowywały wolę jego samego i innych, którzy je widzieli, tak że statek kierował się prosto na wyznaczony przez nie szlak śmierci.

No cóż, chyba takich prostych pułapek łatwo będzie można uniknąć. Ale Lud Bagien to może być całkiem inna sprawa. Mieszkańcy tych terenów mieli broń. Smród Bagien Bale rozprzestrzenił się czasem na połowę świata. Obern wciągnął w płuca ożywczy morski wiatr, by przestać myśleć o niewidocznych zagrożeniach. Dość było aktualnych niebezpieczeństw, których należało się wystrzegać.

– Ognisko Zazar! – zawołał z zewnątrz jakiś głos.

Jesionna włożyła do ust następną porcję klusek. Niech Kazi odpowie na to

wołanie; stara kobieta lubiła czuć się ważna. Rzeczywiście odpowiedziała, i to od razu: – Dwie w środku, jedna odeszła. Zasłona rozwiązana, wodzu plemienia.

Jesionna poruszyła się. Czy ta Kazi zupełnie zgłupiała? Jeśli Joal z jakiegoś powodu chce osobiście w nocy przeliczać członków swego klanu, wystarczyło mu tylko odpowiedzieć.

– Ognisko się żarzy.

Jesionna odprężyła się trochę. Wedle zwyczaju Ludu Bagien oznaczało to “wszystko w porządku”. Joal dobrze wiedział, że nie powinien wypytywać domowniczek Zazar o to, co robią.

Włożyła chochlę do garnka z zupą i zobaczyła, że wódz odsuwa potężnym ramieniem zasłonę drzwiową. Joal nie był młodzikiem, który od niedawna nosi tarczę ze skorupy żółwia, i wszyscy wiedzieli, że nie lubi Mądrej Niewiasty. Zbyt wiele razy pokrzyżowała mu plany.

Teraz patrzył gniewnie prosto na Jesionnę.

– Poszłaś na szlaki – powiedział, marszcząc brwi – i to prawie na cały dzień. Dokąd chodziłaś i dlaczego?

Dziewczyna lekko skinęła głową, okazując szacunek jego stanowisku, i odpowiedziała wyraźnie i zwięźle:

– Wykonuję polecenia mojej pani, Joalu. – Było to kłamstwo, ale wódz nie mógł tego wiedzieć.

– Nie ma tu Zazar, żeby odpowiedziała za ciebie. Widziano cię w pobliżu drogi do siedziby połykacza. Ten teren jest zamknięty dla wszystkich członków plemienia. Jeśli ktoś tam zabłądzi, Pradawni się o tym dowiedzą. To bardzo źle.

Kazi aż jęknęła z zaskoczenia. Jesionna również. Doskonale wiedziała, skąd wódz zaczerpnął informacje. Tusser użył tego samego słowa – połykacz, jakby mówił o jakiejś straszliwej istocie. Joal nie mógł się dowiedzieć o połykaczu z żadnego innego źródła. A więc Tusser żył.

A ta inna sprawa... Kazi, jeśli nawet nie wierzyła w istnienie Pradawnych, których nie widywano w części Bagien, podobno do nich należącej, znała mnóstwo opowieści o ich straszliwych czynach. Od najwcześniejszego dzieciństwa Jesionna słuchała tych historii. Zdała i sobie sprawę, że podczas swoich wędrówek musiała trafić do jednego z sekretnych, świętych miejsc Pradawnych.

– Powiem prawdę mojej pani, wodzu plemienia – Kazi powiedziała to niemal wyzywająco.

– A gdzie jest Zazar? – Joal wbił grot włóczni w udeptaną ziemię pokrytą zbitymi, suchymi ziołami.

– Za tobą, Joalu! – powiedziała kąśliwym tonem Zazar. – Usiłuję wejść do mojej własnej chaty, a drogę zagraża mi drab o manierach gorszych niż ślizgopęłacz.

Wódz przestąpił z nogi na nogę. Mądra Niewiasta nie zamierzała przepychać się obok niego w przejściu; z wyraźnym zniecierpliwieniem oczekiwała, aż okaże należy jej szacunek.

Joal był tak zbity z pantafyku, że zapomniał o wymogach grzeczności.

– Gdzie byłeś, Mądra Niewiasto? Szukałeś Cudzoziemców?

Wybuchnęła śmiechem.

– A więc znowu przypomniano tę starą historyjkę, co? A skąd się niby wzięli ci Cudzoziemcy? Wszystkie drogi, którymi mogliby tu przyjść, są dobrze strzeżone, czyż nie tak?

– Ale i tak przybywają! – Joal niemal wypłuł te słowa, odwrócił się i wypadł z chaty przez zasłone drzwiową. Zazar odczekała chwilę, zanim weszła.

Jesionna wstała z pośpiechem, gdy przybrana matka zwróciła się ku niej. Znała to szczególne spojrzenie.

Od razu zrozumiała, że głupio postąpiła usiłując rozbroić gniew Mądrej Niewiasty.

Zazar spoliczkowała dziewczynę z całej siły, tak że głowa Jesionnej aż odskoczyła do tyłu.

– Masz chyba zupełnie pusto w głowie! – fuknęła. Stała z pięściami na biodrach, mierząc wychowankę wzrokiem od stóp do głów. – A teraz mnie posłuchaj, i to uważnie, ty cudzoziemski pomocie. Teraz, kiedy jesteś starsza, niewiele potrzeba, by Joal rozkazał dla dobra plemienia rzucić cię na pożarcie potworom z bajerek. Przypominam ci najstarsze z Pierwszych Praw: mężczyźni z Bagien nie mogą brać sobie cudzoziemskich kobiet. Jeśli tak postąpią, zasłużą na śmierć. Widziałam, jak Tusser i jego kompani rozmawiali po kryjomu, kiedy cię obserwowali. Niektórzy mężczyźni pożądamy tego, co odmienne... przez krótki czas.

– Oni... oni zostaliby ukarani? – Jesionna oblizała kącik ust i poczuła smak krwi.

– Ukarani? Być może. Coś takiego już się kiedyś wydarzyło. Istnieją opowieści o cudzoziemskich kobietach, które przybyły na Bagna w poszukiwaniu przygody i spotkały się z takim przyjęciem, na jakie nie liczyły. A ponieważ już nikt nigdy ich nie zobaczył, zapomniano o nich, co było wygodne. Cudzoziemscy mężczyźni również zapomnieli. – Splunęła. – Mów, dokąd dzisiaj poszłaś?

Jesionna wyprostowała się. Zrozumiała, że musi wyznać prawdę. Ale czy ta dziwna historia zdoła odwrócić od niej gniew Mądrej Niewiasty? Kiedy Zazar jest w takim nastroju, ile można jej powiedzieć? Rzuciła szybkie spojrzenie na Kazi, która uśmiechała się od ucha do ucha, zachwycona, że jej rywalka popadła w niełaskę u Mądrej Niewiasty.

Jesionna jeszcze raz utwierdziła się w przekonaniu, że Zazar umie czytać w ludzkich umysłach. Mądra Niewiasta szybko jak myśl odwróciła się do Kazi i wycelowała w nią palce wskazujące obu rąk. – Trzymaj język za zębami! – powiedziała ostro.

Była to jedna z jej czarodziejskich umiejętności. Kiedy wydała komuś taki rozkaz, nie mógł powtórzyć nic z tego, co usłyszał. Sama Jesionna poznała moc takiego magicznego knebla, kiedy Zazar witała nocami w swojej chacie otulone opończami tajemnicze postacie. Wysunięte palce wskazujące Mądrej Niewiasty uniemożliwiały jej potem jakąkolwiek rozmowę na ten temat. Sprawiały, że dziewczyna ledwie pamiętała o tajnych odwiedzinach.

Lud Bagien nienawidził i starał się zabić każdego Cudzoziemca przybywającego do ich kraju, byli jednak tacy, którzy ukradkiem zjawiali się u Zazar. Jedni z odwagi i brawury, inni z rozpacz. Niektórzy wyglądali jak ludzie, choć Jesionna nigdy nie dostrzegła ich twarzy, zawsze ukrytych w fałdach kapturów opończy. Natomiast inni z pewnością nie byli ludźmi; ci nie zawsze przychodzili dobrowolnie, raczej na wezwanie.

Najmniej straszne były czworonożne stworzenia, które czasami wychodziły z dziur w ziemi i kucaly przed Zazar. Jesionna nigdy się nie dowiedziała, w jaki sposób porozumiewały się z kobietą, która je wezwała, i jakie informacje jej przekazywały, bo nie mogły tego usłyszeć ludzkie uszy. Nie miała jednak wątpliwości, że składały jej meldunki.

Co prawda nie mogła o tym rozmawiać, ale przysłuchując się w milczeniu i w ciemnościach, poznawała plotki ze świata zewnętrznego, które przynosili goście należący do rodzaju ludzkiego. Wydawało się, że te wieści były częścią zapłaty za usługi Mądrej Niewiasty. Dzięki temu Jesionna posiadała większą wiedzę o świecie Cudzoziemców niż większość mieszkańców Bagien Bale, chociaż nie mogła się nią z nikim podzielić.

A teraz dowiedziała się, że ten czar mógł również działać w drugą stronę.

– Mów! – Dwa skierowane na nią palce Zazar wyglądały, jakby miały przybić ją do ściany. Jak przedtem uciszyły Kazi, tak teraz zmusiły Jesionnę do odpowiedzi.

Mądra Niewiasta machnięciem ręki kazała jej usiąść, a sama podciągnęła do ogniska grubą matę i usiadła ze skrzyżowanymi nogami, grzejąc się. Tam wysłuchiwała, nie komentując ani nie przerywając, wszystkiego, co Jesionna miała do powiedzenia.

Szybko opowiedziała o wydarzeniach na pagórkowatej wysepce – o przybyciu Tussera i jego kompanów, o wynurzeniu się gigantycznego luppessa, którego tamci nazwali połykaczem. Niczego nie pominęła – ani planów Tussera wobec niej, ani zranienia połykacza, ani szaleńczej ucieczki. Było tego wiele, ale postarała się streszczać. Później opisała znalezienie wielkiego kamiennego potwora i inskrypcję na jego brzuchu.

Zazar przerwała jej, podnosząc rękę. Sięgnęła do jednego z koszyków, gdzie przechowywała potrzebne jej rzeczy, i wyjęła czysty pas kory do pisania.

Rzuciła go dziewczynie. Jesionna zrozumiała bez słowa, czego Zazar po niej oczekuje. Wyjęła z brzegu ogniska zwęglony patyk i bardzo starannie zaczęła spisywać zapamiętane symbole. Dwukrotnie przerwała, zastanawiając się, aż nabrała pewności. Niekiedy wydawało się jej, że znów znajduje się na tamtej polanie, przed kamiennym posagiem z inskrypcją. Kiedy skończyła, była pewna, że niczego nie pominęła.

Zazar wyrwała jej korę. Sięgając pod zasnurowany kaftan, wyjęła kamień trochę podobny do amuletu, który tak przysłużył się Jesionnie tego dnia, ale o kształcie trójkąta. Zdjęła go ze sznurka i trzymając między kciukiem a palcem wskazującym, powiodła nim po każdym symbolu zapisanym na korze. Jesionna nawet nie była zaskoczona, że znaki, które tak starała się wiernie odtworzyć, zaczęły świecić, tryskając iskrami w ślad za magicznym kamieniem. Gdy Mądra Niewiasta skończyła, długo siedziała, wpatrując się w świecące teraz znaki. Może Zazar szukała czegoś w pamięci. Jesionna nie odważyła się zapytać.

Po jakimś czasie Mądra Niewiasta wrzuciła korę do ognia, który buchnął wysokim płomieniem. Mrużąc oczy, spjrzała na Jesionnę, a nerwy dziewczyny napięły się jak postronki. Dawniej opiekunka patrzyła na nią w taki sposób na chwilę przed tym, zanim dzieliła ją różgą po plecach.

W końcu Zazar przerwała milczenie.

– Co się stało, to się nie odstanie. Ty, cudzoziemski bachorze, jesteś kimś więcej, niż myślałam. Spójrz.

Podniosła palec wskazujący i nakreśliła nim wzór w powietrzu, pozostawiając nikły, lecz widoczny zarys liścia. Ku zdumieniu Jesionny liść ten nie znikł, a Mądra Niewiasta dodała jeszcze inne. W końcu w powietrzu wisiały cztery liście, na tyle wyraźne, że można było rozróżnić gatunki.

Pod wpływem nagłego impulsu dziewczyna wymieniła je głośno, przekonana, że ma rację, a nie tylko zgaduje.

– Dąb, Cis, Jesion i Jarzębina.

– Żadne takie drzewo nigdy nie rośnie w Krainie Bagien. – Zazar strzeliła palcami i widmowe liście zniknęły. – Pochodzisz niewątpliwie z jednego z tych rodów, bo

inaczej nie mogłabyś tych liści zobaczyć ani poznać, skoro nigdy przedtem ich nie widziałaś. Odziedziczyłaś wielki dar, ale nigdy nie mów o tym poza tymi ścianami. Wieść o tym, co zrobiłaś, nie tylko zwróciłaby przeciwko tobie Lud Bagien, lecz także ściągnęła myśliwych z zewnątrz, tych, którzy tak chętnie nas zabijają.

– Ale ja nie chcę... – zaczęła słabym głosem Jesionna.

– Nie możemy niczego sami chcieć w godzinie, kiedy Mroczne Tkaczki przypadkiem lub celowo wybierają nici naszego żywota. – Zazar wpatrzyła się w ognisko. Migotliwy blask płomieni wydobył z jej twarzy oznaki starości, których przedtem tam nie było. – Widziałam znaki, ale dotąd nie mogłam się dowiedzieć, co oznaczają. Myślę, że teraz już wiem. Weź pod rozwagę, że żyjemy w czasach wielkich zmian. Teraz dawne domy upadną, zostaną zapomniane i powstaną nowe. Zważ też, dziewczyno, że pochodzisz z wysokiego rodu. Mogłabyś nawet zasiąść na tronie. Ale jeśli będziesz mądra, nie pójdziesz tą drogą. Musisz jednak znaleźć ścieżkę, która pozwoli ci opuścić Bagna, bo inaczej jego mieszkańcy odkryją, kim jesteś i zginiesz. Obiecuję dać ci wszystko, co może ci pomóc w tej wędrówce.

– Lud Bagien... – Jesionnej nagle zaschło w ustach. Wiedziała, że taki Joal tylko by się ucieszył, gdyby ją wrzucili związaną do ofiarnego bajorka na pożarcie bagiennym potworom.

– Niech każdy żyje wśród swoich. Kiedy świat się zmienia, bo Tkaczki tworzą nowe wzory, my, ludzie, nie wiemy, dlaczego tak się dzieje. Uwierz w to, co ci powiem, Jesionno Pogrobowcu; kroczysz w cieniu niebezpieczeństwa. Stąpaj ostrożnie, żeby go na siebie nie ściągnąć.

W odległym kącie chaty Jesionna usłyszała ciche skrobanie. Znała ten dźwięk.

Zazar spojrzała w tę stronę.

– Idź spać – poleciła wychowance. – Jeden z moich małych sług się zbliża, a z nim nie wolno ci się zadawać.

Ysa wchodziła na swoją wieżę i była już w połowie schodów, kiedy usłyszała gniewny krzyk męża, a potem huk drzwi otworzonych z taką siłą, że uderzyły o ścianę korytarza. Przez chwilę stała nieruchomo, szukając nowo uzyskanymi zmysłami...

A więc król odkrył, że Pierścienie zniknęły z jego palców. Szybko przycisnęła rękę do piersi i splótła mocno palce. Usunęła z twarzy wszelkie oznaki strachu i zeszała o kilka stopni niżej. W rozmieszczonych na ścianach lampach w kształcie półksiężyca było mało oleju; płonęły słabym światłem, niektóre płomyki ledwo migotały, miała więc nadzieję, że w półmroku nie będzie widać niepokoju na jej twarzy.

– Siebercie! – Ryk władcy odbił się echem w dole korytarza. Na pewno obudzi połowę mieszkańców zamku.

Usłyszała odgłos szybkich kroków i ciemne sylwetki wbiegły do korytarza z

drugiej strony sali. W bladym świetle lamp zabłyśły obnażone miecze.

Ysa zaczekała, aż pojawi się pierwszy z biegnących – Siebert, marszałek Gwardii Pałacowej. Ten oszczędny w słowach człowiek zawsze zachowywał się wobec niej poprawnie. Zobaczył ją teraz, gdy z rozmysłem ruszyła w stronę szeroko otwartych drzwi, i zatrzymał się, opuszczając miecz.

Królewski giermek krzyknął głośno z bólu, wpełzając na korytarz niczym ciężko pobite zwierzę. Za Rugenem szedł jego barczysty pan, kopiąc ze złością nieszczęsnego sługę.

W koszuli nocnej Borotha ziała wielka dziura, odsłaniająca otyły tors. Wyglądało to, jakby próbował się uwolnić z fałd. Nalana twarz monarchy przypominała pysk rozwścieczonego zwierzęcia. Włożył jeden but, by skuteczniej móc kopać swego giermka.

Teraz uniósł głowę i ryknął tubalnym śmiechem, podnosząc nogę, by dać następnego kopniaka Rugenowi. Dopiero wtedy zorientował się, że ktoś na niego patrzy. Odwrócił głowę porośniętą siwiejącymi czarnymi włosami, żeby widzowie tej sceny lepiej dostrzegli jego wściekłość.

– Ten pies... – W kącikach jego ust pojawiły się płatki piany. – Zabrał... zabrał... – Teraz spojrzał prosto na królową.

– Więc to tak? – Nie był to już ryk, ale głosowi króla daleko było do normalności. – Moja najdroższa, słodka żoneczka, która przysięgała mi wierność na wszystkie Moce! – Mówił tonem irytująco łagodnym, choć widać było, że w głębi aż kipi wściekłością. – Naprawdę ładnie wyglądasz w szkarłacie Dębu. Znalazłaś nową służkę do upiększania twarzy? Od lat nie widziałem cię takiej urodziwej. Chodź, skarbie, musimy porozmawiać o ważnych sprawach. – Po raz ostatni kopnął jęczącego giermka i wyciągnął rękę do królowej Ysy w groteskowej parodii tancerza, który chce poprowadzić partnerkę do uroczystego tańca.

Nie zawahała się, ale przycisnęła mocno do boków zaciśnięte pięści, znajdując pociechę w ciepłe Pierścieni. Zaakceptowały ją, ale nie wiedziała, w jaki sposób użyć ich do znalezienia wyjścia z tej sytuacji – jeszcze nie. Boroth stanął u jej boku, szyderczo naśladowując maniery dobrze wychowanego szlachcica. Musi wejść do jego komnaty. Bolało ją całe ciało, bo napięła mięśnie, starając się ukryć drzenie. Minęła męża w milczeniu, z wysoko podniesioną głową.

Prawie ją zemdliło, gdy poczuła buchający od niego odór potu i wina.

Spokojnie podeszła do długiego stołu ustawionego w nogach łoża, gdzie stały dwa sześcioramienne świeczniki, a obok kielich i butelka wina. Starając się, by ręka jej nie zdrząła, podniosła świecznik, w którym płonęły tylko dwie świece, i zapaliła pozostałe. Czowała, że do tej rozmowy potrzebuje światła. Szkoda tylko, że do konfrontacji doszło tak wcześnie. Za wcześnie? Nie wolno jej tak myśleć.

Boroth zatrzasnął za nią drzwi niemal tak gwałtownie, jak je otworzył. Odwróciła się do niego twarzą. Z gorzkiego doświadczenia wiedziała, że lepiej zrobi, gdy zaczeka, aż mąż przemówi pierwszy. Czasami go to uspokajało. W stanie, w jakim się teraz znajdował, może nawet ją uderzyć – albo przynajmniej spróbować.

Stał teraz tuż obok niej; jego zaczerwieniona, spocona twarz była stanowczo za blisko. Jak zdołał podejść tak bezszelestnie? Zobaczyła leżący obok drzwi but i zrozumiała, dlaczego nie usłyszała jego kroków.

Oblizwał wargi, oderwał wzrok od oczu żony i zatrzymał go na jej rękach. Ysa zdała sobie sprawę, że rozwarła palce, ukazując Pierścienie, błyszczące w niemal nadnaturalny sposób, jak gdyby cały blask świec się w nich koncentrował. Nie chciała tego; musiała to być wola samych Pierścieni.

– Jesteś kobietą, która chce zdobyć władzę. – Wydawało się, że król w pełni panuje nad gniewem. – Ale się nie puszczasz. Zamiast tego kradniesz. A dobrze wiesz, jaka jest kara za kradzież.

Rzucił się na Ysę jak kot na ptaka, chwycił ją za prawą rękę tak mocno, że sprawił jej ból, i pociągnął do najbliższej świecy.

– I co teraz, droga żono? Pojąłem cię, aby dzielić z tobą tron, podczas gdy inna... Poczuj teraz płomień na własnej skórze, poznaj moc prawa! – Zaciśnął palce wokół jej nadgarstka mocno jak kat obcęgi, ale nie zdołał podejść do samej świecy. Chociaż bardzo się starał wsunąć rękę Ysy w płomień, nie mógł tego zrobić.

Doznała tak wielkiej ulgi, że w ostatniej chwili powstrzymała szloch. Uwolniła się z uścisku męża. Twarz Borotha zbladła jak płótno, gdy wpatrzył się w żonę i zrozumiał, co się stało.

– Dąb – powiedziała, jakby rozpoczynając opowieść. – Cis, Jesion i Jarzębina. – Wyciągnęła obie ręce z rozpostartymi szeroko palcami. – Nie musisz używać siły. Nie ukradłam ich. Oddam ci je dobrowolnie, jeśli naprawdę są twoje. No, Borocie, błagam cię. Zabierz je i zrób ze mną, co zechcesz.

Król cofał się, oddalał od niej. Podniósł rękę, jak gdyby chciał zareagować na rzucone przez Ysę wyzwanie, a potem ją opuścił.

– Co zrobiłaś? – zapytał szeptem, wstrząśnięty. – Jakie czary rzuciłaś, ty demonie w kobiecej skórze?

– Nic nie zrobiłam, Borocie. Zapytaj raczej siebie, co takiego zrobiłeś, że Pierścienie cię opuściły. To one dokonały wyboru. Czuję to, oboje to czujemy. – Spojrzała mu prosto w oczy i dodała powoli, robiąc pauzy między słowami, żeby podkreślić wagę pytania: – Myślisz, że Pierścienie, które są samym sercem naszego kraju, będą służyć pijanemu durniowi, kreaturze, która stanęła po stronie ciemnych mocy?

Król odzyskał głos, lecz tym razem z jego piersi wyrwał się ryk bólu i

wściekłości. Chwycił najbliższy stojący świecznik – płomienie strzeliły w górę, gdy Boroth się cofnął– i rzucił go prosto w twarz Ysy.

Świece zgasły i złoty kandelabr upadł na podłogę u jej stóp.

Królowa napełniła kielich winem po brzegi. Chociaż miała na to ochotę, nie cisnęła naczyniem w króla, który na wszelki wypadek uchylił się, jakby tego właśnie się spodziewał. Zamiast tego przesunęła kielich po stole z zimnym uśmiechem.

– Zbyt się podnieciłeś, Borocie. Wściekłość może zabić takich ludzi, jak ty. Napij się, mężu, napij i zapomnij. Mogę ci obiecać życie i zachowanie pozorów, żebyś wobec ludu wyglądał na tego, kim byłeś dawniej. Napij się i niech cię to zadowoli.

Sięgnął po kielich.

– Przysiągłem, że już nigdy tego nie tknę...

– To był nieprzemyślany krok. Wiesz, że twój organizm przyzwyczał się do wina i pragnie go. Wino jest dla niego lekarstwem i pożywieniem. Odmawiając sobie wina, sam skazujesz się na śmierć. Wysłuchaj mnie do końca. Obiecuję ci, że będę służyć temu królestwu i twojemu rodowi najlepiej jak umiem. Nikt nie pozna zakresu mojej władzy; będę twierdzić, że wszystkie decyzje podjąłeś dobrowolnie, ale potrzebujesz mojego pośrednictwa, ponieważ poruszasz się z trudem i musisz unikać stresów.

Potknął się, potwierdzając prawdziwość jej słów, ale nie próbował już sięgnąć po kielich z winem. Przytrzymując się stołu, jakby już nie umiał iść bez podpory, podszedł do łoża. Runął do przodu z pochyloną głową; nogi ugięły się pod nim i ukląkł jak człowiek, który szuka pociechy u Nieznanego.

Ciasnota na statku sprawiała kłopoty żeglarzom wykonującym swoje obowiązki. Ale sprzyjało im spokojne morze i przychylny wiatr. Ci, którzy nie byli potrzebni do obsługi korabia, owinęli się w oponcze i ukryli w różnych zakamarkach, żeby się przespać.

Wszystkich zmęczyły trwające całymi dniami potyczki, po których nastąpiła ostatnia, wielka bitwa. Nigdy już nie zobaczą wielu ze swych współplemieńców w kręgu mieczy. Potem nadeszło największe poniżenie– musieli własnoręcznie zniszczyć zamek, z którego byli tacy dumni. Nic więc dziwnego, że źle spali tej nocy.

Obern wstał i klucząc między śpiącymi, poszedł na dziób. Już nie będzie oglądał się za siebie, musi patrzeć naprzód. Odważny człowiek zapominał o stratach, żeby znów spróbować, choćby te straty były nie wiem jak bolesne. Księżyc wzeszedł i rozpostarł na morzu srebrzystą ścieżkę, którą płynęła teraz ich niewielka, pokonana flota.

Na statku zawsze rozlegały się różne dźwięki, lecz przeważnie były to znajome odgłosy. Belki trzeszczały pod naporem fal; liny i żagle czasami strzelały i łopotały w

górze. Owej nocy na zatłoczonym pokładzie słyhać też było jęki ludzi dręczonych złymi snami, ciche łkanie kobiet i nieco głośniejsze próby uspokojenia płaczących dzieci.

Obern po raz pierwszy ucieszył się z rozkazu oddzielenia rodzin od wojowników na czas tej podróży. Jego małżonka, ukochana Neave, oraz ich mały synek płynęli na innym statku. Brakowało mu Neave, w nocy tęsknił za jej ciepłem, ale wiedział, że nie mógłby patrzeć na cierpienia swojej rodziny.

Nagle gdzieś blisko rozległ się dźwięk tak nietypowy, że wyrwał Oberna z zamyślenia. Powoli rozluźnił palce zaciśnięte na relingu. Wydało mu się, że to ciche dudnienie bębna współgra z krwią pulsującą mu w żyłach, przegania z jego umysłu myśli o porażce i budzi pragnienie podążania do przodu ze wszystkich sił.

Latarnie dawały słabe światło, ale wraz z księżycową poświatą umożliwiły mu dotarcie do miejsca, gdzie spodziewał się znaleźć Czytającego-w-falach, Fritijego, zgarbionego nad małym bębniem.; Ku swemu zaskoczeniu zobaczył jednak Kasaiego, Dobosza Duchów. Kasai pocierał dłonią powierzchnię bębna w tym samym rytmie, w jakim unosił się i opadał pokład, na którym klęczał. Dobosze Duchów różnili się od Czytających-w-falach. Ich moc działała w innych kierunkach.

Obern zbliżył się do Kasaiego i usiadł obok niego. Wiedział, że dobosz wyczuł jego obecność, ale skoro nie kazał mu odejść, widocznie nie była to jedna z jego wielkich tajemnic.

– Obernie! – Czyjś szept dotarł do niego znikąd, zagłuszył nawet dźwięk bębna.

Młody żeglarz znów znieruchomiał w napięciu. To było coś więcej niż zwykłe wołanie; brzmiało jak wezwanie tak naglące, jakby ktoś przywoływał zwiadowcę na naradę dowódców.

– Słyszę i idę – powtórzył oficjalną odpowiedź na takie wezwanie.

– Masz wstąpić na trudną drogę i wędrować nią uważnie. Musisz być naszymi oczami i uszami i znów wskazać nam bezpieczny port!

Obern z zaskoczeniem zdał sobie sprawę, że to Kasai do niego przemówił, chociaż Dobosz Duchów miał zamknięte oczy i zdawał się nie wiedzieć, co robi. A to znaczyło, że Kasai wieszczył! Obern zacisnął dłoń na rękojeści długiego noża. Nigdy czegoś takiego nie widział, słyszał tylko o tym. Niewielu to spotkało, ale ci, którym odczytano w ten sposób przyszłość, stawali się wybrańcami losu do chwili, aż wykonali powierzone im zadanie.

Ale dlaczego właśnie on, Obern? Jest tylko przybocznym gwardzistą wodza, owszem, ma w żyłach jego krew, ale to wszystko! Na szarżę Rumaków Fali Przyboju, przecież nie złożył nawet Bitewnej Przysięgi!

– Wejdz na tę drogę, gdy tylko się przed tobą otworzy... – usłyszał znowu, a potem Kasai umilkł. Już nie gładził bębna, skulił się obok niego, jakby zmorzył go

sen. Obern zrozumiał, że na razie nie dowie się niczego więcej od Dobosza Duchów. Może zapyta go później, choć wiedział, że ci, którzy wpadli w proroczy trans, rzadko pamiętali to, co wtedy powiedzieli.

Otulił dobosza jego opończą razem z cennym bębniem, a potem ciaśniej owinął się własnym okryciem. Było mu zimno, tak zimno, jakby po morzu, którym płynęli, dryfowały swobodnie wielkie lodowe góry.

Dopiero nad ranem zapadł w sen.

– Jesionna! – Głos Zazar wyrwał dziewczynę z lekkiego snu. Od razu usiadła na posłaniu w odpowiedzi na to wołanie. Mądra Niewiasta widocznie dołała oleju do gasnących płomieni, bo strzeliły w górę. Mrok rozjaśniało też inne światło, to, które Zazar od czasu do czasu wzywała, by służyło do jej celów.

Dwie świetlne kule podskakiwały nad głową Mądrej Niewiasty, która siedziała na macie, z masą splątanych sznurków na kolanach, rozwiązując luźno zwinięty kłębek. Podobne świecące kule często widywano na Bagnach. Oznaczały niebezpieczeństwo dla każdego człowieka, który rzucił wyzwanie nocy. Wszyscy mieszkańcy Krainy Bagien wiedzieli, że takie światełka prowadzą w najgorsze zakątki mokradeł Cudzoziemców, którzy na nich zabłądzili i uznali migocący w mroku ogień za latarnię innego wędrowca.

Zaintrygowana dziewczyna przyglądała się pracy Mądrej Niewiasty. Jesionna już od dawna wiedziała, że istnieje wiele sposobów prowadzenia kronik. Stosy kamiennych płytek, nie grubszych od klingi noża, spoczywały na jednej z półek. Kiedy się je przemyło szmatą umoczoną w płynie, którego tajemnicę знаła tylko Zazar, pojawiały się na nich linie i wzory widoczne do chwili, aż wyschły. Cztery takie płytki leżały obok kolana Mądrej Niewiasty, pochłoniętej w tej chwili rozmyślaniami kłębka ze splecionych sznurków.

Sznurki miały różne barwy, przyćmione w słabym blasku. Na każdym z nich zawiązano węzłki. Kolejność ich była ważna dla kogoś, kto umiał się nimi posługiwać. Mądra Niewiasta nazwała je kiedyś odpadami z krosien Mrocznych Tkaczek.

Zaspana dziewczyna potykając się, ruszyła w stronę ogniska, ziewając i przecierając oczy. Zauważyła, że palce Zazar przesuwają się po sznurkach z węzłami coraz szybciej, odrzucając jedne odcinki na bok, a drugie kładąc na kamiennych płytkach. Tylko kilka w ten sposób wyróżniła.

– Podejdz bliżej i usiądź. – Mądra Niewiasta ruchem głowy wskazała miejsce obok siebie. Liczba nierozwiniętych jeszcze kłębków szybko malała; opiekunka Jesionnej zajmowała się teraz jednym z nielicznych, jakie pozostały.

Kiedy skończyła, ponownie zwinęła odrzucone sznurki i odłożyła do skrzyneczki wykonanej z grubego korzenia bagiennej wikliny. Pozostałe – było ich sześć – zostawiła na kamiennym kwadracie.

Dwa, a może trzy z nich, połyskiwały złotem, jeden jaśniej niż pozostałe. Czwarty

miął barwę błękitu i wydawał się coraz mocniej lśnić, gdy Jesionna uważniej mu się przyjrzała. Piąty zielenił się jak młode, wiosenne liście, a ostatni, leżący z dala od pozostałych, jak gdyby umieszczony tam celowo, był czarny niczym powierzchnia ofiarnej sadzawki; tylko węzły szarzały lekko, jak pokryte szronem.

Zazar wpatrywała się w kolorowe sznurki, zachowując się tak, jakby nie zauważyła swojej wychowanki. Wreszcie przemówiła z naciskiem, najwyraźniej całkowicie pochłonięta posłaniem zawartym w tajemniczych węzłach.

– Królowa – rzekła, wskazując na najjaśniejszy z trzech złotych sznurów. – Król. – Pokazała na czarny i matowy. – Księżę. – Ten był najcieńszy ze wszystkich, a nieliczne węzły nie wyglądały na szczególnie skomplikowane. Na koniec Zazar zajęła się zielonym sznurem. – Nieznana krewna – powiedziała.

Uważnie spojrzała na Jesionnę.

– Wszystko szybko się zmienia. To nie jest kolor twojego klanu, ale ty jesteś zielona. Niedouczone w wielu sprawach. – Podniosła zielony sznurek i przesuwając go między kciukiem i palcem wskazującym. Był cienki, niewiele grubszy od tego, który nazwała księciem, i też miał niewiele węzłów, ale kilka z nich było podwójnych i poczwórnych.

Kiedy Zazar brała do ręki każdy z wymienionych sznurków, Jesionna czuła ucisk na karku, jakby to ją trzymały mocne palce przybranej matki. Dreszczyk podniecenia, słaby, lecz wyraźny przeniknął całe jej ciało.

– A więc niech tak będzie. – Zazar nie sprawiała wrażenia zadowolonej, ale chyba przekonała ją niewidzialna moc. – Posłuchaj mnie uważnie, Jesionno Córko Śmierci. Każdy ród, lud i kraj rodzi się, nabiera sił, traci je i w końcu ginie. Dla jednych koniec przychodzi szybko, dla innych dopiero po wielu latach.

Jesionna poruszyła się lekko, ale nic nie powiedziała.

– Urodziłaś się na Bagnach i nigdy się nie zapuszczałaś poza nie. Nadeszła chwila, kiedy musisz się obudzić, odrzucić niewinność i dowiedzieć się czegoś o świecie. Większość z tych, których nazywamy Cudzoziemcami, pochodzi z południa, jak się to mówi w wielkim świecie. Nasi północni sąsiedzi odgradzeni są od nich, tak samo jak my, przez Bagna Bale. Cudzoziemcy przybywają przede wszystkim z królestwa Rendelu, niegdyś wielkiego i potężnego państwa, chociaż teraz zgnilizna toczy jego serce. Ich sposób życia różni się od tego, który znasz. Musisz się go teraz nauczyć, zachowując wszelkie środki ostrożności, z całą gorliwością, na jaką cię stać.

Zazar znów wzięła do ręki kolorowe sznurki, przemawiając bardziej do nich niż do wychowanki.

– Na dalekiej północy leży kraj pokryty górami i dolinami, gdzie jest znacznie zimniej niż u nas w najsrozsze zimy. Koniec tego kraju także jest bliski, chociaż jego mieszkańcy nadal są silni i pełni wigoru. Teraz szukają nowej ojczyzny. Zagraza im

nie wewnętrzna zgnilizna, ale zewnętrzna ciemność, płynąca ze źródła, którego jeszcze nikomu z nas nie było dane poznać. Wiemy jedynie, że przynosi ona śmierć, nie tylko ciała, ale i duszy. Ciemność zaatakowała i opanowała ten górski kraj. Nie mamy pojęcia, czego ona szuka, wieść niesie tylko, że posuwa się do przodu. Nie umiemy powiedzieć, czy nasze Bagna zatrzymają ją na jakiś czas.

Obrzuciła dziewczynę przenikliwym spojrzeniem.

– Jedno jest pewne: Rendel nie może walczyć. To kraj wielkich panów, których interesują tylko własne korzyści; toczą oni między sobą niekończącą się wojnę, by zdobyć więcej władzy i pokonać sąsiada, któremu zazdroszczą. Obecny król to słabeusz. Naprawdę Rendelem rządzi jego żona, która w niewiadomym celu zdobyła tajemną wiedzę. Musisz wiedzieć, że nasz świat widział już wiele zmian, nie tylko wśród ludzi, lecz także na ziemi i na morzu. Bywało, że wielkie królestwa niszczyła furia samej ziemi, na której je zbudowano. Można tam znaleźć pozostałości pradawnej wiedzy. Odkryła je królowa Ysa, zdobywając w ten sposób dla siebie większą władzę i możliwość kontrolowania innych.

Jesionna już chciała zasypać Zazar pytaniami, ale Mądra Niewiasta uciszyła ją spojrzeniem.

– W Rendelu żyje książę, następca tronu. Po obojgu rodzicach odziedziczył skażoną krew. Może wyrządzić wiele złego, doprowadzić do kompletnego chaosu. Królowa Ysa cały czas spiskuje, by zapewnić swemu rodowi rządy w kraju. Podobnie jak kontroluje ojca, zamierza uczynić także z syna bezwolne narzędzie. A teraz... – Ciemne oczy Zazar wydawały się większe, gdy popatrzyła na wychowankę. – Teraz my również musimy obmyślić środki obrony. – Zamilkła, a Jesionna odważyła się zadać jedno pytanie:

– Czy to znaczy, że ta królowa zagraża Krainie Bagien?

Ku jej zaskoczeniu Zazar uśmiechnęła się lekko.

– Nie słuchałaś mnie, dziewczyno. Bagna Bale są tylko małą częścią wielkiego świata. A przecież mają do odegrania pewną rolę. Wczoraj znalazłaś miejsce starsze niż te kroniki, miejsce, gdzie żyli nasi poprzednicy, w znacznie mniejszym stopniu uzależnieni od kaprysów rzek i strumieni niż my dzisiaj. – Postukała palcem w kamienną płytkę, na której leżały sznurki z węzłami.

– Już wkrótce – mówiła dalej – rozpoczniesz wędrówkę. Coraz więcej jest takich, którzy chcą zawładnąć tym skrawkiem błota i wody; lepiej więc, abyś znalazła się poza zasięgiem takich jak Joal i jemu podobni. Wiedz, że człowiek, kiedy się boi, zwraca się przeciw tym, których może kontrolować, aby wyładować na nich swą wściekłość.

Mądra Niewiasta znowu ułożyła kolorowe sznurki na kamiennym kwadracie. Ku zdumieniu Jesionny okazało się, że teraz wszystkie są ze sobą splecione – jej, króla,

królowej, księcia, a w dodatku dwa inne, jeszcze nieznanne.

Dziewczyna utkwiała w nich oczy; zrozumiała, zachowując dziwną obojętność, że tym gestem Zazar włączyła nić Jesionny Pogrobowca do nowego wzoru Odwiecznej Sieci.

Mała flota Morskich Wędrowców płynęła zgodnie ze zwyczajem wzdłuż brzegu, nie tracąc go z oczu, znanym od pokoleń szlakiem wodnym. Ostatnia z majaczących na północy wysokich gór malała w oczach, chociaż wybrzeże pozostało urwistą ścianą, rzędem połączonych ze sobą klifów. Wraz ze zmianą pływów obserwator mógł dostrzec okrutne kły raf, czekających na to, co rzuci im los i morze.

Większość stłoczonych na statkach ludzi przywykła do skąpego odżywiania podczas podróży.

Nigdy dotąd jednak nie musieli karmić starców, kobiet i dzieci. Już teraz dzieci płakały z głodu.

Obern obsługiwał jedną z dużych, mocnych wędek, wlokących się za rufą. W morzu było dość ryb; należało tylko je złowić. Właśnie spławik zadrgał; coś chwyciło przynętę i mocno pociągnęło. Na szczęście Obern okręcił linę wokół kołka na nadburciu, bo inaczej takie szarpnięcie obdarłoby ze skóry każdą rękę trzymającą wędzisko.

Na krzyk młodzieńca przybiegł marynarz i jeden z morskich strażników. Dopadli do niego, gotowi do pomocy, kiedy woda się zakotłowała i na powierzchnię wynurzył się stwór, jakiego Obern nigdy nie widział ani nawet nie słyszał o czymś podobnym.

Na pewno nie była to ryba, bo stworzenie miało coś w rodzaju łap, pokrytych brodawkowatą skórą. Jedna z łap, naciągnięta do ostateczności, czepiała się liny tkwiącej w gardzieli, usiłując ją wyszarpnąć z rozwartej paszczy. Potem obie przednie łapy uczepiły się liny, tak napiętej, że w każdej chwili mogła pęknąć. Nieoczekiwanie lina zwiśla bezwładnie, bo wodny stwór skoczył w stronę statku, zamiast w kierunku morza. W jednej chwili dotarł do steru i odbiwszy się od niego jak od platformy, skoczył do góry, uderzając łapami o burtę. Uczepił się jej przyssawkami i przywarł jak przyklejony. Fale omywały wielkie cielsko potwora, rozciągnięte na powierzchni wody.

Jeden z żeglarzy, z harpunem w dłoni, podbiegł do Oberna.

– Z drogi! – zawołał. Małe były szanse, że broń rzucona do tak wielkiego celu trafi w ważny dla życia punkt, ale mogli nie znaleźć lepszej okazji. I rzeczywiście harpun zdołał tylko zranić monstrum. Potwór ryknął głośno; odpowiedziały mu okrzyki z pokładu. Stłoczeni cywile pospiesznie zrobili przejście dla wojowników i marynarzy. Obern wyciągnął długi nóż abordażowy. Przedtem cofnął się, jak mu polecono, ale teraz przepchnął się z powrotem, aż stanął tuż nad potworem.

Wyłupiaste ślepiea popatrzyły na młodzieńca. Wstrząśnięty tym spojrzeniem, nie mógł uwierzyć, że ma przed sobą zwykle morskie stworzenie. W skierowanych na siebie żółtawych źrenicach dostrzegł dziką wściekłość i pewną inteligencję.

Następne harpuny przeszły powietrze. Kilka uwięzło w cielsku stwora, który otrząsnął się energicznie, by się ich pozbyć. Jego skóra wyglądała, jakby pokrywało ją coś w rodzaju zbroi. Stworzenie zaczęło się pięć do góry, odrywając po kolei łapy z przyssawkami i przesuwając je coraz wyżej po burcie statku. Odwrotnie niż ryby zdawało się równie dobrze czuć zarówno w wodzie, jak i w powietrzu.

Obern cofnął ramię. Noże abordażowe bardziej przypominały krótkie miecze niż broń miotającą. Czy jego ostrze odniesie sukces tam, gdzie zawiodły harpuny? Nikt lepiej od niego nie włada tym razem, ale...

Zwierz otworzył wielką paszczę. Obern, licząc na łut szczęścia, cisnął w nią nożem, który wpadł do przepastnego pyska i utkwiał pionowo w dolnej szczęce. Monstrum zamknęło paszczę o sekundę za późno, jeszcze głębiej wbijając ostrze w miękkie ciało. Jedna z przednich łap oderwała się od kadłuba statku i szarpnęła za szczękę. Cienki strumyk krwi popłynął pomiędzy warg.

Bestia wiła się z bólu, jakby nie rozumiała, że jeśli otworzy pysk, zdoła usunąć źródło cierpienia. Obiema przednimi łapami chwyciła szczękę, przez co odpadła od burty statku i wylądowała w wodzie. Z wściekłością walnęła raz i drugi łbem w kadłub, ale zaprzestała bezsensownego ataku.

Wszyscy na pokładzie poczuli drgania wywołane tymi ciosami. Teraz potwór unosił się na plecach na powierzchni morza, omywany falami. Kopał powoli tylnymi łapami, a głowę podniósł ku niebu. Wokół jego łba rozplątywała się w wodzie ciemna ciecz.

Obern był prawie pewny, że zwierzę jest ciężko ranne. Zdumiewało go, że sam to sprawił jednym nożem, ciśniętym w otwartą paszczę morskiej bestii. Chyba że przez przypadek naruszył tętnicę i teraz monstrum tonęło we własnej krwi.

Nieznany stwór z wyraźnym wysiłkiem odwrócił się i rozpostarł szeroko wszystkie cztery łapy. Przebierając nimi słabo, oddalił się od statku. Obern szybko odciął linę wędziska, nie chcąc znów zadzierać z potworem, nawet tak osłabionym.

Ranny potwór płynął coraz dalej od statku. Nie dał jednak nurka jak wielka ryba ani nie skierował się na otwarte morze. Powoli i z trudem podążał w stronę dalekiej ściany klifów.

Obern przyjrzał się swojej pustej ręce, gdy statek oddalił się od bestii.

– Dobry cios. – Snolli ścisnął ramię syna.

Obern odwrócił się do ojca.

– Kiedy ja wcale tego nie zaplanowałem. Nie rozumiem, jak jeden rzut nożem mógł... – Wziął głęboki oddech. – To był przypadek.

Snolli potrząsnął nim łagodnie.

– Jeśli los ci sprzyja, nie zaprzeczaj temu. To prawda, ten stwór nadal żyje i pewnie nie zadałeś mu śmiertelnego ciosu, ale ucieka i myślę, że już nie wróci. Utrata noża abordażowego to niska cena za coś takiego.

Snolli pokazał synowi pochwę, którą trzymał w dłoni. Obern dobrze wiedział, co ona zawiera. Uśmiechnął się i pokręcił przecząco głową. Wiedział, co Snolli zamierza zrobić. Kiedyś wpadłby w zachwyty, dziś czuł tylko pustkę.

– Miecz mężczyzny dla mnie, ojciec? Miecz z kuźni Laxesa? Toż to skarb. – Znowu pokręcił głową. – Może najpierw powinienem na niego zasłużyć.

Snolli zabrał rękę z ramienia syna i oparł na orężu wiszącym mu u pasa.

– Żaden mój towarzysz broni nie może chodzić bez miecza. Dobrze o tobie świadczy, że czujesz się niegodny i myślisz, że nie dokonałeś wielkiego czynu. – Wyciągnął z pochwy swój miecz, otrzymany przed laty, gdy stanął wśród wojowników jako jeden z nich. – Weź ten. Wykuł go Rinbell.

– Ależ... – Obernowi zabrakło słów, gdy ujął miecz swego ojca. Miecze Laxesa były dobrej jakości; dawano je ulubionemu synowi, kiedy osiągnął odpowiedni wiek i dokonał jakiegoś odważnego czynu, ale dzieła Rinbella uważano za najlepsze. Taki miecz był bezcennym darem, a otrzymanie go rzadkim zaszczytem.

– Włóż go do pochwy, szybko! – rozkazał Snolli. – Coś mi mówi, że jeszcze spotkasz się z różnymi potworami i będziesz potrzebował odpowiedniej broni. Ten stwór raczej nie pochodził z morza, bo słyszałbym kiedyś o czymś takim, mimo że morze pilnie strzeże swoich tajemnic. Zresztą zauważyłeś pewnie, że kiedy zaczął uciekać, skierował się do brzegu. – Podszedł do nich kapitan.

– To prawda, naczelny wodzu – powiedział. Odwrócił się w stronę wysokich klifów. – Spójrz tam... – Pokazał na morze obok statku.

Na przezroczystych niedawno falach unosiła się wielka plama. Obern uznał, że nie może pochodzić z ciała rannego potwora, chyba że stracił on większość krwi. Jak okiem sięgnąć ciągnęła się w stronę lądu.

– Przez te skały płyną ukryte rzeki – ciągnął kapitan. – Jedne żłobią głębokie wąwozy, inne tworzą wielkie wodospady. Zanim wpadną do morza, przepływają przez dziwny kraj. Jeśli ktoś zostanie wyrzucony przez fale na to wybrzeże, musi się liczyć z tym, że napotka śmierć niesioną z wodami tych rzek.

– Płyniemy teraz wzdłuż brzegu Bagien Bale? – zapytał Snolli.

– Tak, ale jesteśmy daleko od tego okropnego miejsca. – Kapitan energicznie skinął głową. – I tak będzie przez noc, dzień i jeszcze jedną noc. Ten kraj zawsze przynosił zgubę Cudzoziemcom.

– Oby Władca Fal skierował nas na właściwy kurs.

Obern rzadko słyszał taką nutę w głosie ojca. Poszukał w pamięci wszystkiego, co

kiedykolwiek słyszał o tym dalekim skrawku lądu.

Królowa Ysa opuściła oczy na metalową tacę, rozrzutnie ozdobioną drogimi kamieniami, którą sługa ostrożnie postawił na stole w jej komnacie. Na tacy stały dwa dorównujące jej wspaniałością, przykryte talerze, kieliszek i nieduża mała butelka oraz patera z dwoma czerwonymi owocami, zmuszonymi do dojrzewania w tej za wcześniejszej dla nich porze roku. Dała służącemu znak głową, że już go nie potrzebuje. Zaburczało jej w brzuchu, ale na razie nie podniosła pokrywki z najbliższego talerza ani nie sięgnęła po łyżkę.

Cały czas czuła dziwny głód, jak nigdy dotąd. Miała ochotę rzucić się najedzenie, ale z trudem się powstrzymała. Nie chciała się tak roztyć jak Borothe. Przyszło jej do głowy, że to nadprzyrodzone siły, którym teraz rozkazuje, wymagają więcej energii, więc będzie musiała częściej niż dotąd dodawać sił swojemu ciału. To, co się stało minionej nocy... Podniosła rękę i zauważyła, że jej palce drżą. Usiłowała nad tym zapanować, co udało jej się dopiero wtedy, gdy zerknęła na dwa Pierścienie zdobiące tę rękę. Drugą ręką zdjęła pokrywkę z jednej miski. Posłodzone miodem ziarna owsa, do których dodano aromatyczne zioła. Bardzo dobrze. Energicznie zabrała się do śniadania przyrządzonego według jej życzenia.

Niech mówią, co chcą. Nikt nie powstrzyma plotek. O wydarzeniach minionej nocy mieszkańcy zamku będą szeptali jeszcze przed południem. A z zamku wieści rozejdą się po całej stolicy.

Zacisnęła usta i ponownie spojrzała na Pierścienie.

Przynajmniej dowiedziano się, że Pierścienie na swój sposób dokonały wyboru i że wybór ten jest najlepszy dla kraju. Borothe wciąż jest królem i wielmoże przede wszystkim będą słuchali mężczyzny, a nie kobiety. Ale ona jakoś się z tym upora.

Da też sobie radę z Borothem; ten strzep dawnego władcy musi zjednoczyć zazdrosne o siebie i intryganckie domy z ich aroganckimi i mściwymi przywódcami. Ona, Ysa, może liczyć na czterech z nich, głównie dlatego, że wcześniej podstępnie udawała, iż popiera ich plany. Wątpiła, czy trzej pozostali kiedykolwiek uznają jej nową pozycję w państwie. Cóż, trzeba będzie ich usunąć. Jadła, nie czując smaku, bo myślami była w szerokim świecie.

Borothe przy śniadaniu myślał wciąż o śnie, który przyśnił mu się ubiegłej nocy. Ledwie tknął jedzenie, chociaż chciwie napił się wina.

Alditha. Znow do niego przysłała i tym razem została jakiś czas.

Tak samo jak przedtem, zobaczył liść Jesionu, który przybrał postać ukochanej kobiety. Alditha podeszła do niego z uśmiechem i pocałowała go.

– Borocie – powiedziała. – Mój kochany. – Lśniła w mroku.

– Zostań ze mną. Wszyscy mnie zdradzili – szepnął.

– Zostanę tak długo, jak będę mogła. Zawsze jestem z tobą, nawet jeśli nie możesz mnie zobaczyć.

– Czy przyjdiesz do mnie znów?

– Tak często, jak mi będzie wolno.

– Moja żona mną gardzi, a syn niecierpliwie czeka, aż umrę. A ja najbardziej pragnę być z tobą.

– Tak się kiedyś stanie. Bądź cierpliwy.

– Ale przecież ty nie żyjesz. Powiedziano mi o twojej śmierci.

– Tak, to prawda. A mimo to jestem tu z tobą.

– Czy udzielisz mi rady, kiedy znajdę się w niebezpieczeństwie?

– Zawsze grozi ci niebezpieczeństwo.

– Tak, ale nie wiem skąd. Już nie mogę zajmować się sprawami królestwa, a oni niczego mi nie mówią.

– Nic na to nie możesz poradzić, ukochany. Możesz tylko czekać.

– Na co mam czekać? – Boroth wsparł się na łokciu. – W jakim celu?

– Wszystko z czasem się wyjaśni.

– Pierścienie mnie opuściły.

– Wiem. Taki mają zwyczaj. Twój czas minął, ukochany.

– Zmęczyło mnie to wszystko: królowa, Florian, ludzie, którzy tłoczą się w mojej komnacie, czekając, aż wyzionę ducha. Pragnę tylko ciebie.

– Już ci powiedziałam, ukochany, że będziemy razem... w końcu.

– Ale kiedy?

– Pozostała ci do zrobienia jeszcze tylko jedna rzecz, ale na razie nie nadeszła ta chwila. Wtedy przyłączysz się do mnie i razem, ręka w rękę, pójdziemy w Wieczność.

– Co muszę zrobić?

– Dowiesz się tego.

– A kiedy znów do mnie przyjdiesz?

Lecz ona tylko powtórzyła cichym jak westchnienie szeptem:

– Dowiesz się tego. – Później znowu go pocałowała i zniknęła w ciemnościach.

Boroth skupił się wreszcie na jedzeniu. Jeżeli ma jeszcze coś do zrobienia, musi być dostatecznie silny, żeby dożyć tej chwili. Z niesmakiem przyjrzał się śniadaniu. Chleb, zanadto rozcieńczone wodą wino i słodka owsianka. Posiłek dla inwalidy. A mimo to, krzywiąc się, zjadł wszystko.

Zazar krążyła po izbie szybciej niż zwykle, ale najwidoczniej dobrze wiedziała, co robi. Ich największa podróżna sakwa, przystosowana do noszenia na plecach, leżała rozwinięta na podłodze. Do jej licznych wewnętrznych kieszeni i pętli Mądra Niewiasta wkładała to, co brała z półek, skrzyń, kufrów i dwóch szafek stojących w najciemniejszym kącie chaty. Chrapanie Kazi straciło rytm. Staruszka usiadła na posłaniu, przecierając oczy, jakby chciała przegnać resztki głębokiego snu, który zesłała na nią Zazar.

Lecz Mądra Niewiasta nie zwracała na nią uwagi. Pakowała w milczeniu, od czasu do czasu identyfikując cichymi słowami przedmiot, który wkładała do sakwy. Przez ten czas Jesionna siedziała w kucki przy ognisku, nad płaskim kamieniem do pieczenia, który umieściła pod kątem do niedawno podsyconych płomieni. Rozbiła jadalne korzenie na mąkę i zmieszała ją z ziołami. Potem dołała do tej mieszanki wody ze specjalnej butelki, rozrobiła ciasto i szybko uformowała z niego placek na rozgrzanym kamieniu. Woń piekącego się podróżnego suchara przegnała inne zapachy – różnych ziół, niedawno otwartych skrzynek i zawartości sakwy.

Zazar zatrzymała się w końcu, patrząc na rozłożoną sakwę, a potem skinęła głową.

– To musi wystarczyć. Pamiętaj, że nie znajdziesz takich ziół poza rodzinnym domem.

Jesionna skinęła głową i szybko rozłożyła na kamieniu do pieczenia następny placek. Kazi wstała z posłania i skrzywiona popatrzyła na Zazar i Jesionnę. Z powodu kulawej nogi rzadko opuszczała skupisko chat, gdzie mieszkał klan Joala. Teraz widziała, że jedna lub obie jej współmieszkanki wybierają się w podróż.

Z zewnątrz ktoś zawołał:

– Hej tam, pozdrawiam dom Zazar!

Mądra Niewiasta w jednej chwili chwyciła skraj maty z posłania Jesionnej i narzuciła ją na tobolek.

– Hej, pozdrawiam krewnych! – odparła.

Odsunięto podwójną nocną zasłonę drzwiową i do chaty weszła kobieta z Ludu Bagien. Była to Pulta, druga żona Joala. Siwizna przyprószyła na skroniach jej ciemne włosy, a wielogodzinna praca przy krosnach i przy ognisku zgarbiła plecy. Ciało miała chude jak trzcina; na jej spuchniętym policzku ciemniał siniak. Rozejrzała się po izbie i zauważyła stos sucharów obok kolana Jesionny. Najwidoczniej przyszła na

przeszpiegi.

– Ktoś wyrusza w podróż? – zapytała chrapliwym głosem.

Zazar stanęła między nią a Jesionną, która trzymała w ręku kawałek ciasta z grubej mąki.

– A dlaczego pytasz? – odparowała Mądra Niewiasta.

Pulta wychyliła się, żeby móc widzieć Jesionnę za postacią Zazar.

– Będą kłopoty. Lepiej zostańcie w chacie, chyba że na naradach przy ognisku postanowimy inaczej. – A potem przyjazne ostrzeżenie zmieniło się w wyzwanie. Pulta wypaliła, patrząc gniewnie na Jesionnę: – Trzech opuściło wioskę. – Ślina zebrała się w kąciku jej ust. – Dwóch wróciło i mieli dużo do powiedzenia. Todo zginął. Ci dwaj chcą wezwać tę cudzoziemską wywłokę, żeby odpowiedziała za...

– Masz ostry język, Pulto. Takie języki już nieraz przycinano. Jeżeli trzeba porozmawiać o moich domownikach przy ognisku rady, niech zdecydują o tym głowy rodzin, i to publicznie. Nie muszą posyłać ciebie z taką misją. Ja mam swoje obowiązki, ty także. Tkaś i wykonujesz różne inne prace w swojej chacie. – Zmierzyła wzrokiem niższą od siebie kobietę. – Czy kwestionujesz moje prawo do wzywania pomocy? Czy mam uwierzyć, że zgromadzeni w wiosce krewni chcą, żebym poszła i przywołała... – Nagle jej głos się zmienił. Z ust Zazar wydobył się dziwny jęk; zaskoczyło to Jesionnę, bo ten dźwięk przypominał jej odgłosy wydawane przez podwodnego potwora zwanego połykaczem podczas polowania.

Pulta cofnęła się o krok.

– Znasz wiele tajemnic – syknęła. – Ile z nich ukrywasz przed Ludem Bagien, Zazar? Wzięłaś do siebie Kazi, którą przeznaczono na żer dla mieszkańców głębin. A potem przygarnęłaś ten pomiot cudzoziemskiego demona. Wiemy, że czekają nas kłopoty. Staniesz w naszej obronie czy pozwolisz, aby ciemność pochłonięła nas wszystkich? – Otuliła ciaśniej szalem chude ramiona.

– Więc o to chodzi? – Wyglądało na to, że słowa Pultry nie zbiły z tropu Mądrej Niewiasty. – Tak, masz rację. Czekają nas kłopoty. Nie rozumiesz, że ktoś taki jak ja wyczuje je na długo przedtem, zanim twoi krewni zdołają wydać ostrzegawczy krzyk? Pamiętaj o tym, Pulto. Władam mocami, których Joal i jego krewni nie potrafią przywołać. Przyszłaś tu, udając, że chcesz mnie ostrzec, choć wcale tak nie było. Możesz powiedzieć swojemu mężowi, dla którego miałaś zdobyć informacje, że chociaż nie rozkazuję wojownikom uzbrojonym we włócznie i kamienne noże, nie powinien mnie uważać za gorszą od siebie. Możesz mu też przekazać, że istnieją różne rodzaje broni. Dzisiaj zrobię to, co muszę. A teraz odejdz. Rozpada się na dobre, zanim wrócisz do swojej chaty.

Pulta otworzyła usta, jakby chciała się odgryźć, ale widać nic jej nie przyszło do głowy; zresztą Zazar wzrokiem zmusiła ją do milczenia. Żona Joala mruknęła więc

coś pod nosem i wyszła z chaty. Niebo miało barwę ołowiu; słychać było szum potężniejszego wiatru i pierwsze uderzenia ciężkich kropel deszczu o dach chaty. Zazar zasunęła zaslonę drzwiową, ściągnęła matę z sakwy i zaczęła ją zawiązywać.

Jesionna włożyła podróżne suchary do ciasno tkanej torby wyłożonej skórą luppersa, tak szczelnej, że deszcz nie mógł do nich dotrzeć. Na sucharach umieściła pakieciki z suszonymi owocami dzikiej róży, podróżną mieszankę i gotowane jaja luppersów.

– Deszcz nam sprzyja – powiedziała Zazar, rzucając dziewczynie osobiwe spojrzenie – więc nie będziemy czekać, Jesionno Córko Śmierci. Dopilnuję, żebyś poszła swoją drogą, jedyną, jaką będziesz kroczyć od dziś. – Zdjęła ze ściany giętki pasek z wężowej skóry, przy którym wisiał kościany brzeszczot. Choć wyblakł ze starości, dziewczyna rozpoznała w nim jeden ze skarbów Mądrej Niewiasty.

Zazar podała go Jesionnie, która opasała nim swoją smukłą talię, Zazar zrobiła magiczny gest i zanuciła coś w nieznanym dziewczynie języku. Potem włożyła opończę, a Jesionna przypięła paskiem sakwę. Zazar uśmiechnęła się lekko i machnięciem ręki kazała wychowance podejść do zasłony drzwiowej.

– Zastanawiałaś się nad tym nieraz, a teraz dowiesz się wszystkiego.

Na dworze deszcz lał jak z cebra. Bicz wodne zaczęły smagać obie kobiety, jak tylko opuściły chatę. Jesionnę na chwilę ogarnęła wielka pokusa, żeby wrócić do środka. W taki dzień wszyscy rozsądni ludzie zostają w domu. Szybko jednak odegnała tę pokusę. Nie mogły wybrać lepszej pory na potajemne opuszczenie siedziby Mądrej Niewiasty, nawet pod osłoną nocy. Nic nie wskazywało, żeby któryś z mieszkańców niezgrabnych chałup klanu Joala zauważył ich odejście. Zazar nie poszła ścieżką, którą wybrała trzy dni wcześniej, gdy Jesionna podjęła ostatnią, tak fatalnie zakończoną próbę wytropienia Mądrej Niewiasty. Tym razem, na ile dziewczyna mogła się zorientować, kierowały się raczej na północ niż na zachód.

Deszcz nie przestawał padać. Raz po raz musiały omijać rozlewające się coraz szerzej bajorka, do których wpadały liczne strumienie. Gdy dotarły do najdalej wysuniętego na północ krańca wyspy, na której leżała osada, Jesionna stwierdziła, że mają przed sobą przeszkodę nie do przebycia. W poprzek ich szlaku ciągnęło się szerokie rozlewisko, upstrzone kroplami deszczu. Nie da się go pokonać, bo ukrywa pod powierzchnią jedno ze strasznych, ciemnych bajorek, w których głębi czai się pewna śmierć. – O względy tej śmierci zabiegał Lud Bagien, karmiąc ją nie tylko jeńcami i resztkami jedzenia, lecz także własnymi dziećmi uznanymi za ułomne.

Na zachodzie gąszcz wysokich trzcin okalał brzeg bajorka i właśnie tam kierowała się Zazar. Szła ostrożnie, jak wszyscy mieszkańcy Bagien, ale dość szybko. Jesionna dreptała tuż za nią, obserwując, gdzie stawia nogi Mądra Niewiasta. Tobołek bardzo jej ciążył. Obawiała się, że wystarczy jeden fałszywy krok, by stąpnęła na

niebezpieczne miejsce, które wciągnie ją, zanim Zazar to zauważy.

Mądra Niewiasta dała jej znak ręką i Jesionna zatrzymała się nagle, czekając na dalsze rozkazy. Spostrzegła, że Zazar nawet nie próbuje wyrąbać sobie przejścia w gąszczu trzciny i krzewów, które same się przed nią rozstały, jakby na bezgłośnie żądanie. Powstał wąski tunel z nierównych gałęzi, które stykały się w górze; w niewielkiej odległości znów było widać otwartą przestrzeń. Mądra Niewiasta szukała po omacku, aż znalazła ukrytą linę. Szarpnęła energicznie i spomiędzy gałęzi wynurzyła się powszechnie używana na Bagnach płytki łódka. Gęstwina, gdzie była ukryta, osłoniła ją przed deszczem, więc na dnie zebrało się niewiele wody. Na znak Zazar Jesionna poszła przodem i niezgrabnie wgramoliła się do łódki, bo przeszkadzał jej ciężki tobołek. Przybrana matka usiadła naprzeciwko, na rufie.

Mądra Niewiasta wzruszeniem ramion zsunęła opończę. Z boku łódki wzięła drąg i wiosło, którego użyła, żeby wydostać się na otwartą przestrzeń. Potem, wprawnie wiosłując, skierowała się w tę stronę, co dotychczas – na północny zachód. Ludzie Bagien dorastali oswojeni ze swoimi łódkami i wcześniej uczyli się sztuki pokonywania wodnych przestworzy. Zazar zaś – której wieku Jesionna nigdy nie odgadła – miała w tym taką wprawę jak najlepsi myśliwi.

Deszcz zelżał nieco, ale obie zdążyły przemoknąć do suchej nitki i kiedy się poruszały, wydawało się, że otacza je mgła. Podróż trwała dalej; Zazar skierowała łódkę w stronę następnej wyrwy w zaroślach na brzegu rozlewiska, prawie naprzeciw miejsca, z którego odpłynęły.

Jesionnie znów się wydało, że droga wodna, w którą teraz wpłynęły, otwarła się przed nimi w dziwny sposób. Była wąska jak koryto, którego brzegi porastały wysokie zarośla, na połę zasłaniając widok z przodu. Dziewczyna odwróciła głowę tak daleko, jak pozwalała jej na to sakwa, by zobaczyć, co rozciąga się przed nimi.

Zazar odłożyła wiosło, wstała i wzięła żerdź. Znajdowały się już daleko w kanale, a spleciona roślinność nadal odsłaniała przed nimi wodny szlak. Mądra Niewiasta posługiwała się drągiem energicznie i wprawnie. Płynęły dalej. Teraz Jesionna zauważyła jakąś zmianę na brzegach kanału. To tu, to tam w gęstwinie tkwiły kamienie, przechylone pod różnym kątem, ale jakoś podobne do tych, które widziała w zakątku wodnego potwora. Zaczynały tworzyć ściany, ale co miały zamykać lub przed czym chronić? Zacisnęła dłoń na rękojeści noża, który dała jej Zazar. Chociaż te głązy na pewno stały tu od dawna, ale przecież umieszczono je w jakimś celu. Jednak po spotkaniu na wysepce Jesionna wołała nie zwracać na siebie uwagi tego, co mogło, kryć się za tymi ścianami lub pod dnem łódki.

W końcu dotarły do niezwykłego miejsca, które zdumiało Jesionnę. Dwa wielkie głązy po obu stronach kanału wyglądały jak framuga drzwi, a za nimi znowu otwierała się wodna przestrzeń.

Jeszcze jedno bajorko, pomyślała dziewczyna z obawą. Nie wiedziała, co myśleć o tej podróży, zwłaszcza że niczego nie mogła się dowiedzieć od swojej towarzyszki. Zazar nie odezwała się ani słowem, odkąd opuścili wioskę.

Naprzeciw nich, po drugiej stronie rozlewiska, wznosił się pagórek usypany z kamieni. Jesionna była pewna, że nie jest to dzieło natury, tak samo jak tamten kamienny potwór. Choć kamienie leżały w stosach, można było zauważyć pewien plan w sposobie, w jaki je ułożono. Pagórek wznosił się dość wysoko; kobiety w łódce widziały tylko nierówny szczyt, ale nie mogły dostrzec niczego za nim. Teraz Zazar pracowała żerdzią wolniej i brała głęboki oddech przed każdym pchnięciem. Jesionna obawiała się, że drąg utkwi w gęstym mule na dnie rozlewiska, ale tak się nie stało.

Po raz pierwszy od początku podróży Mądra Niewiasta przerwała milczenie.

– Przygotuj się! – Wskazała na występ skalny o gładkiej powierzchni. – Zdejmij z pleców sakwę, a kiedy ci powiem, ciśnij ją z całej siły na te kamienie.

Jesionna zdjęła opończę i szybko ułożyła tobołek tak, że znalazł się na jej kolanach.

– Teraz! – Zazar zdołała podpłynąć łódką bardzo blisko kamiennego występu. Jesionna znajdowała się w niewygodnej pozycji, ale jakoś zdołała rzucić sakwę na skały. Bardziej dzięki szczęśliwemu trafowi niż umiejętnościom dziewczyny toboł wylądował na skraju skalnej platformy.

Mądra Niewiasta pchnęła mocno drągiem po raz ostatni i łódka podpłynęła bokiem do skał, uderzając o nie ze zgrzytem. Tym razem Jesionna nie potrzebowała instrukcji. Niezdarnie przeczołgała się z łódki na najbliższy gładki kamień.

– Trzymaj! – Dziewczyna, zanim zdążyła się podnieść, chwyciła zwój ciężkiej liny, który rzuciła jej Mądra Niewiasta. Musiała trzymać linę z całej siły, żeby łódka nie odpłynęła, kiedy Zazar z kolei gramoliła się na brzeg. Później Mądra Niewiasta zręcznie, co wskazywało na długą praktykę, wbiła żerdź w szczelinę między dwiema skałami i okręciła ją liną, zakotwiczając bezpiecznie łódkę.

– Do góry! – Zazar, która zawsze była rozmowna, teraz zdawała się używać tylko niezbędnych słów.

Podniosła kciuk, sygnalizując, że muszą wspiąć się na szczyt tego nierównego wzniesienia. W jednym miejscu zniszczone przez czas kamienne bloki były ułożone w taki sposób, że łatwo dało się po nich wchodzić.

– Schody – powiedziała Zazar.

Jesionna nie знаła tego słowa. Niosąc sakwę w ramionach, bo nie miała czasu, żeby ją przypiąć, mozolnie weszła za Zazar na sam szczyt. Odwróciła się w stronę ładu, a patrząc na dół, poczuła zdumienie i lęk. To był stary świat, ale całkiem nowy dla kogoś, kto spędził całe swoje dotychczasowe życie w koślawej chacie Ludu

Bagien. Najwidoczniej kiedyś wznosiły się tutaj rozmaite budowle, chociaż dachy już dawno zniknęły i kupy gruzu wypełniały przejścia między murami. Mimo wszystko dało się w tym zauważyć celowe działanie. Gruzowisko ciągnęło się dość daleko. Na końcu dziewczyna zauważyła górną część zakrzywionego muru, ukrytego za miejscem, gdzie teraz stała.

Zazar wskazała na ruiny w dole.

– Galinth.

– Galinth? – powtórzyła Jesionna. Jeszcze jedno słowo, którego nigdy dotąd nie słyszała. Zazar niczego jej nie wyjaśniła. Uniosła ręce dłońmi na zewnątrz i zaintonowała dźwięczną pieśń w tym samym niezrozumiałym języku, co przedtem. Jesionna pomyślała, że wygląda to tak, jakby Mądra Niewiasta zapowiadała coś ważnego. A może szukała tu schronienia? Jeśli tak, to kogo o nie prosiła? To niezwykle usypisko kamieni – nie znała jego nazwy, ale na pewno nie przypominało żadnej siedziby Ludu Bagien – sprawiało wrażenie opustoszałego. Mimo to dziewczyna rozglądała się z niepokojem. Pewna liczba całkiem sporych pokrytych łuskami stworów mogłaby tu mieszkać, a wołała ich unikać.

Zazar skończyła pieśń i zapatrzyła się w szare rumowisko w dole. Jesionna również utkwiała tam wzrok, nie dostrzegła jednak żadnego ruchu.

Za to coś usłyszała. Czyżby odpowiedź na śpiew Mądrej Niewiasty?

Nie był to chrapliwy ryk, jaki wydawał potwór przy tamtym jeziorze. Te dźwięki także brzmiały jak pieśń, zupełnie inna pod względem rytmu i melodii niż prostackie przyśpiewki, które rozbrzmiewały przy ogniskach w wiosce Joala.

Kto śpiewał? I co znaczyła ta pieśń? Jesionna zadrżała. To wszystko przekraczało jej doświadczenie życiowe, a ktoś, kto tak jak ona wychował się na Bagnach Bale, nigdy do końca nie ufał nieznanemu.

Melodia wznosiła się i opadała – nie uwierzy, że może być jakimkolwiek zagrożeniem. Może to zaproszenie? Sięgnęła do sakwy, żeby pozapinać klamerki i sprzączki. Wydawało się, że Zazar o niej zapomniała. Mądra Niewiasta bez słowa wdrapała się na popękany mur. W odległości kilku kroków było więcej takich kamieni umieszczonych jak schody jeden nad drugim, dzięki czemu łatwo dało się po nich wchodzić. Albo zejść na dół.

Zazar nie spojrzała w jej stronę, gdy znów znalazły się na ziemi, ale ruszyła pewnym krokiem, jakby doskonale wiedziała, dokąd idzie.

Jesionna pospieszyła za nią, uważając na nierówny grunt. Po obu stronach majaczyły nad nimi mury, nie były jednak wysokie i dziewczyna uznała je za resztki ludzkich siedzib.

Wreszcie dotarły do otwartej przestrzeni, która otwarła się wśród zasypanych przejść między zrujnowanymi budynkami. Lecz i to miejsce uległo zniszczeniu.

Wyrzeźbiona z kamienia postać, roztrzaskana na trzy części, leżała przed nimi twarzą do ziemi. Nie była to jednak podobizna potwora, na jaką Jesionna natrafiła podczas swoich wędrówek. Najwyraźniej miała przedstawiać istotę taką jak ona sama. Popękane i rozbite ciało wyglądało jak człowiek, choć było znacznie wyższe. Proporcje przedstawionej tu istoty w niczym również nie przypominały przysadzistych i krępych Ludzi Bagien. Jesionna miała ochotę zasypać Zazar pytaniami, ale Mądra Niewiasta minęła posąg i widać było, że nie chce rozmawiać.

Stopy rzeźby nadal tkwiły na szerokiej kamiennej podstawie, z której spadła reszta postaci. Za tym cokołem było wejście do dużej budowli, różniące się od pozostałych. Tu gruz był odmieciony na bok i odsłaniał niskie schody, nie takie strome jak tamte na wzgórzu. Cztery stopnie prowadziły do otwartej przestrzeni przed wysoką ścianą. Pośrodku ściany dziewczyna zobaczyła sklepienie wejście, w którym niespodziewanie ujrzała kotarę, grubą i mocną, i najwyraźniej nową. Wyglądała jak zasłony drzwiowe w chatach Ludu Bagien. Za zasłoną była ciemność.

Jesionna weszła po schodach za Mądrą Niewiastą. Kiedy stanęły na platformie przed wejściem, Zazar odwróciła się do wychowanki, utkwiała wzrok w dziewczynie i odezwała się do niej po wielogodzinnym milczeniu:

– Jesionno Córko Śmierci, tu mieści się serce bardzo starej wiedzy. Większość tej wiedzy zaginęła na przestrzeni wieków. Lecz ci, którzy przyszli na świat z Darem Nauki, Poznania i Władzy, zdołali ją opanować. Powitał cię Duch Krwi, uważam więc, że jesteś tak utalentowana, jak przypuszczałam.

Wskazała ręką na otaczające je ruiny.

– Niegdyś było to wielkie miasto, jakich nigdy nie znał Lud Bagien. Za czasów jego potęgi Bagna Bale nie istniały, woda jeszcze nie zalała tej krainy. Mówiłam ci, że przed nami władało nią wiele, bardzo wiele ludów. Była tu jedna z głównych siedzib dawno zaginionej rasy, ale, jak już ci powiedziałam, Koło Historii się obraca i nastał czas zmian. Z własnej woli wyjawiam ci tę tajemnicę, ponieważ istnieje przepowiednia, że musi ona posłużyć do obudzenia nowych mocy. I ty będziesz miała w tym swój udział.

Królowa Ysa zachowała spokojny, obojętny wyraz twarzy i starała się ocenić nastrój trzech członków Rady Królewskiej, którzy stali przed nią zgięci w ukłonie. Zajmowała krzesło na środku komnaty, ale nie na podwyższeniu, bo za bardzo przypominałoby to tron. Ledwie dostrzegalnie uniosła rękę i pełniący służbę paź pospiesznie przysunął trzy krzesła, przysługujące wielmożom, których ranga pozwalała im siedzieć w obecności monarchy. Drugim nieznacznym gestem poleciła wszystkim obecnym – oprócz proszących o posłuchanie królewskich doradców – opuścić pomieszczenie. Lubiła demonstrować, jak dobrze wyszkolona jest jej służba – chociaż dla tych wielmożów nie miało to żadnego znaczenia.

Ostrożność i przezorność, rozważa i cierpliwość, powtarzała sobie w myśli, gdy z obojętną miną po kolei zaglądała dostojnikom w oczy. Zaciśnęła leżące na kolanach ręce, wyraźnie wyczuwając ucisk wszystkich czterech Pierścieni, jakby ich skoncentrowana moc wystarczyła, by wpijały się w jej ciało.

Royance z Grattenbor, przewodniczący Rady Królewskiej, pochodził z rodu sprzymierzonego z Domem Dębu i za młodu był bliskim towarzyszem Borotha. Lecz Royance nie pozwalał, by kierowały nim żądze. Z wyboru był wojownikiem. Podczas ostatnich dziesięciu lat dwukrotnie bronił swojej posiadłości, obleganej przez zbyt ambitnych sąsiadów. Z twarzy przypominał bursokoła wędrownego i może dlatego uznał tego ptaka za swój herb. Miał też w sobie nieco z dzikiej natury tego skrzydlatego drapieżnika.

Gattor z Bilth. Czasami trzymał stronę Domu Cisu, czasami Domu; Jarzębiny i nie zawierał trwałych sojuszy. Nie walczył nigdy na polu bitwy, uważał bowiem zbrojne starcia za niewłaściwy sposób rozwiązywania sporów. Miał tęgie ciało i okrągłą twarz o sennych oczach, typowe dla człowieka niemrawego, który działa powoli. Były to jednak pozory. Gattor bardzo dobrze maskował swoją działalność i rzadko wychodziła na jaw jego prawdziwa rola – jak na przykład w zrujnowaniu sprzymierzeńca domu, który podobno naruszył granice jego posiadłości.

Był jeszcze Harous z Cragden, najmłodszy z tej trójki i może najbardziej niebezpieczny. Dwaj pozostali mieli na sobie granatowe szaty, barwy stosowanej przez dworzan, ale on nosił rdzawo-pomarańczowy kubrak, który niemal świecił w półmroku królewskiej komnaty. Z tego, co Ysa wiedziała, Harous nigdy nie sprzymierzył się z żadnym z czterech Wielkich Domów i w ten sposób uniknął sporów, jakie ze sobą toczyły. Zachowywał dużą ostrożność, ponieważ piastował

dziedziczne stanowisko dowódcy zamku Cragden, najważniejszego ogniwa w systemie obronnym Rendelsham. Mógł tam wykazać się w walce zbrojnej, ale nie stronił od uczestnictwa w niektórych misternych politycznych intrygach. Uważano go też za uczonego, chociaż nigdy nie pozwolił, żeby zainteresowanie przeszłością zaszkodziło mu w aktualnych działaniach.

Ysa pochyliła lekko głowę.

– Witam was, panowie – powiedziała. Dobrze wiedziała, że uzyskanie poparcia tych trzech królewskich doradców jest najtrudniejszym zadaniem, jakiego kiedykolwiek się podjęła. Musi ich przekonać, że nadszedł czas, kiedy wszyscy muszą się zjednoczyć lub, podzieleni, zginąć po kolei.

Wszyscy trzej ukłonili się królowej, a potem usiedli.

– Wasza królewska mość – odezwał się Harous. Nie zaskoczyło jej, że to on, choć najmłodszy, był ich rzecznikiem.

– Będę z wami szczerą – powiedziała spokojnie, opierając ręce na poręczach krzesła, tak by wyeksponować Pierścienie. – Zacni panowie, nastał czas rosnących niepokoju i nie pora teraz na potajemne działania. Obiecałam, że będę mówić otwarcie, chciałabym jednak, żeby to, co teraz powiem, pozostało między nami, nie przekroczyło ścian tej komnaty. Król, mój mąż, nie jest już tym, kim był kiedyś; w naszym gronie nie możemy dłużej przymykać na to oczu. A księżę Florian na razie nie wykazuje żadnego zainteresowania sprawami państwa.

Zauważyła, że Harous poruszył się, Royance wyprostował plecy, a Gattor nadal wyglądał, jakby gotów był w każdej chwili zapaść w drzemkę.

– Dotarły do mnie absolutnie pewne informacje, że Rendelowi zagraża niebezpieczeństwo tak wielkie, jakiemu nasz kraj nie stawiał czoła co najmniej od dwudziestu pokoleń – ciągnęła. – W krajach Północy wrze. Morscy Wędrowcy, którzy zawsze zagrażali pokojowi w Rendelu, wyruszyli w drogę, choć nie z własnej woli. Ich twierdze jedna za drugą padły pod naporem najeźdźców z bardzo daleka, z Krainy Wiecznych Śniegów. Wyruszyła stamtąd armia, by zagarnąć ziemię bogatsze niż jej własna. Dokładnie nie wiadomo, kim są ci najeźdźcy. – Urwała, bo po tym stwierdzeniu Harous znowu poruszył się na swoim niskim krześle i pochylił lekko do przodu.

Ysa zwróciła się bezpośrednio do niego.

– Panie, mówi się, że masz wiedzę znacznie rozleglejszą niż większość naszych uczonych. Co wiesz o krajach Północy?

Royance zerknął na Harousa z pewnym zaskoczeniem i nawet Gattor uniósł brew, aż światło odbiło się w jego oczach, mimo że nie odwrócił głowy.

Harous odpowiedział szybko i bez wahania:

– Wasza królewska mość, stare legendy głoszą, że niegdyś wszystkie znane nam

kraje były jednym potężnym królestwem, że cztery Wielkie Domy rozkwitały i że między nimi panował pokój. A potem zły los zwrócił brata przeciw bratu, syna przeciw ojcu, aż zapanował całkowity chaos. Nawet sama przyroda wzięła udział w tej okropnej walce i morze zaatakowało ląd. Według tych opowieści to wtedy powstały Bagna Bale. Nawet góry się obudziły, plując ogniem w niebo. Ludzie mogli tylko kulić się ze strachu i żyć resztkami nadziei. I wtedy przybył Jarnel z Karnu...

– To historia, którą powinno się opowiadać w zimie przy ognisku tylko po to, żeby przestraszyć słuchaczy – oświadczył Royance, marszcząc brwi. – Oprócz opowieści bajarzy nie znaleziono żadnego dowodu na to, że ów Jarnel kiedykolwiek żył.

Harous wzruszył ramionami.

– Tak czy inaczej, ta historia kończy się stwierdzeniem, że Jarnel i jego towarzysze wygnali resztki złej siły daleko na pomoc i że uwięzili ją, posługując się Mocą. Utrzymano cztery Wielkie Domy, lecz utraciły one większość dawnej władzy. Czy ktoś może zaprzeczyć, że są wśród nas mężczyźni lub kobiety obdarzeni niezwykłą wewnętrzną siłą, której sami nie mogą zrozumieć? W dawnych czasach ludzi z takimi zdolnościami mogło być znacznie więcej.

Królowa skinęła głową.

– Panowie, te słowa to nie są zwykłe domysły. Starożytne kroniki ujawniają, że nawet za naszej pamięci miały miejsce wydarzenia, których nie sposób wyjaśnić.

Royance przyjrzał się jej uważnie, a jego wzrok wyrażał błyskotliwą inteligencję. Srebrne przybranie jego dworskiego stroju miało odcień równie surowy jak jego szare oczy.

– Ród Jesionu wymarł – powiedział beznamiętnie. – Legendy mówią, że posiadłości Domu Jesionu były niegdyś wielkie i rozciągały się wzdłuż całego naszego południowego wybrzeża... póki nie pojawił się cień.

Jego słowa zrobiły takie wrażenie, jakby rzucił między nich płonącą pochodnię. Pozostali dwaj dworzanie odsunęli się od niego i nawet królowa na moment przestała nad sobą panować. Otworzyła usta, jakby chciała wykrzyknąć jakiś komentarz, ale szybko odzyskała nad sobą kontrolę.

– Posiadłości Domu Jesionu i cień, który tam powstał – powiedziała spokojnie – już nie są dla nas niebezpieczne. Ten dom zniknął. Ale masz rację, panie z Grattenbor, do dnia dzisiejszego zachowaliśmy pewne wspomnienia. – Zręcznie wróciła do wybranego przez siebie tematu rozmowy. – Jednak to wszystko przeszłość. Teraz tego, co kryje się na północy, nic już nie krępuje, góry znów się obudziły i plują ogniem. Nieznana armia zagarnęła ziemie ludzi morza. Ci z nich, którzy ocalili, uciekają na południe. Pytam cię, panie Royance, jako człowieka doświadczonego w bojach, czy jest żdźbło prawdy w starym powiedzeniu, że ten, kto walczy z moim

wrogiem, jest – przynajmniej na jakiś czas – moim przyjacielem? Ludzie morza to wojownicy, dobrze o tym wiemy. Ale czy ci, z którymi oni walczą, muszą być również i naszymi wrogami?

O dziwo, przemówił Gattor, jakby chciał przypomnieć o swojej obecności. Miał niemły dla ucha głos, nosowy i piskliwy.

– Wiemy o tym wszystkim – rzekł. Sięgnął do pasa, gdzie wisiała pochwa miecza, pusta, jak u wszystkich w obecności królowej, oprócz jej przybocznych gwardzistów. – Niech wasza królewska mość zapyta o to kupców. Jeśli zamierzasz zawrzeć przymierze z tymi morskimi wilkami, nie sądzę, by poparło je wielu kupców.

Nic dziwnego, że Gattor o tym pomyślał. Co najmniej od trzech pokoleń jego ród bogacił się dzięki niejasnym i tajnym transakcjom z kupcami. Nic dziwnego, że jego kubrak zdobiła koronka i haft ze złotych nici.

Ysa postanowiła postawić wszystko na jedną kartę i wyrazić w słowach wszystkie swoje obawy.

– Może dojść do tego, że ludzie będą musieli walczyć w przymierzu z obcymi, bo inaczej wszyscy zginą.

– Wasza królewska mość, nasze północne granice są dobrze chronione. Bagna Bale mogą się wydawać słabym punktem, ale będzie to pułapka dla każdego najeźdźcy z południa – powiedział beznamiętnie Gattor. – Nikt chyba nie przypuszcza, że dzikusy, co tam się kryją, łatwo pogodzą się z najeźdźcami. Wszyscy wiedzą, co się dzieje z każdym obcym, który odważy się tam zapuścić. – Nadal miał wprowadzający w błąd senny wyraz twarzy, a ręce skrzyżował na brzuchu.

– Tak – przyznała Ysa. – Bagna Bale mogą się utrzymać. Ale najeźdźcy dysponują lepszą bronią niż włócznie o grotach z muszli i mogą znaleźć ścieżki wśród błota i wody. Czy odważymy się polegać na tym mokrym kawałku lądu, jak na wysokim murze? Powiedzcie mi, panowie, czy poszczególne domy nadal kłócą się ze sobą, czy w naszym kraju w dalszym ciągu wszyscy podejrzewają wszystkich? A może zaczniemy budować pokój, by się wreszcie zjednoczyć?

Harous znów pochylił się do przodu.

– Wasza królewska mość, pogłoski o wojnie to nie jest przekonujący dowód. Czy wasza wysokość dysponuje czymś więcej niż opowieściami wędrowców? – Obserwował ją uważnie, a jego zielonkawe oczy błyszczały zainteresowaniem.

Ysa natychmiast zdwoiła czujność. Co wiedział? Czego się – dogrzebał? Wszyscy wiedzieli o jego poszukiwaniach w starożytnych kronikach. Mówiono nawet, że archiwa Harousa w zamku Cragden, zawierają więcej wiedzy, niż da się znaleźć w magazynach królewskich skrybów lub w bibliotece Świątyni Wiecznego Blasku, gdzie szukała jej królowa.

Pospiesznie zapewniła Harousa, że jej informacje są wiarygodne, nie ujawniając

jednak ich źródeł.

– Panie, w pogłoskach zawsze kryje się źdźbło prawdy – dodała.

Wysoko na wieży odpoczywały jej “oczy i uszy”, choć niektórzy na widok Vispa zrobiliby gest odpędzający demony i wspomnieli o czarnej magii. Królowa wytrzymała spojrzenie Harousa, aż wielmoża opuścił oczy, wiedziała jednak, że nie zadowolili go jej słowa.

Royance milczał podczas tej wymiany zdań, ale myślał swoje. Teraz zabrał głos.

– Wasza królewska mość, czy można wpuścić psa między koty bojowe, tak by żadne ze zwierząt nie uznało drugiego za należną mu zdobycz? A jednak w słowach waszej wysokości kryje się prawda. Wszyscy mamy swoich wywiadowców za granicą. – Po kolei spojrzał na swoich towarzyszy. – Zbierzmy tyle wieści, ile zdołamy. Jeśli będą niepomysłne... cóż, mój ród przez lata wojował z Darthanem i Glickiem, ale chętnie wyślę heroldów do obu z bronią przewiazaną sznurami pokoju, jeśli okaże się, że musimy walczyć razem.

Ysa z wysiłkiem zachowała obojętną minę. A więc Royance stanął po jej stronie! Przynajmniej na razie. Musi uważać, żeby się jej nie wymknął. Powiedział prawdę, a jeśli ona zdoła połączyć dwa inne rody, od dawna zwaśnione, jest nadzieja na lepszą przyszłość.

– Dziękuję ci, panie Royance – odparła.

Zwróciła wzrok na Gattora, który złożył pulchne dłonie i patrzył w przestrzeń bez słowa. W jego milczeniu kryła się groźba. W końcu zabrał głos.

– A co z księciem Florianem? Już najwyższy czas, żeby się zaręczył. Co do mnie, jakoś nie słyszałem o poselstwie wysłanym do Yulandu lub Writhamu w poszukiwaniu odpowiedniej panny. Wiemy, że gdyby wziął zażoną Rendeliankę, byłoby to wyzwanie dla nas wszystkich.

Na czarne szczęki Labora, miał rację! Gdyby Ysa nie strzegła pilnie swoich tajemnic, mogłaby podejrzewać, że Gattor poznał zawartość pewnego kuferka stojącego na stole w głębi sali audiencjonalnej. Były w nim dość obraźliwe listy. Nawet w dalekim Yulandzie po drugiej stronie morza południowego i w bogatym wyspiarskim królestwie Writhamu na zachodzie wiedziano o rendeliańskim następcy tronu Florianie dostatecznie dużo, żeby nie zgodzić się na poślubienie przez niego córek tamtejszych władców. Jednak zaręczyny – nie mówiąc już o małżeństwie – z panną z jakiegokolwiek Wielkiego Rodu Rendelu mogłyby jedynie zwrócić jednych przeciw drugim. Albo, co gorsza, przeciwko panującej dynastii. Takie posunięcie przekreśliłoby wszelką szansę na mocny sojusz. Nic też nie zostało z nadziei królowej na zjednoczenie królestwa dzięki związkowi Floriana z Laherne z Domu Jarzębiny. Przynajmniej na razie. Miała jednak dość czasu na zmianę tej sytuacji, jeśli będzie dostatecznie cierpliwa. Trzeba znaleźć wybieg, który zjednoczy rendeliańskich

wielmożów.

Potarła Pierścienie, jakby mogło jej to pomóc w rozwiązaniu tego problemu. I nagle przyszedł jej do głowy pewien pomysł. Zastanowiła się nad nim. Nie ma pośpiechu; zawsze tak postępowała podczas spotkań z doradcami. Może jednak w tej szczególnej sprawie czas już nie był jej sprzymierzeńcem. Postanowiła wyjawić swój plan.

– Morscy Wędrowcy – powiedziała spokojnie – nie mają żadnego naczelnego władcy. Uznają tylko spokrewnione ze sobą klanu. Ale każdy jest dumny ze swojego pochodzenia; mają też niższych wodzów i ich najbliższych krewnych. Jeden z ich najpotężniejszych i najbardziej przedsiębiorczych klanów podąża właśnie na południe. Mają w herbie Morskiego Kruka...

– Nie! – wybuchnął Gattor, budząc się w końcu. – To krwiożercze demony. Teraz rozumiem, co proponujesz i odrzucam to! Najpierw mówisz o wspólnej walce z nimi przeciw jakiemuś wymyślonemu wrogowi, a potem proponujesz zjednoczenie! Mam krwawe porachunki z tym rodem, bo swego czasu zagarnęli pięć moich statków.

Royance odezwał się spokojnym, opanowanym głosem:

– Nie decydujemy w pośpiechu o niczym, czego potem musielibyśmy żałować. Czy wasza królewska mość miała jakieś kontakty z tymi Morskimi Wędrowcami? – Przyjrzał się jej, mrużąc oczy.

– Jeszcze nie. Po prostu wiem, co może się wydarzyć – odrzekła. Wbiła w każdego po kolei twarde spojrzenie. – Jeśli Bagna Bale nie zatrzymają nieszczęścia, które opanowało północne górskie krainy, jeżeli nie uzgodnimy z Morskimi Wędrowcami wspólnego planu działania, nie zdołamy wyrzec się naszych sporów i razem stanąć do walki, w takim razie przysięgam na Pierścienie – podniosła wysoko rękę, a metalowe kółka rzuciły iskry – przysięgam, że Rendel upadnie razem z całą naszą częścią świata. Wasze dumne rody zginą, a potężne twierdze Wielkich Domów zamienią się w pełne trupów ruiny. Jeśli dla zapobieżenia temu nieszczęściu rendeliański następca tronu będzie musiał poślubić kobietę z rodu Morskich Wędrowców, to tak się stanie.

Royance pochylił głowę, a po chwili podniósł wzrok, drapieżny jak ślepiec bursokoła.

– Wasza królewska mość dała nam dużo do myślenia – powiedział z naciskiem. – Nie można jednak podejmować takiej decyzji bez rozważenia jej wszystkich aspektów. Musimy wszystko dokładnie przemyśleć.

– Właśnie tak, właśnie tak! – dodał Gattor. – Musimy poważnie się zastanowić.

– Uznaję prawdziwość i wagę waszych słów – odrzekła królowa głosem pełnym smutku i rezygnacji. W skrytości ducha była zadowolona; zdawała sobie sprawę, że w rzeczywistości nie mogła liczyć na więcej. Niech rozważą propozycję małżeństwa z

dziewką Morskich Wędrowców; to sprawi, że Laherne wyda im się bardziej godna Floriana. Nie przeszkadzał jej sprzeciw Gattora w sprawie, której wcale nie zamierzała forsować. – Ale czas jest naszym wrogiem. Naradzajcie się i układajcie plany, jeśli chcecie, panowie. Chcę usłyszeć wasze wspólne zdanie, kiedy wrócicie... powiedzmy za dwa dni.– Odprawiła ich gestem. – Macie swoje obowiązki, panowie. Proszę, nie zawiedźcie nas wszystkich.

Wstali i złożyli ukłon. Gattor był nachmurzony, Royance przybrał jak zwykle obojętną minę, a Harous postukiwał czubkiem palca w swój pas jak gdyby zbierał myśli. Ruszyli w stronę drzwi.

Gattor złapał Royance'a za ramię; pewnie chciał porozmawiać z nim w cztery oczy, gdy nikt nie będzie mógł ich podsłuchać. Harous zatrzymał się, nachylił i poprawiał klamerkę przy bucie. Gdy tylko tamci dwaj zniknęli, odwrócił się do królowej. Pewnie ma coś jeszcze do dodania, pomyślała Ysa, i chce zrobić to sam, nie jako członek Rady Królewskiej. Zaciekawiona, przy wołała go gestem, chociaż prywatna audyencja w tych okolicznościach była sprzeczna z obyczajem i protokołem dworskim.

Harous wrócił do królowej, która wciąż siedziała. Na jej znak ponownie usiadł na niskim krześle.

Zaskoczyło ją trochę, że się nie odezwał, tylko wyciągnął spod aksamitnego kaftana sznurek zakończony wisiorkiem. Ten amulet, czy co też to tam było, najpierw ukrył w dłoni, zanim pokazał go królowej. Wisiorek miał szary połysk wypolerowanego kamienia i kształt skrzydlatego zwierzęcia, porośniętego raczej sierścią niż piórami. Maleńkie, skrzące się oczka wykonano z drogich kamieni.

Ysa wbiła paznokcie w dłonie, żeby nie stracić kontroli nad sobą. Rozpoznała to stworzenie...

– Zazar, wasza królewska mość – powiedział Harous szeptem, jakby ktoś mógł ich podsłuchać. – Otrzymałem to od Zazar.

Ysa potarła dłonie, żeby zapewnić jak najlepszy kontakt między swoim ciałem i Pierścieniami. Nic jednak nie mogło powstrzymać chłodu, który przeszył jej ciało. Zmusiła się, by oderwać wzrok od amuletu i skupić uwagę na mężczyźnie, który go trzymał.

– Sięgnąłeś głęboko, panie Harousie.

– To moja pasja, wasza królewska mość. Kiedy znajduję jakieś stare zniszczone miejsce, wzywa mnie jego przeszłość. Tak, poszedłem pewnymi bardzo zakurzonymi tropami. I niektóre z nich zaprowadziły mnie do Zazar.

Nie odważyła się zadać żadnego pytania, bo bała się ujawnić swoją niewiedzę. Jak wiele wiedział? I jak chciał użyć tej wiedzy? Czy przeciw niej, dla zdobycia władzy? Zakreśliło jej się w głowie, jakby znalazła się na skraju przepaści. Musi

natężyć umysł, żeby zatrzymać dla siebie jak najwięcej własnej wiedzy i powiększyć ją o to, co Harous mógł zdobyć.

– Myślę, że to symbolizuje wysłannika – wycodziła.

– Wiernego wysłannika – pokiwał głową na znak zgody. – Jednego z kilku. Ja jeszcze nie mogę się nim posługiwać. Ale jeden taki został wysłany na północ, prawda, wasza wysokość?

Nie warto było zaprzeczać temu, o czym najwyraźniej wiedział.

– Tak. Meldunki, o których wspomniałam tobie, panie, i pozostałym doradcom, są prawdziwe.

– Właśnie mi się wydawało, że dzisiaj usłyszeliśmy o rezultatach podróży takiego wysłannika. – Potarł kciukiem wisiorek, który trzymał w dłoni. – Były też inne wyprawy – dodał.

Wydawało się, że chce kontynuować temat. Od razu zaczął mówić dalej, jakby nie oczekiwał pytań, ponieważ założył, że teraz pracują razem jak równi sobie. Małeńki latający wysłannik mógłby do tego doprowadzić, przynajmniej w tym przedsięwzięciu.

– Wasza królewska mość, Bagna Bale mają swoje tajemnice. To prawda, Florian powinien się ożenić, żeby połączyć siły. Trzeba wybrać taką narzeczoną, która nie wzbudzi wątpliwości żadnego z domów i nie skłoni ich do poparcia odrębnej sprawy. Założmy... tylko założmy... że natrafi się na pannę z wysokiego rodu, z której domu nie pozostał nikt, do kogo mogłaby się zwrócić o poparcie.

Teraz już lód zmroził krew w żyłach królowej. Laherne pochodziła z wysokiego rodu, lecz nie była pozbawiona poparcia pewnego domu. Bez wątplenia taka dziewczyna byłaby najbardziej pożądaną kandydatką; czyż Ysa wcześniej nie użyła Mocy, szukając takiego rozwiązania, i nie wykorzystwała wszystkich swych tajemnych środków i sposobów, by uzyskać rezultat takich poszukiwań? W zamęcie minionych lat kilka pomniejszych rodów, sprzymierzonych z czterema Wielkimi Domami, rzeczywiście zostało doprowadzonych do upadku i usuniętych. Teraz ich przywódcy knuli intrygi, znacznie przeceniając swój spryt. Małżeństwo Floriana z córką kogoś takiego, nawet gdyby w jej żyłach płynęła czysta krew Wielkiego Domu, nie pomogłoby, lecz zaszkodziło sprawie rodu panującego. Nikt nie opiera się na złamanej trzcinie, kiedy potrzebuje muru do obrony.

Wysiłkiem woli zmusiła się do zastanowienia. Bagna Bale. Dlaczego Harous o nich wspomniał? Nawet najstarsi ludzie nie pamiętali, żeby jakiś dom miał tam posiadłości. To miejsce istnieje od wielu pokoleń, a przecież... Bagna Bale. Nie. To niemożliwe. Zaciśnęła ręce tak mocno, że Pierścienie wpiły się w jej ciało.

Harous musiał chyba wyczytać nagłe olśnienie z wyrazu jej twarzy.

– Tak – powiedział. – Pochodzi z Rodu Jesionu.

Drgnęła, chociaż usiłowała zapanować nad sobą.

Przemówiła z wysiłkiem, robiąc przerwy między słowami, jakby chciała w ten sposób podkreślić ich znaczenie.

– To niemożliwe. Ród Jesionu nie istnieje.

Zmarszczył brwi i skinął lekko głową na znak zgody.

– Na pewno nikt z tego rodu nie mieszka w Rendelu. Ale czy ktoś taki nie mógł przyjść na świat w nieznanym miejscu?

– Ten ktoś nie żyje! – Nagle wstała z krzesła, zmuszając wielmożę, by również to zrobił. – Ród Jesionu wygasł i jeśli myślisz inaczej, panie Harousie, dopuszczasz się zdrady! Audiencja skończona.

Nie mogła dłużej bawić się w ciuciubabkę. Pragnęła tylko, żeby Harous zniknął jej z oczu. Jest coś, co musi zrobić, i to szybko, jeśli ma przezwyciężyć strach, który w niej wzbudził.

Doradca wsunął amulet za pazuchę i złożył głęboki ukłon.

– Niech wasza wysokość pamięta o Zazar – odważył się dodać. – Jestem na usługi waszej królewskiej mości, bez względu na to, czy informacja jest wiarygodna.

Miała ochotę wezwać pełniącego służbę gwardzistę, by aresztował tego potencjalnie niebezpiecznego człowieka i uwięził. Nie ośmieliła się jednak, wiedząc, że jest zbyt potężny. Stała z twarzą nieruchomą jak maska, kiedy wychodził z sali.

Po odejściu Harousa, gdy znów poczuła się bezpieczna, odwróciła się i pospieszyła do tajemnych drzwi w ścianie. Sama je odkryła i nikomu o tym nie powiedziała. Dzięki labiryntowi ukrytych korytarzy mogła niepostrzeżenie przechodzić z jednej części zamku do drugiej. W ten sposób umacniała swoją reputację władającej Mocą osoby, która w każdej chwili może pojawić się znikąd. Zamknęła drzwi za sobą i zaczęła wchodzić po schodach, przytrzymując fałdzistą suknię, żeby jej nie pobrudzić odwiecznym kurzem. Schody te były dłuższe, węższe i bardziej strome niż te, którymi zwykle chodziła, ale nie tak kręte. Nie chciała zresztą, żeby ktoś ją zobaczył w tej chwili. Dwukrotnie przystanąła, przyciskając rękę do boku, by, zmniejszyć skurcz bólu, ale w końcu dotarła do komnaty na szczycie wieży i chwiejnym krokiem doszła do swojego krzesła. Padła na nie, bo nagle opuściły ją siły.

Ile Harous naprawdę wie? Jego aluzje obudziły w królowej wściekłość i strach. Ale jeśli włada on Mocą i też ma swojego wysłannika...

Nikt z Rodu Jesionu nie mógł przeżyć, na pewno nikt czystej krwi. Wszyscy doskonale wiedzieli, że Ludzie z Bagien zabijali każdego Cudzoziemca – i czyż jej gwardziści nie trafili na ślad tego, co się stało jakieś szesnaście lat temu? Nigdy nie miała powodu, żeby podawać to w wątpliwość. Poszukiwania mogły tylko potwierdzić, że dziecko Aldithy w połowie było Cudzoziemcem, w połowie zaś

pochodziło z Ludu Bagien. Krzywiąc wargi, Ysa przypomniała sobie, że pewni rendeliańscy mężczyźni – i kobiety – szukali miłosnych przygód z mieszkańcami Bagien, chcąc poczuć dreszczyk grozy. I że czasami miało to przykre konsekwencje.

Całą siłą woli zapragnęła, żeby tak właśnie było. Nie zniesie myśli, że jej rozpustny mąż spłodził dziecko z Aldithą, zanim ona, jego wybranka i królowa, urodziła mu następcę tronu. To musiał być ktoś inny...

Nie chciała sobie przypomnieć, jak bardzo kiedyś kochała Borotha; wolała pamiętać nienawiść, która zastąpiła tamtą miłość. Nie zniosłaby kiedyś nawet myśli o jego flircie; to było zresztą wszystko, co mogło się zdarzyć, bo Ysa dała niewiele czasu królowi Borothowi i Aldicie z Domu Jesionu.

I pomyśleć, że kiedy Boroth zamierzał z nią zdradzić swoją nowo poślubioną żonę, to Alditha przypawiła mu rogi! Namietność musiała odebrać zdrowy rozsądek tej ladacznicy. Nic dziwnego, że tak szybko uciekła na Bagna Bale. Zmykała przed gniewem zarówno króla, jak i królowej! Ysa stłumiła histeryczny śmiech.

Musi jednak mieć pewność. Opanowała się z trudem i znów usiadła na krześle. Ręce jej drżały; podniosła je powoli, a z jej ust wydobył się głośny, nienaturalny dźwięk. Poczła nagle w dłoniach ciepłe ciało, opuściła oczy i ujrzała Vispa.

Jesionna nachyliła się i weszła w ślad za Zazar przez zasłonę drzwiową. Rozejrzała się wokoło, pożerana ciekawością. Wnętrze budowli wydało jej się olbrzymie, przed laty musiało być dostatecznie duże, żeby pomieścić całą znaną jej wioskę Ludu Bagien. Lecz, tak jak gdzie indziej, ściany zewnętrzne i część dachu zawaliły się, zmniejszając powierzchnię budowli. Zauważyła też, że ktoś podjął próbę zachowania tego, co pozostało.

Wiele nieznanymi rąk usiłowało zaprowadzić jaki taki porządek w chaosie.

Przecignięto na bok kamienne bloki i ustawiono z nich pod ścianami sięgającą ramion zapórę, pozostawiając środek niemal wolny od gruzu. Nie był on jednak pusty. W szczeliny między kamieniami wbito podpory dla półek, na których leżały torby z trzciny i zawiniątka ze skręconych skór luppersów. Z niektórych półek zwisały sieci wypełnione nieznanymi substancjami. Między torbami stało kilka popękanych garnków, które na pewno nie były puste.

Na środku pomieszczenia nie było jamy na ognisko. Natomiast – bardzo dawno temu, sądząc po śladach płomieni – ułożono w krąg kilka kamieni, żeby osłaniały ogień. Wokół leżały stopy porządnie splecionych mat, na których można było siedzieć lub spać.

Ku zaskoczeniu Jesionny, choć otoczenie budziło raczej grozę, ta duża sala wydała się jej przytulna. Poczła się prawie jak u siebie, gdy postawiła sakwę na kamiennej podłodze. Zazar kucnęła już przy palenisku, skrzesła ogień z ułożonej w

zasięgu ręki podpałki i ostrożnie otoczyła go odłamkami czarnej substancji. Ognisko zapłonęło i Jesionna przysunęła się bliżej, by się ogrzać po wędrówce na deszczu.

Usiadła i wyciągnęła ręce, jakby chciała przyciągnąć do siebie ciepło płomieni. I wtedy zdała sobie sprawę, że oprócz niej i Zazar jest w tej izbie jeszcze jedna żywa istota. Mądra Niewiasta przestała interesować się ogniskiem i zaczęła wydawać ciche, szczebiotliwe dźwięki, jakby kogoś przyzywała. Najbliższy stos mat poruszył się, jakby coś usiłowało się spod nich uwolnić, i na otwartą przestrzeń wypełzło stworzenie, które trochę przypominało nieśmiałe szczury wodne z Bagien.

Było jednak znacznie większe od wszystkich szczurów, jakie Jesionna widywała podczas wędrówek po znanych sobie bagiennych ścieżkach. Kiedy zaś zwierzę wyszło na środek pomieszczenia, dziewczyna zorientowała się, że to nie szczur. Stworzonko miało bardziej okrągłą głowę, a jego futro sprawiało wrażenie znacznie miększego od twardej sierści mieszkańców ciemnych bajerek. Bezszelestnie podeszło do Mądrej Niewiasty, która wyciągnęła do niego rękę. Nieznane stworzenie stanęło na tylnych łapkach, otarło głowę o dłoń Zazar i przykucnęło. Smukłymi przednimi łapkami chwyciło rękę Mądrej Niewiasty, trąciło ją nosem, a potem zaczęło lizać palce Zazar absurdalnie różowym językiem.

Szczebiot Zazar zamienił się w nucenie, a nieznana istota odpowiedziała jej serią dziwnych, cichych okrzyków i podniosła łebek tak wysoko, by patrzeć w twarz Mądrej Niewiasty.

Zazar skinęła na nią i Jesionna posłusznie przysunęła się bliżej.

– To jest Mądrusia. Mądrusiu – powiedziała do zwierzątka – poznaj Jesionnę.

Wydawało się, że przedstawia sobie współplemieńców z różnych wiosek.

Dotknęła ramienia dziewczyny; nieznane stworzenie nie wypuszczało z łapek jej drugiej ręki.

– Wyciągnij dłoń do Mądrusi, żeby mogła cię poznać.

Jesionna nie miała pojęcia, o co tu chodzi, ale wykonała polecenie Mądrej Niewiasty. Mądrusia puściła rękę Zazar, chwyciła dłoń dziewczyny i przyciągnęła ją do pyszczka. Długo wachała skórę Jesionny, w końcu polizała ją szorstkim języczkiem. Kiedy zwierzątko rozluźniło uścisk, dziewczyna odważyła się pogłaskać je po główce między szpiczastymi uszkami, jak wcześniej zrobiła to Zazar.

– Teraz Mądrusia cię zna, Jesionno Córko Śmierci. Przekonasz się, że bardzo ci się przyda. Ale jest jeszcze coś do zrobienia. Posłuchaj mnie uważnie.

Zazar wstała, minęła ognisko i skierowała się do ściany, w miejsce, gdzie ciasno splecionej siatce wisały gliniane tabliczki. Mądra Niewiasta nie wzięła żadnej z nich; przesunęła tylko palcem po siatce tak delikatnie, jakby głaskała Mądrusię.

– Nie pochodzisz z krwi Ludu Bagien, dziewczyno – powiedziała. – Dziś już zwykli ludzie nie znają tego miejsca. Zawsze jednak byli wśród nas tacy, którzy krwią

i myślą wracali do czasów przed nastaniem końca Przymierza. – Zamilkła na tak długo, że Jesionna odważyła się zadać pytanie:

– Co to znaczy Przymierza?

– Innego czasu i innego świata – odrzekła Zazar. W jej głos brzmiało zmęczenie.

– Dawno temu miejsce, gdzie się teraz schroniliśmy, było słynnym ośrodkiem Poszukiwaczy Wiedzy. Potem przemówiło Prawo, które rządzi wszystkim, co żyje. Jest czas budowania czas trwania i czas upadku. Pozostają tylko szczątki tego, co było niegdyś. Dlatego zawsze szukamy tego, co znów może poprowadzić nas do wielkości. Bagna Bale, które były w dawnych czasach częścią wielkiego, potężnego imperium, pogrążyły się w ciemnościach. Teraz zbliża się następna epoka ciemności. Ty pochodzisz z obcej krwi, ale urodziłaś się na Bagnach; wiesz o tym i ta wiedza będzie dla ciebie ważna w dniach, które nadejdą. Pozostań tu, aż zostaniesz wezwana.

– Wezwana? Przez kogo? – Jesionna ugryzła się w język, ale pytanie wyrwało się jej wbrew jej woli.

Zazar pokręciła głową.

– Zapytaj o to tej ziemi, dziewczyno. Ja tego nie wiem i nie mogę ci powiedzieć. Muszę teraz wrócić do mojej własnej siedziby, gdyż Lud Bagien to moje plemię, chociaż stali się gorsi od mieszkańców głębin w swoich pragnieniach i uczynkach. Spodziewam się tam kłopotów, ale tych nie sposób uniknąć, można tylko je przewidzieć. Tyle wiem. Jesionno Córko Śmierci, kiedy będziesz czekać, rozglądaj się uważnie!

Wzięła Mądrusię w ramiona jak małe dziecko, skinęła głową najpierw Jesionnie, a potem w stronę ściany, gdzie wisiała kolekcja glinianych tabliczek.

– Dobrze wykorzystaj swój czas, dziewczyno. Nie wiem, jak długo będziesz wolna. Wezwę dla ciebie ochronę skrzydeł Przeznaczenia.

Odwróciła się szybko, a Jesionna pospieszyła za nią. Widać było, że Mądra Niewiasta postanowiła natychmiast odejść. Dziewczyna dreptała za swoją opiekunką i usiłowała wyjąkać pytania, które cisnęły się jej na usta. Zrezygnowała jednak, gdy rozumiała, że nie otrzyma odpowiedzi. Słowa Zazar miały w sobie coś ostatecznego. Czy chciała powiedzieć, że łącząca je więź, choć zawsze luźna, została teraz przecięta? Jak znaleźć właściwe słowa? W końcu Mądra Niewiasta odwiązała cumę łódki, którą tu przypląnęły. Jesionna odważyła się chwycić ją za rękaw i słowa wreszcie popłynęły z jej ust:

– Protektorko – nie wiadomo, skąd przyszło jej na myśl to słowo – więc chcesz się mnie wyrzec?

Zazar patrzyła na nią długo nieruchomym wzrokiem.

– W tym życiu robimy albo to, co chcemy, albo to, co trzeba zrobić. Ja teraz robię to, co trzeba. Miałaś wszystkie cechy, jakich mogłam pragnąć u dziewczyny, którą

wychowałam od niemowlęcia. Mogę ci tylko powiedzieć, że znów się spotkamy, lecz już nie jako nauczycielka i uczennica. Życzę ci szczęścia.

– Ja również życzę ci szczęścia, o Mądra – odparła Jesionna. Poczula się opuszczona i wstrząśnięta; przeczuwała, że grozi jej niebezpieczeństwo, a mimo to nie zaprotestowała, kiedy Zazar wsiadła do łódki i zaczęła odpychać się drągiem. Mądra Niewiasta także nie odwróciła się, żeby popatrzeć na Jesionnę, która odprowadzała ją spojrzeniem aż do chwili, gdy łódka dotarła do zatoczki prowadzącej do jeziora i zniknęła w oddali.

Mała flota Morskich Wędrowców płynęła dalej. Obserwatorzy dostrzegli pewną zmianę w zaporze z klifów chroniącej Bagna Bale– urwisty brzeg był teraz niższy. To tu, to tam klify się rozchodziły, jak gdyby zapraszały wędrowca, by schronił się w osłoniętej zatoczce. Kiedy Czytający-w-falach użył swojej lunety, zobaczył sporo otworów, jakby jaskiń, z których wypływała wezbrana, cuchnąca wodą, żeby skalać morze. Uciekinierzy mieli niebezpiecznie mało prowiantu. Zrozpaczeni zastanawiali się nawet nad zaatakowaniem tej niegościnniej krainy w poszukiwaniu żywności. A potem, na trzeci dzień po ataku ziemnowodnego potwora, marynarz na oku zauważył kołującą się wodę w pobliżu wybrzeża. Kiedy sternik podprowadził “Śmigłą Mewę” tak blisko brzegu, jak starczyło mu odwagi, przekonali się, że jest to ławica ryb, najwidoczniej rozszarpujących na strzępy jakąś zdobycz.

Nie potrafili ustalić, co te ryby żarły, i woleli o tym nie myśleć. Nie mogli wybrzydzać, kiedy śmierć głodowa groziła wszystkim. Po naradzie na “Śmigłej Mewie” i porozumieniu się z innymi statkami za pomocą chorągiewek sygnalizacyjnych ustalono, że grupa z okrętu dowódcy spróbuje zbliżyć się do wybrzeża Krainy Bagien, nie zważając na to, co się stamtąd wylewa. Sternik “Władcy Fal” zasygnalizował też, że widzi stadka ptaków i otwory w klifach, w których mogły one gniazdować. W ptasich gniazdach też można czasem znaleźć coś do zjedzenia. Dobrze byłoby wpłynąć do wąskiej zatoczki przed nimi, by zobaczyć, dokąd ona prowadzi.

Ciągnęli losy, kto z załogi wsiądzie do czteroosobowej łódki, która miała przeprowadzić zwiad. “Ptak Burzy”, największy i najpowolniejszy ze wszystkich statków, miał popłynąć na południe, a za nim bardziej zwrotne jednostki.

Obern nie był zaskoczony, kiedy wyciągnął sznurek z węzełkiem z misy do losowania, którą podawał kolejno wszystkim pierwszy oficer Hasse. Pomimo niepokoju i lęku, jakie obudził w nim potwór, którego o mało nie zabił, ciekawiło go bardzo, jaki też świat może się kryć za tymi klifami. Zastanawiał się też, czy tamto monstrum rzeczywiście stamtąd przybyło. Ucieszyła go możliwość sprawdzenia tego.

Wybrana w losowaniu czwórka zasiadła do wiosel małej szalupy. Dwaj z nich byli żeglarzami przyzwyczajonymi do pływania w takich łupinkach. Obern i wojownik imieniem Dordan, sierżant łuczników, posłuchali poleceń swoich doświadczonych towarzyszy i też chwycili za wiosła.

Wokół nich woda była aż gęsta od ryb, które odpłynęły szybko,; gdy łódź się

zbliżyła. Na dnie szalupy leżała w pogotowiu zwinięta sieć, a jeden z marynarzy był mistrzem w jej zarzucaniu. Skierowali się w stronę wzburzonego skrawka morza najszybciej jak mogli.

Zanim dotarli do celu, prąd morski przyniósł na ich kurs splecioną, matowozieloną masę, wielkości jednej trzeciej ich szalupy. Wystawały z niej cierniste, ostre gałęzie. Zwiadowcy zgodzili się, że ten kłęb musiał zostać oderwany od podstawy klifu. Dordan odepchnął go wiosłem. Po chwili wszyscy musieli szybko się uchylić, bo nie wiadomo skąd pojawił się olbrzymi ptak i zanurkował w powietrzu prosto na nich. Przez moment Obern myślał, że może to być taki sam latający stwór jak ten, który leciał za nimi w noc ucieczki. Ten ptak był jednak istotą z ciała i krwi, choć wielkim jak na drapieżnika. Budził strach swoim ogromem.

– Powinienem był się domyślić, że te ptaki są duże, skoro tak dobrze było je widać z daleka – mruknął jeden z marynarzy.

Rozpiętość skrzydeł napastnika była większa niż rozłożone ramiona Oberna. Z jego zakrzywionego dzioba wydarł się głośny wrzask, gdy tak krążył nad nimi. Gruba warstwa brudnoszarych piór pokrywała całe ciało ptaka oprócz nieprzyzwoicie nagiego, czerwonego łba, który przypominał Obernowi świeżo obdartą ze skóry czaszkę.

Na krzyk drapieżnika odpowiedział lecący w pobliżu drugi ptak. Starając się ustać na rozkołysanej łodzi, Dordan przygotował krótki łuk. Pierwsze ptaszysko wyciągnęło szpony, a jego wielkie skrzydła odbiły się w wodzie, kiedy zaatakował jednego z marynarzy. Napadnięty zamachnął się wiosłem, które jednak wypadło mu z rąk do wody. Dordan strzelił z łuku i wrzask bólu trafionego drapieżnika niemal zagłuszył świst cięciwy.

Obern zrozumiał, że ani żeglarski nóż, ani miecz na nic się tu nie zdadzą. Krążyły już nad nimi dwa ptaki, a trzeci szybko nadlatywał, żeby wziąć udział w bitwie. Obern trzymał mocno wiosło, chociaż omal nie stracił równowagi, kiedy pierwszy ptak runął do łodzi ze strzałą Dordana w piersi. Szalupa zakołysała się niebezpiecznie i byłaby się wywróciła do góry dnem.

Widząc los swojego pobratymca, drugi ptak gwałtownie skręcił, ale trzeci nie miał takich obaw i zaatakował ludzi z wielkiej wysokości. Celował w Dordana, jak gdyby zdawał sobie sprawę, że to on jest najgroźniejszym przeciwnikiem.

Łucznik miał przy gotowanej drugiej strzałę, ale zdychający drapieżnik uderzył go mocno skrzydłem, o mały włos nie wyrzucając za burtę. Unoszący się w powietrzu napastnik wrzasnął i Obern z całej siły zamachnął się wiosłem, prawie bez celowania. Trafił w wyciągniętą, nagą szyję ptaka. Omal nie wypuścił wiosła, gdy poczuł siłę tego ciosu, ale wydało mu się, że usłyszał trzask łamanych kości. Uderzony ptak, który leciał bardzo szybko, runął do morza z dala od łodzi. Lecz szalupa nabierała

wody. Marynarze starali się ją unieruchomić za pomocą pozostałych wiosł. Teraz, kiedy mieli czas, by się rozejrzeć, zobaczyli, iż rzeczywiście zbliżają się do klifu, choć nie pod takim kątem, aby trafić dziobem szalupy w ciemny otwór w skalnej ścianie. Zdychający ptak cały czas bił ich skrzydłami, a pozostałe dwa mogły w każdej chwili wrócić. Obern upuścił wiosło, wyciągnął miecz i zadał celny cios, choć łódź kołysała mu się pod nogami. Uderzał raz za razem, aż ptak znieruchomiał. Odwrócił się w odpowiedniej chwili, by zobaczyć stojącego w rozkroku, usiłującego utrzymać równowagę Dordana, który mierzył w ostatniego napastnika. Uderzony przez Oberna ptak pływał w pobliżu, rozłożone skrzydła unosiły go na powierzchni wody. Zgięta pod ostrym kątem paskudna głowa dowodziła, że syn Snollego złamał drapieżnikowi kark.

Dordan zaklął, kiedy jego strzała strąciła tylko złamane pióro. Ptak, uznając się za pokonanego, niechętnie zawrócił w stronę klifu. Jeden z marynarzy wyciągnął im spod nóg zabitego napastnika. Obern pochylił się, by mu pomóc. Tymczasem drugi marynarz i Dordan przygotowali się do zarzucenia sieci. Zręcznie pochwycili ciało drugiego ptaka i również wciągnęli do szalupy. Zmienili kurs najlepiej jak mogli, bo teraz trudno było sterować łodzią, kierując się w stronę spienionej wody, ich pierwotnego celu.

Podczas potyczki z olbrzymimi ptakami prądy morskie zniosły ich za blisko przyboju u podnóża urwistego brzegu. Szalupa kołysała się pod mocnymi uderzeniami fal, prawie niesterowna. Mimo to dwaj marynarze, Obern i Dordan, użyli wszystkich sił i umiejętności, żeby dotrzeć do miejsca morskiej biesiady. Było tam mnóstwo ryb, których nie zaniepokoiła tocząca się w pobliżu bitwa. O dziwo, to, co pożerały, nie utonęło pod kłębiącą się ławicą, lecz zdawało się unosić tuż pod powierzchnią wody. Coraz to kawał ich uczyty odrywał się od reszty i płynął w górę, żeby natychmiast zniknąć w pysku jakiejś ryby.

Nie udało im się zauważyć, co ryby tak łapczywie pożerają. Było to coś w rodzaju gąbczastej masy, w której ryby wyszarpywały wielkie dziury. Załoga łodzi unikała tego starannie podczas zarzucania sieci.

Połów okazał się tak ciężki, że Obern zapytał się w duchu, czy zdołają wrzucić do środka zawartość sieci, czy też będą musieli z trudem holować ją na statek. Wyteżając wszystkie siły, wysypali takie mnóstwo wijących się, srebrzystych ryb, że zakryły ciała zabitych ptaków. Nie odważyli się zarzucić sieci po raz drugi; już teraz szalupa była niemal za ciężka, by utrzymać się na wodzie. Fale lizały nadburcia i jeden z marynarzy zabrał się do wylewania wody, żeby łódź nie zatonała.

Obern nie wiedział, co z ich zdobyczy będzie nadawało się do spożycia ani jak duża część tego, co jadalne, okaże się smaczne. Cóż, pokarm to pokarm. Okazało się przy okazji, że wielkie ptaki to groźni przeciwnicy. No i nie wiadomo, jakie jeszcze

niebezpieczne stwory czekają za zaporą klifów. Obern z namysłem przyjrzał się skalnej ścianie, kiedy wracali na "Śmigłą Mewę". Dobrze się stało, że nie próbowali wysiąść na ląd. Bagna Bale to nieznana kraina – i nieprzystępna.

W komnacie na wieży panowała cisza i czas włókł się strasznie powoli. Ysa nie mogła znieść tego czekania i dręczących ją obaw. Jej umysł wzdragał się przed tym słowem. Przy stole gry nie ma miejsca na obawy, kiedy stawką jest królestwo. Nasunęło jej się inne słowo: kłopoty. Na myśl o nich poczuła tępy ból za oczami.

Wedle starożytnych zapisków jej wysłannik był odporny na większość niebezpieczeństw, chyba że... Poruszyła się w swoim wysokim krześle. Co ktokolwiek wiedział o Bagnach Bale oprócz tego, że to wodna pułapka, gdzie rządzi śmierć? A przecież ona musi poznać rezultaty tych poszukiwań, i to wkrótce.

Boroth. Pomimo jej niezmordowanych wysiłków widać było, że stan jego zdrowia pogarsza się coraz bardziej i że zbliża się dzień, kiedy mąż stanie się dla niej całkowicie bezużyteczny. Tego ranka, zanim zdołała zjeść śniadanie, odwiedzili ją dwaj z jego medyków, wygłaszając poważne ostrzeżenia. Podczas tej rozmowy patrzyli na jej ręce. Wiedziała, czego chcieli, ale nie odważyli się powiedzieć. Mieli ochotę spytać, czy to prawda, jak głosi przesąd, że Pierścienie władają nie tylko życiem monarchy, lecz także całego kraju. A może Ysa zwróciłaby je królowi? Było to niemożliwe, nawet gdyby tego chciała. Nie dysponując mocą Pierścieni, równie dobrze mogłaby szeroko otworzyć bramy zamku wszystkim chytrym wielmożom i pozwolić im grabić państwo do woli.

Harous. Nie tylko dla zabicia czasu skierowała na niego uwagę swoich szpiegów. Donieśli jej, że poluje, ale kierunek tego polowania sam w sobie był wyzwaniem. Ysa nie wątpiła, że pomimo wszystkich mylących manewrów pojechał w stronę skalistej krainy, bezpośrednio graniczącej z Bagnami Bale. Znow wróciła myślą do swojego wysłannika, Vispa. Miała mało czasu. Pozostać tutaj, kiedy wszyscy w zamku i w całym mieście wiedzieli o stanie zdrowia Borotha, to czyste szaleństwo. Zaufany towarzysz nigdy dotąd jej nie zawiódł.

Wstała, zeszywniała od siedzenia bez ruchu. Jeśli zaraz stąd nie wyjdzie, dworzanie znajdą ją sami, nawet w tej komnacie, którą zarezerwowała tylko dla siebie. Podeszła do wychodzącego na południe okna, gdzie migotała niezwykła tęcza, odgradzając królową od zewnętrznego świata. Podniosła ręce, ale nikt nie odpowiedział na jej gest.

W końcu opuściła obciążone Pierścieniami ręce. Jeżeli teraz zejdzie z wieży, może upłynąć dużo czasu, zanim będzie w stanie tu wrócić. Nie ośmieliła się jednak dłużej pozostać w swojej samotni. Zeszła na dół głównymi schodami znacznie spokojniej niż przedtem, pospiesznie wspięła się tajemnym wejściem.

Wychodząc, omal nie wpadła na mistrza Lorgana, najstarszego i najbardziej pewnego siebie z królewskich medyków. Spotkanie sprawiało wrażenie przypadkowego.

– Wasza wysokość jest potrzebna u łóża króla – powiedział Lorgan. – Moje obserwacje z tego ranka... no cóż, obawiamy się, że stan króla jest bardzo poważny. Przechodzi jakiś kryzys. Obecność waszej królewskiej mości... proszę o wybaczenie, ale jest niezbędna.

Uklonił się i Ysa zrozumiała, że musi dokonać wyboru; może półśrodek na razie wystarczy.

– Zaczyna medyku – odparła z odrobiną niepokoju w głosie, co było całkiem naturalne i dlatego przekonujące. – Jakie to szczęście, że cię spotkałam. Oczywiście, pójdę do komnaty króla. Jak mogłabym tego nie zrobić? Co więcej, myślałam o tym, co mi powiedziałaś dziś rano. Widziałaś ręce króla, prawda? – Wyciągnęła swoje dłonie, jak gdyby porównując je z rękami chorego męża. – Wyznam ci szczerze, że spróbowałam ponownie włożyć mu Pierścienie, ale nie zdołałam. Jeżeli nie da się wcisnąć Pierścieni na jego palce z powodu opuchlizny, może w jakiś inny sposób dałoby się użyć ich dla jego dobra? Taka próba na pewno mu nie zaszkodzi.

Weszła pierwsza do komnaty Borotha, gdzie tłące się na ognisku zioła nie mogły wyprzeć odoru zbliżającej się śmierci. Rzeczywiście, medyk powiedział prawdę. W półmroku zgromadzili się inni medycy i dworzanie; zeszli na bok, żeby królowa mogła wejść po schodkach na podwyższenie i stanąć przy wielkim łóżu.

Boroth leżał na plecach, z rozchylonymi ustami, a ślina moczyła jego zaniedbaną brodę. Oczy miał półotwarte, ale Ysa wątpiła, czy widzi, co się wokół niego dzieje.

– Panie mój. – Zdając sobie sprawę, że patrzają na nią stojący w półmroku dworzanie, pochyliła się i oburącz ujęła spuchniętą rękę Borotha, tak by Pierścienie dotknęły jego ciała. – Panie mój, na Dąb i Cis, na Jesion i Jarzębinę, nabierz sił! Na przysięgę, którą złożyłeś swemu krajowi, wezwij te wszystkie moce...

Król nagle otworzył szeroko oczy. Białka miał przekrwione, usta zaciśnięte. Odwrócił głowę na poduszce, żeby spojrzeć prosto na żonę.

W jego oczach było tyle nienawiści, że Ysa zachwiała się lekko i musiała oprzeć się o brzeg łóża. Nie puszczała jednak ręki Borotha. Czy mąż wybuchnie wściekłością przed tymi wszystkimi słuchaczami? Wiele ryzykowała, ale też nie miała wyboru. Król poruszył sinymi wargami, ale nie zdołał wydobyć z siebie głosu. Nie miała wątpliwości, że przeklina ją w duchu.

– Dębie i Cisie, Jesionie i Jarzębinie – powtórzyła dostatecznie głośno, żeby usłyszeli ją przynajmniej ci, którzy stali najbliżej. – Dodajcie mu sił...

Nie zdążyła jednak dokończyć tej prośby. Z ust Borotha wydarł się zduszony jęk, jak gdyby dusił go gniew, którego nie potrafił wyładować. Jego obrzmiałe ciało

zatrzęsło się, wyrwał rękę z uścisku żony z taką siłą, że królowa spadłaby z postumentu, gdyby nie zdołała uchwycić się w porę kolumnienki podtrzymującej baldachim łoża.

Chociaż Jesionna często krążyła sama po Bagnach, zawsze wiedziała, że ma swoje miejsce w chacie Zazar i dlatego czuła się bezpieczna. Teraz, gdy nabrała pewności, że nie może już tam wrócić, serce jej się ścisnęło. Przez jakiś czas nie zobaczy Mądrej Niewiasty i te dziwaczne ruiny będą jej jedynym schronieniem. Pozostała tam, gdzie była, na płaskich kamieniach przystani, zaglądając w szczelinę, gdzie Zazar właśnie wpłynęła łódką.

Dlaczego Mądra Niewiasta nie dała jej wskazówek co do dalszego postępowania? Jesionna zadrzała. Ostatnie wydarzenia tak bardzo się różniły od jej codziennych obowiązków, które od lat wykonywała; w dodatku resztki wielkiej budowli nie dodawały jej otuchy.

Poczuła, że coś ją szarpnęło za rajtuzy, i usłyszała cichy szczebiot. To stworzonko, które zostawiła jej Zazar, chciało zwrócić na siebie jej uwagę. Powoli, mając nadzieję, że zwierzątko po odejściu Mądrej Niewiasty nie jest do niej wrogo nastawione, Jesionna lekko pogłaskała małą główkę i zajrzała w oczy istotki.

Mądrusia znów zaszczebiotała i mocno szarpnęła Jesionnę. Dziewczyna zorientowała się, że jej nowa towarzyszka chce ją zawrócić od brzegu i skierować z powrotem do kamiennego labiryntu. Pod wpływem nagłego impulsu – trochę też dlatego, że po raz pierwszy w życiu poczuła się samotna – Jesionna wzięła Mądrusię w ramiona. Ku jej uldze zwierzątko pozwoliło na taką poufałość, nawet samo się przytuliło i zaczęło głaskać ramię dziewczyny zręcznymi łapkami.

Ostrożnie niosąc futrzany kłębek, Jesionna wróciła do schronienia, które pokazała jej Zazar, i dokładnie mu się przyjrzała.

Natychmiast zorientowała się, co musi zrobić najpierw. Ognisko nadal się paliło, ale już ledwo ledwo. Przypomniała sobie dziwną czarną skałę, której Zazar dokładała do ognia. Postawiwszy Mądrusię na podłodze, szukała tak długo, aż znalazła wysoki kosz pełen czarnych odłamków. Ostrożnie wzięła dwa takie kamienie i włożyła do ognia. Prawie od razu się zapaliły. Ciepło ogniska przegnało wszechobecny chłód i wilgoć.

Zaczęła powoli okrążyć salę. Mądrusia tymczasem przycupnęła przy ognisku, wyciągając ku ciepłu dziwnie podobne do rąk przednie łapki bardzo ludzkim gestem. W przeciwległym krańcu komnaty Jesionna odkryła coś, czego nigdy nie widziała w chatach Ludu Bagien. W podłodze tkwiła misa, a nad nią wystawała ze ściany rura z tego samego kamienia co zrujnowane mury. Z rury bez przerwy płynął strumyk wody.

Na wszelki wypadek dziewczyna sprawdziła tę wodę jednym z niezawodnych

ziołowych preparatów Zazar. Okazało się, że woda z kamiennej rury jest równie czysta i pachnąca jak ta, której używały w swojej chacie do picia i do mycia. Jesionna uznała, że nigdy w życiu nie piła smaczniejszej. Gdy rozejrzała się dalej, znalazła półki, które przedtem przeoczyła. Zbudowano je z kawałków gruzu, ale sprawiały wrażenie dostatecznie solidnych. Stały na nich wiklinowe pojemniki z mocnymi pokrywkami. Zagląając do nich na chybił trafił, Jesionna znalazła suszone zioła, których większość znała z widzenia. Za wysokim stosem mat do siedzenia i do spania odkryła gliniane talerze, pokryte rysunkami i symbolami o dziwnych kształtach.

Jesionna wzięła kilka talerzy i podeszła do ogniska. Podczas swoich poszukiwań z pewnym zaskoczeniem stwierdziła, że w komnacie nie ma okien. W takim razie dlaczego było w niej niemal tak jasno jak na zewnątrz? Podniosła oczy i zobaczyła gładkie, wypolerowane kawałki kości, umocowane we wszystkich szczelinach w murze. Wyglądało na to, że świeciły własnym światłem, ale zdawały się rozjarzać, kiedy padał na nie blask ogniska. Powinno ją to przestraszyć. Na pewno nic takiego nie istniało w znanej jej części Bagien, tak samo jak ta masa ociosanych kamieni wokół niej.

A jednak z wdzięcznością przyjęła to światło. Wyjęła ze swojej sakwy suszone owoce dzikiej róży i gotowane jaja lupporsa wraz z pakietem podróznego prowiantu – orzechów i suszonych jagód wymieszanych z małymi kawałkami wędzonego mięsa lupporsa.

Mądrusia zapiszczała. Jesionna podniosła wzrok i zobaczyła, że zwierzątko szeroko otwartymi oczkami wpatruje się w worek i oblizuje pyszczek. Dziewczyna z uśmiechem położyła garść mieszanki na talerzu przed nim.

Mądrusia przykucnęła przed poczęstunkiem, obiema łapkami podniosła niewielką porcję i zaczęła jeść, na wszelkie sposoby okazując, że uważa to za przysmak. Jaj lupporsa nie można długo przechowywać, więc Jesionna przeznaczyła je na dzisiejszą kolację. Z zainteresowaniem obejrzała znalezione talerze. Nie pomyliła się. Nie były z gliny, chociaż tak wyglądały, ale ich pokryte napisami powierzchnie różniły się w dotyku. Jesionna nie wiedziała, z czego je wykonano, ale to symbole na naczyniach skupiły teraz jej uwagę.

Zazar nauczyła ją rozumieć wiele znaków, które można było znaleźć w prywatnej bibliotece Mądrej Niewiasty. I tak jak przedtem w zapiskach Zazar, tak teraz dziewczyna rozpoznawała wiele znaków na znalezionych talerzach. Ale co jakiś czas trafiała na fragment tak odmienny, że chociaż przesuwiała po nim palcem, niczego nie mogła zrozumieć.

Nie były to receptury balsamów ani zapisane metody leczenia różnych chorób i obrażeń, tak jak na talerzach Zazar. Sprawiały raczej wrażenie – Jesionna była pewna, że ma rację – zapisu myśli, jak gdyby ci, którzy to sporządzili, starali się zachować

wiedzę innego rodzaju. Coraz bardziej fascynowała ją ta zagadka. Nie zdawała sobie nawet sprawy, że Mądrusia odeszła cicho po posiłku ani że ognisko prawie zagasło, dopóki nie zadrżała z zimna. Dopiero wtedy podniosła głowę, oszołomiona, jakby obudziła się z głębokiego snu.

Czy gasnący ogień stanowił ostrzeżenie? Nagle czujna, Jesionna wstała. Wszystkie płytki z kości świeciły i snopy światła strzelały z nich prosto w górę, przedzierając się przez pęknięcia w resztkach dachu. Nie wiedząc, czemu to robi, dziewczyna wyciągnęła nóż. Nie usłyszała z zewnątrz żadnego głosu ani tupotu ciężkich kroków na kamiennej podłodze.

A jednak wyczuła czyjąś niepokojącą obecność. Ktoś – lub coś – niewątpliwie stanowił zagrożenie – i na pewno się zbliżał! Za ledwie uznała, że jej odczucie jest prawdziwe, kiedy rozległ się wrzask, tak wysoki, że prawie na granicy słyszalności. Dotarł z góry, z zewnątrz. Jesionna podeszła do wejścia do zrujnowanej komnaty. Na pewno było to wołanie żywej istoty, okrzyk bólu i strachu. Podniosła odłamek kamienia i trzymając go w jednej ręce, a nóż w drugiej, wyszła w nocny mrok, prawie wbrew woli pragnąc zaradzić cierpieniu brzmiącemu w tym okrzyku.

Dotarła do wielkiej kamiennej figury leżącej twarzą do ziemi. Zmierzch już dawno ustąpił miejsca nocy, ale kamienie wokół Jesionnej świeciły podobnym, choć słabszym blaskiem niż rozjarzone pręty w środku, widziała więc dość dobrze, by bez kłopotów iść po nierównej powierzchni.

Mądrusia jednym skokiem znalazła się przed dziewczyną, podbiegła bliżej i znów szarpnęła za rajtuzy, nakłaniając z niespokojnym piskiem, by poszła za nią. Prowadzona przez swoją towarzyszkę, wychowanka Zazar okrążyła głowę zwałonego posągu i zobaczyła, że na ziemi leży jakieś stworzenie, macha skrzydłami, ale najwidoczniej nie może wznieść się w powietrze. Mądrusia pociągnęła ją bliżej do stworzenia.

Jesionna zawahała się. Wołała nie dotykać nieznanego zwierzęcia. Na Bagnach było wiele śmiertelnie niebezpiecznych form życia, choć niektóre wcale na to nie wyglądały. Lecz ta nocna istota na pewno była za mała, by zagrozić dziewczynie, która wyostrzonymi zmysłami wyczuwała jej ból i strach.

Jesionna odrzuciła kamień, włożyła nóż do pochwy i osunęła się na kolana. Mądrusia, wciąż popiskując, przykucnęła z drugiej strony rannego stworka, gdy dziewczyna wyciągnęła do niego rękę. Zwierzę odtrąciło jej dłoń machnięciem skrzydła, ale Jesionna nie rezygnowała. Mądrusia podkradła się bliżej i powtórzyła przednią łapką gest dziewczyny. O dziwo, wywarło to uspokajający wpływ na stworzenie, które zaprzestało niepotrzebnych prób zerwania się do lotu, a wreszcie znieruchomiało, gdy Mądrusia nachyliła się jeszcze niżej i zaszczębiotała pełnym troski, pocieszającym tonem.

W tym słabym świetle Jesionna uznała ranne stworzenie za ptaka, Ale kiedy stworek się uspokoił, dotknęła go i wyczuła futerko. Porośnięty sierścią, a mimo to skrzydlaty! Następna niespodzianka Bagien Bale. Podniosła go ostrożnie, nie wiedząc, jakie odniósł obrażenia. Musi przyjąć osąd Mądrusi – że jest to nieszkodliwa, potrzebująca pomocy istota.

Pazurzaste łapki podrapały jej nadgarstki i znów usłyszała, teraz znacznie wyraźniej, przeciągłe zawrozczenie, które ją tutaj sprowadziło. Tuląc do siebie skrzydlatego stworka, ruszyła z powrotem do swojego schronienia. Mądrusia gramoliła się za nią. Ale kiedy dotarły do wejścia, towarzyszka Zazar – przyjaciółka? służka? – nagle zastąpiła dziewczynie drogę, chociaż nigdy dotąd się jej nie sprzeciwiała.

Znów zapiszczała nagłaco i pociągnęła Jesionnę za ubranie, jak gdyby chciała, żeby ta zniżyła się do jej poziomu. Dziewczyna posłusznie uklękła, choć z pewnym trudem, bo ranne stworzonko znów zaczęło się słabo szamotać. Mądrusia przybliżyła się do niego i wydała serię wysokich dźwięków. Ranny stworek przestał walczyć. Mieszkanka ruin wspięła się najwyżej jak mogła na tylne łapki i wysunęła do przodu okrągłą główkę o dużych uszkach. Dziewczynie wydało się, że Mądrusia dmucha na małe, skrzydlate ciało. Robiła to przez długą chwilę, a potem podniosła wzrok na Jesionnę. Jej duże, okrągłe oczy błyszczały, jakby jednocześnie emanowały światło i je odbijały. Teraz Mądrusia znów ruszyła w kierunku wejścia, dając dziewczynie do zrozumienia, by za nią poszła. Ranny stworek zachowywał się teraz spokojnie, chociaż Jesionna wyczuwała szybkie bicie jego serca.

Kiedy znaleźli się w pełnym świetle wewnętrznej komnaty, które wydawało się jeszcze jaśniejsze po niezwyklej, mglistej emanacji ruin, Jesionna po raz pierwszy ujrzała wyraźnie, co trzyma w ramionach.

Stworzonko było malutkie; kiedy otuliło skórzastymi skrzydłami porośnięte puszkciem ciało, bez trudu mieściło się w dłoniach dziewczyny. Podobnie jak u Mądrusi, jego przednie łapki zdawały się zastępować ręce. Główkę miało zaokrągloną, a uszy stosunkowo duże. W równie dużych oczach, które na nią patrzyły, dostrzegła czerwonawe błyski. Między nimi sterczał długi pyszczek, lekko rozchylony, bo zwierzątko dyszało ciężko.

Miało w sobie coś tak wzruszającego, że chciało się pogłaskać jego miękkie futerko i próbować ukoić strach, który dziewczyną wciąż wyczuwała. Usadowiła się przy ognisku i dokładnie obejrzała całe ciało i skrzydełka, lecz nie dostrzegła żadnych widocznych obrażeń. Kiedy to robiła, istotka wyraźnie się odprężyła.

Od razu uznała, że ten stworek nie może jej zrobić nic złego. Jak tylko go puściła, ulokował się na jej kolanach i najwyraźniej czuł się tam jak u siebie. Kiedy Jesionna go głaskała, patrzył na nią wielkimi oczami niemal błagalnie. Nabrała pewności, że

tak jak przedtem Mądrusia, tak teraz on chce ją do czegoś nakłonić. Ale do czego? Żeby go uwolniła? Być może. Chociaż nie widziała żadnych ran, zwierzak najwidoczniej przybył tutaj wbrew woli. Jeśli znów wyniesie stworzonko na zewnątrz, może w ten sposób skazać je na śmierć, jeśli się okaże, że jednak miało jakieś obrażenia.

Przysunęła sobie matę i przeniosła na nią spokojnego teraz skrzydlatego gościa. A może jest głodny? Znów pogrzebała w swojej sakwie i poczęstowała stworka garścią pożywnej podróżnej mieszanki suszonego mięsa i jagód. Pochylił główkę, powąchał dar i okazując takie samo zadowolenie, jak przedtem Mądrusia, zaczął jeść, używając do tego łapek.

Dziewczyna obserwowała go. Czy to jakaś nowa niespodzianka Zazar? Mądrusia od razu zaakceptowała tego malca. No cóż, ona, Jesionna, może tylko czekać i patrzeć. Pewnie rano go wypuści i pozwoli mu wrócić do jego własnego schronienia.

Ułożyła trzy maty jedna na drugiej, a z drugiego stosu wybrała jeszcze jedną, bardziej miękką, jako nakrycie, i zwinęła się w kłębek do snu. Zwierzątko skończyło jeść, zwilżyło przednie łapki długim jęczyzkiem i zaczęło myć pyszczek. Potem podskoczyło, unosząc skrzydła i ulokowało się przy ramieniu dziewczyny, mruczając cicho, od czego zachciało jej się spać. Mądrusia, również mruczając, przytuliła się do jej drugiego boku.

Królowa Ysa przywarła do kolumnienki łoża, ale zaraz odsunęła się od niej, nie przyjmując niczyjej pomocy. Na jej znak medycy pospieszyli do Borotha. Królowa nie może okazać słabości przed zgromadzonymi w komnacie dworzanami. Odwróciła głowę i przemówiła do stojącego najbliżej, niższego rangą medyka.

– Idź i znajdź jego wysokość. Niech książę Florian zaraz tu przyjdzie! – Nie odrywała oczu od wielkiego łoża. Wygląda na to, że przyszedł kres na króla – a to jest za wcześnie! O wiele za wcześnie. Od dawna przewidywała, że to się stanie, przygotowywała się do tego, ale wszystkie te przygotowania wydały się jej teraz niewiele warte.

Pierścienie ciążyły jej na palcach jak kajdany. Zmusiła się, by rozejrzeć się po komnacie. Większość obecnych skupiła uwagę na łożu i na leżącym w nim mężczyźnie. Ysa musi się dowiedzieć, kto był u króla tej nocy.

Z ponurą miną przyjrzała się członkom tego posępnego zgromadzenia, jednemu po drugim. Pięciu wazelinarzy, którzy starali się rzucić w oczy, kiedy tylko mogli coś na tym zyskać. Spojrzała na nich lekceważąco. Pójdą za każdym, kto będzie miał władzę. Ale nie można lekceważyć następnego. Royance'a. Musiał otrzymać wieści o ciężkim stanie zdrowia króla, zanim wrócił do swoich włości. I jak należało, pozostał w pobliżu. Miał siłę i stanowczość, które mogą okazać się dla niej nieocenione, gdy będzie potrzebowała jego poparcia – jeśli w ogóle mu zaufa. Przypomniała sobie o sojusznikach Domu Dębu. Rozpoznała członków Rady Królewskiej, rzadko widywanych poza jej sesjami. Tam, bliżej łoża, stał Valk, a ten zawsze pozostanie jej zaciętym wrogiem. I dwaj jego poplecznicy, chociaż nie odgrywali roli w żadnym dostojnym zgromadzeniu.

Ale Jakar i Liffin... Zacisnęła usta. Tak, nowiny rozeszły się zaledwie kilka obrotów klepsydry wcześniej, przed ich przyjazdem ze zbrojnymi orszakami. Oni też byli członkami Rady, ale Ysa ich nie wezwała, a Florian nie miał dość rozumu, żeby to zrobić. Może zasugerował mu to jakiś przebieglejszy od niego kompan.

Tak, to jest niebezpieczne. Za wcześnie, królu.

Boroth dyszał głośno i ciężko. Lorgan chciał nakłonić króla do wypicia napoju pośpiesznie przyrządzonego przez jednego ze swych pomocników, ale płyn wylał się z ust chorego i zmoczył mu brodę. Boroth machnął ramieniem i czara upadła na podłogę, rozlewając zawartość.

Król jeszcze raz otworzył przekrwione oczy, poszukał wzrokiem żony i już go od

niej nie oderwał. Podniosła pięści do ust, tak by jej oddech przechodził ponad Pierścieniami w stronę Borotha. To przyszło za wcześnie – och, niech te legendarne przedmioty powstrzymają śmierć i nie dadzą królowi umrzeć tej nocy.

– Dębie – powiedziała głośno – Cisie, Jesionie i Jarzębino, dajcie siłę swoich korzeni temu, kto przysiągł wam służyć! – Boroth nadal patrzył na nią w milczeniu, ale z taką wściekłością, że mógłby przyszpilić ją do ściany. Popatrzyła na jego grube palce, obmacujące pościel. Dobrze wiedziała, czego szukał, ale nie odważyła mu się tego oddać – nie teraz, kiedy mężczyzna, który złożył przysięgę na Pierścieniu, nie nadawał się do niczego, kiedy już umarł i został pogrzebany, uwięziony w tym tłustym ciele. Co by to dało, nawet gdyby udało się ponownie wcisnąć Pierścienie na palce króla?

Boroth kaszlnął, zakrztusił się i zaczął szybciej oddychać. Lorgan rozchylił poplamioną koszulę nocną władcy, odsłaniając porośniętą gęstymi włosami klatkę piersiową, by zastosować jakąś desperacką metodę leczenia.

Ysa wyczuła w komnacie czyjąś obecność; zachowanie przybysza raziło tek, jak beknięcie w katedrze.

– Więc staruszek wydaje ostatnie tchnienie? – Florian chwiejnym krokiem podszedł do matki, buchał od niego odór wina i smród niemytego ciała. Uśmiechał się szeroko, patrząc na gorączkowe wysiłki Lorgana.

Ysa poczuła w ustach gorycz, jak zawsze, gdy musiała mieć do czynienia ze swoim synem. Pomimo jej wysiłków nie umiał nawet grać roli jedynego dziedzica swego domu. Pewnie będzie się zachowywał tak samo nieodpowiedzialnie, kiedy już zasiądzie na tronie Rendelu.

Florian nie był już tłuściutkim dzieckiem, choć jego zgrabne ciało i twarz o miłych rysach jeszcze nie zdradzały śladów hulaszczego trybu życia. Królowa nie mogła tego jednak powiedzieć o jego umyśle. Boroth w młodości przynajmniej był dość bystry. Kiedy był w wieku tego głupka, zapewnił sobie posłuszeństwo najpotężniejszych wielmożów, poślubił ją, zdobył jej szacunek i nawet miłość – na jakiś czas. To znaczy do chwili, gdy jasno okazał, jak niewiele dla niego znaczy, że widzi w niej tylko matkę swoich dzieci. A potem jej miłość umarła, Ysa zaś dopilnowała, żeby wszystkie wysiłki Borotha zmierzające do spłodzenia potomstwa zakończyły się niepowodzeniem, oprócz tego jednego, prostackiego syna.

Tak, Boroth niegdyś był przebiegły, inteligentny i miał nawet pewien szorstki urok, który zjednywał mu ludzi. Ale dużo czasu minęło od dnia, kiedy zajął swoje miejsce w świecie. Zwłaszcza odkąd ta dziwka... Nie, nie myśl o tym teraz, nakazała sobie surowo w duchu. Przeszłość minęła, liczy się teraźniejszość, a ta jest niebezpieczna. Wiedziała jedno – jeśli Boroth umrze tej nocy, Pierścienie przejdą w ręce smarkacza, który stał przy niej, krzywiąc złośliwie usta, gdy patrzył na swego

ojca, króla Rendelu.

Gdybyż tylko legendy mówiły prawdę! Pierścienie podobno nie mogą znieść niegodnego władcy, ani takiego, który nie dba o bezpieczeństwo swego kraju. Zaakceptowały ją, ale czy uznają Floriana? A jeśli nie– wzięła głęboki oddech – będzie to koniec wszystkiego, co, jak wiedziała, należy utrzymać.

Nie odważy się podjąć takiego ryzyka. Boroth musi żyć chociaż trochę dłużej.

Florian miał pełne wargi, jak jego ojciec, zawsze wilgotne i lekko obwisłe. Przesunął teraz ręką po ustach i spróbował się wyprostować.

Może budził się z zamroczenia alkoholowego, z którego wyciągnięto go siłą.

– On umiera? Król, mój ojciec, umiera? – Nie zadał tego pytania medykwowi, lecz jakby oczekiwał odpowiedzi od wszystkich zgromadzonych.

Royance stanął obok Ysy i jej syna.

– Niech wasza wysokość nie rozpacza. Król oddycha, a jego serce bije, a więc jeszcze żyje.

Florian zachichotał i odwrócił się do królowej.

– Oddech i życie, prawda? A ty, moja matko, starasz się to utrzymać. Oddaj mi je!

Sięgnął ku dłoniom królowej, która podniosła je, żeby wszyscy zobaczyli na nich magiczne Pierścienie, ale nie zdołał ich dotknąć. Wydawało się, że jego palce uderzyły w twardą przeszkodę. Florian potknął się i byłby upadł, gdyby Royance go nie podtrzymał. Ysa przypomniała sobie w tej chwili, że Boroth usiłował wepchnąć jej rękę w płomień świecy i nie zdołał tego zrobić.

Florian zbladł, a w jego oczach zapłonęła ta sama wściekłość, co wcześniej u króla. W owej chwili wszyscy zrozumieli, że książe jest nieodrodnym synem swego ojca.

– Żadna kobieta nie ma prawa... – zaczął podniesionym głosem.

Musi przejąć kontrolę, i to natychmiast.

– Panie Royance, książe jest zaniepokojony stanem jego królewskiej mości.

Royance skinął głową. Jako przewodniczący Rady Królewskiej wiedział, że przedłużanie tego niestosownego epizodu przed takim zgromadzeniem narazi niepewny pokój między zwaśnionymi domami.

Szybko odciągnął Floriana od jego matki.

– Widać, że niepokój o zdrowie króla bardzo przygnębił waszą wysokość – powiedział dyplomatycznie. Zwrócił się do tego samego pomocnika lekarza, który wcześniej służył Lorganowi. – Zechciej, proszę, przynieść napój uspokajający dla księcia. Nie czuje się dobrze, a potrzebuje wszystkich swoich sił.

Ysa spodziewała się, że rozszłoszczony Florian wybuchnie, ale ku jej zaskoczeniu i lekkiemu zaniepokojeniu książe wypił podany mu napój.

Mimo to królowa nie osłabiła czujności. Florian próbował zawładnąć

Pierścieniami i spotkał się z odmową, nie jej, lecz ze strony zawartej w nich mocy. Nawet po latach badań i doświadczeń nie mogła zrozumieć, co to znaczy. Boroth umierał; zgodnie ze zwyczajem jego następcy musi od razu przejąć Pierścienie i w ten sposób cały kraj. Czy zdoła to zrobić, gdy król rzeczywiście wyzienie ducha? Czy Pierścienie trzymały się jej teraz, ponieważ była najsilniejsza i zdeterminowana nie dopuścić do upadku Domu Dębu i jego wszystkich sprzymierzeńców? Czy też naprawdę wybrały ją na władczynię, chociaż w całej historii Rendelu nigdy nie rządziła królowa, która nie urodziła się do tej roli? Musi lepiej poszukać w swoich księgach, by znaleźć rozwiązanie tej zagadki.

Kiedy to wszystko się działo, naczelny medyk kontynuował zabiegi polegające na przystawianiu rozgrzanych naczyń do obrzmiałej klatki piersiowej Borotha.

Chorego władcę oparto na stosie poduszek i wydawało się, że łatwiej teraz oddycha. Lorgan odszedł na bok, a kiedy Ysa spojrzała na niego, skinął głową. Skłonił się przed królową, a następnie przed Florianem.

– Wasza królewska mość, wasza wysokość... i wy, panowie – zwrócił się też do zgromadzonych w komnacie dworzan. – Wydaje się, że kryzys minął. Z powodzeniem odciągnęliśmy złe humory, przynajmniej na razie, i siły witalne króla rosną. Jego królewska mość potrzebuje spokoju i odpoczynku...

Była to wyraźna aluzja i Ysa szybko ją podchwyciła.

– Panowie, wasza troska wiele znaczy – rzekła, zwracając się do czekających w komnacie. – Możecie być pewni, że król będzie czujnie strzeżony i że w razie potrzeby natychmiast was wezwę.

Wszyscy widzieli Pierścienie połyskujące na jej palcach; w owej chwili to ona wydawała rozkazy. Usłyszała pomruki, jednak nikt otwarcie się nie sprzeciwił wypowiedzianemu cichym głosem, lecz stanowczemu poleceniu i zebrani zaczęli opuszczać komnatę. Ysa niecierpliwiła się, żeby wrócić do komnaty na wieży do swoich ksiąg, czekać na Vispa i nowiny, jakie przyniesie. Musi tam się znaleźć jak najprędzej. Royance wziął Floriana za ramię.

– Proszę pójść ze mną, wasza wysokość. Jesteś wyczerpany nerwowo, panie. Musisz odpocząć, bo niebawem wiele będziesz musiał z siebie dać dla dobra naszego kraju i naszego ludu.

Florian miał obojętną minę. Nie spojrzał ani na ojca, ani na matkę, tylko pozwolił się wyprowadzić z królewskiej sypialni. Ysę zastanowiła jego dziwna uległość – jeszcze jedno zmartwienie, które nie da jej spokoju – ale przypisała ją działaniu napoju uspokajającego. Lorgan mógłby stać się jednocześnie sojusznikiem i świadkiem. Jeszcze raz podeszła do wezgłowia łoża i wypowiedziała rytualną formułę Pierścieni. A później zwróciła się do naczelnego medyka.

– Mistrzu Lorganie, w królestwie jest wiele pilnych spraw do załatwienia. Ale w

razie potrzeby wezwij mnie natychmiast.

Pochylił głowę i Ysa odeszła sztywno, bo od napięcia nerwowego ostatnich godzin rozbolało ją całe ciało. Musi zrobić to, co konieczne.

Morscy Wędrowcy już nie rozmawiali o drugiej wyprawie na ląd; jedna wystarczyła, chyba żeby znowu zagroziła im śmierć głodowa. Ani ptasiego mięsa, ani ryb nie sposób długo przechowywać, więc Snolli rozdzielił je między pobratymców na wszystkich statkach, żeby spożyli jeden porządny posiłek. A potem znów zacisnęli pasy, mając nadzieję, że ci, którzy wyruszyli pierwsi, może również znaleźli jakiś prowiant.

Mała, złożona z pięciu statków flota rozciągnęła się w szeregu, porozumiewając się ze sobą za pomocą chorągiewek sygnalizacyjnych za dnia i latarni z odbijającymi światło tarczami w nocy. Płynęli śladem "Ptaka Burzy", stopniowo go doganiając. Do czasu, gdy opłynęli długi, zakrzywiony, południowy cypel i naprawdę popłynęli na wschód, mieli "Ptaka" w polu widzenia.

Trzeciego dnia po powrocie Oberna na "Śmigłą Mewę" głębokie tony sygnałnego rogu wezwały najwyższych rangą wojowników na wąskie miejsce zebrań w pobliżu dziobu. Obern jak zwykle zajął miejsce za plecami ojca. Wśród ludzi już rozeszły się pogłoski, że jakieś ważne przesłanie dotarło z płynącego przed nimi statku, który ledwie majaczył w porannej mgle.

– "Ptak Burzy" – oświadczył teraz Snolli – zauważył przejście między rafami, prowadzące do Jesionowa. Marynarze zameldowali, że dostrzegli jeden statek w porcie wewnętrznym. Podpłyniemy tam tak szybko, jak pozwoli na to wiatr i zobaczymy, co tam na nas czeka. Kiedy opuściliśmy Vold, nie otrzymaliśmy od Dorocznych Kupców żadnych wieści, że ten zamek zajął któryś z wiecznie skłóconych rendeliańskich wielmożów. Lecz musimy być przygotowani i na taką ewentualność. Kiedy tylko zobaczymy port, pokład musi być pusty, gotowy do działania, choć nasi ludzie będą stłoczeni w ładowni.

Przynajmniej wiatr im sprzyjał tego ranka, nawet mgła zaczęła się podnosić. Już nie pełzli irytująco powoli wzdłuż niebezpiecznego wybrzeża. Kiedy pozostawili w tyle Bagna Bale, fali już nie plamiły tamtejsze ciemne wody. Obern z mieszanymi uczuciami obserwował znikające w oddali klify. Jego spotkanie, choć krótkie, z tym, co tam mogło się ukrywać, było ostrzeżeniem, które rozpoznałby każdy intruz. Jednocześnie jakaś częśćka jego istoty nadal zastanawiała się nad tym, co się znajduje za tamtą skalną ścianą i jakie inne potwory mogą wyłonić się z licznych szczelin i jaskiń.

Nie biorący udziału w walce posłusznie zeszli do ładowni, a wojownicy przygotowali się najlepiej jak mogli na zatłoczonym pokładzie, by w razie potrzeby

stanać do boju, gdy dotrą do celu. Czekanie – i patrzanie – na nieznane zawsze podniecało wojowników. Obern zdał sobie sprawę, że dotyka rękojeści miecza Rinbella i wyciąga nóż z pochwy, żeby zaraz go wsunąć z powrotem, a wszystko to z nerwowego napięcia. Chcąc przedostać się przez rafy, musieli wypłynąć dalej na morze. Jego ojciec i kapitan Narion naradzali się nad tym kilkakrotnie.

Snolli trzymał w ręku jeden ze skarbów swego domu – pręt zakończony z jednej strony małą soczewką. Można było patrzeć przez nią z jednej strony i wtedy to, co leżało daleko, nagle bardzo się przybliżyło. Nikt nie miał pojęcia, kto wymyślił takie чудо, wiedzano tylko, że dotarło do Voldu dawno temu jako łup lub towar wymienny.

Naczelny wódz zawołał coś i podał lunetę kapitanowi Narionowi, który patrzył chwilę, a potem głośno wydał rozkazy. Marynarze zerwali się, wprawnie zmienili ustawienie żagli i “Śmigła Mewa” prześlizgnęła się przez przejście w rafie jak dziewczyna biegnąca w ramiona ukochanego.

Obern, nawet bez pomocy takiego przyrządu, zobaczył najpierw jeden z ich statków, a potem jeszcze dwa płynące bezpiecznie; trzeci zbliżał się, a ostatni czekał na swoją kolejkę. Dotarli do celu – przynajmniej na taką odległość, że mogli wysłać łódź na zwiady i dowiedzieć się, czy coś im grozi.

Ale ich mała flota połączyła się dopiero po zachodzie słońca. Snolli postanowił odwiedzić “Ptaka Burzy” i zręcznie zsunął się do czekającej małej łódki. Obern udał się za ojcem. Fakt, że naczelny wódz przedsięwziął taką wyprawę w nocy, przypomniał im o własnych potrzebach. Tego dnia, zanim wpłynęli do zatoki, wszyscy z wyjątkiem kobiet i dzieci byli głodni. Na ciągnięte za statkiem wędziska nie złapała się ani jedna ryba, a ostatnie ze starannie zgromadzonych zapasów z Voldu już się skończyły.

Wioślarze poprowadzili łódkę przez wody zatoki do większego statku, na którym osłonięta tarczą latarnia wskazywała im drogę. Obern spojrzał na ląd. Widział tylko złowrogie fale przyboju rozbijające się o rafy. To był port zewnętrzny. Gdzieś poza tym niebezpiecznym labiryntem znajduje się bliższe, niegdyś wielokrotnie używane przejście, za którym cumował statek dostrzeżony z “Ptaka Burzy”.

Jeszcze raz odbyła się narada w blasku latarni. Wśród kapitanów przybyłych na to spotkanie był pewien mężczyzna, którego Obern nigdy dotąd nie widział. A przecież dobrze znał takich jak on. Był to jeden z Dorocznych Kupców, luźno sprzymierzonych z Morskimi Wędrowcami. Obern odprężył się, choć tylko trochę. Kupcy nie byli wrogami. W każdym razie dotychczas.

Jego ojciec powitał nieznajomego, wyciągając rękę. Kupiec przyłożył do niej rozwartą dłoń.

– Życzę ci dobrych dróg i otwartych mórz, kupcze Stansław – powiedział na

powitanie Snolli.

Chudy, ciemnoskóry mężczyzna odpowiedział równie serdecznie.

– Oby los dał ci to samo, panie Snolli. Twój kapitan przekazał mi złe wieści. Na północy znowu wojna...

– Cały czas – odrzekł szorstko wódz naczelny. – Już nie znajdziesz jarmarku w Voldzie lub w Shater, Dosie czy w Jupte. Ruiny. Tylko tyle z nich pozostało. Tłące się ruiny.

Kupiec skinął głową.

– Niestety, naszemu światu grozi niebezpieczeństwo. Na Wyspach Zewnętrznych mówi się, że z czasem nawet ziemia i morze powstaną przeciw ludziom, jeśli nie zakończymy naszych sporów. A przecież nawet półgłówek nie próbowałby zadawać się z mieszkańcami tych skutych lodem krain. Jednak wy przybyliście do niewiele lepszego miejsca. Pamiętajcie, że was ostrzegałem. – Machnął ręką w stronę ładu. – Jesionowo stoi przed wami otworem; przynajmniej w tym los wam sprzyja. Natomiast sam Rendel przypomina kocioł z wrzącą wodą. Mówi się, że król Boroth leży na łożu śmierci. Krajem rządzi teraz jego królowa, lecz dumni rendeliańscy wielmoże niechętnie klękają przed kobietą i odbywają z nią narady. A następca tronu jest niewiele wart. Kiedy Boroth spocznie w grobie – ach, wtedy, mój przyjacielu, zobaczycie kraj skąpany we krwi, a jeden wielmoża będzie walczył ze swoim sąsiadem lub z sąsiadem tego sąsiada, by przyłączyć jego włości do swoich.

Snolli roześmiał się.

– Wesoło nas witasz, Stanslawie. Przybywamy z wojny, by znów stawić jej czoło. A przecież musimy mieć własny port i chcemy utrzymać ten oto.

Kupiec uśmiechnął się szeroko.

– Jak inaczej mógłby powiedzieć władca mórz? W jednym mogę wam pomóc. Moja własna “Gallica” stoi na kotwicy w fosie jesionowskiego zamku. Tam nikt nie powita was z mieczem w dłoni.

Snolli miał pytania. Wszyscy uważnie wysłuchali odpowiedzi kupca.

– Tak, sam zamek nie został zniszczony. Ma mocne fundamenty i nie mogli sprowadzić takich machin wojennych, by rozwalić mury, podobno zdobyto go zdradą. Są tacy, co żywią głuchą i zawziętą nienawiść przeciw Domowi Jesionu, a wiele opowieści wyjaśnia jej powody. Można wybierać do woli. Ale teraz to już nie ma znaczenia. Możecie tam wejść i bronić się w razie potrzeby. I jeszcze jedno – żaden sąsiad nie zawładnął równiną poza zamkiem. Wydaje się, że kiedy już obalili Dom Jesionu, nie chcą niczego więcej. To żyzna ziemia i żyje tam wiele dziczyłych zwierząt, bo członkowie Rodu Jesionu byli znanymi hodowcami. A więc bądź spokojny... – na razie, przyjacielu Snolli.

Rano cała flota, prowadzona przez Stanslawę, łatwo dotarła do portu

wewnętrznego, w pobliżu którego wykopano fosę, i wreszcie mogła zarzucić kotwice. Najszybciej jak tylko mogli wyszli na brzeg. Obern na widok wysokich, mocnych murów zamku i pięknego portu w dole uwierzył, że los znów się do nich uśmiechnął.

Stanslaw nie tylko wskazał im drogę do Jesionową, lecz także ofiarował prowiant wygłodzonym uciekinierom, zanim ruszył w dalszą podróż. Pokrzepieni, wszyscy chętnie pracowali w następnych dniach, wyładowując ze statków to, co zdołali uratować, i zagospodarowując opuszczony zamek i otaczające go miasteczko.

Przez następne dni myśliwi i nieliczne oddziały zwiadowców zaczęły zapuszczać się poza Jesionowo. Patrole dotarły na zachodzie do rzeki będącej granicą Bagien Bale, na wschodzie do gór, a na północy do kraju, dla którego byłiby tylko najeźdźcami.

Tydzień później Obern, ze starszym oficerem Iaobimem i dwoma innymi wojownikami, podążył na pomocny zachód, żeby przeprowadzić zwiad wzdłuż puszczy graniczącej z Bagnami Bale.

Jesionna obudziła się, zaskoczona, bo coś miękkiego dotknęło jej twarzy. Otworzyła oczy i zobaczyła przycupniętą w pobliżu Mądrusię, a także skrzydlatego stworka, który budził ją, ciągnąc ją za brzeg kaftana.

– Jesteście głodne, małeństwa? Poczekajcie, doprowadzę się tylko do porządku i zaraz coś zjemy. – Dziewczyna odsunęła na bok przykrycie z maty i poszła do źródła wody, które znalazła minionej nocy. Wyjęła z sakwy garść dzikiego mchu. Służył jako gąbka i nawet się trochę pienił, więc Jesionna umyła nim do czysta twarz i ręce. Rogowym grzebieniem rozczesła włosy na tyle, by szybko zapleść je w warkocze i przypiąć szpilkami z cierni na czubku głowy.

Kiedy wpięła ostatnią szpilkę, usłyszała za sobą ponaglący pisk oraz ciche mruczenie skrzydlatej istotki. Wróciła szybko, by nakarmić swoich głodnych towarzyszy. Nie wiadomo, co Mądrusia jadała przed przybyciem Jesionny, widać było jednak wyraźnie, że znacznie bardziej smakuje jej prowiant dziewczyny. Wyjmując z sakwy ostatnie z gotowanych jaj luppersa, Jesionna pomyślała z przekąsem, że jeśli ma tu zostać dłużej, będzie musiała wyruszyć na poszukiwanie żywności. I to bardzo energicznie. Żadne z jej podopiecznych nie zrozumie, co znaczy pusta miska.

Nie wiedziała, czy znajdzie tu jakieś znane sobie jadalne korzenie i rośliny, ale minionej nocy słyszała ćwierkanie luppersów, a dobrze umiała zastawiać na nie pułapki. Na razie musi do końca obejrzeć całe pomieszczenie i upewnić się, czym teraz dysponuje.

Mądrusia i stworzonko, które Jesionna nazwała w myśli Małym Śmigaczem, pozostały przy ognisku. Dziewczyna podsyciła płomień zgromadzonymi przez Zazar

czarnymi kamieniami. Te kamienie paliły się znacznie dłużej i dawały więcej ciepła niż torf i suszone trzciny, które nigdy nie zdołały dobrze ogrzać żadnej chaty Ludu Bagien, za to napełniały je dymem. Wydawało się, że w małym pojemniku w tylnej części komnaty jest spory zapas takich kamieni.

Dzisiaj dziewczyna nie zatrzymała się przy pokrytych tajemniczymi znakami talerzach, lecz zajrzała do wszystkich koszyków i siatek na półkach. Zawartość niektórych rozpoznała po zapachu – były to znajome lekarstwa. Do innych przezornie nie wkładała palców.

Obejrząwszy swoje nowe mieszkanie najlepiej jak mogła, Jesionna postanowiła zwiedzić przynajmniej część okolicznych zrujnowanych budynków. Kiedy skierowała się do wyjścia, Mądrusia pomknęła do przodu, a Mały Śmigacz z trzepotem skrzydeł usiadł dziewczynie na ramieniu, polizał ją w policzek i zaczął mruzczyć.

Po wyjściu na zewnątrz Jesionna zobaczyła, że jest późny ranek. Chmury, które wczoraj zasłaniały niebo, zniknęły i słońce grzało mocno jak na tę porę roku. Kraina Bagien dopiero niedawno uwolniła się z mroźnego uścisku zimy. Dziewczyna ostrożnie przeszła wzdłuż zwałonych ścian, zaglądając do zagłębień, które, jak uznała, były niegdyś domami. Mądrusia z widocznym zachwytem wybiegała do przodu, popiskując, a potem wracała biegiem, jakby się przed nią popisywała. Dziewczynę rozbawiły te nieszkodliwe figle. Nikt i nic im nie przeszkadzało; nawet nie zaatakowały ich dokuczliwe muchy, które zazwyczaj pojawiały się wraz ze słońcem.

Na pewno niewiele dało się tu odkryć. Jedna kupa gruzu wyglądała tak samo jak druga. Jesionna usiłowała wyobrazić sobie ludzi, którzy tu niegdyś mieszkali. Nie wyobrażała sobie swoich ziomeków z Bagien wykonujących tak gigantyczną pracę. Za to opowieści Zazar o innych czasach i dawno zaginionych ludach zdawały się pasować do tych ruin.

Z pewnym wysiłkiem okrążyła resztki zewnętrznego muru. Ostrożnie wspinając się i kucając w miejscach, gdzie miała oparcie dla rąk i nóg, zbadała wzrokiem linię brzegową. Wszędzie widziała kępy trzciny rosnącej przy drogach wodnych na Bagnach; raz czy dwa zauważyła też jakiś krzak.

W końcu dotarła do skalnego występu, do którego przywiodła ją Zazar. Wtedy Mądrusia szybko ukryła się za skalami, piszcząc głośno, a Mały Śmigacz poruszył się na ramieniu dziewczyny. Wyciągnęła rękę i stworzonko przeszło na jej dłoń, kłując lekko pazurkami. Odwróciwszy główkę, utkwilo wzrok w oczach Jesionny.

– Iść – iść – Visp – iść...

W jakiś sposób pośród mruczenia to przesłanie dotarło do umysłu dziewczyny. Maleństwo przesunęło się, by móc rozpostrzeć skrzydła, jeszcze raz popatrzyło na Jesionnę i chwilę później wzleciało do góry. Jesionna patrzyła, jak niknie w oddali.

Mądrusia pociągnęła ją za rajtuzy i zaćwierkała ostrzegawczo. Wbiła pazurki w skórzaną nogawkę i szarpnęła najmocniej jak mogła, usiłując przeciągnąć dziewczynę na prawo, w pobliże wysokiego stosu kamieni.

– Dobrze, przyjaciółko, schowamy się. – Jesionna nie mogła uwierzyć, że Mądrusia ją zrozumie, ale machnęła ręką na znak, że się zgadza; i ku jej zdumieniu zwierzątko odpowiedziało całkiem ludzkim skinieniem główki.

Mądrusia na pewno miała ważny powód, żeby tak się zachowywać.

Jesionna znalazła odpowiednie miejsce, skąd mogłaby obserwować otoczenie, sama pozostając w ukryciu. Przykucnęła i ostrożnie wyciągnęła nóż z pochwy. Kiedy podniosła oczy, zobaczyła, że Mały Śmigacz znikł całkiem z pola widzenia. Na niebie nie widać było nawet kropki.

Kryjówka dziewczyny znajdowała się naprzeciw miejsca, skąd odpłynęła Zazar; niebezpieczeństwo, przed którym ostrzegła ją Mądrusia, mogło zagrażać z tej właśnie strony.

Nie musiała długo czekać. Po wodzie rozniosły się chrypliwe słowa języka Ludzi z Bagien i chwilę później dziewczyna zobaczyła pierwszego z nich. Nie podróżowali łódką jak Mądra Niewiasta; szli sobie znanym szlakiem. Mieścili się tylko po dwóch w wąskiej przestrzeni między wodą a zaroślami.

Gromada była niezwykle liczna jak na wyprawę myśliwską, a przy tym uzbrojona po zęby. Stłoczyli się z przodu i na ich szerokich twarzach odmalowało się zaskoczenie, kiedy po drugiej stronie rozlewiska dostrzegli ruiny miasta, o którym Jesionna zaczęła już myśleć jak o swoim. Zauważyła, że na końcu grupy dwóch mężczyzn wlecze kogoś owiniętego siecią, w jakich więziono pojmanych Cudzoziemców.

Nie byli to obcy z odległej wioski. Dziewczyna rozpoznała Joala. Za nim parł do przodu Tusser, ale przezornie trzymał się swojego miejsca za wodzem klanu.

Joal rzucił raz i drugi charakterystyczny zew jego wioski:

– Aaaugh!

Przez ten czas Jesionna starała się lepiej przyjrzeć więźniowi.

Kto to mógł być? Na pewno nie Zazar. Jesionna nie mogła sobie wyobrazić, żeby Joal odważył się tak potraktować Mądrą Niewiastę, Mądrusia znów poskrobała ostrzegawczo kolano dziewczyny, choć ta wcale niezamierzała się pokazać. Położyła rękę na główce zwierzątka.

– Czarownico, bękarcie demona... – Joal już nie podawał sygnału rozpoznawczego ludzi, z którymi mieszkała od urodzenia, lecz wykrzykiwał głośno plugawe słowa, które, nie miała co do tego żadnych wątpliwości, były skierowane tylko do niej.

Mądrusia przytuliła się mocno do Jesionny, jak gdyby chciała uniemożliwić jej

wykonanie jakiegokolwiek ruchu. Dziewczyna sama się zresztą orientowała, że nikt z tej gromady nie powinien jej zobaczyć. Na razie czuła się względnie bezpieczna. Nie widziała żadnej łodzi i dobrze wiedziała, że przybysze nie odważą się zapuścić piechotą na nieznaną toń. Gruzy i resztki murów tworzyły zaporę wokół jeziora i Ludzie z Bagien bardzo długo musieliby się przez nie przedzierać.

– Demonie, twoja tarcza znikła! – krzyknął grzmiącym głosem Joal. – Zazar już nie zadaje się z Cudzoziemcami bez naszej wiedzy. Znamy jej tajemnice, wszystkie jej tajemnice. Patrz, kto je nam zdradził... przy niewielkiej zachęcie! – Machnął ręką i dwaj wojownicy niosący więźnia w sieci przystanęli.

Joal zdał się, odstawiając Kazi.

Twarz staruszki wykrzywił strach; była tak przerażona, że dwaj strażnicy musieli ją podtrzymywać, żeby nie upadła. Joal chwycił ją za ubłocone włosy i pociągnął do przodu. Kazi jęknęła z bólu i strachu. Wódz uderzył ją włócznią w żebra i kobieta znowu zawyła.

– Mów! – rozkazał. – Gdzie jest kochanica ciemnych demonów, która z tobą mieszkała? Czy Zazar nadal ma wielką władzę i zadziera nosa w naszym kraju?

– Nieee! – załkała. – Zazar odeszła.

Znowu ją uderzył.

– Dokąd ta żmija odeszła?

– Do tych, co w głębinach... – zakończyła te słowa skrzekiem.

– A jej tajemnice? Wszystkie jej tajemnice, córko gada? – pytał dalej bezlitośnie Joal.

– Wszystkie zaginęły, wszystkie zostały zapomniane... z wyjątkiem tych, które kryją się w głowie Córki Śmierci.

Starej zabrakło sił. Podtrzymujący ją dotąd strażnik odszedł na bok, a Kazi upadła na ziemię, na twarz, do stóp wodza w pokornym błaganiu o łaskę. Przewrócił ją kopniakiem na wznak i znów popatrzył w stronę ruin.

– Oczyszczamy nasz kraj, Córko Śmierci. Ty jesteś cudzoziemską bestią i dlatego skończysz w szczękach mieszkańców głębin.

Tusser położył rękę na ramieniu ojca.

– Potrzebujemy łodzi – powiedział głośno i wyraźnie.

Joal pokręcił głową.

Jesionna zrozumiała, że mimo trudnego dostępu, Joal gotów jest od razu ruszyć w jej stronę. A ona nie może niepostrzeżenie wrócić do miejsca, gdzie mogłaby ich zgubić w labiryncie ruin. Joal zaczął się piąć po rumowisku, a za nim jego wojownicy; zaintonowali pieśń bojową. Po chwili z oddali dotarł inny dźwięk, który Jesionna słyszała tylko raz w życiu. Ktoś gdzieś daleko uderzał w bęben wojny, bił na alarm, co oznaczało inwazję wroga.

Zgromadzeni na brzegu wojownicy zwrócili się szybko w stronę, z której przyszli. Joal rozwarł grube wargi, szczerząc zęby jak garjaszczurka. Prastary zwyczaj powtarzania sygnału i przekazywania go z wioski do wioski miał na celu informowanie o najgorszym z możliwych zdarzeń – o masowym ataku nieprzyjaciela, który może dotknąć każdego.

Odeszli, ani razu nie obejrawszy się na wyspę. Znikali w zaroślach najszybciej jak mogli, pozostawiając uwięzioną w sieci Kazi tam, gdzie upadła.

Jesionna nie była pewna, czy rzeczywiście ją śledzili podczas jej wcześniejszych wędrówek. Mogła natomiast uwierzyć, że Kazi zaprowadziła ich tutaj, jeżeli znała to miejsce równie dobrze jak Mądra Niewiasta. Kazi była towarzyszką Zazar znacznie dłużej niż ona sama. Może obie miały tajemnice, których Jesionna nigdy nie poznała.

Pomimo odejścia myśliwych dziewczyna nie była pewna, czy Joal nie zostawił kogoś, kto miałby ją śledzić. Na razie jest bezpieczna, ale wiedziała, że kiedy wróci, to z łodzią, by się do niej dostać. Obserwowała Kazi, zastanawiając się, czy odważy się pomóc staruszce... i czy w ogóle ma ochotę to zrobić.

Kazi po odejściu strażników próbowała uwolnić się z sieci. Jesionna zacisnęła usta.

Staruszka nigdy nie umiała wędrować po Bagnach; z powodu kalectwa zawsze trzymała się blisko wioski. A teraz nie ma ani prowiantu, ani broni. Kobiety z Ludu Bagien i Jesionny nie łączył obowiązek krewniaczej pomocy. A jeśli Zazar nie zginęła z powodu długiego języka Kazi, lepiej, żeby dopadła ją jedna z wielu śmierci, które się tutaj czają.

Mimo to dziewczyna zawahała się. Nie mogła mieć pewności, że Kazi jej nie zdradzi. W dodatku podczas porannego zwiedzania ruin nie znalazła żadnej łódki. Nie bardziej niż Joal chciała narażać życie, płynąc lub brodząc w wodzie – i to dla Kazi. Coś w niej wzdragało się na myśl o pozostawieniu staruszki na pastwę losu, jednak nie wyszła z kryjówki, by pokazać się Kazi, wolnej teraz od więzów i klęczącej na ziemi.

Obern wraz z innymi zwiadowcami leżał na brzuchu na skale górującej nad rzeką. Przed nimi rozpościerały się pogrążone w gęstym mroku Bagna Bale, odstręczające samym swoim wyglądem. Wszyscy słyszeli opowieści o potworach, które tam żyją, i mieli okazję je zobaczyć: jeden zaatakował ich na morzu, a trzy inne – monstrialne ptaszyska – z klifów. Z samej swojej natury Bagna uniemożliwiały inwazję; któż wiedział, co jeszcze mieszka w ich tajemniczych głębinach i w niebezpiecznych klifach? Na południu przytłumiony huk wody przypominał o odkrytej przez nich jaskini, w której znikła rzeka graniczna, by potem wydostać się na powierzchnię w postaci wielkiego wodospadu, oznaczającego koniec Krainy Bagien i początek Nowego Voldu.

Na razie znacznie bardziej interesowała ich inna sprawa. Poniżej górskiego grzbietu, gdzie ukryli się zwiadowcy, trzech mężczyzn rozsiadło się wygodnie przy małym ognisku. Sądząc po kolczugach i broni, należeli do jakiegoś oddziału zbrojnego. Za nimi pasły się cztery konie, osiodłane i gotowe do drogi.

– To wojownicy, a nie myśliwi? – zapytał cicho Obern Iaobima. Gdyby ci trzej zajmowali się tym samym, co on i jego towarzysze, nie przebywaliby na otwartej przestrzeni, gdzie mógłby ich ustrzelić byle łucznik, zanim dosiedliby koni.

Iaobim skinął głową.

– Noszą ten sam herb – zauważył. – Lanjelen na miedzianym tle. Służą temu samemu panu. Ale jeśli przybyli tu niedawno, mogą nie wiedzieć, że nie jest to już posiadłość Domu Jesionu.

– Od czasu do czasu obserwują Bagna – mruknął leżący za Iaobimem mężczyzna. – Lecz tamtejsi mieszkańcy nie przedostają się na ten brzeg rzeki. Mówi się nawet, że jest tam jakaś zaporą przeciwko Ludziom z Bagien.

Tak, tych trzech najwidoczniej na kogoś czekało – pewnie na jeźdźca dosiadającego czwartego konia. Jeden z siedzących przy ognisku wojowników wstał i zwrócił uważne spojrzenie na groźnie wyglądający busz za nimi. A potem nie tylko trzej zbrojni w dole, lecz i ukryci na skale zwiadowcy usłyszeli dudnienie bębnow, wszystkich w tym samym rytmie; od czasu do czasu przerywał je przeraźliwy, wysoki dźwięk, może rogu bojowego.

Trzej żołnierze wstali jednocześnie i, sądząc po gestach, zaczęli się sprzeczać. W końcu dosiedli swoich wierzchowców i prowadząc dodatkowego konia, zbliżyli się do ponurej rzeki oddzielającej Bagna Bale od wolnej ziemi.

Bębny nadal warczały. Wydawało się, że zapowiadają przybycie całej armii. Czekający na swojego kompana mężczyźni jeździli powoli tam i z powrotem wzdłuż brzegu rzeki, z odwróconymi głowami, cały czas wyczuleni na to, co może się zbliżyć z północy.

A potem coś się poruszyło w krzakach na przeciwległym brzegu rzeki, jakby ktoś przedzierał się przez nie. Jeźdźcy zatrzymali się i zwrócili w tamtą stronę. Cały rząd krzewów wpadł do wody, odsłaniając postać z długim jak miecz narzędziem do wyrąbywania drogi w gąszczu. Po chwili postać wynurzyła się z zarośli. Lecz sądząc z tego, co oddziałek Oberna mógł dostrzec ze szczytu góry, nowo przybyły nie przypominał tych, którzy czekali nad granicą. Był wysoki, lecz kłębiąca się wokół mgła nie pozwalała zobaczyć go wyraźnie. Wielkimi krokami podszedł do rzeki, a później nieco ostrożniej wszedł do wody. Albo ta rzeka była płytka, albo w tym miejscu znajdował się bród. Woda sięgała otulonemu mgłą nieznanemu do kolan, więc przebył ją bez trudu. Obern wyobraził sobie, że z tej odległości widzi, gdzie kończy się mętna bagienna woda, a zaczyna czysta.

Z zarośli ktoś cisnął włócznię. Włoski na karku Oberna stanęły dęba, gdy zobaczył, że włócznia zatrzymała się na dziwnej mgle i spadła do wody, jakby uderzyła o ścianę. Jeden z czekających żołnierzy wyjął niezwykle łuk, jaki Obern widział tylko raz podczas jednej z wypraw Morskich Wędrowców na południe. Łuk miał krótkie ramiona, przymocowane ukośnie na grubym drążku; syn Snollego wiedział, że taka broń jest nieporęczna, ale ma ogromny zasięg. Wystrzelona z nie strzała pomknęła tak szybko, że Obern z trudem ją zauważył, prosto w zarośla, z których wyszedł nieznajomy. Ten ostatni właśnie gramolił się na drugi brzeg rzeki.

Otulająca go mgła nagle zniknęła, odsłaniając wysokiego mężczyznę w sięgającej ud kolczudze, która lśniła w miejscach, gdzie nie zasłaniał jej podarty tabard takiej samej rdzawej barwy jak herb tegorycerza. Zamiast hełmu nosił na głowie metalową obręcz, pośrodku której tkwił świecący kamień. Z dodatkowym koniem podjechał do niego. Nie wychodząc z wody, wielmoża włożył stopę w strzemień. Wtedy dziwne światło na jego głowie zamigotało, a całkiem zgasło, gdy nieznajomy wskoczył w siodło.

Zatoczywszy końmi, czterej mężczyźni odjechali zwawo na wschód. Niebawem okrążyli górski grzbiet i zniknęli zwiadowcom z oczu. Bębny nie przestawały dudnić ponuro i teraz inne postacie pojawiły się w zaroślach na skraju Bagien.

Ci na pewno należeli do innej rasy – byli ciemnoskórzy i krępi. Wydawało się, że są pokryci błotem i nie noszą zbroi. Trzymali włócznie i małe, owalne tarcze; kilku miało na głowach coś w rodzaju hełmów. Z widoczną wściekłością weszli do wody po kostki i kilku z nich cisnęło włócznie na przeciwległy brzeg. Ich gniewne okrzyki zagłuszyły warkot bębnow. Nie próbowali jednak ani pójść dalej, ani przebyć brodu,

by ścigać intruzów. Wydawało się, że rzeka jest murem uniemożliwiającym im wtargnięcie na drugi brzeg.

Ysa znów siedziała w wysokim krześle w swoim punkcie obserwacyjnym. Nie mogła się jednak odprężyć. Musi skupić się jeszcze bardziej niż dotąd, zanim dotrze do swego wysłannika, który wciąż nie wracał – jeśli nadal żył. On jest bronią równie potężną jak Pierścienie i nie może go stracić.

Zamknęła oczy, by oczami wyobraźni lepiej widzieć Vispa, przypomnieć sobie, jak będzie wyglądał, gdy znów przyleci.

– Przybądź! – Raz po raz przeszukiwała myślą Bagna Bale – czyżby Visp wybrał powrotną drogę nad tym niebezpiecznym krajem? Ysa wiedziała, że kryje się tam jakaś Moc, znacznie potężniejsza od tej, którą z takim trudem zdobyła. Uważała, żeby jej nie obrazić, nie zwrócić na siebie jej uwagi. Czyżby ta Moc przyciągnęła jej wysłannika? Czy nawet teraz odrywała go od powierzonej mu misji, zmuszała do porzucenia służby u niej, Ysy? Musi zapomnieć o wątpliwościach. Z determinacją ponownie wyobraziła sobie Vispa i znowu go zawołała. Tak ją to pochłonęło, że niemal odruchowo wyciągnęła ręce, by mógł na nich wylądować.

– Przybądź! Vispie, przybądź! – zawołała. Nagle usłyszała cichy, lecz przenikliwy pisk i otworzyła oczy. Dostrzegła w oknie cień i zaraz latający stworek, najwidoczniej cały i zdrowy, usiadł na jej rękach.

Podniosła Vispa na wysokość oczu.

– Mów! – Wypowiedziała bezgłośnie ten rozkaz z taką samą mocą, jak przedtem wezwanie. Visp przestał piszczeć i zaczął przekazywać wiadomości. Przybysze z dalekiej północy opuścili swoją ojczyznę, ale jeszcze nie rozpoczęli podróży. Jeszcze jest trochę czasu. Ci, których wygnano z ich ziem, teraz zdawali się czekać. W umyśle Vispa zobaczyła, że najeźdźcy zajęli ruiny ostatniej twierdzy Morskich Wędrowców. Czyżby te hordy z północy zamierzały uczynić ją centrum swoich posiadłości? Jeżeli zechcą osiedlać się dalej... Tak, Bagna Bale to zapora, lecz czy można będzie ją utrzymać pomimo wszystkich tamtejszych pułapek i niemal szaleńczej nienawiści ich mieszkańców do Cudzoziemców? Dosyć! Nie może zapomnieć o swoich celach, zadając sobie takie pytania. Musi się skoncentrować na jednej sprawie i przemyśleć to jak najlepiej.

Wyczuła jednak, że Visp przyniósł jej nie tylko wieści o najeźdźcach z północy. Miał więcej do powiedzenia. Przekazał do jej umysłu niejasne obrazy, zakręciło jej się w głowie, gdy spojrzała z wysoka na zasłoniętą mgłą ziemię. Sterczały z niej jakieś wieże czy mury. Widziała tak niewyraźnie, że nie była tego pewna. Lecz skrzydlaty stworek, którego pamięć sondowała, zbaczał z prostego kursu dokładnie tak, jakby ktoś nim kierował. Ta Moc z Bagien...

Nagle wydało się jej, że oślepla i nawet we wspomnieniach Vispa poczuła, że jakaś siła ciska go na ziemię. Przerażenie Ysy i lęk jej skrzydlatego wysłannika przemieszały się, zlały w jedno – sprawiły, że jej serce zaczęło walić jak młotem. Umysł królowej zidentyfikował otaczające ją kamienie jako zrujnowane mury. Ale przecież na Bagnach nie było miast. Zresztą nikt z żyjących nie wiedział dokładnie, co się tam znajduje. To musi być stare, bardzo stare miasto, wciąż chronione przez jakąś siłę, która rozpoznała w Vispie szpiega i strąciła go na ziemię.

Ysa poznała gorączkową walkę swego wysłannika, poczuła jego przerażenie. A potem ktoś ostrożnie podniósł jego bezwładne ciało i zabrał Vispa w stronę dużego stosu kamieni, który zachował zarysy jakiegoś budynku. Było tam światło przeszywające mrok. Strach się nasilił. A potem Vispa położono naprzeciwko innego porośniętego sierścią stworzenia, którego spojrzenie obiecywało pomoc. Kosmate stworzenie podeszło do wysłannika, polizało go po głowie.

Strach zniknął; teraz, gdy ta bariera przestała istnieć, Ysa zobaczyła że ktoś niesie jej wysłannika w stronę zrujnowanego budynku. Visp rozejrzał się i Ysa zobaczyła to samo, co on. Niosła go jakaś dziewczyna – smukła, odziana w brzydki strój Ludu Bagien... Tylko że to nie była prawdziwa dziewczyna z Bagien. Twarz miała częściowo zakrytą. To była...

Ysa krzyknęła cicho i straciła kontakt z Vispem. Nie chciała uwierzyć w to, co zobaczyła w ciągu tych kilku krótkich chwil. Nie, nie... to na pewno tylko kobieta z Bagien, nikt inny, może po prostu mieszaniec, bękart Rendelianina lub Rendelianki, szukających wrażeń za rzeką graniczną. Mogłaby nawet przypisać to Borothowi, gdyby wpadł na taki pomysł. To tylko jej wyobraźnia, rozbudzona bzdurami, które wygadywał Harous – że ktoś z Rodu Jesionu jeszcze żyje. Jej oczy – oczy Vispa – wprowadziły ją w błąd.

W takim razie, powiedziała sobie Ysa miałam widzenie, zobaczyłam iluzję, zjawę, która przywidziała się także Vispowi. Nic z tego nie było rzeczywiste. Nie zobaczyłam pani Aldithy.

I królowa przestała o tym myśleć.

Jesionna zobaczyła, że Kazi wstaje, zdzierając z siebie sieć. Wydawała się całkiem zdrowa, tylko przestraszona i lekko posiniaczona. Teraz odwróciła się powoli, jakby szukała drogi ucieczki – a może Jesionny? Z tego, co dziewczyna usłyszała z ust Joala, Kazi była gotowa otwarcie okazać złość i zazdrość, które tak długo ją zżerały. Czy zwróciła je również przeciw Zazar? Jesionna wstrzymała oddech, mając nadzieję, że staruszka nie zacznie jej szukać. Kazi odwróciła się i chwiejnym krokiem poszła drogą, którą ją tu przy wleczono; jej skręcona stopa z trudem znajdowała oparcie na zarośniętej trawą ziemi.

Dokąd chciała pójść? A jeśli już o to chodzi, to dokąd mogłaby pójść? Jeżeli wróci do wioski – zakładając, że po drodze nie stanie się zdobyczą jakiegoś drapieżnika – to tylko po to, żeby znowu stawić czoło gniewowi Joala i innych członków klanu. Jesionna odwróciła się w stronę swojego schronienia w środku ruin. Nie, nie może okazać miękkiego serca. Przecież Kazi okazała się zdrajczynią. Czy nie jest teraz jej otwartym wrogiem? Ale... przez wiele lat mieszkały przecież razem. Jesionnę niepokoiły własne uczucia. Tylko co może zrobić? Nawet gdyby zdołała w jakiś sposób przebyć rozlewisko i pójść za Kazi, czy odważy się przyprowadzić ją tutaj, do miejsca, które z pewnością było jedną z najlepiej strzeżonych tajemnic Zazar? Odwróciła się powoli, z niechęcią reagując na wyrzuty sumienia. Nie może dopuścić, żeby Kazi wędrowała sama w niebezpiecznym terenie. Starucha zdradziła sekrety Zazar, a może... tu Jesionna zatrzymała się w pół kroku, oszołomiona. Może to właśnie Mądrą Niewiastę zmuszono torturami, żeby wskazała Joalowi drogę do tego miejsca? Po namyśle odrzuciła to przypuszczenie.

Teraz jeszcze bardziej zwolniła kroku. Dotarła do powalonej olbrzymiej figury. Mądrusia, która biegła przed nią, wskoczyła na posąg i usiadła na nim.

Chociaż trudno było odczytać wyraz porośniętego sierścią pyszczka, dziewczynie wydało się, że dostrzega troskę i niepokój. Jak wiele wiedziała Mądrusia? Jesionna nie wątpiła, że jej towarzyszka jest inteligentna, choć może nie całkiem po ludzku, i że ma bystry umysł. Dziewczyna zatrzymała się blisko figury, a Mądrusia dotknęła jej ramienia, chcąc zwrócić na siebie uwagę. Nagle Jesionna poczuła potrzebę ujęcia w słowa dręczącego ją niepokoju.

– Mądrusiu, Kazi umrze, jeśli zabłądzi na Bagnach – wyjaśniła. Pomyślała o tamtym strasznym ziemnowodnym potworze, połykaczu, który ją ścigał. Kazi byłaby dla niego łatwą zdobyczą. Ale to miejsce otaczała woda i nie było tu żadnej łódki. – Mądrusiu – dodała bez namysłu – czy można w jakiś sposób przedostać się na drugi brzeg tego jeziora bez wchodzenia do wody? – Chciała cofnąć to głupie pytanie, ale ku jej zaskoczeniu stworzonko uznało je za całkiem rozsądne. Mądrusia znów skinęła główką. Wczoraj Zazar przemawiała do niej w nieznanym języku. Wyglądało na to, że Mądrusia rozumie słowa, choć sama nie potrafi ich wymówić. – Całkiem jesteś bystra, moja droga – powiedziała do siebie Jesionna. – Nie mogę myśleć o tobie jak o zwierzęciu. I na pewno nim nie jesteś.

Mądrusia zeskoczyła ze swojej grędy i znów wcieliła się w rolę przewodniczki, ciągnąc dziewczynę za rajtuzy. Tym razem jednak zaprowadziła ją prosto do wewnętrznej komnaty. Czyżby chciała dać jej do zrozumienia, że nie ma tu innej drogi, że można skorzystać tylko z tego schronienia? Ale kiedy tam się znalazły, Mądrusia zamiast usiąść podreptała do leżącego z boku stosu mat. Najwyraźniej miała w tym jakiś cel. Jesionna naśladując stworzonko, zabrała się wraz z nią do

przesuwania mat. Pod nimi, jak w całej komnacie, podłogę z kamiennych bloków ułożono w dziwne, lecz regularne wzory. Mądrusia pociągnęła za pierścień umocowany między dwoma takimi blokami, zerknęła na dziewczynę i energicznie skinęła główką.

Zaraz znów zabrała się do szarpania za pierścień, ale najwyraźniej nie miała dość sił, żeby poruszyć otaczające go kamienie. Jesionna uknęła i zastąpiła ją. Pociągnęła z całej siły. Przez pełną napięcia chwilę nic się nie stało. Potem oba bloki ze zgrzytem uniosły się na szerokość palca. Zachęcona, Jesionna ponowiła próbę. Tym razem zdołała odsunąć na bok bliźniacze kamienie, odsłaniając w dole pustą przestrzeń; Powinno tam być ciemno jak w nocy, ale dziewczyna, patrząc w dół, widziała wszystko wyraźnie. Widocznie umocowano tam co najmniej jeden taki pręt jak te, które oświecały komnatę, a może i więcej. Rzucaly się w oczy kamienne schody, zachęcające do zejścia. Jesionna usiadła na piętach, by zastanowić się nad swoją sytuacją.

Zazar nie określiła czasu jej pobytu w zrujnowanym mieście. Na pewno zamierzała wrócić, tego dziewczyna była pewna. Może przeszkodziła jej w tym pułapka zastawiona przez Joala. Jeżeli Jesionna zdoła przedostać się z wyspy na ląd tym przejściem, może lepiej przysłuży się swojej protektorce, niż gdyby tu została. Co więcej, pomoże Kazi, jak domagało się tego jej sumienie.

Podjąwszy tę decyzję, wstała i pospieszyła zapakować zapasy, które wyjęła z sakwy. Wylała też z podróźnej muszli wodę z Bagien i napełniła ją smaczną wodą płynącą z rury. Potem zapięła torbę i włożyła na ramiona. Sakwa była wyładowana; dziewczyna z trudem wcisnęła się do wejścia do tajemniczego tunelu ukrytego w tajemniczym, zburzonym mieście.

Mądrusia skokami zbiegła ze schodów i podreptała przodem. Najwidoczniej uważała, że ma grać rolę przewodniczki. Schody, tak równe i proste na górze studni, szybko stały się kręte i wąskie. Kiedy Jesionna zeszła w ślad za Mądrusią, zaczęło jej brakować światła. Szła w gęstych ciemnościach, bo świecące pręty umieszczono w dużej odległości od siebie. W końcu dotarła do równej podłogi. W słabym blasku zobaczyła, że stoi w niewielkim pomieszczeniu o kamiennych ścianach, a dokładnie naprzeciw niej znajduje się otwór wysokości połowy normalnych drzwi. Ze skrzekliwym piskiem Mądrusia skoczyła w mrok. Poprawiwszy plecak wzruszeniem ramion, Jesionna ruszyła za nią.

Ysa z roztargnieniem pogłaskała Vispa, czując jego zmęczenie jako część siebie samej. Teraz nie zada mu już więcej pytań; wiele spraw musi przemyśleć. Nie chciała też narazić się na ryzyko zobaczenia wymagowanej twarzy dawno zmarłej rywalki. Wstała i powoli okrążyła krzesło, żeby umieścić swojego wysłannika w gniazdku z

czystego jedwabiu. Nasypała do kubka trochę ziarna i suszonych owoców ze stojących w pobliżu skrzynek, które kazała niedawno przynieść do komnaty. Visp podziękował jej piskiem i z zapalem zabrał się do jedzenia.

Królowa ułożyła porządnie swoje księgi, jeszcze raz sprawdziła, czy jej skrzydlaty posłaniec jest bezpieczny, i w ponurym nastroju opuściła wieżę. Przypomniała sobie jeszcze coś, co wypadło jej z pamięci, gdy doznała wstrząsu, myśląc, że widzi żywą panią Aldithę.

Wyprawa myśliwska Harousa... na co on właściwie polował? Jaką znał tajemnicę, która przetrwała z dawnych czasów? Czy on, lub jakiś inny wielmoża, podejrzewał istnienie dziecka Aldithy? Niech mrok pochłonie tego wścibskiego Harousa! Nawet plotka może narobić kłopotów. Wezwie tych, którzy dostarczali jej informacji w tym kraju – kraju, który musi chronić za wszelką cenę – i każe im spenetrować nowe szlaki, żeby mieć pewność... Zawahała się. A jeśli dowiedzą się za dużo? Uważała, że muszą milczeć jak ryby w jej sprawach, ale nigdy nic nie wiadomo.

Na razie musi zabezpieczyć Rendel przed nadciągającym chaosem, który nastąpi, gdy już nie zdoła utrzymać Borotha przy życiu. Florian nie może rządzić; widziała, że Pierścienie go odtrąciły. Pierścienie interesowało tylko bezpieczeństwo kraju, a nie ludzkie uczucia. Wielcy panowie na pewno nie zechcą zaakceptować kobiety na tronie Rendelu, chociaż teraz widzieli w niej regentkę. Zawsze uważała, żeby traktować ich łagodnie na posiedzeniach Rady Królewskiej; mimo to wiedziała, że gniewa ich nawet ta niewielka władza, jaką odważyła się sprawować otwarcie.

No cóż, byli w błędzie. Ten kraj należał do niej. Czuła to tak mocno, jak ktoś patrzący na ukochane dziecko. W jakiś sposób dawno temu stał się jej częścią, a ona nie pozwoli, by rozszarpali go walczący między sobą wielmoże; nie dopuści, żeby pozostało tylko blade wspomnienie o tym, jak wielkim był królestwem. A na dowód, że jest tak, jak wierzyła, nosi Pierścienie.

– Dąb, Cis, Jesion i Jarzębina – wyszeptała, schodząc po schodach. – Niech mądrość przybędzie do mnie w tej godzinie, potrzebuję jej, by znaleźć oparcie!

Musi wziąć pod uwagę Harousa, lecz także rozważyć inną nagłą sprawę. Morscy Wędrowcy są bardzo blisko celu podróży. Prawdopodobnie kierują się do opustoszałego Jesionowa na wybrzeżu. Ta twierdza o mocnych murach i wieżach, nad morzem, na którym zawsze żyli, mogła stać się niebezpiecznym cierniem w piersi zagrożonego Rendelu. Tak dużo, tak dużo ma do zrobienia, a na tak niewielu może polegać. Jeszcze raz przeklęła Harousa za jego wścibstwo.

A potem przegnała wszystkie złowrogie myśli, kiedy wychodziła z niepozornych drzwi swojej wieży, żeby znowu zajrzeć do Borotha i zobaczyć, jak się miewa.

Obern długo bił się z myślami; nie miał pojęcia, czy powinien zameldować o tych dziwnych wydarzeniach Snollemu. Mężczyzna najpierw odziany w mgłę, a potem w kolczugę? To bardzo dziwne. I co robił na Bagnach, że rozwścieczył tak wielu ich mieszkańców? Dokąd pojechał ze swoimi gwardzistami? Bardzo go kusiło, żeby od razu ruszyć jego śladem. Tamten mężczyzna w kolczudze miał trzech towarzyszy; on, Obern, również. Tamci nosili zbroje, a jego ludzie nie, ale na pewno jako Morski Wędrowiec, nawet lekko odziany, dorównywał każdemu mieszkańcowi tego kraju, choćby nie wiem jak dobrze chronionemu. Jeżeli jeden z nich mógł wejść na Bagna i opuścić je bez szwanku – chociaż posłano za nim kilka włóczy – w takim razie czterej Morscy Wędrowcy są w stanie zrobić to samo, a nawet więcej.

– Idźmy za nimi – zaproponował Iaboam. – Wyruszyliśmy na zwiady, prawda?

Pozostali dwaj wojownicy skinęli głowami, uśmiechając się szeroko.

– Tak właśnie było, panie – stwierdził Haldin.

– Udajmy się tam, gdzie wskazał nam drogę ten tajemniczy mężczyzna.

Mieszkańcy Bagien teraz odejdą, a my będziemy mogli ruszyć śladem naszego mimowolnego przewodnika. Kto wie, co znajdziemy po drugiej stronie rzeki? – Roush oparł rękę na głowni sztyletu.

– To może być niezwykła przygoda – oznajmił Iabobim.

– Powinniśmy poznać nasz kraj – dodał Haldin.

– I jego mieszkańców – poparł go Roush. – Myślisz, że dziewczęta z Bagien są równie brzydkie jak ich mężczyźni?

– Można się o tym przekonać tylko w jeden sposób – odparł Obern. – Ale najpierw musimy poinformować o wszystkim mojego ojca.

Kompani chcieli protestować, ale uciszył ich gestem. Tak, to sprawa dla Snollego i może dla wszystkich podległych mu dowódców. Postanowił jednak, że poprosi ojca, by pozwolił mu wrócić i stanąć na czele oddziału zwiadowców.

Jego towarzysze niechętnie zrezygnowali z zamiaru natychmiastowego wypadu do Krainy Bagien. Zaczekali, aż nieznani jeźdźcy i mieszkańcy Bagien na dobre zniknęli im z oczu. Potem czterej zwiadowcy zaczęli schodzić ze skały, kierując się do brodu na rzece oddzielającej Krainę Jesionu – którą nazywali Nowym Voldem, teraz prowincją Morskich Wędrowców – od tajemniczych Bagien Bale.

Po powrocie Obern dowiedział się, że jego małżonka, Neave, zachorowała, na pewno wskutek trudów podróży. Na szczęście synek czuł się dobrze. Obern nie mógł

pozostać długo, ale zostawił żonę pod opieką służebnej; był potrzebny gdzie indziej i sądząc po dźwiękach wezwania granego na rogu bojowym, w ważniejszej sprawie niż ściganie ubranych w mgłę mężczyzn.

Zgodnie ze zwyczajem, dla omówienia sprawy dotyczącej całego klanu naczelny wódz Snolli wezwał głowy rodzin na naradę. Podczas bitwy wszyscy słuchali jego rozkazów, ale przy podejmowaniu tak ważnych i niebezpiecznych decyzji jak ta, musiał się liczyć z wolą swego ludu wyrażoną za ich pośrednictwem.

Zamek, który wzięli w posiadanie, był przestronny i piękny, z symetrycznie rozmieszczonymi wieżami i potężnymi bramami. Łabędzie nadal pływały w fosie. Lecz nie było tu mebli i innego wyposażenia; musiały zostać złupione dawno temu. Obecni na naradzie musieli zasiąść na podłodze w półkołu, naprzeciw swego wodza. Tylko Snolli zajmował krzesło, które zabrał na statek przed ucieczką. Podniósł laskę mówcy, żeby wszyscy mogli ją zobaczyć.

– Chodzi o to – zaczął oficjalnym tonem, starannie dobierając słowa – że nie jesteśmy jedynymi z naszego ludu, którzy przeżyli tę walkę. Chociaż sądziliśmy, że wszystko stracone, niedawno przyплыł do Nowego Voldu “Orzeł Morski”. Płynął w ślad za nami i teraz cumuje przy bramie, bo jest tak mały, że może pływać po fosie. W drodze spotkali pewnego Dorocznego Kupca, którego statek dopiero co opuścił Rothport. Miał on wieści o tym, co się dzieje wśród rendeliańskich wielmożów. Nie jest tajemnicą, że król Boroth niedomaga i że wkrótce umrze. Jego królowa utrzymuje jedność kraju, ale nikt nie wie na jak długo. Księżę następcą tronu to miernota i mówi się, że z matką niezbyt się kochają. Jest tam też kilku wpływowych magnatów, którzy w ostatnich latach powiększali swoją władzę i liczbę drużynników.

Wstał i zaczął chodzić tam i z powrotem, mówiąc dalej.

– Jasne jest, że ci wielmoże skoczą sobie do gardła w chwili, gdy ich król wyda ostatnie tchnienie. Mówi się też, że królowa włada dziwnymi mocami i że tylko one zatrzymują duszę w ciele jej męża. Jak dotąd wydaje się, iż żaden z sąsiadujących z nami rendeliańskich wielmożów nie zauważył, że wzięliśmy to, co zostało opuszczone, i że teraz tu mieszkamy. Mimo to w naszym interesie leży, żebyśmy władali naszą nową siedzibą zgodnie z prawem. Nasi zwiadowcy objechali dawne granice tej posiadłości i tylko raz natknęli się na Rendelian, którzy przybyli nie do nas, ale na Bagna. – Skinieniem głowy dał znak Obernowi, który wstał i wziął laskę mówcy. Potem opowiedział zgromadzonym, co on i jego ludzie zobaczyli.

Kiedy skończył, zwrócił laskę ojcu i usiadł wśród pomruku domysłów, który szybko ucichł, gdy Snolli kolejno spojrzął na każdego z obecnych.

– Nie możemy oczywiście ludzi się nadzieją, że nigdy nas nie zauważą. Dla naszego własnego dobra musimy udać się do nich i zawrzeć sojusz. Nie powinniśmy czekać, aż zrozumieją, że tu jesteśmy i że zamierzamy zostać. Jest jeszcze jedna

sprawa: ujawnienie się może w większym stopniu służyć interesom królowej niż naszym własnym. Niewykluczone, że spróbuje ona zmusić tych wielmożów, by jej służyli, choćby tylko przez jakiś czas, wskazując im nas jako brutalnych najeźdźców. Nie wszyscy lubią Morskich Wędrowców.

Po tych słowach słuchacze wybuchnęli śmiechem. Snolli też się uśmiechnął, a potem znów podjął temat.

– O ile wiemy, nikt dotąd nie próbował zawrzeć pokoju z mieszkańcami Bagien lub znaleźć wśród nich sojuszników. Może dobrze zrobimy, zawierając pakt z Ludem Bagien. Rycerz, który wtargnął na ich terytorium, został wygnany, nie ponosząc szwanku. Któż może wiedzieć, co tam robił lub czego szukał? Ale on był w dziwny sposób chroniony przed niebezpieczeństwami grożącymi w tym kraju, tak jak Obern opowiedział. Najbardziej potrzebujemy spokoju. Dla przyszłości naszego ludu musimy zacząć korzystać z zasobów tej ziemi, nie ryzykując, że znów zostaniemy wypędzeni. Jest tu zdziczałe bydło, pozostawione samo sobie po upadku tego zamku. Wyjdźcie za mur miasta i obejrzyjcie sobie pola czekające na siew – a siał trzeba już wkrótce. Zamieszkaliśmy dalej na południu niż kiedykolwiek dotąd, więc czas siewu i zbiorów może być dłuższy. Nawet jeśli tak jest, musimy pomyśleć o orce i o złapaniu błąkającego się bydła.

Urwał. Teraz zabrał głos Kasai, Dobosz Duchów.

– Dlaczego ta ziemia tak długo leży odłogiem? – zapytał, zwracając się do wszystkich obecnych. – Mamy tu dobry port, kupcy korzystali z niego w minionych latach. Nie ma tych, którzy ocalili z tamtej wojny, a przecież wydaje się, że granice tej posiadłości odstraszą sąsiadów. Musimy koniecznie to zbadać.

Snolli skinął głową.

– Masz Dar Jasnowidzenia, Kasai. Co ci ukazał?

I tak niski Dobosz Duchów jeszcze się zgarbił. Nie potrzebował laski mówcy, żeby móc zabrać głos. Przesunął dłońmi po powierzchni bębna, z którym się nie rozstawał, lecz nie wydobył zeń żadnego dźwięku.

– To jest miejsce cieni – rzekł. – Ciemnych cieni. Tak jak wyczuliśmy zło w Jaszczurczych Jeźdźcach, podobna skaza trwa w tym miejscu...

Snolli pochylił się do przodu, opierając dłoń na rękojeści miecza.

– Ci słudzy Zła byli tutaj?

Siedzący przed nim na podłodze wodzowie poruszyli się, kilku zerknęło przez ramię, jakby oczekiwali, że ujrzą groźne cienie. Kasai pokręcił głową.

– Nie Jaszczurczy Jeźdźcy, nie. Za dobrze znamy ich smród, wszyscy byśmy go wyczuli po zejściu na brzeg. Ale jedno jest pewne. Popołniono tu zły czyn, tak zły, że mieszkańcy tej ziemi ją opuścili.

Chociaż Obern był tylko przybocznym gwardzistą ojca i już spełnił swój

obowiązek przed zgromadzeniem, nie mógł się powstrzymać od zadania pytania.

– Czy możesz wydobyć ten zły czyn z przeszłości i wyjaśnić nam, co tu się stało, żebyśmy wiedzieli, czemu mamy stawić czoło? A może da się usunąć tę skazę? Czy Dar Jasnowidzenia na to pozwala?

Ojciec nie zmarszczył brwi, nie spojrzał na niego karcąco. W takim razie, pomyślał Obern, Snollemu mogła przyjść do głowy podobna myśl.

– Nikt nie może zmierzyć głębi ani potęgi Daru Jasnowidzenia – odparł Dobosz Duchów. – A przecież wyczuwam jakie cięń. Nie mogę tylko powiedzieć, czy nas pochłonie, czy zagraża tylko ludziom z tej ziemi i tej krwi. Lecz jest jeszcze coś. – Wyprostował Się lekko. – Na Bagnach kryje się jakaś Moc. To również mogę wyczuć. Nie zaczęła nas dręczyć, jeszcze nie. Musimy jednak zapamiętać tego rycerza, który poszedł do Krainy Bagien tak dziwnie osłonięty, a potem wrócił; a przede wszystkim musimy się dowiedzieć, dlaczego nie zginął od broni tych, którzy go ścigali.

Snolli skinął głową.

– Ta sieć jest tak poplątana, że prawie nie sposób jej rozwikłać. – Zaczął wyliczać na palcach najpilniejsze sprawy. – Oto, co musimy zdobyć tu, w naszej nowej ojczyźnie: akceptację, pokarm i schronienie. Granicę, której trzeba pilnować na wypadek przybycia jakiegoś wojownika, który zauważył, co mamy. Jeśli chodzi o Bagna... skoro kryje się na nich tak wielka Moc, to może tamten nieznajomy, którego zobaczył Obern, udał się, by z nią pertraktować i zawrzeć jakiś sojusz. Tego nie wiemy. Na razie możemy tylko prowadzić zwiad i dopilnować, żeby nic nie zaatakowało nas ani ze wschodu, ani z północy.

Siwowłosa mężczyzna imieniem Baland, który od lat zarządzał zapasami całego klanu, wstał, wziął laskę mówcy i zabrał głos.

– Wodzu, mamy sześć wołów schwytych przez grupę naszych myśliwych. Można zaprząć je do jarzma, chociaż są stare. Możemy zacząć orać ziemię i powinniśmy zrobić to teraz. Niech pasterze i woźnice chodzą uzbrojeni, a nasi zwiadowcy muszą pełnić służbę. Przeżyliśmy wielki głód podczas podróży, a nasze kobiety i dzieci wiele wycierpiały. Nie zwlekajmy dłużej z orką, bo znów będziemy głodować, gdy nadejdą chłody. To żyzna ziemia; była dobrze uprawiana w przeszłości i znów możemy uczynić ją zdatną do siewu.

Snolli wziął laskę mówcy, którą oddał mu Baland, i omiół wzrokiem twarze uczestników narady.

– Czy taka jest wola wszystkich zgromadzonych? – zapytał.

Jedna dłoń po drugiej podnosiła się w górę na znak zgody.

– Niech więc tak będzie. – Tymi słowami Snolli potwierdził ich decyzję, której szczegóły omówią osobno odpowiedzialni oficerowie.

Większość uczestników narady opuściła salę. Obern został, gdyż miał do tego

prawo jako syn Snollego. Przysłuchiwał się więc meldunkom tych, którzy pozostali, żeby wyjaśnić, czego potrzeba i na kiedy. Słuchał, ale myślał o czym innym. Przypominał sobie bardzo dokładnie, jak tamten Cudzoziemiec przechodził w bród rzekę wypływającą z Bagien Bale, a jego zbroja wyglądała jak mgła.

Jak zdobył tę niezwykłą zbroję? Obern nigdy nie widział takiego pancerza, a przecież naczelnicy wodzowie jego kraju wiecznie poszukiwali nowej broni i bardziej skutecznych środków obrony. Czyżby Snolli wysunął prawdziwe przypuszczenie? Czy tamten wojownik wszedł na Bagna, żeby skontaktować się z kimś na tych zakazanych ścieżkach? Pomysł, żeby oni sami odważyli się wtargnąć do tej zalanej wodą krainy, byłby czystym szaleństwem. Nie zrobią tego, aż dowiedzą się więcej, czemu będzie trzeba stawić tam czoło. A zatem będą potrzebni zwiadowcy. I, przyrzekł sobie Obern, wśród nich również on.

Teraz przywołał wspomnienie tego, co zobaczył podczas wywiadowczej podróży na wschód ich nowej ojczyzny. A mimo to wciąż wracał myślami do jej zachodniej części i w końcu dał się ponieść ciekawości. W klifach odgradzających Krainę Bagien od morza, a przecież przepuszczających wody bagiennych rzek, by kalały morskie fale, nie było żadnej drogi, którą można by wnieść nawet lekką łódkę do jednej z jaskiń.

Żaden morski szlak nie prowadził też do wnętrza Bagien Bale. W takim razie, jeśli nie sposób wejść z dołu, jak się dowiedzieć, co znajduje się na górze? Dawnej ojczyzny Morskich Wędrowców również strzegły wzniesienia. On sam wybrał się na zwiad w pobliże dwóch przełęczy, które zaledwie dwa dni później po zaciętej bitwie zajęli Jaszczurczy Jeźdźcy. Tylko przypadkiem nie wziął udziału w tej walce, ale wysłuchał opowieści niedobitków. Potworne wierzchowce Jaszczurczych Jeźdźców atakowały z dziką wściekłością, jak fala, której nie sposób powstrzymać. Niezmordowanie wspinały się na mury zamku i wydawało się, że nic im się nie oprze.

Po drugiej stronie rzeki granicznej zaczynały się klify Krainy Bagien. Może jest szansa dotarcia z niższych wzgórz, których strzegł obojętnie zajęty przez nich zamek, na szczyt którejś góry, skąd będzie można zobaczyć ziemie sąsiadów Nowego Voldu.

Zamyślił się tak głęboko, że nie zauważył, iż odszedł ostatni uczestnik narady. Snolli odwrócił się w jego stronę.

– ...czyż nie tak? – Ojciec nagle podniósł głos, co obudziło czujność Oberna. Zauważył, że Snolli obserwuje go, marszcząc brwi.

- Panie? – Obern zdał sobie sprawę, że zdradza brak zainteresowania naradą.
- Czyżby obowiązki tak cię zmęczyły, że się zdrzemnąłeś w mojej obecności?
- Myślałem, panie.
- I cóż to były za ważne myśli? – W głosie Snollego zabrzmiała irytacja.
- Myślałem o klifach Krainy Bagien – powiedział Obern. Możliwe, że każda

wzmianka o tym, co zwróciło jego uwagę, okaże się nierozważna i bez wartości. Musi jednak wytłumaczyć, co przyszło mu do głowy, jak obowiązek nakazywał wszystkim wezwanym na naradę przez naczelnego wodza. – Słowa Fritjiego naprowadziły mnie namyśl, gdzie można posłać kogoś, żeby poznał ukształtowanie Krainy Bagien.

Szybko rozwinął pomysł o poszukiwaniach wzdłuż klifów.

– Dobrze byłoby wziąć lunetę. Przez nią wiele można zobaczyć. – Gdy o tym mówił, zdawało mu się, że łatwiej uzyska pozwolenie ojca. Lecz jego entuzjazm osłabł, kiedy Snolli nie odpowiedział od razu.

Oberna kusiło, żeby dodać coś więcej do swojej propozycji. Zdawał sobie jednak sprawę, że jego ojciec, jako doświadczony dowódca, może uznać, iż ujemne strony takiej wyprawy przeważają nad pozytywnymi.

W końcu Snolli przerwał milczenie.

– Pomyślimy o tym.

Obern wpadł w entuzjazm. Jeżeli Snolli poważnie rozważy taką akcję, to na pewno... Ugryzł się w język i nic więcej nie powiedział, chociaż chciał poprosić ojca, żeby pozwolił mu wziąć udział w tej niebezpiecznej wyprawie. Może jednak wcale się tak nie stanie. Równie dobrze naczelnny wódz może zechcieć powierzyć to zadanie komuś ze swoich zastępców.

Jego ojciec wstał i podszedł do okna wychodzącego na zachód. Wyjął zza pasa lunetę i skierował ją w miejsce, gdzie urwiska Krainy Bagien ustępowały miejsca niższemu wzgórzom, na których zbudowano ich nową siedzibę. Obern wahał się chwilę, ale w końcu stanął tuż za Snollim. Może ojciec sam pozwoli mu użyć tego szpiegowskiego przyrządu; może za jego pomocą on, Obern, rzeczywiście odkryje drogę, którą będą w stanie powędrować wzdłuż wyższej skalnej zapory

– Pomyślimy o tym – powtórzył ojciec, nie odwracając się. – Idź i wezwij teraz Kasaiego.

Zawiedziony Obern ruszył na poszukiwanie Dobosza Duchów. Lecz na odchodnym zauważył, że Snolli ponownie bada odległe klify za pomocą swojego cennego przyrządu.

Jesionna stała przed otworem wejściowym tunelu, gdzie zalegały nieprzeniknione ciemności. Nie widziała przed sobą nawet najślabszego światła, z czego wynikało, że nie umieszczono tam znanych jej już dziwnych, świecących prętów. Kiedy pochyłona przeszła przez ten otwór, zobaczyła, że Mądrusia znika pewnym krokiem w głębi korytarza. Wydawało się, że istotka dobrze wie, co tam znajdzie. Dziewczyna przesunęła lekko sakwę na plecach i z determinacją weszła do ciemnego korytarza.

W tunelu powietrze było duszne, przesycone zapachami przypominającymi odór zgniętej wody bajorek, których wszyscy starali się unikać. Dotknęła ręką ściany na

prawo i szybko ją cofnęła. Odniosła wrażenie, że wsadziła palec w kupę szlamu.

Z przodu dobiegło wibrujące wezwanie. Jesionna przyspieszyła. Stąpała ostrożnie, bo obawiała się, że szlam ze ścian pokrywa również podłogę.

Czuła nieprzewyciężony wstręt do tego błota, ale jeszcze raz dotknęła ściany i przesuwiała po niej ręką, mając nadzieję, że dotyk zastąpi jej wzrok i że wyczuje każdą zmianę w podziemnym korytarzu.

Uderzyła się boleśnie w twardą ścianę tam, gdzie nie powinno jej być. Oczywiście, powiedziała sobie, tutaj tunel skręca. Świergot Mądrusi znów wezwał ją z przodu, od lewej strony. Jesionna poszła tam, skąd dochodził.

W końcu dostrzegła przelotnie jakiś blask. Pospieszyła w kierunku tej bladej wyrwy w ścianie mroku, wyszła z korytarza i znalazła się w pomieszczeniu nieco większym niż to, które niedawno opuściła.

Mądrusia czekała tam na nią. Podniosła na dziewczynę wielkie, okrągłe oczy. Jesionna wyczuła, że jej towarzyszka czuje się tu nieswojo i że potrzebuje obecności jakiejś innej istoty dla nabrania otuchy.

Blade światło docierało z rzędu znanych już dziewczynie prętów, choć niektóre były ciemne i bezużyteczne, pewnie się już wypaliły. Pręty tkwiły na ciężkich, prostokątnych kamiennych skrzyniach. Najmniejsza z nich wyglądała na wyższą od Jesionny. Stały w dwóch rzędach, między którymi było przejście. Mądrusia pociągnęła ją w tę stronę.

Boki i wieko każdej skrzyni pokrywało mnóstwo symboli. Podejrzewając, że znajduje się na miejscu czyjegoś wiecznego spoczynku, dziewczyna zadrzała, chociaż nigdy nie słyszała o takim sposobie chowania zwłok.

Mimo to chętnie ruszyła za Mądrusią tym przejściem, powodowana ciekawością. Jeśli w kufrach spoczywały szczątki budowniczych tego starożytnego miasta, czy w jakiś sposób można się dowiedzieć, kim oni byli? Na żadnej z kamiennych tabliczek zgromadzonych przez Zazar nie było ilustracji – tylko stylizowane pismo. Lud Bagien karmił swoimi zmarłymi mieszkańców głębin, nie oddając im czci po śmierci.

Jesionna naliczyła pięćdziesiąt skrzyń, po dwadzieścia pięć z każdej strony. Zauważyła, że ozdoby każdej z nich w jakiś sposób różniły się od pozostałych. Kiedy dotarli do przeciwległego krańca pomieszczenia, zobaczyła w ścianie następny ciemny otwór. Teraz Mądrusia nie pobiegła do przodu, lecz trzymała się blisko dziewczyny. Co jakiś czas dotykała jej łapką, jakby czerpiąc pociechę z jej obecności.

Korytarz z przodu był równie ciemny jak ten, z którą go Jesionna właśnie wyszła. Kiedy opuściły oświetloną bladym światłem komnatę, musiała zaufać losowi. Nie mogła być pewna, z jakiego kierunku przyszły, podejrzewała jednak, że znajdują się teraz pod dnem jeziora. W oddali znowu pojawiło się słabe światło. Już po chwili obie podróżniczki stanęły przed prowadzącymi w górę kamiennymi schodami,

podobnymi do tych, którymi zeszły do tunelu. Teraz Mądrusia opuściła dziewczynę, biegnąc do przodu z zapalem wskazującym, że może niebawem wydostaną się z tego podziemnego labiryntu.

I rzeczywiście wyszły; tym razem nie musiały podnosić żadnych kamiennych bloków, wystarczyło ostrożnie przecisnąć się przez gruzy. Sądząc po wyglądzie roślinności, dotarły wreszcie do skraju Bagien, do innej wyspy lub pasa twardego gruntu; rozciągały się tu takie same zniszczone przez czas ruiny, jak na poprzedniej wyspie, lecz znacznie mniejsze.

Jesionna zatrzymała się. Może naprawdę ma bardzo ważny powód, żeby wrócić tu w przyszłości; może powinna użyć Prowadzącego-do-domu. Wyjąwszy go z sakiewki u pasa, położyła na niewielkim fragmencie zrujnowanego muru w prostej linii do wyjścia z tunelu. Dotknęła magicznego przewodnika, by umożliwić mu w przyszłości lokalizację tego miejsca. Odetchnęła głęboko, zamknęła oczy i przycisnęła rękę do kwadratowej deseczki. Najlepiej jak umiała wyobraziła sobie punkty orientacyjne, które mogą obudzić moc niezwykłego przyrzędu.

Tam stał zaokrąglony kamień, na którym tkwiła para rzeźbionych stóp, choć nie podtrzymywały one ani nóg, ani reszty ciała. Tak, tak i tak! Dziewczyna nie otwierała oczu, żeby nie zakłócić przepływu siły. Szeptem wypowiedziała zaklęcie, jedno z pierwszych, których musiała się nauczyć. Zrobiło się jej lekko na sercu, gdy kawałek drewna pod jej ręką zaczął się rozgrzewać.

Kiedy wymówiła ostatnie dziwne słowo w dawno zapomnianym języku, milczała chwilę. Ogarnęła ją wielka radość z sukcesu. Zazar nauczyła ją bardzo niewielu czarów i dziewczyna nigdy nie wiedziała, dlaczego. Teraz naprawdę ucieszyła się, że umie posługiwać się magicznym przewodnikiem.

Czując się nieco bezpieczniej, włożyła czarodziejską deseczkę z powrotem do sakiewki u pasa i rozejrzała się wokoło, szukając spojrzeniem Mądrusi. Jednak istotka zniknęła; może znów pobiegła do przodu. Dziewczyna spróbowała powtórzyć znajome wezwanie i jednocześnie stworzyć w myśli obraz towarzyski, ale nie otrzymała odpowiedzi.

Zrobiła krok do przodu i omal nie krzyknęła, bo natrafiła na ciało! Ściśle mówiąc, na szczątki. Jesionna ostrożnie obeszła kości – wszystko, co zostało z nieznanego mężczyzny. Ciekawość jednak wzięła w niej górę nad ostrożnością. Przyjrzała się resztkom odzieży, z kosztownej ciemnofioletowej tkaniny, jakiej dziewczyna nigdy dotąd nie widziała. Natomiast buty, pas, wszystko, co było wykonane ze skóry – zniknęło razem z ciałem. Zmusiła się, żeby nie myśleć, jacy padlinożercy ogołocili te zwłoki. Zauważyła, że jedna z nóg jest złamana i nabrała pewności, że nie stało się to pośmierci nieznanego. Nadal nosił bransoletę nad łokciem. Dotknęła jej. Bransoleta wsunęła się do ręki Jesionnej tak łatwo, jak gdyby zmarły sam jej ją dał.

Bransoletę wyrzeźbiono z jednego kawałka mlecznobiałego, przezroczystego kryształu, mieniącego się wszystkimi barwami tęczy. Ozdoba zaślniła, gdy dziewczyna obróciła ją w ręce.

– Będę ją nosiła przez pamięć o tobie, kimkolwiek byłeś – powiedziała głośno. A potem, czując się trochę głupio, że przemawia do zmarłego, włożyła bransoletę i znowu zaczęła szukać Mądrusi.

Bez powodzenia. Kiedy Jesionna zdała sobie sprawę, że została sama, do jej serca znów wkradł się niepokój. Chociaż niejednym raz wyruszała w nieznaną, idąc śladem Zazar, teraz było zupełnie inaczej. Ogarnęło ją poczucie straty tak wielkiej, jak nigdy dotąd. Podziwiała i obawiała się Zazar, lecz z Mądrą Niewiastą nie łączyła jej żadna głęboka więź. Kazi zawsze była wrogo do niej nastawiona, podobnie jak reszta Ludu Bagien. Natomiast Mądrusia, którą początkowo uważała za zwierzątko, niepostrzeżenie stała się ulubioną towarzyszką. Jesionna pokochała tę inteligentną istotkę.

Dwukrotnie próbowała w taki sam sposób jak Zazar przywołać małą strażniczkę ruin na jeziorze. Nie otrzymała odpowiedzi, więc uznała, że została sama. Pewnie kiedy Jesionna ustawiała Prowadzącego-do-domu, Mądrusia wycofała się do tunelu i teraz prawdopodobnie wracała do schronienia na wyspie.

Dziewczyna wiedziała, co ma zrobić. Zrozumiała też, że Mądrusia zaprowadziła ją na drogę, którą ona, Jesionna, ma odtąd podążać. Musi spróbować pomóc Kazi i dowiedzieć się od niej, co się stało z Zazar.

Zazwyczaj blade słońce mocno świeciło na niebie, zupełnie jakby chciało rozgrzać całą ziemię. Jesionna przeniosła spojrzenie poza kamienne szczątki i zobaczyła wyspę. Jeśli skręci w lewo, z czasem znajdzie ślady Kazi, którymi będzie mogła pójść.

Przynajmniej ustał warkot bębnow. Ale to może równie dobrze okazać się groźbą, jak błogosławieństwem. To, że alarm był krótki, może oznaczać, że atak został odparty i że Joal i jego wojownicy wrócą do starożytnych ruin. Jesionna musi więc ruszyć w dalszą drogę. Chociaż Kazi nie zdoła poruszać się zbyt szybko z powodu kalectwa, to jednak może zająć tak daleko, że Jesionna nie trafi na jej trop.

Po opuszczeniu ruin dziewczyna przekonała się, że grunt jest twardy, mogła więc zyskać na czasie. Od czasu do czasu określała swoje położenie wobec wyspy, aż ujrzała występ skalny, gdzie Zazar przywiązała łódkę. To tam niedawno wykarczowano krzaki i pojawił się Joal.

Wykorzystując całą swoją wiedzę i umiejętności, Jesionna odnalazła ślady Kazi. Widać było, że staruszka szła z trudem. Upadła co najmniej dwa razy. Zresztą ci, którzy ją tutaj przywlekli, nie kroczyli szlakiem Krainy Bagien, a teren był tu wszędzie nierówny. Oprócz ruin na obu wyspach i tych, które otaczały wyjście z

podziemnego tunelu, ziemia była usłana mnóstwem kamiennych odłamków.

Jesionna straciła jezioro z oczu, ale w tym miejscu trop Kazi wyraźnie znaczyły cierniste krzaki; na niektórych z nich powiewały strzępki z jej kaftana. Teren zaczął się podnosić. Przed sobą dziewczyna zobaczyła wysokie zarośla. Niektóre krzaki były wyższe od niej, a rozpostarte w górze gałęzie splatały się mocno. Światło słońca ustąpiło miejsca półmrokowi.

Nagle powietrze przeszył głośny krzyk. Nie był to wrzask wielkiego drapieżnika; najwyraźniej wyrwał się z ludzkiej piersi. Jesionna zatrzymała się gwałtownie; drżała ze strachu, że kobietę, której szukała, osaczył jakiś bagienny potwór.

Nie miała włóczni, tylko nóż u pasa. Jeżeli pójdzie w kierunku tego krzyku, może narazić się na tak wielkie niebezpieczeństwo, że nie pomoże ani sobie, ani Kazi. Po pierwszym rozległ się drugi błagalny okrzyk i dziewczyna zdała sobie sprawę, że nie może stać obojętnie. Przedzierała się przez gąszcz, aż skończył się nagle i Jesionu znalazła się na skraju otwartej przestrzeni, podobnej do brukowanej polany, gdzie czekał kamienny potwór. Tutaj nie było żadnego posągu, za to walczyły ze sobą dwie postacie.

Napastnik powalił Kazi na ziemię. Kobieta przetoczyła się i chwyciła go za kostkę. Stojący nad nią mężczyzna nie przypominał wojowników z Ludu Bagien. Gęsta mgła otulała go od stop do głów. Widok ten wstrząsnął Jesionną. Przecież tak samo działał jej kamień mocy. Najwyraźniej nieznajomy nosił amulet podobny do tego, który dostała od Zazar. Instynktownie chwyciła swój wiszący na sznurku kamień mocy. A kiedy go dotknęła, zaczęła widzieć coraz wyraźniej. W końcu magiczna mgła już nie przesłaniała jej oczu.

To Cudzoziemiec! Był wysoki i nosił hełm, tak zasłaniający jego rysy, że Jesionna nie mogła ich rozróżnić. Jego ciało do połowy ud przykrywało coś w rodzaju koszuli lub kaftana, lśniąco w słabym świetle słońca. Na wierzch zarzucił szatę bez rękawów, tak podartą przez gałęzie i ciernie, że jeśli przedtem widniały na niej jakieś symbole, to już dawno zniknęły.

Ledwie Jesionna zdążyła zauważyć to wszystko, kiedy mężczyzna znowu pochylił się nad Kazi i uderzył kobietę w twarz pięścią w rękawicy z takiego samego połyskliwego materiału jak jego strój.

Kazi nawet nie krzyknęła. Osunęła się na ziemię i znieruchomiała. Napastnik trącił ją butem, a kiedy nie drgnęła, podszedł bliżej i jedną ręką rozdarł kobiecie kaftan, obnażając ją do pasa. Głowa Kazi drgnęła, gdy mężczyzna siłą zerwał jej z szyi sznurek, a wraz z nim błyszczący przedmiot.

Jesionna domyślała się, co to takiego – okrągła metalowa ozdoba, której nigdy nie pozwolono jej się przyjrzeć. Co więcej, była pewna, że Kazi specjalnie pilnowała żeby rywalka nie zobaczyła tego wisioru.

Obcy stał długą chwilę, przyglądając się zdobyczy. Potem odwrócił się nagle i wielkimi krokami odszedł na południe. Kazi leżała bezwładnie tam, gdzie powalił ją ostatni cios.

Kiedy Jesionna nabrała pewności, że Cudzoziemiec naprawdę odszedł, pobiegła przez polanę do Kazi, która leżała bezwładnie na plecach, a w ręku trzymała kamień. Najwyraźniej próbowała się bronić. Wystarczyło jedno spojrzenie na zakrwawioną, posiniaczoną twarz Kazi. Jesionna zamarła. Mimo błota i krwi zobaczyła wyraźnie, że czoło Kazi jest zmiażdżone. Staruszka patrzyła w górę znieruchomiałymi oczami. Dziewczyna pomacała gruby kark Kazi, szukając pulsu, jak dawno temu nauczyła ją Zazar. Nic nie wyczuła. Dopiero po kilku chwilach Jesionna zrozumiała, że Cudzoziemiec zabił Kazi bez skrępowań, bo w jakiś sposób dowiedział się o istnieniu przedmiotu, który tak ceniła, i zamierzał go jej zabrać.

Powoli wyprostowała krępe ciało Kazi. Nie patrząc na zalaną krwią twarz, można by teraz pomyśleć, że staruszka śpi. Jesionna nie zamierzała postąpić zgodnie ze zwyczajem; nie będzie wlec ciała do najbliższego bajorka, by oddać je na żer mieszkańcom głębin. Zebrała trochę kamieni i przykryła nimi zwłoki Kazi.

Ta stara kobieta była jej jedyną nadzieją na poznanie losu Zazar. Teraz musi pogodzić się z myślą, że może już nigdy nie zobaczy Mądrej Niewiasty. Zrozumiała, co powinna zrobić. Skąd przybył Cudzoziemiec, by ograbić Kazi? Jak się dowiedział, co nosiła na szyi? Ten Cudzoziemiec może okazać się kluczem do rozwiązania zagadki. Myśliwi z Ludu Bagien wyruszyli na polowanie i będą zaciekle ścigać intruza, jeżeli go wytropią. Jeśli jednak zaszedł tak daleko w głąb Krainy Bagien, to musiał mieć jakieś potężne środki obrony. Jesionna jeszcze raz dotknęła swojego amuletu. Jak pierwszy lepszy Cudzoziemiec mógł korzystać z czegoś, co Jesionna zawsze uważała za dobrze strzeżoną tajemnicę Zazar, którą znała tylko Mądra Niewiasta? Chociaż może to grozić wielkim niebezpieczeństwem, musi dowiedzieć się tyle, ile zdoła. Postanowiła poszukać tropu Cudzoziemca, zdecydowana za wszelką cenę pójść za nim.

– Wasza królewska mość...

Ysa rozpoznała ten głos, choć stłumiony przez jeden z długich gobelinów, które dodawały barw i wygody tej najbardziej prywatnej komnacie w jej apartamentach. Fakt, że ta wysłanniczka wolała przybyć tajemnym przejściem, ale za dnia, obudził czujność królowej. Szybko rozejrzała się po komnacie, wstała i zaryglowała oficjalne drzwi, a potem wróciła na swoje krzesło.

Odesłała już dworki i pokojówki; tym razem nie życzyła sobie żadnych intruzów. Nie lubiła być zależna od przypadkowych informatorów. Wiadomo, że skoro robią to dla jednej osoby odpowiednio opłaceni lub zmuszeni, mogą to samo przekazać drugiej stronie. Lecz kobieta znana jako Królowa Szpiegów zawsze była dyskretna.

Ysa odwróciła się i wymówiła jej imię:

– Marfey.

Wiedziała, gdzie patrzeć – w stronę sekretnych drzwi. Przez rozcięcie w gobelinach, ukryte przed oczami wszystkich, z wyjątkiem wtajemniczonych, wyszła, kulejąc, chuda, zgarbiona postać w połatanym ubraniu, o wiele za dużym dla kościstego ciała, które ukrywało.

Marfey brudną ręką odsunęła z czoła zmierzwione włosy, niewiele różniące się kolorem od kurzu, odsłaniając wynędzniałą twarz oszpeconą przez ciemniejący siniak.

Trudno było odgadnąć wiek tej kobiety, tak jak uznać ją za kogoś innego niż za cierpiącą skrajną nędzę żebraczkę. Kiedy jednak Marfey weszła do komnaty, nieoczekiwanie uśmiechnęła się szeroko do Ysy, jakby zachwycona wrażeniem, jakie jej wygląd wywarł na królowej. Ysa widywała tę swoją służbę w bardzo różnych przebraniach i zawsze zaskakiwały ją role, które grała Marfey, Królowa Szpiegów.

Ysa machnięciem ręki wskazała agentce jeden z wyściełanych stołków pod ścianą. Marfey wyprostowała się i ruszyła w tę stronę. Kulała lekko, ale szła pewnym krokiem, porzuciwszy już rolę żebraczki. Usiadła tak, jakby miała wszelkie prawa do tego zaszczytu, i wytrząsnęła kamyk z buta. Królowa zdała sobie sprawę, że ten kamyk nie znalazł się tam przypadkowo. Miał sprawić, że Marfey nie zapomni swojej roli.

Ysa pochyliła się lekko do przodu, nie zważając na smród stęchlizny buchający od ubrań rzekomej żebraczki.

– Czego się dowiedziałas?

– Pan Harous wrócił z polowania.

– A jaki był rezultat jego wysiłków na tym polu?

– Nie miał szczęścia, ale może przewidział brak zdobyczy. Trzej mężczyźni z jego straży przybocznej stracili jucznego kuca, którego zabrali na to polowanie. A mimo to po powrocie Harous nie sprawiał wrażenia przybitego. Zupełnie jakby te wysiłki mu się opłaciły.

Harous na granicy Bagien Bale, powracający z zadowoloną miną? Ysy ta myśl nie uspokoila. Z kim się spotkał? Czego się dowiedział? Powiedziała szybko:

– Marfey, jest taka kobieta... – Postukała palcem w poręcz krzesła, szukając w pamięci imienia, które jej umknęło. – O, już wiem. Pani Marcala z Valvageru ma prawo do miejsca na naszym dworze. Doniesiono mi, że ma dość swobodne obyczaje, lecz jej uroda rekompensuje wszystko, z wyjątkiem najgorszych wybryków. Jego wysokość mógłby się nią zainteresować, ale... Marcala jest daleką krewną Harousa. Nie widział jej od paru lat, więc powinien przychylnie spojrzeć na zacieśnienie rodzinnych związków. Marcala, kobieta lekkomyślna, ale sprytna, może uznać Harousa za lepszą zdobycz niż Floriana. Po co spędzać długie godziny w łóżu księcia, ryzykując odtrącenie, gdy tylko pojawi się inna ładna, młoda twarz?

Marfey słuchała. Wyraz twarzy Królowej Szpiegów nie zdradzał jej myśli. Kiedy Ysa skończyła, agentka żywo skinęła głową.

– Rozumiem – odrzekła.

Po raz pierwszy twarz Ysy rozjaśnił uśmiech.

– Dziecko, na pewno się cieszysz, że wreszcie zdejmiesz te śmierdzące łachmany i że pojawisz się na dworze, tak jak masz do tego prawo.

Marfey wzruszyła ramionami.

– Wasza królewska mość wie, że moje skromne talenty zawsze są na jej usługi. Tylko zechciej mi opowiedzieć jak najwięcej o tej Marcali, pani. Pochodzi z Valvageru, więc zakładam, że jeszcze nie widziano jej na dworze...

Ysa znów się uśmiechnęła.

– Dwukrotnie zaproponowano mi ją na naszą dworkę, ale z opowieści o niej wynikało, że nie można jej wierzyć. Ponieważ żyje daleko stąd, nawschodniej granicy, niemal nikt z jej szlachetnie urodzonych krewnych nigdy jej nie poznał. Jest tam niewiele posiadłości, a większość z nich należy do wielmożów niższej rangi, którzy nie znają dworu. – Podniosła ręce i zaczęła wyliczać, zaginając palce jakby dla podkreślenia wagi swoich słów. – Ma czarne włosy, a w lewym kąciiku ust mały, ciemny pieprzyk, który podobno bardziej podkreśla jej urodę, niż umniejsza. Doskonale tańczy i lubi dobrze zbudowanych mężczyzn. Jej ulubione kolory to fiolet, ciemny róż, złocisty i brzoskwińoworóżowy odcień lilii vau, które uwielbia i nosi we włosach przy każdej okazji. Używa też perfum z tych kwiatów.

Marfey kiwała głową przy każdym punkcie.

– To wszystko bardzo ładnie brzmi, ale lepiej mieć podobiznę – powiedziała otwarcie.

Teraz Ysa uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

– A jak myślisz, dlaczego mogłam opisać ci ją tak dokładnie? Podejdź do tamtego stołu i otwórz szufladę. Znajdziesz tam miniaturę pewnej damy, namalowaną zaledwie dwa miesiące temu.

Marfey posłuchała i wyciągnęła portrecik w ramach. Przyjrzała mu się uważnie.

– Dość dobry – powiedziała. – Malarz waszej królewskiej mości jest zmyślny i biegły w swoim zawodzie.

– A ty jesteś dostatecznie podobna, by uchodzić za Marcalę dla tych, którzy znają ją tylko z tej miniatury. Opuścisz miasto w ciągu godziny – ciągnęła królowa. – Znasz letni pałacyk w Bray? W ostatnich latach dwór tam nie wyruszał, gdyż jego królewska mość miał na głowie inne sprawy. Udaj się tam. W pałacyku znajdziesz kobietę imieniem Tetia, która tam mieszka. To moja krewna. Odezwij się do niej: “Dzień nadchodzi, niech wszystkie serca się radują”. Wiesz, że to cytat z pieśni, która była popularna w zeszłym roku. W odpowiedzi Tetia zacytuje następny wiersz. Dostarczy ci też wszystkiego, czego potrzebujesz. Pałacyk znajduje się w pobliżu drogi publicznej, którą Marcala przyjechałaby z Valvageru. Otrzymasz służebną, garderobę i odpowiednią eskortę. Dwór zostanie powiadomiony o twoim rychłym przybyciu. Kiedy znajdziesz się na miejscu, wszystko będzie zależało od ciebie. Harous nie jest kobieciarzem, ale nie ma żony, dobrze zna obowiązek wobec swego rodu i wie, że wkrótce musi go spełnić. Resztę pozostawiam tobie, dziecko. Musisz się dowiedzieć, jakie ma powiązania z Bagnami Bale. To sprawa najwyższej wagi.

– Tak, wasza królewska mość. – Młoda kobieta wstała i złożyła głęboki ukłon, zupełnie nie pasujący do jej obecnego wyglądu. Prześliznęła się przez rozcięcie w gobelinie i odeszła bez pożegnania.

Ysa również wstała, żeby odryglować drzwi. Czas, czas, pomyślała. Zwykle jej przyjaciel, równie dobrze mógłby stać się wrogiem. Tak, Boroth jeszcze żył, ale tylko dlatego, że czerpał z mocy Pierścieni, którą na niego skierowała. Zdawała też sobie sprawę, że za każdym razem, gdy tak się działo, ona sama stawała się coraz bardziej wyczerpana. Kazała również obserwować Floriana i dobrze wiedziała, że w ostatnich czasach nie szukał towarzystwa kobiet tak jak przedtem. Chociaż w jego komnatach nadal odbywały się biesiady i hulanki, zapraszał teraz innych gości – hazardzistów różnego rodzaju; wino lało się strumieniami, bardziej niż kiedykolwiek. Większość z kompanów Floriana stanowili młodszy synowie różnych wielmożów, ale domy, które reprezentowali, nie należały do przyjaciół królowej. Nadzorowała ich ruchy, na ile to było możliwe, i napomknęła Royance’owi, że mogą oni narobić kłopotów.

Royance, tak samo jak ona, nie chciał walki o władzę po śmierci króla i dobrze znał naturę Floriana. Odkąd zobaczył, że Pierścienie odtrąciły księcia, Ysa wiedziała, że przewodniczący Rady Królewskiej z radością poprze każdy projekt, który będzie sprzyjał utrzymaniu pokoju, i zamierzała działać w oparciu o tę wiedzę.

Słońce jasno świeciło, a jego promienie docierały spoza poszarpanych ścian klifów, do których mieli tego dnia wyruszyć zwiadowcy Morskich Wędrowców. Na razie nikt się nie poruszył wśród kamiennych grzbietów. Oprócz Oberna na czele oddziału było jeszcze trzech – Dordan, Kather i Kasai. Wszyscy nosili kolczugi. Obern nie patrzył na swoich towarzyszy. Skupił uwagę na niebezpiecznym szlaku do pomostu lądowego, do którego, jego zdaniem, warto było się dostać.

Aż do chwili odjazdu Snolli nie udzielił mu żadnej rady i to podniosło na duchu jego syna. Obern rozumiał, co znaczy milczenie naczelnego wodza. Dowodziło ono, że Snolli ufa, iż jego syn zachowa ostrożność i okaże odwagę, tak jak on sam, gdyby zbliżali się do nieprzyjacielskiej twierdzy.

Ojciec pożegnał go starą formułą:

– Płyn z wiatrem w żaglach i z przychylnymi falami.

W odpowiedzi Obern odwrócił się i podniósł obnażony miecz. Potem ruszył w stronę drogi najłatwiejszej z możliwych. Wybrał ją po dokładnej obserwacji terenu, po tym jak wyrażono zgodę na tę wyprawę.

Dotarcie do skraju nieznanego terytorium nie zabrało im dużo czasu. Musieli zejść, a potem znów się wspiąć. Niebawem dotarli do otworu jaskini, w której znikła rzeka graniczna. Dalej jej wody znów się wynurzą, zanim skały wyplują je w stronę morza pod postacią wielkiego wodospadu, który, jak wcześniej zauważyli, znajdował się na samym brzegu Krainy Bagien. Lekkie opary mgły przesłaniały część terytorium Bagien, ale nie uniosły się, żeby otulić szczyt klifu. Zwiadowcy bez wahania przeszli po pomoście lądowym. Teraz teoretycznie znajdowali się na Bagnach; szli równoległe do rzeki, ale jeszcze nie widzieli, co się za nią znajduje.

– Nie słyhać bębnow – przypomniał im Dordan. Kasai, który przewiesił swój bęben na sznurze przez ramię, zatrzymał się. Stojąc naprzeciw niemal całkowicie zasłoniętych mgłą Bagien, kilkakrotnie odetchnął głęboko, wachając powietrze, jakby w ten sposób mógł zdobyć niezbędną wiedzę.

To Obern zauważył, że Dobosz Duchów jest zaniepokojony.

– Może ta mgła zapewnia nam teraz schronienie. A to znaczy, że musimy ją wykorzystać, zanim się rozwieje.

– Tamtędy dołem... – Była to część pytania i łucznik Kather odwrócił się z powrotem ku rzece, ponad szczytem pomostu lądowego.

Obern pokręcił głową. – Lepiej zobaczymy, co się da... – Urwał, bo pasmo mgły

odpłynęło i zobaczył brzeg rzeki. W ten sposób dowiedział się, że nie są sami.

Po stroju rozpoznał, że tych sześciu mężczyzn to Rendelianie. Tak jak poprzednia grupa, mieli więcej koni niż jeźdźców; zwierzęta były przywiązane do palików niedaleko od nich. Większość Rendelian zgromadziła się wokół płachty rozłożonej na ziemi – Obern podejrzewał, że była to mapa. Rozróżnił tego, którego słuchali pozostali; wskazywał coś nożem na mapie. Kiedy Obern po raz ostatni widział tego mężczyznę, osłaniały go strzępy mgły. Teraz mówił, a jego towarzysze mu nie przerywali. Chociaż syn Snollego wyteńczył słuch, tamci byli za daleko i szum rzeki zagłuszał wszelkie dźwięki pochodzące z ich tymczasowego obozu.

Obern dał znak ręką i jego oddziałek ruszył w stronę morza. Wkrótce stracili z oczu Rendelian, a i tamci nie mogli dostrzec ich z dołu.

– To łowcy... kłopotów – powiedział Obern cichym głosem, niemal zagłuszonym przez szum rzeki. Wszystkie informacje zasłyszane od kupców i zebrane przez ich własnych zwiadowców głosiły, że Cudzoziemcy nie mieli wstępu do Krainy Bagien. A przecież widać było, że tamci w dole sprawdzali coś na mapie. Dokąd to ich zaprowadzi? Gdzie, jak nie na Bagna? Zatrzymał się nagle. Może pomylił się co do celu ich wyprawy. Wszyscy Rendelianie byli po dozwolonej stronie rzeki. Nic nie wskazywało, że objęcie we władanie opustoszałego zamku przez Morskich Wędrowców wzbudziło zainteresowanie ich sąsiadów – jeśli byli tacy w niezbyt wielkiej odległości. W takim razie kim są ci, którzy teraz przybyli na zwiady? Kasai przyłączył się do niego.

– Zwiadowcy kierują się do naszego zamku? – zapytał Obern.

Dobosz Duchów pokręcił głową.

– Myślę, że nie, chociaż nie możemy być zupełnie pewni.

– Ten z mapą... myślę, że jechał już wtedy do Krainy Bagien.

– Przypuszczam, że znów się tam wybiera. Możliwe, że jakaś pilna potrzeba skłania go do szukania czegoś na tych mokradłach, wśród sieci zastawionych przez ich mieszkańców.

Obern skinął głową. – Oby tak było.

Jeżeli ten Rendelianin ponownie wyruszał do zakazanej krainy, dobrze będzie mieć go na oku jak najdłużej. Ostrożnie przeszli niewielką odległość w kierunku północnym, od czasu do czasu zatrzymując się, by obserwować jeźdźców w dole i teren na południu. Utkane z mgły zasłony ukrywały Rendelian, ale niezbyt dokładnie; w każdym razie zwiadowcy na górze zauważyli, że tamci zwinęli mapę i patrzą na rzekę i na rozciągające się za nią groźne moczary.

Najwyższy czas, by użyć każdego dostępnego schronienia. Położywszy się na brzuchach, Morscy Wędrowcy z trudem przeczołgali się między ostro zakończonymi skałami do upatrzonego miejsca na wewnętrznej krawędzi urwiska. Stamtąd dobrze

widzieli Rendelian.

Ich przywódca otworzył podróżną sakwę i teraz po omacku szukał w niej czegoś. Obern ledwie dostrzegł to, co tamten wyjął. A potem zauważył niewielki dysk na sznurku, który mężczyzna włożył przez głowę, tak że wisior spoczął na jego piersi. Obok stała włócznia wbita grotem w ziemię. Rendeliański wojownik wziął ją do ręki i poszedł w stronę rzeki, omijając pomost lądowy. Wszedł do wody, brodząc coraz głębiej, a prąd był tak silny, że zaczął go spychać w stronę wodospadu. Podpierając się włócznią, dotarł na drugi brzeg, niemal dokładnie poniżej kryjówki Oberna i jego ludzi.

Kiedy Rendelianin wyszedł z wody, dotknął okrągłego wisioru. A wtedy stało się tak, jak gdyby to dotknięcie skupiło w jednym miejscu wszystkie strzępy mgły. Mgła szybko otuliła nieznanego; w jej środku ledwo majaczyło jego ciało. Była znacznie gęstsza od wciąż unoszących się nad Bagnami oparów. Potem Rendelianin pewnym krokiem ruszył do przodu.

Leżący na szczycie urwiska zwiadowcy spojrzeli po sobie w milczeniu. Tak jak Obern przewidywał, ten wojownik poszedł na Bagna. Czy są tam jacyś wartownicy, którzy go zobaczą? Bębny jeszcze milczały.

Nie, nie usłyszeli ich dudnienia, ale w górze rozległ się przeraźliwy wrzask, od którego rozbolały ich uszy. Obern znał ten przerażający dźwięk. Podniósł oczy; nad nimi krążyły trzy takie same ptaki, z jakimi niegdyś stoczyli walkę. Zdażył pomyśleć chaotycznie, że te drapieżniki widocznie mają zwyczaj polować trójkami.

Kather już nałożył strzałę na cięciwę łuku; Dordan miał podobny, mniejszy łuk, którego używano w niewielkich odległościach. Obern bezwiednie wyciągnął miecz. Ostrożnie poczógali się pod osłonę najbliższych skalnych występów. Teraz nie próbowali się już ukrywać przed tymi, których śledzili. Niech Rendelianie bronią się sami, bez ich pomocy.

Ptaki zatoczyły nad nimi krąg i stało się jasne, że polowały nie na Rendelian, lecz na intruzów, Morskich Wędrowców. Nagle jeden ptak zanurkował w powietrzu, przyciskając do tułowia wielkie skrzydła, każde wielkości stojącego mężczyzny. Z jego ohydneho, szeroko rozwartego dzioba wydarł się okrzyk bojowy. Zaraz potem drapieżnik krzyknął jeszcze głośniejsze, kiedy strzała uderzyła w jedną olbrzymią, szponiastą łapę, ale odpadła, nie przebiwszy jej. Pióra i twarda skóra musiały tworzyć dobrą osłonę.

Obern nagle zdał sobie sprawę, że ptak nie kieruje się w stronę łucznika, który go trafił, ale ku niemu. Cofnął się o krok i przykucnął, trzymając miecz w pogotowiu. Zamachnął się z całej siły, kiedy uznał, że napastnik znalazł się w zasięgu ręki.

Ptak wysunął do przodu wielki łeb, rozwarł zakrzywiony dziób, i Obern trafił w łapę, która miała zatopić w nim szpony. Jak przedtem ptaka obroniły pióra, tak teraz

kolczuga Morskiego Wędrowca uniemożliwiła drapieżcy atak.

Gdybyż tylko zdołał ugodzić mieczem w chudą szyję ptaszyska! Teraz jednak nie zadał celnego ciosu. Ptak zderzył się z mieczem z tak wielką siłą, jakiej syn Snollego się nie spodziewał. Młodzieniec zachwiał się na nogach. Skrzydlaty drapieżnik wrzasnął po raz drugi, skrzył gwałtownie z szumem piór i usiadł na występie skalnym tuż nad ich kryjówką.

Obern nie mógł odzyskać równowagi. Wydawało mu się, że stopy przestały słuchać jego gorączkowych wewnętrznych rozkazów. Skraj klifu opadał przed nim w dół, więc usiłował przerzucić ciężar ciała do tyłu, ale przeszkodził mu w tym rumosz pod nogami. Runął z niebezpiecznego miejsca w dół. Na moment zrozumiał, co się dzieje, a potem... Czerń, mrok, palący ból...

...i pochłonęła go nicość.

Jesionna widziała gdzie Cudzoziemiec, morderca Kazi, przedarł się przez zarośla, pozostawiając tu i ówdzie ślady stóp w miękkiej ziemi, gdzie zaczęła zbierać się woda. Nagle zmienił kierunek i teraz podążał na południe, w stronę skraju Bagien. Ale bębny nadal dudniły, a dziewczyna dobrze wiedziała, że jest tam mnóstwo strażnic i że w każdej czuwają ci, którzy mogą go schwytać.

Ona sama zazwyczaj wykorzystywała cenną wiedzę o bagiennych szlakach, którą przekazała jej Zazar, by omijać takie strażnice. Takie pilnie strzeżone tajemnice znane były tylko jednej wiosce. A teraz Jesionna musi wierzyć, że prawidłowo odczytała trop, i pójść w przeciwnym kierunku.

Lud Bagien utrzymywał szlaki myśliwskie prowadzące w stronę wschodnich klifów. Ona sama podczas swoich potajemnych wypraw nie zbliżała się do nich zanadto. Rzeka graniczna płynęła podziemnym korytem blisko tych skalnychścian, zanim w końcu wpadała do morza, ogromnego zbiornika wodnego, o którym dziewczyna tylko słyszała, ale go nigdy nie widziała. Istniała czy też nie istniała droga, którą mogłaby dotrzeć do morza, a potem wrócić, mając rzekę za przewodnika? Mogła tylko spróbować, stosując wszelkie środki ostrożności i cały czas zachowując czujność. Uznała jednak, że intruz wybierze najkrótszą drogę i nie będzie ryzykował, że zabłądzi w jakimś nieoznaczonym grzędawisku. Zacisnąwszy paski ciężkiej sakwy, by mieć pewność, że nie będzie jej przeszkadzać w marszu, Jesionna wycięła z pobliskiego krzaka wikliny najgrubszą gałąź, jaką znalazła. Trzymając tę gałąź, skrzyła na wschód. Widziała cel swojej podróży: cień na horyzoncie, którym były klify.

Bębny sygnalizacyjne znów zadudniły, ale tym razem miarowo. Nie wzywały Ludzi z Bagien do walki. To tempo było wolniejsze niż zew bojowy. Tropili. Nie usłyszała piszczalek wojennych, więc przypuszczała, że najeźdźca nie został pokonany. Ponieważ jednak podążał na południe, zanim skrzył na wschód, uznała za mniej prawdopodobne, iż ona, Jesionna, natknie się na grupę tropicieli. Zresztą miała amulet, dar Zazar. I była pewna, że nieznaną zabójca Kazi posługiwał się podobnym starożytnym kamieniem mocy, który osłaniał go przed grożącymi na Bagnach niebezpieczeństwami. Kiedy tak szła, sondując gałęzią wikliny każde podejrzenie wyglądające miejsce, nie przestawała rozmyślać o Zazar.

W minionych latach kilkakrotnie zdarzyło się, że jacyś obcy, otuleni opończami tak, żeby nikt ich nie rozpoznał, przyszedli do chaty Zazar i jakiś czas rozmawiali

szeptem z Mądrą Niewiastą. Aż do tej pory Jesionna odrzucała podejrzenie, że byli to Cudzoziemcy. Teraz jednak przekonała się, że Zazar była na tyle potężna, iż mogła im wskazać bezpieczną drogę.

Dziewczyna zastanowiła się nad siecią informatorów, którą Mądra Niewiasta utrzymywała dzięki takim potajemnym odwiedzinom. Cudzoziemcy? Jeżeli Joal powziął podejrzenie, że Zazar się z nimi zadaje, nic dziwnego, iż zwrócił się przeciwko niej, wymuszając z Kazi wszystko, co wiedziała.

Bębny zamilkły. Ta nagle cisza wyrwała Jesionne z zamyślenia. Albo najeźdźca został pojmany, albo uciekł w jakiś nieprawdopodobny sposób. Trudno jej było zaakceptować taką możliwość.

Sondując wilgotny mech pod nogami, natrafiła na niewielkiej głębokości na twardszą powierzchnię. Może był to bruk podobny do tego, który już widziała. Zdawał się rozciągać w stronę, gdzie Jesionna chciała dotrzeć, więc trzymała się go. Zapadał zmierzch i miała nadzieję, że znajdzie jakieś schronienie, zanim zrobi się całkiem ciemno.

Dwie kolumny, stojące w pewnej odległości od siebie, zamajaczyły w zaroślach przed nią; to do nich prowadziła ta ukryta droga. Pewne ślady świadczyły, że kiedyś na szczytach tych kolumn spoczywał poprzeczny kamień. Jeszcze więcej pozostałości dawno wymarłych ludów, pomyślała dziewczyna. Za kolumnami ciągnęło się pasmo trzciny i jeszcze jedno z rozlanych, usianych plamami szlamu bajorek, w którym coś mogło się czaić. W tym bajorku zobaczyła rząd kamieni porośniętych zielonym mułem, ledwie wystających spod wody. Zdarzało się jej chodzić po takich kamieniach.

Tak, dawały oparcie stopom, ale Jesionna obawiała się pośliznąć na ich gładkiej powierzchni. To jeziorko nie było szerokie, lecz długie – wąska odnoga, którą dziewczyna mogła dostrzec w gasnącym świetle dnia; za jeziorkiem rozciągał się podmokły teren.

Musi się zdecydować i wkrótce ruszyć dalej, bo nigdzie nie widziała żadnej kryjówki. Okrążenie bajorka potrwa za długo. Ostatni blask dnia może pozostanie dopóty, dopóki Jesionna nie wypróbuje przejścia z kamieni. Odwróciła gałąź, by użyć jej drugiego końca; gałązki rozwidlały się tu blisko siebie. Uderzyła rozgałęzionym końcem w pierwszy kamień, sprawdzając, czy ją utrzyma. Wydawało się, że mocno tkwi w ziemi.

Stała, namyślając się i badając wzrokiem teren przed sobą. Niechętnie wyjęła amulet. Potarła kamień mocy palcem wskazującymi i wymówiła śpiewne zaklęcie, by go pobudzić.

Mgła podniosła się po obu stronach, ale nie zasłoniła przed wzrokiem dziewczyny kamieni prowadzących na drugą stronę bajorka. Jesionna stanęła na pierwszym głazie,

poślizgnęła się na plamie szlamu, ale szybko odzyskała równowagę. Powoli znaczy bezpiecznie, ostrzegła sama siebie i idąc, badała stabilność każdego kamienia z zachowaniem wszelkich środków ostrożności. W powietrzu wokół niej unosiły się skrzydlate iskierki – nocni łowcy. Ich jednak nie musi się bać; wszyscy dobrze wiedzieli, że niebezpieczeństwo groziło wędrowcom tylko wtedy, gdy pomylili je ze światełkami strażniczymi strzegącymi bagiennego szlaku.

Jesionna dyszała ciężko, zлана potem, gdy w końcu dotarła na drugą stronę bajorka. Zrobiła dwa duże kroki, zanim obejrzała się za siebie, zbyt dobrze pamiętając połykacza, który wynurzył się z takiego właśnie rozlewiska. Skrzydlate światełka zanurkowały nisko nad wodą, i oświetlając ją słabym blaskiem. Potem toń nagle zafalowała i nad powierzchnię wody wystrzeliło coś na kształt końcówki liny. Na ten widok Jesionna uciekła, nie mając wcale pewności, że znajduje się na ukrytej drodze. Tu jednak krzaki nie rosły tak gęsto i nie było splątanej wikliny. Otaczająca Jesionnę magiczna mgła lekkoświeciła. Dzięki temu dziewczyna zauważyła, że jest tam więcej wysokich, sterczących kamieni. Klify majaczyły na tle szybko ciemniejącego nieba.

Kluczyła między stosami strzaskanych głazów, nie tak gęsto zgromadzonych jak w zrujnowanym mieście, ale ostrożność nigdy nie zawadzi. Idąc, nasłuchiwała. Inni mieszkańcy Bagien rozpoczynali nocne łowy. Słyszała ochryple ryki i przeraźliwe piski. Raz skuliła się za pierwszą kamienną kolumną, gdy w pobliżu usłyszała głośny plusk i ryk. Lecz te dźwięki oddalały się coraz bardziej, więc po pełnym napięcia oczekiwaniu ruszyła dalej.

Za kupami gruzu dostrzegła błysk światełka strażniczego i skierowała się na południe, by jej nie zauważono.

W końcu, gdy już całe ciało bolało ją ze zmęczenia, usłyszała plusk wody. Jeśli się nie myliła, musiała to być rzeka graniczna otaczająca w tym miejscu Krainę Bagien. Przedzierając się między zaroślami, wyszła na brzeg.

Okazało się, że nie można użyć rzeki jako przewodniczki; właśnie w tym miejscu woda przez zasłone mgły wpadała do wielkiej dziury w skałach i znikiała. Dziewczyna doszła do skraju klifu, który majaczył jak ciemny mur za ogromnym otworem.

W wewnętrznej ścianie klifu zauważyła jeszcze inne pęknięcia i szczeliny. Jesionna szła ostrożnie, krok za krokiem, mając nadzieję, że zdoła obejść rzekę, nadal kierując się w stronę urwiska. Zapadał wieczór i z tyłu docierały coraz bardziej niepokojące odgłosy budzących się nocnych mieszkańców Bagien. Musi znaleźć jakieś schronienie na wypadek, gdyby któryś z podwodnych myśliwych pojawił się w pobliżu w poszukiwaniu zdobyczy.

Na prawo od otworu, w którym gineła rzeka, dostrzegła ciemniejszą plamę, która mogła być jaskinią. Postanowiła się tam wspiąć. Poprawiwszy sakwę na plecach, rozejrzała się, szukając wzrokiem oparcia dla rąk i nóg. Ostre krawędzie skały

boleśnie poraniły jej palce, zdołała jednak podciągnąć się do góry i rzeczywiście zobaczyła przed sobą wąską szczelinę. Donośny ryk z dołu dodał jej sił. Podskoczyła i wpadła do otworu, nie próbując się nawet oglądać.

Wbrew obawom nie natrafiła na nierówne, poszarpane skalne podłoże; w przeszłości wygładziła je jakaś siła, umożliwiając przejście. Lecz w jaskini panował gęsty mrok. Jesionna poczuła nieznaną, dziwnie orzeźwiający zapach, który musiał docierać z niedalekiego morza. Wyciągnęła do przodu laskę, mając nadzieję, że znajdzie koniec zagłębienia. Przekonała się, że jest w szczelinie dostatecznie dużej, by się swobodnie pomieścić.

O ogniu nie było mowy, ale dziewczyna miała jeszcze trochę suchego prowiantu, który zjadła z apetytem, usiłując jednocześnie ułożyć plany na przyszłość. Pomyślała, że chyba rzeczywiście zgubiła trop zabójcy Kazi i że teraz idzie w złą stronę. Z zewnątrz nie docierał do niej warkot bębnow. Wiedziała jednak, że Ludzie z Bagien nadal czuwają i mają się na baczności. Lepiej zrobi, zostając w tej bezpiecznej kryjówce do rana, kiedy się rozwidni.

Wyjęła z sakwy matę do spania i rozwinęła ją po omacku. Nie będzie to miękkie pośłanie, ale jaki zbłąkany wędrowiec z Bagien mógł na to liczyć? Pociągnęła łyżeczkę wody z manierki; trzymała ją chwilę w ustach przed połknięciem. Potem położyła się na macie i zamknęła oczy.

Ciemność otuliła ją jak drugi koc. Jesionna poczuła się tak zmęczona podróżą, że bolała ją każda kosteczka. Skuliwszy się, poszukała po omacku w sakwie i ostrożnie wydobyla jeden z woreczków, tak starannie umocowanych w środku.

Chociaż otaczał ją zatęchły odór Bagien i różnorakie zapachy morza, wyczuła też ostrą woń ziół w pakieczku. Bardzo ostrożnie rozwiązała woreczek; musiała to zrobić na oślep, więc bała się, by nie rozsypać jego zawartości. Kciukiem i palcem wskazującym wzięła szczyptę suszonych liści i włożyła je do ust. Potem związała woreczek i znów umieściła go w sakwie.

Miała ochotę wypluć kwaśne zioła, gdy tylko poczuła ich smak. Zamiast tego zmusiła się, by je dobrze przeżuć i połknąć. Teraz usta jej zdrętwiały. Ponownie wyciągnęła się na macie, z nadzieją czekając na sen.

Lecz nie udało jej się zasnąć. Wierciła się i przewracała, próbując ułożyć się wygodniej. Z Bagien docierały odgłosy świadczące, że nocni drapieżnicy polują na całego. Jesionna zadrżała na myśl, że niektóre z mniejszych potworów mogłyby wytropić ją po zapachu i wspiąć się do jej kryjówki.

Lecz stopniowo uświadomiła sobie jeszcze coś. Nie chodziło o groźne ryki z zewnątrz, jakich teraz nasłuchiwała; pojawił się rodzaj niepokoju, jak ostrzegawczy szept w otaczającej ją czerni. Nie mogła jednak zrozumieć sensu tego szeptu.

W końcu to dziwne przesłanie, jeśli rzeczywiście nim było, przesłoniło jej

otoczenie. Leżała bez ruchu i spokojnie powtarzała strzępy rytualnych formułek, które Zazar recytowała, kiedy były razem. Chociaż w głębi duszy nie wierzyła, że może jej cokolwiek pomóc takie recytowanie starożytnych, niezrozumiałych próśb, odkryła, że opuszcza ją strach. Odprężyła się trochę, gdy zdała sobie sprawę, że czerpie pociechę nie z własnych myśli, lecz z zewnątrz.

– Zazar? – zapytała sennie w duchu.

Kiedy ponownie otworzyła oczy, zobaczyła, że otacza ją blask wpadający przez otwór szczeliny. Światło było słabe, lecz mimo to Jesionna wreszcie mogła się rozejrzeć wokoło. Od razu odkryła drugi otwór w swojej kryjówce – niewiele większy niż szpara w ścianie, położony naprzeciwko szczeliny, przez którą się wczołgała. Łatwo można było nie zauważyć go w mroku.

Usiadła i przyjrzała mu się uważnie. Znów ogarnęło ją dziwne uczucie, jak gdyby ktoś wołał do niej z daleka, wzywał ją...

Jesionna nie miała już czasu, by się nad tym zastanawiać. Na zewnątrz rozległ się inny krzyk, tym razem nie wymyślony, bardzo blisko szczeliny. Zobaczyła przez moment wielką głowę, która zajrzała do otworu jej kryjówki i szybko się cofnęła, zanim dziewczyna zdołała się jej dobrze przyjrzeć. Powietrze przeszył następny okrzyk, ostry, przeraźliwy, równie groźny jak ryk bagiennego potwora. Rzeka graniczna wpadała do morza gdzieś w pobliżu. Czy to jakiś rzeczny stwór zwęszył dziewczynę i wspinał się teraz po urwisku? Jesionna wyciągnęła nóż. Miał czysty, najbardziej jak się dało wyostrzony brzeszczot. Lecz żeby móc skutecznie się nim bronić, musi znaleźć się blisko napastnika. Oprócz noża miała tylko laskę, którą sondowała drogę na moczarach.

Znów usłyszała wrzask i zobaczyła głowę u wejścia do jaskini. Tym razem udało jej się poznać, co to takiego; wzięła głęboki oddech z wrażenia. To jeden z olbrzymich bagiennych ptaków. Przed laty widziała takiego, którego wielkie cielsko aż dwóch myśliwych musiało zaciągnąć do wioski. Ich towarzysze podtrzymywali Batoryna, który stoczył walkę z tym drapieżnym ptakiem. Napastnik o mało nie rozszarpał mu twarzy. A teraz najwidoczniej inny taki olbrzym próbował zrobić sobie z niej śniadanie.

Przynajmniej wiedziała teraz dokładnie, gdzie się znajduje. Na szczęście dla Ludu Bagien te ptaki można było spotkać tylko na klifach na południowym zachodzie, a wieśniacy bardzo rzadko zapuszczali się w te strony.

Znowu rozdarł ciszę ten straszliwy wrzask. Jesionna dotknęła laski. Jeżeli myśliwi Joala potrzebowali czterech włóczyń, żeby zabić tamtego ptaka, na co jej się przyda gałąź bez grotu z twardej muszli lub ostrego zęba, który przebiłby grubą skórę napastnika? Nieuchronnie stanie się jego posiłkiem, chyba że... Odwróciła się do drugiej szpary w ścianie, widocznej tylko dlatego, że wyglądała jak czarna plama na

tle ciemnej skały. Nie było w niej widać żadnego światła.

Zwinąwszy matę do spania, przywiązała ją do sakwy. Nie powinna nieść jej na ramieniu. Drugi otwór wyglądał na wąski i może będzie musiała wlec z tyłu tobołek, żeby się w ogóle przedostać.

Kiedy w jej uszach po raz ostatni zadźwięczał krzyk skrzydlatego drapieżcy, ruszyła w nieznane. Okazało się, że otwór prowadził do dość wąskiego tunelu, znacznie dłuższego niż się wydawał z miejsca gdzie spała. Niebawem zdała sobie sprawę, że ostry zapach morza staje się coraz mocniejszy. Ponieważ nie docierało tu światło, musiała iść ostrożnie. Raz sprawdziła, czy magiczny przewodnik jej pomoże, ale pozostał matowy. Badała więc przed sobą drogę laską z nadzieją, że w ten sposób uniknie niebezpiecznych niespodzianek.

Szła wolno, najostrożniej jak tylko mogła. Potem zauważyła, że korytarz pnie się w górę. Z przodu nie widziała żadnego światła; jeżeli tunel wychodził na zwróconą ku morzu stronę klifu, cel wędrówki nadal ma daleko przed sobą. Uderzyła laską w jakąś przeszkodę i ostukała ją od góry i od dołu. Z przerażeniem stwierdziła, że ma przed sobą litą skałę. Kiedy znów podjęła badanieścian, nie napotkała zapory z prawej strony. A więc tutaj tunel skręcał. Potem stanęła przed innym dylematem. Korytarz skończył się nieoczekiwanie. Uderzyła laską w twardą powierzchnię i po chwili zaczęła badać otoczenie także drugą ręką. Ku swemu zdumieniu trafiła na prowadzące w górę schody.

Usiadła na piętach, by zastanowić się, czy mądrze zrobi, wspinając się po tych schodach. Wysoko w górze dostrzegła, że mrok jakby nieco pojaśniał. Ruszyła więc w tę stronę.

Mrok stopniowo zamienił się w słabe światło dzienne, zanim dotarła na szczyt schodów. Zobaczyła przed sobą następną jaskinię, podobną do tej, w której schroniła się minionej nocy. Na przeciwległym krańcu tej pieczary znajdował się duży otwór służący jako wejście; to tamtędy wpadało światło dzienne, dochodził monotony huk fal i orzeźwiający zapach morza.

Jesionna wyszła ze skalnego korytarza. Zauważyła, że pod ścianą z prawej leżą jakieś kości – następny ludzki szkielet.

Nie miała na razie ochoty badać tej nowej tajemnicy. Usiadła, żeby odpocząć, jak najdalej od tych szczątków. Wędrówka skalnym korytarzem wyczerpała ją, żołądek domagał się jedzenia. Rozmyślając o tej kupce kości, poszukała porcji prowiantu podróżnego – zostało go niewiele – i pozwoliła sobie na dwa łyżki wody.

Przypomniała sobie pierwszy szkielet, który znalazła, i odruch, który kazał jej pozostawić kości nieznanego mężczyzny w pobliżu komory grobowej w kamiennych ruinach, w towarzystwie innych zmarłych. Jednak ten szkielet wyglądał inaczej. Pierwszy mężczyzna mógł zginąć w wypadku, nie miała jednak pojęcia, jak skończył

ten drugi. Jego czaszkę oddzielono od reszty kości i umieszczono na kupce starego popiołu, by wpatrywała się pustymi oczodołami w skałę nad sobą. W końcu Jesionna wstała i uklękła przed szczątkami.

Światło dzienne dotarło wreszcie do jaskini; wewnątrz pojaśniało. Okazało się, że w pobliżu kości leży włócznia o połamanym na kilka kawałków drzewcu. A więc ten mężczyzna został pochowany z bronią, żeby strzec – ale czego? A może złożono go w ofierze? Dlaczego pozostawiono go tutaj, oddzielając czaszkę od szkieletu?

Dziewczyna odwróciła wzrok od nagich kości, mało przypominających człowieka. Ten widok zdopingował ją do odejścia. Wstała i skierowała się ku otworowi w skale, ku światłu. Odwróciła się od śmierci do życia. Nie wychodząc na zewnątrz, spojrzała na słońce i na huczące w dole morze.

Zauważyła, że ktoś kiedyś wykuł w skale niebezpieczną ścieżkę trochę poniżej wejścia do pieczary. Nie sięgała jednak daleko. Zniszczyła ją dawno temu jakaś kamienna lawina, dosłownie ścierając ze zbocza. Dziewczyna podkraśla się do wejścia, żeby popatrzeć na morze, o którym dotąd tylko słyszała.

Lecz żadne opowieści nie przygotowały jej na widok ogromnego, niewiarygodnie niebieskiego, cudownie czystego przestworu wodnego. Może falowało w dole, uderzając bez przerwy w podnóże klifu. Między stosami skał, może tych samych, które runęły wraz z dawną lawiną, tkwiła sterta zbielełego od soli drewna, jak gdyby fale roztrzaskały tu kiedyś łódź.

Stała teraz na samym skraju przepaści. Nie było drogi w dół. Ale co z drogą do góry? Tak, tędy biegła jakaś ścieżka, mniej widoczna niż początek tej pierwszej, zniszczonej przez lawinę. Jesionna uznała, że spróbuje nią pójść.

Pozostawały niebezpieczne ptaki. Dziewczyna skuliła się na samą myśl o nich. Popatrzyła na morze, bo jakiś ruch zwrócił jej uwagę. Na falach kołysał się statek, podobny do wraku na skałach, lecz nadal cały. Ocieniła oczy ręką i wyteżywszy wzrok, zauważyła na nim ludzi. Popatrzyła chwilę i nagle zrozumiała znaczenie tego, co się tu rozegrało. Ten roztrzaskany statek – najwidoczniej duży, taki jak ten, który teraz kołysał się na morzu – zwabiło światło zapalone po to, by wciągnąć go w pułapkę. A potem mężczyznę, który pilnował tego światła, zabito, a jego zwłoki pozostawiono jako ostrzeżenie, żeby inni nie uprawiali tego samego procederu.

To był zupełnie inny świat, świat spoza Krainy Bagien. Nagle usłyszała inny dźwięk – okrzyk, który wydarł się z ludzkiej piersi. Zawtórowały mu głosy innych mężczyzn – a także wrzaski atakujących drapieżnych ptaków...

Ysa siedziała w pewnym oddaleniu od swoich dam dworu. Na kolanie trzymała tamborek z kawałkiem tkaniny o zaznaczonych wzorach. Przekonała się już nieraz, że łatwiej jej przychodziło układanie planów, kiedy wpatrywała się w igłę z nitką. Nie znaczyło to, że kiedykolwiek miała jakieś osiągnięcia na polu haftu. Teraz czekała, a jej igła próżnowała.

Wszystko dobrze poszło, przynajmniej na razie. Dostała już wiadomości od Marfey... znów zapomniiała: od Marcali. Orszak tej damy, ponoć ze wschodu, miał przybyć w ciągu najbliższego obrotu klepsydry.

Harous jeszcze nie wrócił z wyprawy – na pewno nie myśliwskiej – która zaprowadziła go na skraj Krainy Bagien. Może Marcala zaspokoi jej ciekawość w tej sprawie. Ysa od dawna spekulowała na temat celu jego wędrówek, lecz bez powodzenia.

Cicho i z szacunkiem zaskrobano do drzwi i pani Grisella, siedząca najbliżej wejścia, poszła, by sprawdzić, kto to taki. Po chwili wróciła i ukloniła się królowej.

– Wasza królewska mość, pani Marcala prosi, by pozwolono jej wejść.

Ysa skinęła głową. Damy dworu zaczęły komentować to półgłosem, a Grisella odeszła na bok, żeby wpuścić nowo przybyłą, której wygląd przyćmił wszystkie obecne w komnacie kobiety. Nawet Ysa w sukni ze szkarłatnego aksamitu poczuła się nieco przygaszona. Fioletowa suknia Marcali, uszyta z kosztownej tkaniny, była wyhaftowana w lilie vau w brzoskwiniowym odcieniu, poprzątkane srebrnymi nićmi. A zapach wonności z tych samych kwiatów napływał delikatnie z każdym ruchem gościa.

Rzeczywiście, potwierdziła wszystkie pogłoski o swojej legendarnej urodzie. Otaczała ją, jak niewidoczny płaszcz, aura kokieterii, pozornie nie całkiem świadomej, która działała zarówno na mężczyzn, jak i na kobiety.

Złożyła królowej głęboki ukłon. Ysa nie wstała, lecz skinieniem ręki poleciła kobiecie podejść bliżej.

– Witaj – powiedziała chłodno i obojętnie. Wieść o przybyciu Marcali już się rozeszła i nikt na dworze nie może stwierdzić, że królowa faworyzuje damę, o której powtarzano tylko takie plotki, jakie przekazuje się w cztery oczy. Ysa zrobiła jeszcze jeden gest i ostatnia z jej dam dworu przyniosła dla nowo przybyłej stołek – a nie niskie krzesło, do którego ta miała prawo. Marcala nie uśmiechała się. Królowa rozumiała, że gość doskonale zdaje sobie sprawę z niechęci, jaką żywią do niej inne

damy.

Ysa nie miała czasu na dodanie czegokolwiek do powitania, bo zza drzwi znów dobiegł odgłos skrobania. Skinieniem głowy dała znak Griselli, która ponownie zajęła swoje miejsce najbliżej drzwi, żeby otworzyła.

Jeżeli przybycie Marcali zaskoczyło dworki, mężczyzna, który teraz się zjawił, wywarł takie wrażenie jak uderzenie pioruna. Royance wszedł wielkimi krokami, uklonił się i czekał, aż królowa zwróci na niego uwagę. Emanowała od niego pewność siebie, natomiast Ysę na jego widok ogarnął niepokój.

Starła się zachować obojętność, chociaż w głębi duszy miała ochotę krzyknąć z powodu tak niepomysłnego zbiegu okoliczności. Za dużo było pytań, które może zadać Royance. Miała tylko jedno wyjście – nie pozwolić, by wypowiedział któreś z nich w tym towarzystwie. Tak też postanowiła zrobić.

– Panie Royance, oby słońce świeciło ci przez cały dzień – powiedziała, witając go w najbardziej oficjalny i najmniej znaczący sposób.

– Oby to słońce było ciepłe, a dzień jasny dla waszej królewskiej mości – odpowiedział w taki sam sposób. Lecz patrzył na Marcalę.

W tej sytuacji królowej nie pozostało nic innego. Ysa wskazała nowo przybyłą.

– Panie, oto miły dodatek do naszego dworu, pani Marcala z Valvager. – Dama już wstała i złożyła odpowiednio głęboki ukłon.

– Witam cię serdecznie, pani – odrzekł. Ale przyglądał się Marcali tak podejrzliwie, jakby sądził, że ukrywa broń w fałdach szerokiej spódnicy.

– Oby słońce ogrzewało cię swymi promieniami, panie. – W miłym głosie Marcali Ysa usłyszała uwodzicielską nutę. Nie dopuści do tego. Tak, Marcala grała wyznaczoną jej rolę, ale tutaj może zagiąć parol tylko na jedną zdobycz – Harousa.

Ysa nie sądziła, żeby to nowa dama dworu sprowadziła Royance do jej komnaty. Przyszedłby do swojej królowej tylko w bardzo ważnej sprawie. Żeby zakończyć ten flirt, postanowiła przejąć inicjatywę.

– Dobrze, że przyszedłeś, panie – Zwróciła się do swoich dwórek. – Muszę porozmawiać prywatnie z panem Royance'em. Możecie wszystkie wyjść. – Opuściły szybko komnatę, a Marcala tuż za nimi.

Królowa skinieniem ręki wskazała wielmoży stołek, z którego dopiero co wstała jej nowa dama dworu, i włożyła robótkę do szkatułki na hafty na stole. Royance uniósł pytająco brwi i zamiast stołka przysunął niskie krzesło, na którym zwykle siadał.

– Masz dla mnie jakieś nowiny, panie? – Tak jak miała to ostatnio w zwyczaju, położyła jedną dłoń na drugiej; potrzebowała podwójnego dotyku Pierścieni.

Zamiast odpowiedzieć bezpośrednio, zauważył, co go zaskoczyło.

– Wasza królewska mość powiększyła swój dwór.

– W tych niepewnych czasach trzeba cenić każdą pomoc, jaką można otrzymać – odparła, myśląc szybko. – Jeśli pogłoski są prawdziwe, pani Marcala nie jest niewinnym kwiatuszkiem; na ten temat krąży wiele opowieści. Doniesiono mi jednak, że próbowała zmienić swoje życie i że od wielu miesięcy starała się o to, do czego dzisiaj doszło: o przyjęcie na dwór. Mam niewielkie poparcie na wschodzie kraju i chcę dać jej szansę na udowodnienie, że się zmieniła. Dobrze jest mieć źródło informacji z tamtych okolic... przynajmniej na razie.

Royance ułożył ręce w swój ulubiony sposób, splatając palce, jak gdyby kpił ze swojej pozycji petenta.

– Wasza królewska mość zawsze wie, co trzeba zrobić – rzekł, ale w jego głosie zabrzmiała ostrzegawcza nuta.

– A przecież wyczuwam, panie, że tego nie aprobujesz. Ta dama jest taka, a nie inna, trudno.

– Tak – odparł. – A jego wysokość ksiązę Florian również jest taki a nie inny. – Mówił z brutalną szczerością. Te wieloznaczne słowa zawisły ciężko w powietrzu między nimi.

Chyba miał sporo racji. Znów się zastanowiła. Większość wpływowych osób na dworze dawno wiedziała, że Florian nie jest celem żadnych zabiegów matrymonialnych; pewnie plotkowano, że matka znalazła dla niego taką żonę, jaką zdołała, nawet jeśli związek z panią Marcalą byłby głupotą z jego strony.

Lecz Royance nie wiedział – nie wiedziała o tym nawet Marcala – że zdaniem Ysy dopiero flirt nowej damy dworu z Florianem mógłby sprawić, iż zainteresowałby się nią Harous. Tę część planu zamierzała zachować dla siebie. Royance przybył za wcześniej, chociaż mogła się tego spodziewać. Teraz wiele zależało od tego, w jakim stopniu uwierzy w to, co chciała mu wmówić.

– Nie swatam mojego syna. Taki plan na nic by się nie zdał. Wierzysz, panie, że Rada Królewska zaakceptowałaby taką propozycję? Myślę, że nie – odpowiedziała.

Przyjrzał się jej, a potem powoli skinął głową.

– Oczywiście wasza królewska mość ma rację. Myślę jednak, że zamierzasz, pani, w jakiś sposób zmienić przeznaczenie.

– Jeśli tak, to bądź pewien, że w odpowiednim czasie dowiesz się, co się dzieje. – Ysa uśmiechnęła się w duchu, naprawdę zachwycona. To było coś, o czym nawet nie pomyślała! Obecność Marcali sprawi, że wybór Laherne na małżonkę Floriana stanie się jeszcze bardziej pożądanym, pod warunkiem, że ona, Ysa, zręcznie wykorzysta tę sposobność. A zrobi to. – Ale wieść o przybyciu tej damy to na pewno nie wszystko, co cię tu sprowadziło, panie.

Po raz pierwszy usta Royance'a wykrzywił cień uśmiechu.

– Wasza królewska mość ma rację. Jest jeszcze coś. Zauważono poruszenie

wzdłuż granic Bagien Bale. Niedawno...

– Niedawno w tę stronę wyruszały wyprawy myśliwskie, wiem o tym. – Czekala, czy wspomni o Harousie.

– Tak, a w dodatku Morscy Wędrowcy osiedlili się w Jesionowie. Patrolują teren pozostały po posiadłości Rodu Jesionu, ale jak dotąd jeszcze się z nami nie skontaktowali. Doniesiono mi, że ich przywódcą jest naczelny wódz znany jako Snolli. Jeśli tak jest, to możemy mieć do czynienia z bardzo chytrym i bardzo doświadczonym wojownikiem.

– Czy ci Morscy Wędrowcy wykazali chęć wejścia w głąb terytorium Rendelu? Nie otrzymałam takich meldunków. – Przez chwilę z niepokojem wyobraziła sobie spotkanie Harousa z tym Snollim, co miałyby fatalne skutki dla jej sprawy. Miała przynajmniej dwóch szpiegów, którzy przeczesywali nadmorski dystrykt, ale nie donieśli jej o obecności Harousa na wschodzie. Ten wielmoża nie był głupcem i mógł, nie wątpiła w to, dostrzec każdą parę oczu, którą Ysa wysłałaby za nim poza stolicę. Dlatego wiele będzie zależało od Marcali...

Royance spojrział jej prosto w oczy.

– Nie mieliśmy bezpośredniego kontaktu z tymi Morskimi Wędrowcami. Może sami powinniśmy ich poszukać...

Nigdy nie dokończył zdania. Tym razem nie było uprzejmego skrobania. Drzwi do komnaty królowej otwały się z trzaskiem i stanął w nich Florian.

Zachwiał się lekko, a po jego zaczerwienionej twarzy Ysa odgadła, że jak zwykle, idąc za przykładem ojca, szukał sił w butelce wina.

– Masz mi coś do powiedzenia? – zapytała najbardziej lodowatym tonem, na jaki mogła się zdobyć. – To musi być coś naprawdę ważnego, skoro zapomniałeś o dobrym wychowaniu, Florianie, i przerwałeś mi rozmowę z panem Royance'em.

Twarz księcia wykrzywił szydery uśmiech, który wszyscy mogli dostrzec. Ukłonił się lekceważąco, omal nie tracąc przy tym równowagi.

– Pani matko, żyjemy w niebezpiecznych czasach.

– Wiem – odparła i czekała. Musi powiedzieć, co go tutaj sprowadziło.

– Życie króla wisi na coraz cieńszym włosku...

Ten zawołany sposób mówienia nie pasował do Floriana. Może znaczyło to, że nie jest pewny siebie.

– Król żyje – powiedziała jeszcze zimniejszym tonem. Podniosła ręce tak, że Pierścienie zabłyśły w blasku dnia. – Dzięki pomocy losu będzie z nami jeszcze jakiś czas. Nie wiemy dokładnie, kiedy odejdzie.

– To wbrew wszelkim zwyczajom, pani matko, że pozostawia rządy w twoich rękach. Ma syna, który jest już mężczyzną lub prawie osiągnął ten wiek. Chciałbym, tak jak mi się należy, zostać regentem... do jego odejścia.

Zrobił kilka chwiejnych kroków do przodu, ale Royance podniósł się z krzesła i stanął między matką a synem.

– Wasza wysokość wie, że to nie czas i nie miejsce na taki czyn. – Wydawało się, że mówi do podwładnego, który za dużo sobie pozwala. – Przekazanie Pierścieni musi się dokonać przed całą Radą Królewską. Czy zwołujesz takie zgromadzenie, panie?

Ysa nie czekała na odpowiedź syna. Wbiła wzrok w jego oczy.

– Już raz wysunąłeś to żądanie i tak samo jak teraz byłeś pijany. Wtedy Pierścienie cię odtrąciły. Myślisz, że teraz przejdą do ciebie dobrowolnie? Chcesz podjąć takie ryzyko przed wielkimi panami tego królestwa? Można znaleźć jakieś wyjaśnienie, ukryć prawdę o poprzedniej próbie. Ale jeśli podejmiesz następną i znowu zostaniesz odrzucony, dowie się o tym cały kraj, i to szybko.

Florian obliznął obwisłą dolną wargę. Zgarbił się pod kosztownym, krótkim płaszczem.

– Posłuchaj uważnie – powiedział. Płatek piany pojawił się w kąciku jego ust. – Nie ma wątpliwości, że jestem tym, kim jestem. Nie ma nikogo, kto mógłby odebrać mi moje prawa. – Odwrócił się i spojrzał Royance'owi prosto w oczy. – Ty jesteś pierwszym wśród panów królestwa. Znasz przepisy prawa. Czy pozwolisz, żeby królowa złamała te najważniejsze? Zastanów się nad tym, panie. Ile domów zaśpiewa Pieśń Koronacyjną dla kobiety? Ja jestem jedynym kandydatem. Zapamiętaj to!

Znowu się odwrócił, tylko przypadkiem zachowując równowagę, i chwiejnym krokiem wyszedł z komnaty. Królowa i magnat milczeli wstrząśnięci. Royance pierwszy przerwał milczenie.

– Wasza królewska moc, niestety, w tym, co powiedział książę, jest wiele prawdy. W dodatku szykuje kłopoty; wieści o nich już wydostały się z pałacu.

Spojrzała mu w oczy.

– Pierścienie go odtrąciły nawet w chwili, gdy wydawało się, że król umiera. Chcesz, żebym wezwała tych, którzy mogą mieć prawa do tronu, i zaproponowała, żeby Pierścienie dokonały wyboru przed Radą?

Pokręcił głową.

– Musimy mówić sobie prawdę. Może do tego dojdzie – powiedział głucho. – Nie ma innego następcy...

– Na nieszczęście dla naszego kraju, masz rację, panie.

Nie pozwoliła sobie nawet na myśl o innej możliwości. Nie, nie istnieje inny dziedzic w prostej linii.

Kasai zaproponował, że zaniesie Snollemu złe wieści, a pozostali zwiadowcy zgodzili się z wdzięcznością. Tylko Dobosz Duchów mógł to zrobić, nie narażając się

na niepoohamowany gniew naczelnego wodza. Teraz, co wydało się dziwne, ukląkł przed Snollim z pochyloną głową.

– Jeśli masz dla mnie złe wieści, Doboszu Duchów, to je wypłuj – powiedział Snolli.

– Są gorsze, niż możesz sobie wyobrazić, wodzu – odparł Kasai. – Obern nie żyje.

Snolli nie poruszył się w swoim krześle, chociaż uważny obserwator zauważyłby, że naczelną wódz zacisnął palce są poręczach.

– Czy zginał dobrą śmiercią?

– Bardzo dobrą, wodzu. Zaatakowały nas trzy takie straszne ptaki, jakie już raz widzieliśmy, płynąc wzdłuż klifów Krainy Bagien. Odważnie ściągnął na siebie gniew jednego z nich i dał nam czas na ucieczkę.

– Rozumiem. W takim razie zostanie odpowiednio opłakany.

– Są jeszcze inne nowiny.

– Jeszcze jedna śmierć?

– Nie, wodzu. W powrotnej drodze do zamku spotkaliśmy kilku Rendelian, bardzo ważnych według nich samych. Czekają na zewnątrz. Powiedziałem im, że możesz być zajęty ceremoniami żałobnymi.

– Jeszcze nie czas na nie. Powiedz tym bardzo ważnym Rendelianom, żeby weszli.

Ale kiedy tuzin przybyszów wszedł do komnaty, którą przeznaczono do załatwiania spraw Nowego Voldu, Snolli przesunął drżącą ręką po oczach. Potem wstał, jak należało, i wyciągnął prawą, pozbawioną broni rękę na znak przyjaźni do tego, który mimo młodego wieku wyglądał na przywódcę. Odziany w aksamitny, bogato zdobiony koronkami strój uperfumowany młodzieniec dotknął ręki Snollego czubkami palców.

– Jestem księżę Florian z Rendelu – powiedział w powszechnie znanym języku kupców. Mówił z wyraźnym obcym akcentem, w dość pretensjonalny sposób; najwidoczniej nie znał go dobrze. – A zwracam się do...

– Snollego, naczelnego wodza, przywódcy Nowego Voldu.

Florian uśmiechnął się.

– Nowego Voldu, tak? Od dawna nazywaliśmy tę część Rendelu Krainą Jesionu. Ale to bez znaczenia. – Odwrócił się i zrobił znak ręką.

Jeden z towarzyszących księciu mężczyzn postąpił do przodu.

– Jestem hrabia Dakin, przyjaciel księcia Floriana. Księżę nie mówi płynnie językiem kupców, choć dość dobrze go rozumie. Dlatego będę mówił zamiast niego w ważnych sprawach. Przybyliśmy w dobrych zamiarach. Jak sam widzisz, wszystkie nasze miecze są przewiązane sznurami pokoju.

– Wiedziałem o tym, zanim weszliście przez te drzwi. Żaden z moich ludzi nie

wpuściłby was bez tej oznaki waszych zamiarów. – Snolli uśmiechnął się lekko. – Oni uważają, że muszą mnie chronić.

– Och, nie wątpię, że nadal jesteś dzielnym wojownikiem, pomimo twego wieku – powiedział Florian z beztróską młodości.

Snolli spochmurniał, nawet nie próbując tego ukryć.

– Musisz wiedzieć, że przybyłeś w złą godzinę. Nawet w najlepszych okolicznościach – a dziś nie może być o nich mowy – z trudem znoszę afektowane dworskie maniery. Dlatego proszę cię, żebyś powiedział otwarcie, co cię tu sprowadza.

Florian sprawiał wrażenie nieco zaskoczonego. Rozejrzał się wkoło, najwidoczniej zirytowany ponurą komnatą i brakiem wygód, ale powstrzymał się od pochopnego komentarza.

Dakin podjął gładko temat.

– Mój książę przybył tu w następującej sprawie: chce zawrzeć z tobą traktat. Mamy wspólnych wrogów, a jak głosi przysłowie, wróg mojego wroga może nie być moim przyjacielem, ale w niebezpiecznych czasach to wystarczy.

Snolli uniósł brwi.

– Warto się nad tym zastanowić, przyjacielu Florianie. Książę Florianie – poprawił się, widząc, że twarz księcia pociemniała. Ten młodzieniec z królewskiego rodu szybko się obrażał. Była to cenna informacja. – Proszę, wybac ojcu, który w tej chwili ma nieco przyćmiony umysł. Niedawno straciłem syna...

– Przyjmij moje kondolencje z powodu tej wielkiej straty – rzekł na to książę.

– Nie możesz wiedzieć, jak wielkiej, chyba że masz własnych synów.

– Nic mi o tym nie wiadomo. Jeszcze nie mam żony.

Książę oczywiście zachichotał z własnego dowcipu i kilku z jego towarzyszy również się uśmiechnęło. Snolli postarał się, żeby wyraz jego twarzy się nie zmienił.

– Dziękuję ci za zrozumienie – odrzekł. – Wiedz, że bardzo pragniemy zawrzeć traktat z królestwem Rendelu. Teraz jednak wybac nam, gdyż zanim zdołamy opracować warunki tego paktu, musimy ogłosić żałobę. Jeśli ci to pomoże, myśl o moim zmarłym synu jako o księciu naszego ludu, zajmującym pozycję społeczną podobną do twojej.

Te słowa nie mogły dotknąć Floriana, chociaż Snolli wiedział, że Rendelianin bardzo by pragnął móc się obrazić. Dakin dotknął rękawa Floriana.

– Zostawimy projekt traktatu u tych zacnych ludzi i spotkamy się z nimi kiedy indziej, gdy smutek nie będzie ich rozpraszał. Do tego czasu przejrzą warunki, na które oczywiście wyrażą zgodę, i przygotowują też ucztę dla nas wszystkich. Co powiesz na to, panie?

– Och, dobrze – odparł Florian, nieco zirytowany. – Ale czeka nas długa droga

powrotna.

– Daj twój dokument temu oto Kasaiemu. To jeden z moich zaufanych doradców. Baland, którego moglibyście nazwać naszym majordomusem, z radością zaopatrzy was w prowiant i napoje, takie, jakie mamy. Uciekliśmy z naszej ojczyzny, mając niewiele więcej niż ubranie na grzbiecie i nasze zapasy zostały bardzo uszczuplone podczas podróży. Jak sam widzisz, nie mamy nawet dość krzeseł, żebyście wszyscy mogli usiąść wygodnie, ani stołu, aby przy nim omówić waszą interesującą propozycję. Mimo to ofiarujemy wam z radością wszystko, czym możemy się podzielić.

– Jesteś bardzo uprzejmy – odezwał się mężczyzna, który przemówił do Floriana.
– A krzesła nie mają znaczenia dla wielkich książąt. Dziękujemy ci... jakiego tytułu mam użyć, zwracając się do ciebie?

– Wódz wystarczy. Tak nazywa mnie mój lud.

– W takim razie dziękuję ci, wodzu. Pozostawiam cię w żałobie i będę wypatrywał w odpowiednim czasie posłańca, który nam powie, że możemy obustronnie dojść do porozumienia.

Z dwornym ukłonem Dakin wyjął z torby zwój papieru, przewiązany czerwoną wstążką i obciążony woskowymi pieczęciami, i podał go Doboszowi Duchów. Potem Rendelianie opuścili salę audiencjonalną, niemal popychając przed sobą księcia Floriana.

Po wyjściu księcia Snolli usłyszał, jak Florian narzeka i utyskuje nosowym głosem. Mowa kupców rzeczywiście była podobna do języka potocznego w Rendelu. Wódz rozróżnił kilka słów i zorientował się, że Florian jest nieszczęśliwy, ponieważ nie będzie ani jedzenia, ani picia, ani sposobności do poznania wdzięków panien z ludu Morskich Wędrowców.

Stojący obok niego Kasai odezwał się:

– Nie potrzebuję Bębna Duchów, by opowiedział mi o tym księciu. To kłopot na końskim grzbiecie, wodzu.

– Ja też nie potrzebuję twojego bębna, by mi o nim powiedział, gdyż zrozumiałem to w tej samej chwili, kiedy go zobaczyłem. Jest taki zły, jak mówią. Jeszcze gorszy. – Snolli westchnął.

– Zastanawiam się też, dlaczego przyjechali, chcąc zawrzeć z nami traktat, kiedy wedle wszystkich praw i zwyczajów powinno być odwrotnie. Przecież mogą nas tutaj uważać za intruzów – powiedział Kasai. – Można by pomyśleć, że będą chcieli, żebyśmy sobie poszli, zamiast podawać nam rękę na znak przyjaźni.

– Niech będzie, jak ma być. Czasami musimy paktować z tymi, którymi w innym wypadku najchętniej byśmy pogardzali, i to wygląda na jeden z takich przypadków. Co więcej, jeszcze nawet nie przeczytaliśmy zaproponowanego nam traktatu i nie

mamy pojęcia, co zawiera. Równie dobrze może nam się nie spodobać. Ale to sprawa na inny dzień. A teraz... czy zwiadowcy, którzy byli z Obernem, są w pobliżu?

– Czekają na zewnątrz i gdyby nie wizyta księcia Floriana, już dawno stanęliby przed tobą.

– Daj im się najeść i napić i powiedz, że w ciągu godziny pojedę z nimi. Musimy przywieźć ciało Oberna i wyprawić mu odpowiedni pogrzeb.

– Tak, wodzu, chociaż proponuję, żebyś zaczekał do rana. Noc zapada.

– Nie, muszę jechać. Ale ty tu zostań. Chcę, żebyś przejrzał ten traktat. W ten sposób będziemy mogli omówić go po moim powrocie. Och, jeszcze coś... proszę, wyślij posłańca do Neave i przekaz jej te smutne wieści.

Kasai skinął głową i opuścił salę audiencjonalną z traktatem w dłoni.

Dla Snollego była to bardzo długa noc i długa jazda do miejsca, w którym mogli przebyć rzekę graniczną i dotrzeć do Krainy Bagien. Wśród Morskich Wędrowców wojownicy tradycyjnie mieli niewiele wspólnego ze swoimi dziećmi. Aż do meldunku o śmierci Oberna Snolli nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo przywiązał się do syna. Obern zawsze był blisko – solidny, godny zaufania, niezawodny – najlepszy strażnik pleców, jakiego mógłby pragnąć każdy ojciec, a nie tylko taki wódz jak Snolli. W Nowym Voldzie będzie im brakowało Oberna. Postanowił, że poświęci trochę więcej uwagi synowi Oberna, gdy tylko chłopczyk na tyle podrośnie, żeby stać się interesujący.

Lecz chociaż przeszukali miejsce, gdzie olbrzymie ptaki zaatakowały zwiadowców, i znaleźli krawędź klifu, na której widziano Oberna tuż przed upadkiem, nie zlokalizowali jego ciała. Kather zaproponował, że zejdzie w dół urwiska i poszuka, jeżeli pozostali będą go pilnowali na wypadek ponownego ataku ohydnych ptaków z Bagien. Mimo najlepszych chęci i wysiłków nic nie znaleźli.

– Zmiażdżone liście i połamane gałęzie wskazywały miejsce upadku, ale ciała tam nie było – wydyszał Kather po powrocie na szczyt klifu. – Niektórzy mówią, że na Bagnach są potwory, które pożerają to, co znajdują.

– Nie mów nic więcej – powiedział Snolli zmęczonym głosem. – Nie przyznam, że potwory pożarły szczątki mego syna. Zamiast tego powiemy, że teraz go straciliśmy, ale pewnego dnia znajdziemy i urządzimy mu odpowiedni pogrzeb.

Pozostali poszukiwacze ukłonili się na znak zgody, chociaż na większości twarzy malował się sceptycyzm. W głębi serca Snolli zrozumiał, że jego propozycja to tylko pozory.

Kiedy Royance i Florian odeszli, Ysa nie wezwała z powrotem swoich dam dworu. Siedziała pogrążona w myślach, postukując paznokciem o zęby. Chociaż na razie pozbyła się syna, nie oszczędziło jej to zmartwień, lecz przysporzyło.

Tak, musi znów zwrócić się do swojego wysłannika. Musi wiedzieć, czy to, co tylko wyczuwa, jest prawdą. W tej trudnej sytuacji strategia czekania i obserwowania na nic jej się nie zda. Wyczuła, że czas jej nie sprzyja i zdała sobie sprawę, że musi zrobić wszystko, żeby zdobyć aktualne informacje o biegu wydarzeń. W owej chwili rozumiała, że w razie potrzeby zdobędzie się na wszystko – nawet na wyjawienie większości swoich głęboko skrywanych tajemnic.

Pospiesznie weszła tajemnymi schodami na oszałamiająco wysoki szczyt wieży i wyprawiła Vispa z nową misją. Potem wróciła do swojej komnaty, wezwała dworki, jeszcze raz wzięła tamborek i zaczęła czekać.

Kiedy tak czekała, pozornie spokojna i obojętna, zdając się przejmować tylko doborem barwy nici do haftu, rozmyślała nad znacznie ważniejszymi sprawami. Ten krótki epizod między panią Marcalą i Royance'em – Ysa była pewna, że nie będzie to odosobniony incydent. Wiedziała też, że Marcala nie całkiem jest przeciwna zainteresowaniu, jakie na pewno obudzi na dworze. Trzeba to naprawić.

Ysa od dawna zamierzała użyć pewnego czaru, który sprawi, że Marcala wpadnie w oko Harousowi. Ostrożność nakazywała włączenie równoległe innego magicznego nakazu – Marcali musi się spodobać Harous, ale nikt inny. Zdawała sobie sprawę, że lepiej jest uprzedzać problemy, niż je rozwiązywać, gdy się pojawiają.

Udając zmęczenie, królowa odesłała damy dworu i rozkazała przynieść do swojej komnaty obfitą kolację. Kiedy służebna postawiła tacę na stole i ruszyła w stronę drzwi, Ysa ją zatrzymała.

– Gdzie jest pani Marcala? – zapytała.

– Na dole, w sali jadalnej, wasza królewska mość – odpowiedziała dziewczyna, nieco zaniepokojona. Ysa nigdy dotąd nie odezwała się do niej.

– Idź i powiedz jej, że chcę z nią porozmawiać, zanim uda się na spoczynek.

Powiedzmy o jedenastej.

– Tak, wasza królewska mość – odpowiedziała dziewczyna z głębokim ukłonem.

Od razu poszła wykonać rozkaz.

Kiedy Ysa zjadła wszystko, co jej przyniesiono, znów weszła po stromych, sekretnych schodach na szczyt wieży. Visp powinien był już wrócić. I rzeczywiście,

wleciał przez okno, zanim królowa złapała drugi oddech po męczącej wspinaczce.

Wyciągnęła rękę i Visp na niej usiadł. Spojrzała mu w oczy i zaczęła widzieć to, czego się dowiedział podczas ostatniego lotu.

Rzeczywiście, wszystko stało się szybciej, niż mogła przypuszczać. Serce zaczęło walić jej jak młotem.

A więc ci Morscy Wędrowcy, którzy wzięli w posiadanie Jesionowo, również nie próżnowali. Widziała, jak zapuścili się na nierówny szlak na szczycie klifu. Zobaczyła też innych, Rendelian, i rozpoznała Harousa. A potem nadeszło niebezpieczeństwo. Z góry! Wzdrygnęła się mimo woli. Odleciała wysoko razem z Vispem, niewidzialna, z dala od pazurów i szponów.

Chociaż nigdy dotąd nie widziała olbrzymich ptaków, od których roiło się na klifach Krainy Bagien, słyszała o nich i wiedziała, jakie mogą być niebezpieczne. Wielu kupców, żeglujących po tych nieprzyjaznych wodach, meldowało o atakach.

Zorientowała się, kiedy Visp stał się niewidzialny, bo kolory zbladły. Zrozumiała, że jeszcze raz jej wysłannikowi zagroziły stwory znacznie od niego silniejsze i bezwzględne. Oczami Vispa zobaczyła, jak jeden ze skrzydlatych olbrzymów zaatakował mężczyznę, który wyglądał na dowódcę oddziału Morskich Wędrowców. I widziała, jak runął w dół.

Na pewno nie żyje. To może okazać się pomocne. Przynajmniej jego śmierć będzie ostrzeżeniem dla tych awanturników, żeby trzymali się z dala od Krainy Bagien. Takie przymierze... Nie, nie może do tego dopuścić.

Zaczęła się odwracać, żeby przerwać ten kontakt, ale Visp jeszcze nie skończył relacji. Co takiego, zapytała się w duchu Ysa, nieco oszołomiona, mogło się jeszcze wydarzyć po upadku tamtego żeglarza ze skały? Na chwilę dostała zawrotu głowy, kiedy jeden widok po drugim szybko przesuwał się jej przed oczami. Dostrzegła jakiś ruch na ciemnym skraju jednej z licznych szczelin w klifie.

Istota, która była jej oczami, coraz bardziej i coraz szybciej zniżala lot, aż królowa odniosła wrażenie, że stoi na tym samym poziomie co tamta kobieta. Nie, nie kobieta... dziewczyna. Czując chłód w sercu, Ysa zorientowała się, że to właśnie ta nieznajoma dziewczyna pielęgnowała Vispa, kiedy tajemniczy wpływ mocy stracił go z nieba.

Oddał się, poinstruowała pilnie Vispa, ale uświadomiła sobie, że to niemądre. Nie widziała współczesnych wypadków, tylko zapamiętane. I wyczuła, że latający stworek żywi pewne przywiązanie do tej dziewczyny, pomimo zobowiązań w stosunku do niej samej. Królowa zacisnęła usta i pozwoliła Vispowi kontynuować relację. Choć niechciana i niemiła, kryła się w niej wiedza. Kiedy Ysa po raz pierwszy przelotnie ujrzała tę dziewczynę opiekującą się Vispem, wyciągnęła mylny wniosek, że Alditha jeszcze żyje; jest jednak na to za młoda. Chociaż może pochodzić od Aldithy.

Królowa wzięła głęboki oddech. Kimkolwiek była ta osoba, miała jakąś moc.

Moc reagowała na moc, Ysa nie mogła temu zaprzeczyć. Ale tego, co dotknęło jej za pośrednictwem tej niezwyklej metody tajemnego spotkania, nie mogła ani nazwać, ani zrozumieć. Wypływało z innego źródła niż starożytne księgi i rytuały, z których ona sama czerpała wiedzę. Wrodzona i nierozwinięta, moc mimo to tam była.

A potem królowa dostrzegła ruch, przelotnie ujrzała twarz – i ściągnęła wargi, jakby chciała splunąć i sprawić, by to splunięcie w jakiś sposób dotarło do dziewczyny. Przekląła się za to, że zachowała się jak idiotka i ukrywała prawdę sama przed sobą.

Patrzyła – musiała patrzeć – na bieg wypadków. Ta, która nigdy nie powinna była przeżyć, znalazła Morskiego Wędrowca, który spadł ze skały, i pielęgnowała go tak pewnie, jak doświadczona uzdrowicielka. Ysa zgrzytnęła zębami z wściekłości. Dlaczego tamta dziewczka nie umarła zgodnie z planem? I dlaczego przywódca intruzów z Jesionowa również nie umarł? Królowa wysiłkiem woli powstrzymała zgrzytanie zębów. Cudzoziemcy byli zdobyczą w Krainie Bagien; wszyscy o tym wiedzieli. Więc jak...

Nie, powiedziała sobie stanowczo. Nerwy płatają jej figle. Z taką samą determinacją musi stawić czoło prawdzie. Alditha na pewno umarła, dawno temu. Czy to może być jej córka? Z każdą chwilą Ysa nabierała pewności, że tak właśnie jest. Ta dziewczyna to bękart, bez żadnych praw do czegokolwiek oprócz szybkiej śmierci, jeśli zostanie odkryta.

Ród Jesionu wyparł się Aldithy z powodu jej związku z mężczyzną o nieustalonej tożsamości, związku bez ślubu. I to przez nią ród wyginął.

Ysa skrzywiła się. Tak, Dom Jesionu upadł i ona, królowa, miała w tym duży udział. Wiedziała, że ci, którzy nosili herb Jesionu, nie ukryliby Aldithy, gdyby do nich dotarła. Ale kto na Bagnach Bale mógł udzielić jej schronienia? I ta dziewczynka – jak przeżyła te wszystkie lata w Krainie Bagien? Królowa jeszcze mocniej się skrzywiła. A co z zakorzenioną tam inną mocą, którą wyczuła dawno temu? Czy ten bękart to narzędzie, którego nieznany przeciwnik chce użyć przeciw Ysie? Sam fakt, że ta dziewczka przeżyła w miejscu, gdzie na Cudzoziemców nieustannie czyhała śmierć, oznaczał, że ktoś ważny, cieszący się niezwyklej autorytetem postanowił zachować ją przy życiu.

Tak mogło się stać... albo też należy ona do Ludu Bagien, przynajmniej w części. Jak inaczej mogłaby zostać przez nich zaakceptowana, jak pozwoliliby dalej żyć temu... temu plugastwu? Tylko to wyjaśniało, dlaczego mogła wędrować tak swobodnie, gdy Ysa obserwowała ją oczami Vispa. Królowa prawie żałowała, że nie widziała nic oprócz twarzy tej dziewczyny. Na pewno zupełnie nie pasowała do niskiego, krępego ciała kobiety z Bagien, a pokrewieństwo z Rodem Jesionu dało się

zauważyć tylko do szyi.

A więc to niekształtne ręce tej dziewczki pielęgnowały Vispa, kiedy powalił go dziwny cios mocy. Czy to też sprawka tej dziewczyny? Nie, królowa tak nie uważała. Ona sama latami zdobywała wiedzę, którą dysponowała. Ta dziewczyna... Ysa policzyła lata. Tak, szesnaście. To jeszcze dziecko – głupi, mały bękart! Czy taka dziewczyna zechce przyjąć pomoc i oddać ранego mężczyznę jego współplemieńcom? I takżle się stało, że zaistniała możliwość sojuszu tych nowo przybyłych z Ludem Bagien, ale żeby ktoś tak nic niewart jak ten wyrzutek, miał poślubić któregoś z nich – to byłaby klęska, straszna klęska, koniec wszystkiego, o co Ysa walczyła przez te wszystkie lata. Królowej wydało się, że Pierścienie rozluźniły nieco uścisk na jej palcach, jak gdyby przewidywały, że kiedyś przeniosą się na inne.

Nie! Nagle zapadła zasłona ciemności i Ysa zrozumiała, że Visp został uwolniony spod jej kontroli. Już nie mogła patrzeć poza swoje miejsce i czas. Dała małemu wysłannikowi coś do jedzenia i włożyła go do jego wyściełanego jedwabiem schronienia. A potem oparła się o krzesło i wpatrzyła w ścianę, wyobrażając sobie sceny strasznych wydarzeń i jednego wroga za drugim.

Harous wyruszył na polowanie wzdłuż granic Krainy Bagien. Czy wiedział lub czy domyślał się istnienia tej dziewczyny? Przynajmniej o to nie musiała się martwić. Był jeszcze dzieckiem, za małym, żeby przebywać na dworze, kiedy opowiadano sobie szeptem po kątach o kłopotliwym położeniu Aldithy. Tylko jak wiele dziwnej mocy posiada ta dziewczka? Ysa musi się dowiedzieć. Wysiłkiem woli uzbroiła się w cierpliwość. Teraz, kiedy już wie, w jakim kierunku szukać potrzebnych informacji, nie musi się spieszyć. W istocie pośpiech to jej najgorszy wróg.

Musiała załatwić inną sprawę, do której potrzebowała innych pomocników. Zmęczona, z trudem wstała z krzesła. Znowu musi zejść, a potem jeszcze raz wejść po tych stromych schodach.

Pani Marcala czekała na nią.

– Chodź ze mną – poleciła Ysa bez ceremonii. – Chcę dokonać kilku tajemnych obrządków i muszę zaczerpnąć od ciebie siły.

– Jest na rozkazy waszej królewskiej mości – odparła Marcala. Bez dalszych komentarzy poszła za królową sekretnymi schodami do komnaty na wieży.

Ysa otworzyła leżącą na stole księgę w zaznaczonym miejscu.

– Stań za mną, kładąc mi ręce na ramionach – poleciła Marcali. – Twoja siła przepłynie we mnie w razie potrzeby.

Młodsza kobieta wykonała rozkaz. Ysa zaczęła czytać półgłosem z magicznej księgi. Pewne czary, które rzuci tej nocy, mogą się okazać śmiertelnie niebezpieczne. Przeczytała zaklęcia i uznała, że je zrozumiała, choć nigdy dotąd nie poddała próbie.

Mgła zaczęła się gromadzić nad stołem, jak gdyby otwierało się okno do innego

świata. Ysa szybko zerknęła przez ramię, ale po wyrazie twarzy Marcali zorientowała się, że pomocnica nie zobaczyła zamazanej plamy w powietrzu. Ośmielona tym królowa czytała dalej, coraz głośniej, i nagle wraz z bezdźwięcznym uderzeniem pioruna znalazła się w jakiejś jaskini. Na środku pieczary skręcał się słup ognia, a w jego środku stała uwięziona kobieta z Ludu Bagien.

Nie, nie mieszkanka Bagien Bale, ale podobna do niej. Ta była stara, choć nie wiekowa, a jej zachowanie w niewoli dowodziło, że posiada taki rodzaj mocy, który Ysa zrozumiała.

– Jesteś tu. Pomóż mi – powiedziała starucha i wyciągnęła do Ysy rękę.

Królowa zawahała się.

– Kim jesteś?

– Tą, do której cię posłano z pomocą. Nazywam się Zazar.

Zazar! Przez chwilę Ysa gapiła się, nic nie rozumiejąc, na legendarną postać.

– No, na co czekasz? – powiedziała Zazar ze zniecierpliwieniem.

Ysa niechętnie wyciągnęła smukłą, zadbaną rękę w stronę szorstkiej, pomarszczonej ręki staruchy. Ale zanim jej dotknęła, następny bezgłośny wybuch umieścił w jaskini młodą kobietę, tę którą królowa widziała wcześniej. Nie wyglądała tak, jak Ysa ją sobie wyobraziła; ten czar musiał zmienić jej postać, bo zdawała się niepodobna do siebie.

– Zazar! – wykrzyknęła dziewczyna.

– Powinnam była wiedzieć, że obie będziecie potrzebne – powiedziała Zazar tak beztrzesko, jakby to, co się działo, było sprawą całkiem banalną. Zresztą jeśli chodzi o Ysę, może i było. – Podejdz wreszcie. – Wyciągnęła do niej drugą rękę.

Dziewczyna ujęła ją bez wahania, a po chwili Ysa wzięła drugą dłoń Zazar. Niedbale, jakby schodziła z łodzi na ląd, Zazar wyszła z ognia, który zgasł za nią.

– Myślę, że powinnyście znać swoje imiona, bo wcześniej czy później spotkacie się w zewnętrznym świecie. Yso, to jest Jesionna. Jesionno, to jest Ysa.

A potem jaskinia i jej mieszkanki zniknęły, a Ysa, chwiejąc się na nogach, osunęła się w ramiona Marcali.

– Co się stało? – zapytała drżącym głosem.

– Nic – odparła zaintrygowana Marcala. – Wasza królewska mość czytała, a potem przestała i omal nie upadła. Złapałam cię, pani, w ostatniej chwili.

– I nic więcej?

– A powinno coś być?

– Nie, oczywiście, że nie.

– Nic ci nie jest, pani?

Ysa ostrożnie sprawdziła kończyny. Były osłabione i trzęsły się bardziej niż kiedykolwiek dotąd. Zrozumiała, że rzucony przez nią czar miał znacznie większe

skutki, niż mogłaby przypuszczać. Poczuła gorycz w ustach.

– Muszę usiąść. Źle się czuję.

– Czy zdołasz zejść po tajemnych schodach, pani?

– Nie sędzę. Proszę, zejść głównymi schodami i przyślij służebne, by mi pomogły. Muszę się położyć.

Jesionna drugą ścieżką wdrapała się na szczyt klifu, skoro nie mogła bezpiecznie z niego zejść. Okazało się, że po drugiej stronie urwiska można to zrobić znacznie łatwiej, niż się wydawało. A potem zdała sobie sprawę, że przez dostojny szum morza przebija się krzyk najwyraźniej pochodzący z ludzkiej piersi. Szybko ukryła się pod dużym głazem umieszczonym tam przypuszczalnie jako sygnał dla żeglarzy.

Zaraz się przekonała, że nie tylko ona użyła tej niebezpiecznej, podniebnej ścieżki. Z południa zbliżało się czterech mężczyzn, sądząc po strojach i zbroi – Cudzoziemców. Strach ścisnął ją za gardło. Czy mężczyzna, którego tropem szła, był jednym z nich? Kimkolwiek byli, znaleźli się w pułapce. Olbrzymie ptaki zaatakowały ich, zanim Jesionna dotarła na szczyt. Właśnie teraz jeden z Cudzoziemców stracił równowagę. Zorientowała się, że nie zdoła mu pomóc. Runął w dół, ponad krawędzią klifu, nie w stronę morza, lecz Bagien Bale, a razem z nim dwa błyszczące przedmioty.

Zniknął w kępie wysokich trzciniopaproc i leżał tuż u podnóża urwiska. Ze swojej kryjówki Jesionna widziała jego odrzucone na bok ramię. Nieco z boku zaiskrzył się w słońcu jeden z przedmiotów, które spadły razem z nim. Czy to jego broń? Jego trzech towarzysze nie mogli mu pomóc, bo ptaki atakowały ich ze wszystkich stron. Rozdzielili się, szukając jakiegokolwiek osłony, ale nie przestając się bronić. Jeden zatrzymał się, by użyć broni, jakiej Jesionna nigdy przedtem nie widziała. Trzymał zagięty kij ze sznurem między obu końcami i mniejszym kijkiem przyciśniętym do sznurka. Odciągnął sznurek i puścił, a mniejszy kijek utkwiał u podstawy długiej szyi jednego z wrzeszczących ptaków. Ptak spadł niemal na głowę dziewczyny; nie zdołał utrzymać się w powietrzu i zniknął wśród fal w dole.

Pozostałe ptaki chyba zrozumiały, że grozi im niebezpieczeństwo i zaprzestały ataków. Po bezowocnych poszukiwaniach swego towarzysza Cudzoziemcy zrezygnowali i odeszli. Jesionna rozumiała, że trzciniopaprocie zasłaniają ciało ранego ze wszystkich stron; widać go było tylko z miejsca, gdzie leżała w ukryciu. Uświadomiła też sobie, że nie ma broni do obrony swojej kryjówki, gdyby drapieżne ptaki wróciły. Może tylko wrócić do skalnego korytarza wewnątrz klifu i próbować znaleźć bezpieczną powrotną drogę na Bagna.

Wracając tą samą ścieżką, rozmyślała o tamtych mężczyznach. Wszyscy byli Cudzoziemcami, a ponieważ ten, którego tropiła, najwidoczniej do nich należał, to na

pewno pochodzili z tego samego miejsca. Upłynęło bardzo dużo czasu, odkąd świat zewnętrzny usiłował wtargnąć do Krainy Bagien. Dlaczego teraz pojawił się uzbrojony oddział? Kiedy wyszła ze znajomej szczeliny skalnej, nadal słyszała wrzaski skrzydlatych drapiezców. Odłożyła sakwę i podczołgała się tak blisko do skraju urwiska, na ile starczyło jej odwagi. Z tego położonego niżej miejsca nie mogła dojrzeć ani szczytu klifu, ani kępy paproci, w które spadł Cudzoziemiec. Przynajmniej ptaki nie zauważyły jej, gdy była na górze i może nie będzie musiała szukać schronienia na Bagnach.

Nadal słyszała odgłosy walki. Zdała sobie sprawę, że ptaki po prostu zmieniły cel napaści i teraz ktoś inny rzucał im wyzwanie, broniąc się innymi środkami. Dudnił gdzieś bęben, ale nie głośnym, ostrzegawczym warkotem bębnów bojowych Ludu Bagien. Jesionna przycisnęła ręce do uszu. Ten dźwięk wdzierał się jej do głowy; musiał tak samo boleśnie atakować ptaki. Tymczasem amulet na piersi dziewczyny, choć nie był to magiczny przewodnik, rozbłysnął kolorową iskrą.

To nie był normalny warkot bębna. Na początku ledwie słyszalny, teraz zdawał się napełniać całą Krainę Bagien. Olbrzymie ptaki po raz ostatni wybuchnęły wrzaskiem, a potem wydawało się, że wszystkie ucichły. W końcu Jesionna mogła oderwać ręce od uszu. Dziwny bęben nadal dudnił, ale cicho i nie wydawał już rozdzierających ciała dźwięków. Skrzeczące wrzaski ustały, jakby olbrzymie ptaki spadły z nieba w nicość.

Zebrawszy się na odwagę, Jesionna wysliznęła się ze szczeliny i popęzła nieco wyżej po ścianie skalnej. Nadal nie widziała placu boju w dole, ale oprócz cichego, rytmicznego dudnienia bębna nie słyszała już innych dźwięków. Dziewczyna poczuła, że opuszcza ją dziwny niepokój, jaki ten bęben w niej obudził. Coś zamigotało w powietrzu tuż przed nią, ale kiedy spróbowała dojrzeć, co to takiego, migotanie znikło.

Leżała w tym samym miejscu, nasłuchując. Zapanowała cisza. Wreszcie uznała, że może ruszyć dalej. Podkraśla się do szczytu klifu. Nieznajomi mężczyźni, wielkie ptaki – i bęben – wszyscy na szczęście zniknęli.

Jesionna przyciągnęła sakwę do miejsca, gdzie przykucnęła, i wyjęła z niej linę. Zamknęła sakwę, uwiązała ją na linie, przesunęła nad skrajem klifu i spuszczała w dół, dopóki starczyło liny. Wyrzała i zobaczyła, że tobół obraca się powoli nad osuwiskiem u podnóża klifu. Puściła linę i sakwa spadła bez szwanku. Potem zaczęła schodzić sama.

Nadal nasłuchiwała czujnie, ale nie rozległo się wołanie żadnego ptaka, zanim stanęła w Krainie Bagien. Warkot tamtego bębna stał się słabym pomrukiem w oddali.

Zwinęła linę i schowała. Włożyła sakwę na ramiona, a potem ustaliła swoje położenie w stosunku do miejsca upadku tamtego mężczyzny. Znajdowała się w

poblizu ujścia rzeki granicznej, która z głośnym szumem wpadała do morza.

Nic nie może zrobić dla tego Cudzoziemca. Na pewno nie żyje. Wiedziała, że nakierowała swój amulet na wyspę Zazar. Powinna wrócić tam jak najszybciej...

Poruszyła się i pomyślała o widocznym z góry miejscu, gdzie zarośla ukryły ciało najeźdźcy.

Bez wątpienia nie żył.

Przezornie postanowiła wrócić po własnych śladach, ale wbrew sobie skierowała się w inną stronę. Musiała dwukrotnie zagłębić się na bagienne szlaki, żeby odnaleźć odpowiednią ścieżkę. Od czasu do czasu zerkła w stronę szczytów klifów, ale jak okiem sięgnąć, nie było tam ani jednego wielkiego ptaka, ani nawet Cudzoziemca, który mógłby ją zauważyć.

Nieoczekiwanie znalazła jeden z przedmiotów, które upuścił tamten mężczyzna. Był to nóż z metalu, długi i śmiercionośny, znacznie przewyższający jakością wszystkie, jakie dotąd widziała. Chociaż nie umiała posługiwać się taką bronią, przywiązała ją do sakwy, żeby nie zawadzała, i zabrała ze sobą.

A potem dotarła do miejsca, gdzie spadł nieznajomy Cudzoziemiec. Jego ramię, wysunięte z poszarpanych i splątanych trzciniopaproc, leżało tak samo nieruchomo jak wtedy, gdy zobaczyła je po raz pierwszy. Nie upłynie dużo czasu, aż padlinożercy z Bagien odnajdą ciało. Zębami i pazurami obedrą mięso, a potem zmiażdżą kości. W końcu nie pozostanie po nim żaden ślad.

Jesionna przełknęła ślinę. To nie był jej współplemieniec. Czy powinno ją obchodzić, co się stanie z nieznanym intruzem? Nawet jego pobratymcy nie mogli mu pomóc.

Mimo woli pewna myśl przysła jej do głowy: gdyby natychmiast przysła Kazi z pomocą, czy staruszka nadal by żyła? Powoli zbliżyła się do miejsca, gdzie leżał Cudzoziemiec. A jeśli nie zginął, tylko jest ranny? Jesionna oparła dłoń na rękojeści noża wiszącego u pasa. Leżeć bezsilnie, kiedy zjawia się padlinożercy...

Odsunęła na bok pogniecione trzciniopaprocie i teraz dobrze go widziała. Ten drugi błyszczący przedmiot to musiał być hełm, który chronił mu głowę. Hełm zniknął i plama zakrzepłej krwi zlepiała włosy nieznajomego, niemal tak samo jasne jak krążki z wypolerowanego metalu, które Zazar przezornie przechowywała wśród swoich osobistych rzeczy. Jesionna wiedziała, że takie krążki grały ważną rolę w życiu Obcych Krajów. Odsłonięte, długie, kędzierzawe włosy obcego nie były czerwone jak płomień ani żółte jak błotny korzeń, ale miały coś z obu tych barw.

Obudziła się w niej czujność uzdrowicielki. Jesionna przysiadła na piętach, zdjęła sakwę z ramion, pochyliła się do przodu i delikatnie dotknęła ręki mężczyzny. Nie była zimna, jak się spodziewała, ale ciepła. Czy to możliwe, że on wciąż żyje? Upadł z tak wysoka, że mógł odnieść śmiertelne rany, ale miękkie trzciniopaprocie musiały

go uchronić przed poważniejszymi obrażeniami.

Sięgnęła palcami pod skraj jego giętkiej, metalowej koszuli w poszukiwaniu pulsu. Serce biło równomiernie. Może jednak los mu sprzyjał i jego rany da się wyleczyć, zwłaszcza gdyby ktoś go pielęgnował do powrotu jego towarzyszy. Na razie leżał tak bezbronny jak przynęta, a ona niewiele mogła zrobić.

Mimo to zabrała się do pracy, zupełnie jakby to był mężczyzna z Ludu Bagien, którego klan wezwał ją na pomoc. Pracowała szybko, lecz wytrwale, używając leków, które miała w sakwie; pilnowała, by zrobić wszystko, co trzeba na danym etapie, zanim przeszła do następnego.

Jedna z kości przedramienia była złamana i nie mogła jej wydobyć z metalowego rękawa. Unieruchomiła ją więc tak, żeby ranny nieostrożnym ruchem nie zrobił sobie większej krzywdy. Teraz, kiedy przewróciła go na plecy, widziała dobrze jego twarz. Opatrunkiem z mchu nasączonym jednym z naparów Zazar oczyściła, a potem obejrzała ranę na głowie nieznanego. Kiedy jej dotknęła, jęknął cicho, ale nie otworzył oczu.

On rzeczywiście był inny niż Cudzoziemiec – morderca, którego śladem tu dotarła.

Przede wszystkim był młodszy. Z przyjemnością patrzyła na jego twarz, gdy otarła ją z krwi. Z jakiego klanu pochodził? Czy raczej, jako Cudzoziemiec, z jakiego rodu? Skończyła bandażować jego głowę, narwała liści i oparła na nich jak na poduszce. Czy powinna podać mu teraz jakiś środek wzmacniający? Ogarniał ją coraz większy niepokój. Nie powinni tu przebywać, przy wszechobecnym zapachu krwi. To zbyt ryzykowne. Co...

Otworzył oczy i spojrzał na Jesionnę. Odniosła wrażenie, że jej nie widzi, że szuka wzrokiem jakiejś twarzy lub znajomego otoczenia. Przemówił lekko drżącym głosem, lecz nie zrozumiała jego słów. Musiał to być język jego ludu. Jesionna chciała go dotknąć, ale się powstrzymała. Byli sobie obcy, więc jak mogłoby go ukoić jej dotknięcie? Nadal rozglądał się wokoło. Patrzył poza i poprzez Jesionnę, jak gdyby była niewidzialna, jednak głos przestał mu drżeć i pojawiła się w nim rozkazująca nuta. Jeżeli to było pytanie, nie otrzymał odpowiedzi.

Jesionna znów poszukała w sakwie i wyjęła z niej glinianą buteleczkę, grubo owiniętą mchem. Wyjęła korek, z determinacją uniosła głowę Cudzoziemca i przytknęła mu buteleczkę do ust. Połknął bez protestu. Kiedy tym razem spojrzał do góry, najwyraźniej zobaczył Jesionnę. Zmarszczył lekko brwi, jakby widok dziewczyny go zdziwił.

– Jesteś ranny – powiedziała powoli, robiąc przerwy między słowami, żeby ją rozumiał, jeśli zdoła. – Leż spokojnie. Odpocznij.

Spochmurniał jeszcze bardziej. Spróbował poruszyć głowę, wreszcie jęknął, znów

zamknął oczy i już ich nie otworzył. Jesionna siedziała nieruchomo. Wyglądało na to, że musi znaleźć dla niego jakieś bezpieczne miejsce – ale czy ono gdzieś istnieje? A jeśli tak, to jak ma go tam przenieść?

W środku nocy Snolli posłał po Dobosza Duchów. Kasai przyszedł szybko, wiedząc, że coś bardzo dręczy wodza, skoro nie zaczekał do rana.

– Jestem tutaj – powiedział, wchodząc.

Snolli siedział przy ognisku. Słyszając słowa Dobosza Duchów, podniósł wzrok. Twarz miał ściągniętą i wymizerowaną; wyglądał, jakby zobaczył coś, czego nie powinien widzieć żaden człowiek.

– Chcę, żebyś rzucił czar bębna, aby znaleźć Oberna – rzekł. – Nie zaznam spokoju, aż znajdziemy i pogrzebiemy jak należy jego ciało. Jego duch będzie nawiedzał mnie do końca życia, jeżeli ciało zostanie pożarte przez potwory z Bagien.

Kasai skinął głową.

– Ta sprawa również ciążyła mi na sercu, wodzu – odparł. – Tak mnie to poruszyło, że nie mogłem poświęcić całej uwagi traktatowi zostawionemu przez rendeliańskiego księcia. Bo jest jeszcze coś, czego nie wiemy o zniknięciu Oberna...

– Wiemy, że został zaatakowany i spadł i że pomimo poszukiwań nie mogliśmy go znaleźć. Co więcej potrzebujemy wiedzieć? Czas, żebyś użył Bębna Duchów.

Dobosz wziął swój instrument, z którym nigdy się nie rozstawał, i jął przesuwac palcami po jego powierzchni. Szukał, sondował, wysyłał myśli – i znalazł Oberna.

– On żyje, wodzu – powiedział Snollemu. – Odniósł obrażenia, ale żyje.

Przywódca Morskich Wędrowców po prostu skinął głową, ale Kasai wiedział, że Snolli zachowuje obojętną minę tylko wielkim wysiłkiem woli.

– Co jeszcze?

– Spróbuję wieszczyć dla ciebie, wodzu, chociaż niebezpiecznie jest żeglować po tych wodach. Chroni go tajemnicza moc, z jaką się nigdy dotąd nie zetknąłem.

– Jestem twoim wodzem i jeżeli darzysz mnie miłością, rozejrzyj się dla mnie, zobacz, ile zdołasz, Doboszu Duchów. Muszę wiedzieć.

Kasai posłusznie zaczął znowu przesuwac palcami po powierzchni swojego bębna.

Cichy dźwięk magicznego instrumentu nieubłaganie wciągnął go w czar, zależny nie tylko od niego, do miejsca, gdzie czas i ograniczenia tego świata niewiele znaczyły. Zaczął mówić monotonna, wtórując bębnowi.

– Obern leży w leśnym łożu i nadchodzi jakaś kobieta. Ktoś go chroni...

– Ta kobieta? – Snolli zasłonił usta ręką, wiedząc, że nie wolno przerywać Doboszowi Duchów w trakcie jasnowidzenia.

Lecz Kasai był w tak głębokim transie, że się nie ocknął.

– Chroni go, chroni... nie wiem, kto ani gdzie. Wkrótce spocznie on w domu niedomu, w mieście niemieście, w kraju niekraju. Ktoś go szuka. Sługa Światła, a za nim słudzy Ciemności.

– Ale jest bezpieczny?

– Dość bezpieczny. Na razie. Ale co ma się stać... Ten sługa Światła nie jest jego przyjacielem.

Jesionna musiała rozważyć ewentualność, że mężczyzna, którego pielęgnowała, może być mordercą Kazi. Były między nimi pewne różnice – na przykład na giętkim stroju z metalu ten mężczyzna nie nosił luźnej szaty, chociaż to mogło nie mieć żadnego znaczenia. Zaciekawiona, przyjrzała się metalowemu ubraniu. Miało wiązania z przodu i przytrzymywał je na miejscu szeroki skórzany pas. A swoją giętkość zawdzięczało niezliczonej ilości małych pierścieni splecionych od wewnątrz, z zewnątrz i między sobą, z których je wykonano. To był rodzaj zbroi, inny niż umocnione osłony nóg, jakie znała, ale coś w tym rodzaju. Jesionna od razu zrozumiała, że taka koszula dobrze chroni nawet przed nożem czy włócznią. Lub nawet długą, metalową bronią, którą znalazła w zaroślach.

Mężczyzna jęknął. Znowu odzyskiwał przytomność. Nie mogą długo pozostać w tym miejscu, u podnóża klifu. Może z jej pomocą ten człowiek będzie w stanie iść. Jeśli dopisze im szczęście, zdołają dotrzeć do kryjówki Jesionny w zburzonej budowli na wyspie. Tam byliby bezpieczni.

Bardzo się cieszyła, że nastawiła magiczny przewodnik na tamtą wyspę. Może dzięki temu droga powrotna będzie łatwiejsza.

– Chodź, Cudzoziemcze, musimy pójść tam, gdzie będę mogła lepiej cię pielęgnować – powiedziała do niego.

Spojrzał na nią zamglonym wzrokiem, ale nie wierzyła, że nie pojął znaczenia jej słów.

Po prostu patrzył na nią jak dziecko. To chyba ta rana na głowie odebrała mu rozum, przynajmniej na razie.

– Wkrótce znów będziesz sobą, ale musisz pójść ze mną. – Wzięła go za rękę i pomogła mu wstać. Posłuchał bez protestu i pomyślała z ulgą, że w tym dziecięcym posłuszeństwie pójdzie z nią.

Kiedy jednak spróbowała znaleźć łatwiejszą drogę na swoją wyspę, przeżyła niemiły zawód. Wszędzie, oprócz drogi, którą przysła, napotkała gąszcz nie do przebycia, ciemne bajorka i zdradzieckie mokradła. Zawróciła z westchnieniem i ruszyła z powrotem. Nie wiedziała, jak da sobie radę, kiedy dotrą do bajorka z kamieniami, przez które będą musieli przejść na drugi brzeg.

Przy jej pomocy ranny dotarł na dość wysoko położone miejsce, z którego dostrzegła szczelinę w klifie obok jaskini, do której wpadała rzeka graniczna.

– Tędy – powiedziała, wskazując ręką.

Skinął głową; był to dobry znak, pierwsza wskazówka, że może wyzdrowieć. Musi być równie silny, jak – musiała to przyznać sama przed sobą – urodziwy. To najpiękniejszy mężczyzna, jakiego kiedykolwiek widziała. Pomyślała jednak, że przecież to jedyny Cudzoziemiec, któremu przyjrzała się z bliska. Miała nadzieję, że to nie on zamordował Kazi. Nie miała pojęcia, jak by postąpiła, gdyby się dowiedziała, że dopuścił się tego zbrodniczego czynu.

Szli dalej, mając rzekę z prawej. Jesionna od czasu do czasu spoglądała na magicznego przewodnika, wypatrując sygnału, że muszą zawrócić w stronę Bagien Bale. Potem dostrzegła ruch w okolicy. Natychmiast przykucnęła za kępą trzciniopaproci, które rosły w wielkiej ilości na Bagnach, i pociągnęła za sobą swego towarzysza. Położyła palec na ustach, dając mu znak, żeby milczał; posłuchał jej.

Ktoś przechodził w bród płyciznę w rzece-zaporze. Jesionna ostrożnie podniosła głowę, zdołała delikatnie rozchylić trzciniopaprocie i popatrzeć, bez większej obawy, że ktoś ją dostrzeże.

Omal nie krzyknęła. To był ten Cudzoziemiec, którego widziała przedtem. Dobrze zapamiętała ten lśniący metalowy strój i jaskrawą, luźną szatę na nim, otaczające go światło i mgłę wokół jego głowy. Kilku podobnie ubranych mężczyzn szło za nim.

Zimny dreszcz przebiegł dziewczynę, a jednocześnie poczuła wielką ulgę. A więc Cudzoziemiec, któremu pomagała, nie zabił Kazi. Odwróciła się i impulsywnie uściśnęła jego rękę. Zwrócił na nią szeroko otwarte oczy, nic nie rozumiejąc, ale odwzajemnił uścisk.

Ulgą Jesionnej zamieniła się niemal w panikę. Dlaczego ten mężczyzna, ten zabójca, wraca na Bagna Bale? W jakim celu przybywa tym razem? A jeśli odnajdzie jej ślad? Patrzyła, aż zniknął ze swoimi towarzyszami w zaroślach. Jeśli los będzie jej sprzyjał, ten Cudzoziemiec wybierze inny kierunek niż ten, w którym ona chciała pójść. A jeżeli zapuści się w tę samą stronę, bo tak jak jej ukształtowanie terenu narzuci mu wybór drogi, ci intruzi narobią tyle hałasu, że Jesionna ich wytropi pierwsza, a więc będzie bezpieczna. Pozostając w tyle, nie dopuści, żeby podkradli się do niej i do jej rannego towarzysza, któremu coraz bardziej pragnęła pomoc wrócić do zdrowia.

Królowa Ysa leżała w łóżku przez tydzień, zbyt chora, żeby wstać. Mistrz Lorgan, naczelnny medyk, wypróbował kilka leków, lecz bez rezultatu. W końcu go odesłała, stwierdzając, że sam czas ją wyleczy.

Teraz z trudem zwlokła się z łoża i żeby poprawić sobie humor, włożyła swoją ulubioną suknię – z ciemnozielonej tafty, na kremowo-białym spodzie, bogato zdobioną koronkami i haftami. Spojrzawszy w zwierciadło, stwierdziła, że pomimo zmęczenia, jej wygląd niewiele ucierpiał po tamtej strasznej nocy. Znowu poczuła głód – chociaż podczas choroby jadła cały czas, nadal umierała z głodu. Z niepokojem jeszcze raz przyjrzała się swemu odbiciu, tym razem szukając oznak nieuchronnej otyłości. Nie znalazła niczego takiego, co więcej, nawet nieco zeszczupłała od czasu, kiedy zrobiła to, co zrobiła – cokolwiek to było, co sprawiło, że nawiązała kontakt z Zazar, czarownicą z Bagien, i z bękartem swojej znienawidzonej rywalki. Nie mogła się zmusić do wypowiedzenia imienia tej dziewczyny, nawet do siebie samej.

Rozkazała przynieść sobie śniadanie. Zjadła wszystko, co było na tacy, wlała ostatnie krople śmietany do owsianki z miodem i korzeniami i wytarła miskę kawałkiem chleba.

Wiedziała, że musi zajrzeć do Borotha. Kto wie, jak bardzo jego stan mógł się pogorszyć podczas jej choroby. Nie uśmiechało się jej to spotkanie. Gdyby to nie był ranek, zawnoczu pokrzepiłaby się winem.

Po raz pierwszy w życiu królowa Ysa niejasno zrozumiała swego męża i syna, ale to zrozumienie obudziło w niej tylko pogardę.

Niech pobłażają swoim słabościom, pomyślała szyderczo. Ona, Ysa, królowa Rendelu, Pierwsza Kapłanka Santize, jest silniejsza od nich obu. Nie powstrzyma jej zwykły wypadek ani gwałtowna reakcja na magię. W każdym razie nie na długo.

Sprawdziła, czy jej poranna toaleta niczego więcej nie wymaga i czy wygląda dostatecznie dobrze, by powstrzymać plotkarzy, którzy chcieliby ją uznać za chorowitą i niekompetentną, bo w takim razie mogliby przekazać regencję Florianowi. Jeszcze drobne poprawki... teraz perfumy. Zatrzymała rękę na ulubionym korzennym pachnidle, ale zmieniła zamiar. Wybrała perfumy, które Borothe podarował jej dawno temu; ich woń przypominała kwiaty aldyce. Nigdy nie przypadły jej do gustu, ale on je lubił. Może jeśli znowu się nimi skropi, Borothe będzie w lepszym humorze niż ostatnim razem, kiedy go widziała. Skierowała się do apartamentów króla, w drugim skrzydle zamku.

Gromada pieczeniarzy, sępów czekających na to, by dokładnie określić moment śmierci króla, lekarzy i sług jak zwykle wypełniała komnatę. Prawie w niej zamieszkali. Ysa zauważyła, że kazali przynosić sobie posiłki, żeby nawet na chwilę nie stracić z oczu tego, co działo się z królem Rendelu. Mistrz Lorgan podniósł oczy i uśmiech rozjaśnił mu twarz.

– Wasza królewska mość okazała się lepszą uzdrowicielką ode mnie – powiedział. W jego głosie zabrzmiało prawdziwe zadowolenie. – Jestem pewien, że naszemu panu brakowało ciebie, pani. Podejź, proszę, i uraduj jego duszę, tak jak

twoim przybyciem uradowałaś nasze.

Lekarz z ukłonem wskazał na łożo, gdzie leżał Boroth z zamkniętymi oczami. Miał na sobie czystą koszulę nocną, a miska z wodą stała na stole obok, co znaczyło, że króla niedawno wykąpano i opatrzone. Sprawiał wrażenie pogrążonego w śpiączce i oddychał z trudem.

– Czy król śpi? – zapytała Ysa.

– Odpoczywa. Myślę, że obecność tak wielu osób w jego komnacie męczy go.

– W takim razie odeślij ich – powiedziała, podnosząc głos, żeby ją usłyszano. – Powiodła wokół władczym spojrzeniem. – Nie widzicie, że wasza obecność ciąży królowi?

Niechętnie zaczęli wychodzić. Kiedy w komnacie pozostali tylko mistrz Lorgan, jego główny pomocnik i osobiści królewscy słudzy, Ysa zbliżyła się do podwyższenia, na którym stało wielkie łożo. Nachyliła się nad Borothem i obłok woni kwiatów aldyce otoczył ich oboje.

Otworzył oczy i patrzył na nią niewidzącym spojrzeniem. Potem lekki uśmiech wykrzywił jego obwisłe wargi. Odetchnął głęboko i przemówił.

– Alditho... Moja kochana Alditho. Znowu do mnie wróciłaś. Brakowało mi ciebie.

Wstrząśnięta do głębi, Ysa cofnęła się. Opanowała się ogromnym wysiłkiem woli.

Pomyłka Borotha obudziła w niej wstręt i oburzenie, ale może skłonił go do wyjawienia ważnych i użytecznych informacji. Biorąc pod uwagę jego stan, należało się spodziewać, że ma mętlik w głowie. Ale dlaczego pomylił ją, swoją prawowitą królową, z tą znenawidzoną dziwką z Domu Jesionu? Czym to spotkanie różniło się od tak wielu poprzednich? A potem nagle wszystko zrozumiała. Te perfumy. To musiało być pachnidło tamtej. Oczywiście. Kwiaty aldyce były niebieskie, miały barwę Jesionu. Boroth dał te perfumy jej, Ysie, może po to, żeby mu przypominały w nocy...

Oparła się pokusie złapania wilgotnej gąbki i zmycia tego znenawidzonego smrodu ze swojej skóry.

Zmusiła się, by znowu podejść do łoża. Zdołała nawet odezwać się do Borotha cichym, słodkim głosem:

– Tak, to ja, twoja ukochana. – Nachyliła się, aby go pocałować, uważając, żeby znowu poczuł zapach tych perfum.

– Minęło dużo czasu, odkąd zniknęłaś. Dlaczego tak długo cię nie było?

– Wróciłam. Czy... czy masz dla mnie jakieś pośłanie?

– Tylko to, że cię kocham. I zawsze będę kochał. Och, gdybym spotkał najpierw ciebie...

– To co? – ponagliła go Ysa. Te słowa omal nie uwięzły jej w gardle. Borotha i Aldithę łączyło coś więcej niż zwykłe barszkowanie w łożu dla świńskiej rozkoszy

tego drania. Przegnała tę myśl. Potem się tym zajmie.

– Wszystko byłoby zupełnie inne. Ale próbowałem cię chronić. Wiesz o tym, prawda?

– Oczywiście. Uciekłam przed twoją zazdrością i gniewem...

– Nieprawda! – Podniósł się lekko. – Tak, ścigano cię, ale to nie ja. Czy już zapomniałaś? – Otworzył szerzej oczy, jakby odzyskiwał przytomność. Patrzył na nią i rozpoznał ją w końcu. – Ysa – powiedział z ogromną goryczą w głosie.

– Tak, to ja, Ysa, twoja królowa – odparła równie gorzko. – I twoja prawowita żona. Twoja ukochana, a nie ta ladacznica, z którą sypiałeś niemal na moich oczach.

Boroth nie odpowiedział, po prostu zamknął oczy i odwrócił głowę.

Mimo chęci pozostawienia go w takim stanie, w jakim go zastała, Ysa zmusiła się jednak do dopełnienia obrzędu Pierścieni. Zaraz potem uciekła z sypialni męża, zapomniawszy o zmęczeniu i chorobie. Biegiem wracała do swoich pokoi, żeby zniszczyć każdą kroplę znienawidzonego pachnidła, które wyrwało Borotha z ośpienia.

Jesionna nie potrafiłaby powiedzieć, jak zdołali wrócić do ruin na wyspie. Częściowo przypisała to temu, że tajemniczy Cudzoziemiec wybrał inną drogę, prowadzącą na północ, co umożliwiło dziewczynie szybsze doprowadzenie jej podopiecznego do miejsca, o którym myślała jako o schronieniu. Było dobrze po południu, kiedy oboje chwiejnym krokiem weszli do zrujnowanych komnat. Ognisko zgasało, w środku było wilgotno i ponuro.

Jesionna posadziła młodzieńca na stosie trzciniowych mat. Poszukała czarnych kamieni, rozpałała ogień, a kiedy nabrała pewności, że powietrze w komnacie się nagrzało, zaczęła rozbierać swego podopiecznego. Na pewno niewygodnie jest leżeć w metalowej koszuli. Rozpięła mu pas i zsunęła kłopotliwą część stroju. Potem odłożyła ją na bok razem z długim nożem Cudzoziemca.

Gorzey było z butami. Na pewno istniała jakaś sztuczka umożliwiająca rozpięcie ich, ale Jesionna jej nie знаła. Niechętnie musiała je zostawić, wiedząc, że prawdopodobnie nogi rannego zdrętwieją do rana. Ku jej radości wyszła z półmroku Mądrusia. Małeńka istotka najwidoczniej czekała na nią w schronieniu, a teraz trzymała się w pobliżu, siedząc na tylnych łapkach i pocierając przednie. Wreszcie podeszła bliżej i zaczęła obwąchiwać ranę na głowie nieznajomego.

– Daj mi ją oczyścić jak trzeba – powiedziała do niej Jesionna.

Zaczęła grzebać w sakwie, wydając pakieciki z ziołami. Nalała wody do jednego z garnków, dodała do niej szczyptę tego i garść tamtego i postawiła na ogniu. Kiedy mikstura dostatecznie długo się pogotowała, Jesionna umoczyła w niej kawałek tkaniny i zaczęła zmywać zakrzepłą krew z płowych włosów Cudzoziemca. Z ulgą

stwierdziła, że skaleczenie nie jest głębokie – przypomniała sobie, że rany głowy zawsze krwawią obficie – chociaż na czole młodzieniec miał guza wielkości jajka kury vorse. Kiedy Jesionna już prawie skończyła, Mądrusia przykucnęła przed Cudzoziemcem i obmacała łapkami ten guz. Dotykała go tak delikatnie, że mężczyzna nawet nie jęknął, chociaż zaprotestował słabo, kiedy Jesionna przemywała rozcięcie.

– Myślę, że nic mu nie będzie – powiedziała do Mądrusi. Owinęła pasem czystego materiału głowę rannego, potem wylała z garnka ziołową mieszankę i napełniła go czystą wodą, żeby ugotować wzmacniający bulion. Kiedy był gotowy, dała go Cudzoziemcowi do wypicia. Później jej podopieczny zapadł w głęboki sen.

Zmęczona opieką nad nieznanym i próbami uniknięcia spotkania z innymi Cudzoziemcami, Jesionna położyła się na sąsiednim stosie mat. Spróbuje zasnąć na godzinę. Była zbyt wyczerpana, żeby jeść, dała tylko Mądrusi trochę podróżnego prowiantu, który ta uwielbiała. Wyciągnęła ramiona z nadzieją, że istotka ją ogrzeje, tak jak już wcześniej robiła, ale Mądrusia wolała kręcić się w pobliżu rannego.

– Jak sobie chcesz – mruknęła sennie Jesionna. – Teraz ty się nim opiekuj, a ja zajmę się nim później. – Nakryła się matą i zasnęła.

Nagle obudził ją głos mężczyzny, który wykrzykiwał coś gniewnie. To Cudzoziemiec usiłował uwolnić się od trzciniowych mat. Ocknąwszy się z niespokojnego snu zrzucił je, potem zdarł bandaż z głowy, przyjrzał mu się i odrzucił na bok. Wskazując palcem na Jesionnę, zawołał coś do niej. Zrozumiała może jedno słowo na trzy, ale pojęła, że oskarża ją o to, że go zraniła.

– Nie, to nie ja! – powiedziała. Wstała ze swojego posłania i ruszyła ku niemu. – Spadłeś...

Ale ranny mężczyzna wypadł na zewnątrz, w nocny mrok, najszybciej jak mógł. Sądząc po chodzie, zdrętwiały mu stopy i nie czuł ich. Pobiegła za nim i chwyciła go w chwili, gdy próbował wdrapać się na szczyt zrujnowanego muru. Dał krok do przodu, obluzowując jeden z kamieni, potknął się i ku przerażeniu Jesionny znowu upadł, uderzając głową w inny kamienny blok. Pewna, że tym razem się zabił, podbiegła do niego.

– Nadal oddycha – powiedziała do siebie i do Mądrusi, która mknęła skokami za nią.

Potrzeba dodała jej sił. W jakiś sposób zdołała zaciągnąć mężczyznę z powrotem do zrujnowanej komnaty. Tam podsyciła ognisko i obejrzała ranę na głowie nieprzytomnego. Ziołowa mieszanka rozpoczęła już proces gojenia rany i Cudzoziemiec na szczęście nie otworzył jej sobie podczas upadku. Łupki też były całe. Ale z drugiej strony głowy pojawił się nowy, jeszcze większy guz od uderzenia o kamień. Młodzieniec miał sinawe wargi i oddychał z pewnym trudem.

Gdybyż tylko Zazar tu była, pomyślała Jesionna Wiedziałyby, co zrobić.

Pielegnowała rannego najlepiej jak umiała do późnej nocy. Wreszcie, zrozpaczona, pewna, że grozi mu śmierć, zdecydowała się na ryzykowny czyn. Jeżeli Zazar nie przyjdzie do niej, ona pójdzie do Zazar.

Po raz pierwszy w życiu Jesionna celowo postanowiła odwołać się do magii. Z ziół, zabranych z chaty Mądrej Niewiasty i tych znalezionych na miejscu, które zidentyfikowała po zapachu w różnych dzbankach na półkach, przygotowała mieszanekę, której Zazar używała przy rzadkich okazjach, i rozpuściła ją w wodzie płynącej z kamiennej rury. A potem, z nadzieją, że dobrze robi, wypila ten napój.

Świat wokół niej zniknął, a kiedy znów mogła widzieć, zobaczyła słup ognia, w którym stała opiekunka.

– Zazar! – wykrzyknęła Jesionna ze zdziwieniem. Jak to się stało? Wydawało się, że Mądra Niewiasta nie może się poruszyć. Powinna więc się z bólu w płomieniach, ale wyglądała tylko na lekko zirytowaną.

– Powinnaś była wiedzieć, że będę potrzebowała was obu – powiedziała Zazar. Dopiero wtedy dziewczyna zauważyła, że jest z nią inna kobieta, ubrana w lśniący strój, najpiękniejszy, jaki Jesionna widziała w życiu. Mogła tylko gapić się na nieznajomą ze zdumieniem. – A więc podejdźcie. – Mądra Niewiasta wyciągnęła jedną rękę do wychowanki, a drugą do pięknej nieznajomej.

Jesionna ujęła jej dłoń bez wahania, a po chwili nieznajoma zrobiła to samo z drugą ręką Zazar. Teraz Mądra Niewiasta wyszła z płomieni, które od razu zgasły.

– Przypuszczam, że powinniście poznać swoje imiona, bo prędzej czy później spotkacie się w zewnętrznym świecie. Yso, to Jesionna. Jesionno, to jest Ysa.

Zanim dziewczyna zdołała powiedzieć Zazar, czego potrzebuje i dlaczego usiłowała się z nią skontaktować, ponownie znalazła się w zburzonym domu na wyspie.

Ku jej zdumieniu ranny odzyskał przytomność i teraz niezdarnie próbował usiąść. Rzuciła się ku niemu.

– Nie, nie możesz tego zrobić. Jeszcze za wcześnie.

Spojrzał na nią przytomnie. Chociaż drugie uderzenie w głowę omal go nie zabiło, chyba przywróciło mu pamięć. Potem znów przemówił i Jesionna zrozumiała dość słów, by pojąć, o co mu chodzi.

– To ty mnie uderzyłaś? – zapytał. Ostrożnie dotknął szybko gojącej się rany na czole i dużego guza z boku głowy.

Roześmiała się, zaskoczona, że mógł tak pomyśleć.

– Nie. Uratowałam cię. – Za pomocą gestów i powtarzania słów raz po raz, aż je zrozumiał, wyjaśniła mu okoliczności, w jakich spadł z klifu.

– Ach, tak, atak wielkich ptaków. Tak, teraz już pamiętam. Myślałem, że nie żyję.

– Omal do tego nie doprowadziłeś, kiedy znowu upadłeś, całkiem niedawno.

– Nie wiedziałem, gdzie jestem. A ty tylko siedziałaś bez ruchu.

– Tak. – Dziewczyna uznała, że nie warto próbować mu wyjaśnić, jak do tego doszło. Może później. – Jestem Jesionna – powiedziała, wskazując na siebie. Potem rozejrzała się Wokoło w poszukiwaniu Mądusi, ale istotka zniknęła.

– Obern – odparł Cudzoziemiec, również wskazując na siebie. – Tutaj mieszkasz?

Prościej było zgodzić się z nim, niż tłumaczyć, w jakich okolicznościach znalazła się w tym miejscu.

– Tak.

– Pochodzę z ludu Morskich Wędrowców. Muszę wrócić do domu, bo mój ojciec na pewno myśli, że nie żyję.

Nie miała pojęcia, gdzie jest jego dom. Siedzieli chwilę w milczeniu. Jesionna czuła się głupio i zastanawiała, co dalej zrobić.

Posłyszała jakiś hałas na zewnątrz. Podniosła oczy i zobaczyła migotliwe światło za zasłoną drzwiową.

– Zaczekaj tutaj – powiedziała do Oberna, podkreślając słowa gestem, na wypadek, gdyby nie zrozumiał. Skinął głową.

Ostrożnie podeszła do drzwi i odsunęła kotarę. Światło nadal świeciło, ale jakby gdzieś dalej. Nie osłabiając czujności, Jesionna wysunęła głowę na zewnątrz i rozejrzała się wokół. Kiedy nic nie zobaczyła, zrobiła jeszcze jeden krok...

Coś spadło jej z hałasem na głowę, aż runęła na ziemię. Rozpoznała sieć, znacznie cięższą od tych, które zwykli byli pleść Ludzie z Bagien. Na próżno starała się uwolnić. Dwaj mężczyźni owinęli ją sznurami i mocno związali.

Potem ktoś nowy pojawił się w jej polu widzenia.

– Wreszcie cię złapałem, duszku z Bagien – powiedział przybysz. Mgła przysłaniała jego twarz, ale nawet gdyby nie to, Jesionna rozpoznałaby w nim zabójcę Kazi, choć w tamtym strasznym miejscu też nie widziała jego rysów. – Ty, Ralse, zobacz, czy ktoś jeszcze jest w środku.

– Nikogo nie ma! – zawołała Jesionna. Ale tamci i tak weszli do zrujnowanej komnaty i wrócili z Obernem, związanym tak jak ona sama. Zanieśli ich oboje do znajomej przystani i rzucili na oczekującą tratwę. Odepchnęli się drągami i odbili od wyspy.

Pani Marcala była z siebie zadowolona. Nie dość, że podstęp wprowadził w błąd wszystkich na dworze w Rendelsham, to jeszcze Harous sprawiał wrażenie całkowicie nią oczarowanego. A przecież Harous był najatrakcyjniejszym, najprzystojniejszym wielmożą na dworze. Zatrzymała się w jego miejskiej rezydencji i teraz poważnie rozważała propozycję, by przyjąć gościnę na zamku Cragden. Wiedziała, że w takim zaproszeniu nie ma nic niestosownego; przecież Marcala to jego daleka kuzynka. Takie układy były powszechne wśród krewnych. Oczywiście, gdyby ich wzajemne stosunki wykroczyły poza więzi rodzinne, nic nie ukryje się przed oczami służby, która doskonale wiedziała, do czego może ich to doprowadzić. Cóż, takie układy również były rozpowszechnione.

W dodatku tą drogą wypełni swoje zobowiązanie wobec królowej Ysy. Ta kobieta to chodzące niebezpieczeństwo. Zawsze opłacało się być z nią w dobrych stosunkach. Mając więc ważne powody za i żadnych przeciw, Marcala postanowiła, że przyjmie uprzejmą propozycję Harousa. Królowa będzie chciała o tym wiedzieć.

W drodze do komnaty Ysy, ku swemu niezadowoleniu, Marcala spotkała księcia Floriana. Wydawał się mniej pijany niż zwykle, choć nie wywarło to zbawiennego wpływu na jego maniery.

– Jak tam, śliczna damo? – Stał przed nią, zagradzając drogę ramieniem. – Jakie masz plany na ten piękny dzień?

– Żadnych, wasza wysokość – odparła. – Właśnie idę do twojej matki, panie, jej królewskiej mości.

– Ona po ciebie posłała?

Marcala nie odpowiedziała.

– Może zamiast tego wolałabyś spędzić godzinę w moim towarzystwie?

– Moje preferencje nie mają znaczenia, wasza wysokość – odrzekła. – A teraz proszę, pozwól mi przejść, panie. Jej królewska mość będzie na mnie czekać.

– Twoje preferencje nie mają znaczenia, ale moje tak. Co byś powiedziała, gdybym wyznał, że mam ochotę przespacerować się z tobą? Albo wybrać się z tobą na przejażdżkę? – Oblizał obwisłe wargi. – Właśnie, to odpowiednie określenie. Jaka przejażdżkę mógłbym ci pokazać...

– Proszę, wasza wysokość! Zapominasz się, panie!

– Nie udawaj przy mnie niewinnej dziewicy, Marcalo z Valvageru. Twoja nieco nadszarpnięta reputacja znana jest wszystkim na dworze, ale uważam, że nawet ty

mogłabyś nauczyć się ode mnie paru sztuczek, gdybyś tylko...

Marcala spostrzegła nadarzającą się okazję i przemknęła pod ramieniem księcia.

– Królowa... moje obowiązki... – rzuciła, biegnąc do bezpiecznych drzwi komnaty Ysy.

– W takim razie przekaz mojej pani matce posłanie ode mnie – zawołał za nią. – Powiedz jej, że zabroniłem jej wstępu do sypialni mego ojca! Wszyscy na dworze wiedzą, że to ona utrzymuje go przy życiu...

Lecz Marcala już zamknęła drzwi i nie usłyszała dalszych słów Floriana. Oparła się o framugę i zamknęła oczy, próbując się opanować.

– Wejź, Marcalo – powiedziała królowa. – Zakładam, że właśnie rozstałaś się z moim synem.

– Tak, pani – odparła Marcala z przekąsem.

– W takim razie pobądź teraz ze mną. Dano mi do zrozumienia, że ty i hrabia Harous zostaliście najlepszymi przyjaciółmi.

Do czego jestem potrzebna królowej, skoro najwyraźniej ma szpiegów w każdym kącie? – pomyślała Marcala.

– Rzeczywiście – powiedziała na głos. – Spędzamy ze sobą dużo czasu. To znaczy, kiedy on nie poluje.

– Och, myślę, że możesz go przekonać, żeby więcej przebywał w domu, jeśli zechcesz.

– Zaprosił mnie, żebym była jego gościem w zamku Cragden.

– To powinno stanowić dla ciebie mocny bodziec do zajęcia się sprawami dziejącymi się w twoim najbliższym otoczeniu.

Marcala zauważyła, że królowej wcale nie zaskoczyła ta informacja. Zapewne dowiedziała się o tym wcześniej.

– W takim razie nie będziesz miała nic przeciwko temu, że przeniosę się do pokojów gościnnych Cragden, pani?

– Oczywiście, że nie. Przecież Harous jest twoim krewnym, prawda? Z biegiem czasu ta więź słabnie, ale rodzina to jednak rodzina. I wszyscy musimy cenić przyjaciół w tych niebezpiecznych czasach.

– Wedle rozkazu waszej królewskiej mości – odparła Marcala. Ukłoniła się z opuszczonymi oczami. Coś wyczuwała, ale co? Widziała już kiedyś królową w takim nastroju, a to oznaczało, że coś się szykuje – coś niezbyt korzystnego, tylko nie wiadomo dla kogo. Marcala miała nadzieję, że tym razem to nie ona będzie celem. Nie chciała by skrzyżować przysłowiowego miecza z Ysą.

– Z mojej wieży widać zamek Cragden, bo zbudowano go przy wejściu do doliny. To mniej niż godzina konnej przejażdżki, zakładając, że chciałabyś mnie odwiedzić. – Ysa uśmiechnęła się i Marcala musiała uważać, żeby się nie wzdrygnąć. – Gdybym

miała lunetę, wyobrażam sobie, że prawie mogłabym zajrzeć do twojego okna.

Albo mogłabyś posłać tego stwora, którego trzymasz w niewoli, pomyślała Marcala. Tego, którego, jak ci się zdawało, ukryłaś w wyściełanym jedwabiem koszyku. Tylko że ja o tym wiem. Tak, wiem. Głośno zaś stwierdziła:

– Zawsze będę na rozkazy waszej królewskiej mości.

Ysa znowu się uśmiechnęła.

– Oczywiście. Nie wątpię w to. A teraz pomóż mi. Jak widzisz, czytałam i trzeba teraz odnieść księgi do biblioteki Świątyni Wiecznego Blasku. Nie każdemu powierzyłabym to zadanie, bo te księgi są stare i kruche. A przede wszystkim bardzo cenne.

Marcala skinęła głową. A więc królowa ponownie zajmowała się magią. Można by pomyśleć, że Ysa czegoś się nauczyła po tamtej strasznej nocy, kiedy się o mało nie zabiła. Marcala nadal czuła mrowienie Mocy w rękach, które oparła na ramionach królowej. Niemądrze jest zabawiać się takimi rzeczami. Zaczęła podnosić księgi ze stosu przy krześle królowej, żeby włożyć je do koszyka i odnieść na miejsce. Jeden wolumin wysliznął się jej z rąk i Marcala nachyliła się, by go podnieść.

Księga otworzyła się na ręcznie malowanej ilustracji; zaintrygowana, Marcala przewróciła kilka stron. A potem przerwała, zdziwiona.

– Poznają to! – zawołała.

– Co takiego, dziecko? – zapytała królowa. Wyciągnęła smukłą dłoń i Marcala podała Ysie księgę, wskazując na to, co zwróciło jej uwagę.

– Coś podobnego oglądał kiedyś Harous w jednej ze swoich ksiąg. – Marcala spojrzała na grzbiet tomu. – To chyba taka sama księga. W każdym razie ten obraz przykuł jego uwagę, sama widziałam.

Obie kobiety popatrzyły na stronicę. Z wielką wprawą ktoś narysował na niej broszę w kształcie złotego płomienia strzelającego z błękitnego naczynia. Nie umieszczono jednak obok żadnej dewizy, chociaż było na nią miejsce, ani wyjaśnienia, skąd pochodzi ta brosza.

– To bardzo interesujące – oświadczyła królowa. Zamknęła księgę i zwróciła ją Marcali bez jakichkolwiek oznak zainteresowania. Gdyby był z nią ktoś inny, a nie Królowa Szpiegów, cały incydent na pewno przeszedłby niezauważony. Ale przecież życie Marcali zależało od umiejętności odczytywania myśli i nastrojów otaczających ją osób. Ciarki ją przeszły. Domyślała się, co działo się w umyśle Ysy, i nie miała żadnych wątpliwości, że królowa wie więcej o tym rysunku, niż chciała przyznać.

Marcala postanowiła poznać tę tajemnicę. Na razie będzie przynajmniej mogła unikać Floriana, skoro zamieszka w zamku Harousa i pod jego protekcją. Z dała od podejrzliwego spojrzenia królowej prędzej czy później zdobędzie sposobność zbadania sekretu dziwnej broszy. Chwilowo z udawaną pokorą zaczęła pakować

resztę ksiąg, by zwrócić je do Świątyni Wiecznego Blasku.

Jesionna ostrożnie podniosła głowę. Odkryła, że porywacze położyli ją w pewnej odległości od Oberna. Wiedziała, nawet jeśli ci Cudzoziemcy nie mieli o tym pojęcia, że teraz wszyscy mogą stać się łatwą zdobyczą dla Ludu Bagien. Ta tratwa była powolna i nieporęczna, podczas gdy niezgrabne łódki mieszkańców Bagien poruszały się zaskakująco szybko, gdy kierowali nimi doświadczeni wioślarze.

A potem, ku swemu zdumieniu, Jesionna zobaczyła, co robi mężczyzna z mgłą nad głową. Pewnie według niego miało im to zapewnić większą szansę przetrwania. Z niewielkiego worka wyssał za pomocą rurki jakiś proszek i dmuchnął nim na wodę za nimi. Dziewczyna uniosła głowę i zobaczyła, że ten proszek roztapia się w oleisty kożuch na wodzie.

– Ogień, Ehernie – powiedział mężczyzna.

Jeden z jego towarzyszy wziął węgielek z zamkniętego pojemnika i dotknął nim oleistej substancji na powierzchni wody, która natychmiast buchnęła płomieniem. Cóż, taki ogień zatrzyma wszystko za nimi, w każdym razie dopóki nie zgaśnie.

Cudzoziemcy pchali tratwę, oddalając się od zrujnowanego miasta, a potem skierowali ją w boczny strumień, tak dobrze ukryty przez wybujałą roślinność, że Jesionna w ogóle go nie zauważyła, gdy wraz z Zazar po raz pierwszy dotarli na wyspę. Woda w strumieniu była mętna, a powierzchnię marszczyły ruchy płetw niebezpiecznych stworów, kryjących się w głębinie.

– To straszdyła – skomentował mężczyzna imieniem Ehern. – Więcej ognia, panie?

– Tak. Daj im dużą dawkę.

Ehern wziął worek i rurkę od swego przywódcy i znów dmuchnął tajemniczym proszkiem na wodę. Chociaż ogień buchał tak blisko, że lizał rufę tratwy, popychający ją drągami mężczyźni musieli stoczyć ciężki bój, żeby przedrzeć się przez tłum podwodnych potworów. Ponad hukiem i trzaskiem płomieni, krzykami ludzi i zdychających straszdył Jesionna dosłyszała warkot bębnow. Pomyślała, że dociera ze strony, w którą płynęli.

– Dobrze, że ten skrót nie jest dłuższy – zauważył Ralse, który stał przy sterze. – A oto i rzeka. Teraz wystarczy ją przepłynąć i już jesteście w domu.

– To dobrze, bo proszek prawie się skończył – odparł Ehern. Podniósł worek i Jesionna zobaczyła, że jego zawartość bardzo się skurczyła.

– Będziemy mieli kłopoty – wtrącił ich przywódca. – Zachowajcie ostrożność. To tylko Bagniaci, ale uważajcie na tych, których wieziemy.

Tratwa zazgrzytała o muliste dno i zanim Cudzoziemcy zdążyli wyjść na brzeg, rzucili się na nich Ludzie z Bagien. Jesionna usłyszała krzyki, jęki i szczęk lepszej

broni Cudzoziemców o włócznie z grotami z muszli, przerywane uderzeniami maczug mieszkańców Bagien w zbroje intruzów. Od czasu do czasu głośny plusk, któremu czasami towarzyszył przeraźliwy krzyk, dowodził, że ktoś wpadł do rzeki, pełnej teraz straszydeł, które, zwabione zapachem krwi w wodzie, napłynęły chmarą ze strumienia, przez który Cudzoziemcy i ich więźniowie właśnie przepłynęli. Dwukrotnie Jesionny o mało nie zdeptano; usłyszała też stęknienie Oberna, gdy ktoś się o niego potknął. Ogień znów zatrzeszczał – to resztki proszku, pomyślała – i ludzie wrzasnęli z bólu.

A potem bitwa się skończyła. Pozostali wojownicy z Ludu Bagien rzucili się do swoich łódek i uciekli, zanim pochłonął je ogień, nie przestając wykrzykiwać i wymachiwać bronią. Ciśnięta przez jednego z nich włócznia utkwiała w pokładzie tratwy między Jesionną i Obernem, którzy leżeli związani jak wodne ptaki. Jakiś Cudzoziemiec wyszarpnął ją i z przekleństwem odrzucił w stronę wrogów. Przeważający okrzyk świadczył, że trafiła w kogoś.

– Zapamiętamy was, Cudzoziemcy! – Dotarła zmroku groźba i Jesionnie wydało się, że poznała głos Joala. – I ten cudzoziemski pomiot demona też! Dobrze was zapamiętamy. Jeszcze z wami nie skończyliśmy, o nie!

Następna gromada Cudzoziemców przedarła się przez zarośla. Byli uzbrojeni w zgięte kije, które miały mniejsze kijki, i użyli tej broni, żeby ich ziomkowie mogli wysiąść na brzeg. Ich przywódca zauważył, że Jesionna przygląda się dziwnemu dla niej orężowi.

– To są łuki – wyjaśnił – a pociski nazywamy strzałami.

– Mógłbym ci to samo powiedzieć – wtrącił Obern.

Wódz Cudzoziemców zrobił ruch ręką i dwóch jego podwładnych chwyciło Oberna. Morski Wędrowiec stęknął, gdy spadły na niego pierwsze ciosy, ale potem nie wydał już dźwięku.

Przywódca intruzów zdjął z głowy błyszczącą metalową obręcz i światło na niej od razu zgasło. A razem ze światłem zniknęła mgła otaczająca głowę mężczyzny. Jesionnie mimo woli przyszła do głowy myśl, że ten Cudzoziemiec jest jeszcze bardziej urodziwy od Oberna.

– Jestem hrabia Harous z Cragden, rendeliański szlachcic – przedstawił się tamten dwornie. – Ten, który cię uratował.

Dziewczynie przyszło na myśl kilka nierozważnych odpowiedzi – że nie potrzebowała ratunku, że w żadnym wypadku nie chciała, żeby uratował ją morderca i że nie prosiła o pomoc – ale przezornie milczała.

– Jestem Jesionna – powiedziała tylko.

Przez chwilę Harous wyglądał na zaskoczonego.

– A więc moje przypuszczenie było słuszne – rzekł do siebie. Ukłonił się. –

Rzeczywiście odebrałem Bagnom cenną zdobycz. Czeka cię nowe życie, pani. Jestem głęboko wdzięczny losowi, że to mnie wybrał, żebym ci je ofiarował.

Jesionna wreszcie nie wytrzymała i wybuchnęła.

– Wybrano cię, żebyś wtargnął do mojego domu? Wybrano cię, abyś schwytał mnie i mojego towarzysza w sieci jak dzikie zwierzęta?

– Nie jestem twoim wrogiem, pani Jesionno – odparł Harous. – Z czasem może to zrozumiesz. Wszystko, co zrobiłem, to dla poprawy twego losu. Proszę, uwierz mi.

– Jeżeli nie jesteś moim wrogiem – powiedziała Jesionna, starając się, by głos jej nie drżał – to dlaczego zabiłeś służkę mojej protektorki?

– Kogo? Nic o tym nie wiem.

– Widziałam to na własne oczy. Jakiś mężczyzna, tak jak ty otulony mgłą, zabił ją uderzeniem pięści.

– Ja nie wojuję z kobietami, nawet z kobietami z Bagien.

– A jednak to widziałam – powtórzyła uparcie Jesionna.

– Oprócz mnie są inni, którzy potrafią osłaniać się mgłą. Zapytaj Zazar.

Powtarzam ci, pani, że nie jestem twoim wrogiem.

Wzmianka o Zazar zaskoczyła Jesionnę. To musi być jeden z tych Cudzoziemców, którzy potrzebowali umiejętności Zazar; może rzeczywiście powiedział prawdę. Zmusiła się, żeby odpowiedzieć bardziej rozsądnym tonem.

– W takim razie dlaczego nadal jestem związana? I mój towarzysz również?

– To szybko da się naprawić. – Harous posłał dwóch swoich ludzi, by uwolnili z więzów Jesionnę i Oberna.

Przez chwilę obawiała się, że mimo złamanego ramienia Obern spróbuje walczyć i że ludzie Harousa go zabiją, choć nie zginął mimo dwóch niebezpiecznych upadków. Spojrzała na niego, mrużąc oczy, i potrząsnęła głową. Lecz młodzieniec najwidoczniej był dostatecznie inteligentny, by uznać, że ma nikłą szansę wygrania takiej walki. Stał spokojnie, masując nadgarstki w miejscu, gdzie wpiły się sznury, i czekając na dalszy bieg wypadków.

Okazało się, że mają dosiąść koni – zwierząt, o których słyszała, ale nigdy ich nie widziała, nie mówiąc już o dotknięciu. Jesionnę i Oberna wsadzono na te wielkie, przerażające, choć osiodłane zwierzęta i wszyscy ruszyli do miejsca, znanego jako zamek Cragden, jak powiedział jej Harous.

– Fagas tego lalusia przyjechał – powiedział kwaśno Kasai do Snollego. – Chce zapytać o tamten traktat.

Snolli podniósł oczy znad stosu meldunków, które przeglądał. Usiłował zrozumieć, o czym mówi Dobosz Duchów. Wreszcie zaryzykował pewne przypuszczenie.

– Zakładam, że masz na myśli tłumacza księcia Floriana.

– Nikogo innego.

– Każ mu... nie, poproś go bardzo uprzejmie, żeby wszedł. – Uśmiechnął się blade. – Przynajmniej teraz mam mebel, żeby mógł usiąść. – Wskazał na kilka niezgrabnych krzeseł, otaczających równie prymitywny stół.

Rendelianie musieli widocznie czekać tuż za drzwiami. Dakin i czterej inni mężczyźni weszli tuż po tym, jak Kasai powiedział im, że naczelny wódz Nowego Voldu niecierpliwie na nich czeka.

– Witaj, wodzu! – oświadczył na powitanie Dakin. – Jak dobrze znów cię widzieć!

– Dobrze jest również widzieć ciebie.

Snolli skinieniem ręki dał znak przybyszom, żeby usiedli przy stole. Poleciał przynieść wino i zauważył, że goście usiłują ukryć zaskoczenie jego kiepską jakością. Dakinowi się to udało, ale jego towarzyszom nie.

– Dziękujemy ci – rzekł Dakin. – Z wdzięcznością przyjmujemy twoją gościnę. Czy zaczniemy dyskusję bez wszystkich czasochłonnych formalności?

– Nigdy nie miałem na nie dużo czasu – odparł Snolli. – Wolę rozmawiać jak mężczyzna z mężczyzną.

– A więc, wodzu, rozmawiając jak mężczyzna z mężczyzną... czy zdecydowałeś się podpisać traktat z księciem Florianem?

– Muszę prosić księcia o wyrozumiałość. Okres żałoby po śmierci mojego syna jeszcze się nie skończył. Kiedy tak się stanie, pojadę z kilkoma moimi ludźmi do waszego miasta i tam...

– Lepiej zrobić to tutaj, wodzu.

Snolli spojrział na Dakina w zamyśleniu. A więc to tak, powiedział sobie w duchu. Ten traktat trzeba zachować w tajemnicy i załatwić tutaj, w najdalszym krańcu Rendelu. Ten mężczyzna wykonuje rozkazy księcia, a o całej sprawie nie powinna się dowiedzieć jego matka, królowa Rendelu.

– Wobec tego zostaw jednego z twoich ludzi jako mojego gościa honorowego. Wyślę go do ciebie jako posła, gdy tylko nadejdzie odpowiednia chwila na zawarcie paktu z twoim ludem i twoim księciem – zaproponował Snolli. – Jeśli się o niego niepokoisz, weź jednego z moich ludzi jako gwarancję bezpieczeństwa.

Dakin długo patrzył na wodza Morskich Wędrowców, a na koniec podjął decyzję.

– Ja zostanę – odparł. – Żaden z moich towarzyszy nie zna dobrze mowy kupców.

Snolli odpowiedział skinieniem głowy, wiedząc, że przyjmuje szpiega na swój dwór.

– A ja wyślę z wami Harvasa. To Czytający-w-falach, którego statek zatonął. Ucieszy się, że będzie mógł coś zrobić.

I będzie równie dobrym szpiegiem, jak ty, Dakinie, a może lepszym, pomyślał Snolli. Doskonale się rozumiejąc, nowy "gość" w Nowym Voldzie i naczelny wódz Morskich Wędrowców uścisnęli sobie przedramiona na znak przyjaźni.

– Pozwól tylko, że powiadomię moich ludzi i wezmę kilka rzeczy z moich juków.

W ten sposób Dakin potwierdził, że przez cały czas miał taki alternatywny plan. Snolli uśmiechnął się w duchu. Ci ludzie uważali się za chytrzejszych, niż byli w istocie. Zastanowił się, czy zmylił ich prymitywny ubiór i czasami wątpliwe maniery Morskich Wędrowców; na podstawie zewnętrznych oznak uznali pewnie, że nie muszą zbytnio się wysilać, żeby ich oszukać. No cóż, sami odkryją, jak bardzo się pomylili. Snolli postanowił przy pierwszej nadarzającej się okazji dokładnie przeczytać ten traktat.

– Przykro mi, że odbyłeś taką długą podróż nadaremnie – powiedział, kiedy wraz z Rendelianami opuścił zamek północno-zachodnią bramą. Tam czekały ich wierzchowce i zbrojna eskorta.

– Wykonuję tylko rozkazy mojego księcia – odparł Dakin. Wydał polecenia czekającym drużynnikom. Jeden z nich podprowadził konia, obładowanego jukami, o których Dakin wspomniał wcześniej.

Snolli gestem polecił jednemu ze swoich ludzi zaprowadzić zwierzę do stajni.

– Zanieś te sakwy do komnaty naszego nowego gościa w zachodniej wieży – dodał. Tamten natychmiast odszedł.

Następnie Dakin wydał polecenia swoim podwładnym. Snolli zrozumiał dostatecznie dużo, żeby wiedzieć, iż zausznik księcia kazał im pojechać szybko do Rendelsham i złożyć raport następcy tronu. Dowodzący zbrojnymi porucznik zasalutował, dotykając brzegu hełmu, a potem żołnierze dosiedli koni i odjechali drogą, którą tu przybyli.

– A teraz zostawię cię samego, żebyś się mógł rozgościć, gdy ja wrócę do spraw, którymi się zajmowałem, kiedy tu przybyliście – Snolli powiedział Dakinowi.

– Jak każesz, wodzu – odparł Dakin. Złożył ukłon i bez protestu poszedł za sługami niosącymi jego rzeczy osobiste.

Snolli wydał jeszcze parę rozkazów, a potem poszedł poszukać Dobosza Duchów.

– Dowiedz się, co się stało z Obernem – powiedział do niego. – Muszę to wiedzieć na pewno. Chcę go zobaczyć na własne oczy, żywego lub umarłego.

– Najpierw pozwól mi użyć Wewnętrzznego Wzroku – poprosił Kasai. Zaczął przesuwając palcami po powierzchni bębna, wydobywając zeń podobny do szeptu dźwięk, a potem bez trudu wpadł w trans. – Onżyje. Grozi mu niebezpieczeństwo. Kobieta, która go uratowała, nadal z nim jest.

– Gdzie? W miejscu, gdzie ostatni raz widziano Oberna? – zapytał ostrożnie Snolli, żeby nie przerwać czaru.

– Na północ od tego miejsca.

– Możesz nas tam zaprowadzić?

– Tak. – Kasai, jakby wyczuł niecierpliwość Snollego, ocknął się z transu równie szybko, jak w niego wpadł. Może zresztą pograżył się w transie tylko na tyle głęboko, żeby zdobyć potrzebne wiadomości. – Jeżeli pojedziemy teraz, może zobaczymy ich, zanim odejdą tak daleko, że dalsza wędrówka stanie się dla nas niebezpieczna.

– Konie już czekają.

Snolli, Kasai i towarzyszący im czterej wojownicy od razu wyruszyli na zachód, jadąc na skróty, żeby nie deptać po piętach Rendelianom, których odesłali do ich stolicy. Gdy dotarli do rzeki granicznej, Snolli zorientował się, że znaleźli się nieco na północ od miejsca, gdzie już wcześniej byli.

– Jeśli mój sen był prawdziwy, ta rzeka skręca lekko na zachód, tam, z przodu – rzekł Kasai. Oślonił ręką oczy. – To właśnie tam wyjdzie na brzeg Obern i ci, którzy z nim są. To znaczy, jeżeli już tego nie zrobili.

– Wtedy znajdziemy ich tropy.

Morscy Wędrowcy spięli konie ostrogami, jadąc jak najszybciej brzegiem rzeki.

Zgodnie z wizją Dobosza Duchów, rzeka skręcała na zachód, zwężając się i pogłębiając w tym miejscu. Tutaj można było już płynąć małą łódką; Snolli załował, że nie jest w takiej łódce, zamiast na koniu. Usiadł wygodniej w siodle, z nadzieją, że nie narobi sobie pęcherzy na zadku. Morscy Wędrowcy w razie potrzeby dobrze jeździli konno, ale woleli przebywać na pokładzie statku.

Dordan wyrwał Snollego z zamyślenia.

– Spójrz przed siebie, wodzu – rzekł, wskazując palcem. – Na tę smugę dymu na niebie. To dla nas jak latarnia morska. A tam widzę tratwę. I schodzących z niej ludzi... po tej stronie rzeki. Stoczono tam jakąś bitwę i to niedawno, o ile się nie mylę.

– Tak – odparł Snolli, patrząc w tę stronę. – Ukryjmy się, bo jest ich znacznie więcej niż nas.

Morscy Wędrowcy spokojnie zsiadli z koni i przywiązali wodze do niskich gałęzi nad rzeką, żeby zwierzęta mogły szczypać wczesną trawę, jeśli zechcą, a także się napić. Spragnione wierzchowce szybko zajęły się jednym i drugim. Morscy Wędrowcy poluzowali broń, na wypadek, gdyby ich wysłiedzono, i zaczęli podkradać się jak najbliżej, żeby zobaczyć, co się dzieje. Do tej pory daleki ogień, z którego buchał dym, już zgasł. O dziwo, nie zobaczyli żadnych zgliszcz. Wydawało się, że to płonęła sama woda.

– To jest ten mężczyzna otulony mgłą – oświadczył Dordan.

– Teraz taki nie jest. To mógłby być każdy – zaprzeczył Kather.

– Kimkolwiek jest, ma ze sobą Oberna – wskazał Kasai. – Z obandażowaną głową i ramieniem w łubkach. I jest tam kobieta, o której mówiłem. Nie ma na co

patrzeć.

Snolli wyciągnął lunetę.

– Nie tak brzydka z bliska, ale blada. – Skierował lunetę na syna. – Wygląda na to, że Obern nie odniósł poważnych obrażeń, biorąc pod uwagę, że spadł ze skały i że omal nie pożarły go wielkie ptaki.

Dordan wyciągnął rękę i Snolli niechętnie podał mu lunetę.

– Zastanawiam się, dokąd go zabierają – powiedział łucznik.

– Wszystko wskazuje, że na północ. Gdziekolwiek to może być, przynajmniej żyje.

– Dowiemy się później, kiedy przestaniemy się zadawać z księciem Florianem. – Kasai splunął dla podkreślenia swojego niezadowolenia.

Snolli znów wziął lunetę, marszcząc brwi.

– Florian? Nie zaskoczyłoby mnie, gdybym się dowiedział, że nasz obwieszony koronkami książę macza w tym palce, obojętne w jaki sposób.

– To dziwne – wtrącił Kasai. – Odkładamy podpisanie traktatu, ponieważ sądzimy, że Obern nie żyje, a potem Obern się pojawia, żywy, wieziony pod strażą na północ przez otulonego mgłą mężczyznę i kobietę o włosach tak jasnych, jakby posrebrzanych...

– Równie dobrze ten mężczyzna może pracować dla księcia Floriana. – Snolli energicznym ruchem złożył lunetę i wstał. Do tego czasu tajemniczy Rendelianin i jego więźniowie – bo na pewno nimi byli – odjechali tak daleko, że Morscy Wędrowcy nie musieli się obawiać, iż tamci ich odkryją. – Nie możemy ufać temu księciu. To wiem na pewno. W głębi serca czuję, że nas oszukał.

Królowa Ysa, pomimo silnej woli i zdecydowania, jeszcze nie wróciła całkowicie do zdrowia po strasznej próbie rzucania czarów. Od czasu do czasu, nieoczekiwanie, zatrzymywała się w pół kroku lub nagle dostawała zawrotów głowy, tak że omal nie spadała z krzesła. Przedtem zawsze miała wilczy apetyt, a teraz czasem jej dopisywał, a czasem nie. Co takiego wezwałam, że tak mnie poraziło? – zastanawiała się niejedną raz. Mogła tylko mieć nadzieję, że nie będzie chorować do końca życia.

Wystarczająco martwił ją stan zdrowia króla, pogarszający się z dnia na dzień. Nie była też wcale gotowa na to, że książę Florian zajmie jego miejsce. Florian był w najtrudniejszym wieku; jeszcze nie uważano go za dość dorosłego do rządzenia krajem – nigdy taki nie będzie! – ale Rada Regentów nie mogła już zatwierdzać wszystkich jego posunięć. A co do możliwości, że to matka będzie nim kierowała... Ysa roześmiała się do siebie. Musiałaby chyba go zabić, żeby się trzymał z dala od tronu. Sama myśl o tym powinna obudzić we mnie zgrozę, powiedziała sobie w duchu. To świadczyło, jak głęboką pogardę ma dla syna, że zastanawiała się już nawet, jak to zrobić i nie wplątać się w ten czyn.

– Kraj jest najważniejszy – powiedziała do siebie, zaciskając ręce tak, żeby potrzebę palcami Pierścienie. – Zawsze tylko kraj. My, królowie i królowe... tak, i również książęta... przychodzimy i odchodzimy, ale kraj musi przetrwać.

Dyskretne stukanie do drzwi przerwało jej rozmyślenia. Podniosła oczy, ciesząc się z chwili wytchnienia od coraz bardziej ponurych myśli.

Weszła Grisella.

– Pani Marcala przybyła z zamku Cragden i prosi o posłuchanie – powiedziała z szacunkiem.

– Poproś, żeby weszła! – poleciła Ysa. To było jeszcze przyjemniejsze urozmaicenie, niż się spodziewała, żadnych spraw związanych z dworem, więc nie musi udawać zainteresowania. – Przynies grzane wino i ciastka z korzeniami, a potem zostaw nas same.

Kiedy Marcala weszła, Ysę jeszcze raz uderzyło, jak bardzo Królowa Szpiegów wczuła się w rolę arystokratki... całkiem jakby się nią urodziła. Marcala ukloniła się i usiadła na niskim krześle wskazanym przez królową. Wzięła dzban grzanego wina od Griselli i napiła się z przyjemnością.

– Rankiem powietrze nadal jest zimne – powiedziała – choć popołudnia są dość ciepłe. Dziękuję za twoją troskliwość, pani.

– Wnosisz wesele i blask na nasz dwór – odparła Ysa, pomna, że Grisella jeszcze nie zamknęła za sobą drzwi. – A teraz powiedz mi, co słyhać u naszego lojalnego przyjaciela, hrabiego Harousa.

Drzwi zamknęły się ze szcękaniem i Marcala rozejrzała się wokoło, żeby się upewnić, iż nikt ich nie podsłucha.

– Słyszałam, że do zamku Cragden ma przybyć inny gość – powiedziała cicho. – A właściwie dwoje bardzo ważnych gości. Jeden to dama. Hrabia Harous przysłał posłańca, każąc mi przygotować dla nich apartament.

– A jak ta dama się nazywa?

– Jeszcze nie wiem, oprócz jednego: że Harous wraca z ostatniej wyprawy myśliwskiej – powiedziała z lekkim niesmakiem – i że ona mu towarzyszy. W orszaku Harousa przybywa jeszcze pewien mężczyzna, którego imienia też nie znam. Pomyślałam jednak, że zainteresuje cię wieść o ich rychłym przybyciu, pani. Chciałam też odwiedzić dwór i może zyskać trochę lepszą perspektywę. Tęsknię za Harousem chyba bardziej niż powinnam.

– Nie ma w tym nic złego – uspokoiła ją Ysa. – Jesteś młoda, a on urodziwy, a prócz tego to najlepsza partia w całym Rendelu, nie licząc księcia.

Marcala spojrzała ostro na Ysę, a potem na jej usta wypłynął uśmiech.

– Ale oczywiście, księżę Florian znacznie przewyższa mnie stanem – powiedziała ze śmiechem.

Tak, obecność Marcali rozbawiła trochę królową, która bardzo tego potrzebowała.

– Oczywiście... znacznie przewyższa stanem wszystkie panny, jakie dotąd proponowano mu na żonę – odparła i tym razem obie wybuchnęły śmiechem.

– Mam więcej nowin – dodała Marcala, biorąc ciastko. – Ale jak dotąd to tylko plotki.

– Mimo to powtórz mi je.

– Słyszałam, że w pewnej ukrytej komnacie zamku Cragden Harous zamknął na klucz jakieś zapiski, które odkrył przed paroma miesiącami. Nikt nie wie, co to za księgi. Od czasu do czasu chodzi do tej komnaty i czyta je. Podobno są tak zakurzone, że kiedy skończy, trzeba będzie wysprzątać cały zamek.

Ysa skinęła głową. Ona też to słyszała, ale miała za dużo spraw na głowie, żeby dokładniej zbadać intrygę.

– Musisz się dowiedzieć, co Harous uważa za tak ważne, że musi to zamykać. Wiem, że możesz to zrobić. Nie spiesz się, żeby nie zdradzić swoich zamiarów, ale też nie zwlekaj.

– Trochę już zrobiłam w tym kierunku.

– To dobrze. A tymczasem spożyj południowy posiłek na dworze. Potem musisz wrócić do zamku Cragden, bo źle by się stało, gdyby hrabia Harous nie zastał cię tam

po powrocie z tymi tajemniczymi nieznajomymi.

– Tak, wasza królewska mość – odparła Marcala. Wstała, znów się ukloniła i opuściła komnatę królowej.

Pójdę znowu do króla, zdecydowała Ysa. Wizyta Marcali i wieści o tajemniczym postępowaniu Harousa dodały sił królowej. Po spełnieniu obowiązku wobec Borotha ona również się posili, tym razem w Wielkiej Sali, i co więcej, zje dużo, bez względu na to, czy dopisze jej apetyt, czy nie. Dworzanie i dworki muszą zobaczyć, że jest silna i zdrowa.

Jesionna rozglądała się z ciekawością, kiedy jechali przez całkiem obce jej tereny. Nawet nie pamiętała, żeby kiedyś czytała o takim kraju; Zazar też jej o nim nie opowiadała. Wspomniała tylko, że poza Bagnami Bale leży cały nieznan świat i przepowiedziała, że kiedyś Jesionna będzie musiała w nim zamieszkać. Teraz, kiedy wydawało się, że ta obietnica się sprawdza, dziewczyna zrozumiała, iż musi jak najszybciej poznać prawa i zwyczaje tego nowego świata.

Zauważyła, że Obern wcale nie był onieśmielony tak jak ona. A przecież on również rozglądał się z wyraźnym zainteresowaniem. To znaczyło, że Cudze Ziemie nie są mu całkiem obce, chociaż nie znał tej ich części. Zapamiętała to spostrzeżenie, żeby kiedyś się nad nim zastanowić.

To piękny kraj, pomyślała, chociaż całkiem mi obcy. Jest taki suchy! Wydawało się, że nigdzie tutaj nie zagrożą im niebezpieczne bajorka, gigantyczne lupperry ani bezdenne błoto. Biegła tędy droga i trzymali się jej, zamiast jechać na przełaj. Jesionna nigdy dotąd nie widziała takiej drogi; znała tylko niepewne ścieżki na Bagnach, które pojawiały się i znikwały wedle kaprysu wody.

Stopniowo zdała sobie sprawę, że przejeżdżają przez miejsca, gdzie uprawia się pokarm; tu nie musiano zbierać takiej jego ilości, jaka była potrzebna na dany dzień.

Widziała mężczyzn i kobiety pracujących na polach i zrozumiała, że produkują oni znacznie więcej, niż mogą zjeść. Co się działo z resztą? Sama odpowiedziała sobie na to pytanie: potrzebna była, żeby karmić innych, takich jak Harous. Nie mogła sobie wyobrazić tego najwyraźniej obdarzonego władzą mężczyzny wykopującego chwasty na polu pięknego zboża.

Teren podnosił się i opadał. Dziewczyna rozpoznała góry podobne do tych, które okrężały Bagna Bale, ale nie widziała, by któraś z nich pluła ogniem i dymem. Kilka takich gór widniało jednak na horyzoncie i od czasu do czasu słaby zapach zanieczyszczał powietrze.

– To siarka – wyjaśnił Harous, kiedy go o to zapytała.

Wydawało się, że Harous lubi, gdy Jesionna jedzie blisko niego, że chętnie odpowiada na jej liczne pytania. Na szczęście dla niej, przywykła otrzymywać od

Zazar tylko jedno wyjaśnienie, jeśli w ogóle, i miała doskonałą pamięć. Chłoneła wszystko z zapalem. Pokazał jej rodzaje broni, jakich nigdy przedtem nie widziała – kuszę, miecz, sztylet. Zbroję, jaką nosił, nazywano kolczugą. Wyrabiano ją w podobny sposób jak sweter na drutach. Chciałaby się nauczyć robić na drutach, szyć i haftować? Czasami na turniejach – tak, pokaże jej później jakiś turniej – kolczugę wzmacniano metalowymi płytkami.

Jesionna rozumiała, choć jej tego nie powiedziano, jak użyteczna jest taka kolczuga, którą zdjęła z Oberna. Obern nazywał siebie Morskim Wędrowcem. Znaczyło to, że należał do grupy ludzi żyjących na powierzchni lub w pobliżu wielkiego przestworu czystej wody, który ujrzała przelotnie ze szczytu klifu. Gdyby ktoś noszący taką zbroję wpadł do morza, łatwiej mógłby ją zrzucić z siebie niż metalowe tuniki, których używali Harous i jego ludzie, i w ten sposób uratować się od utonięcia. Jesionna postanowiła, że później znajdzie sposób, by zapewnić Oberna, że jego rzeczy są bezpieczne; przynajmniej nie widziała, żeby któryś z ludzi Harousa wynosił je ze zrujnowanego budynku, który był jej domem. Znowu zaczęła zadawać rycerzowi pytania.

Nie, jeszcze nie dotarli do celu podróży; czeka ją wielkie zaskoczenie, kiedy go zobaczy. Tak, to rodzaj miasta, podobnego do tego na Bagnach, gdzie mieszkała. Żyje tam wielu ludzi; czasami miejsce to nazywane jest zamkiem, czasami fortem lub twierdzą. Nie, nie leży w ruinach, ale jest całe i to właśnie tam on, Harous, mieszka razem z innymi. Nie, to miejsce nie jest największe w kraju, ale może najpotężniejsze. To dlatego, że jego siedziba, zamek Cragden, to największy fort broniący stolicy, Rendelsham. Nie, to nie jest jego jedyna rezydencja. Ma też pałacyk myśliwski na zachodzie kraju, ale tam nie jada, oraz dom w stolicy, gdzie się zatrzymuje, kiedy ma dużo pracy w Radzie Królewskiej. Ta Rada kiedyś doradzała królowi – wodzowi – a teraz doradza królowej, żonie króla. A to dlatego, że król jest bardzo chory.

I tak dalej. Harous rzadko tracił cierpliwość, raczej bawiła go ciekawość Jesionny. – Rzeczywiście, rozpoczniesz nowe życie – powiedział jej. – Dam ci guwernerów... nauczycieli, żeby pomogli ci nauczyć się wszystkiego, co powinnaś wiedzieć jako dama z Rendelu. Bo jesteś nią z pochodzenia, chociaż jeszcze nie zdajesz sobie z tego sprawy.

Kiedy wyczerpały się jej pytania, Jesionna cofnęła się i jechała obok Oberna, którego rany na głowie szybko się goiły.

– Dlaczego Rendelianie cię zabrali? – zapytała. – Rozumiem, dlaczego ja jestem z nimi; moim przeznaczeniem było opuścić Bagna i zamieszkać w zewnętrznym świecie, tak jak przepowiedziała mi moja opiekunka. Ale ty znalazłeś się ze mną przypadkiem.

Obern wzruszył ramionami.

– Przypadkiem czy nie, zdaje się, że stało się to również moim przeznaczeniem. Musisz mieć mocną nić na Krosnach Czasu, skoro przyciąga ona inne, czy tego chcą, czy nie.

A potem Obern opowiedział jej o Krosnach Mrocznych Tkaczek i jak wiara w Krosna Czasu jest rozpowszechniona na całym znanym świecie. Jesionna słuchała, zafascynowana, przypominając sobie, że o czymś podobnym mówiła jej Zazar. Potem zapytała o to samo Harousa. Obie opowieści różniły się tylko kilkoma szczegółami.

– Zauważyłam, że nie uważasz Oberna za przyjaciela – powiedziała.

– Masz dobry wzrok – odrzekł Harous. – Nie, on nie jest przyjacielem, ale i nie wrogiem. Jeszcze nie wyrobiłem sobie zdania o Obernie. Na razie jest kimś, komu postanowiłem udzielić schronienia, żeby zobaczyć, co z tego wyniknie.

– Tak jak mnie?

– Niezupełnie.

I tylko tyle wydobyła z niego na ten temat, przynajmniej na razie.

Jesionna lubiła Oberna, pod pewnymi względami bardziej niż Harousa, mimo że ten ostatni był bardziej wytworny. Lecz miała inne sprawy na głowie, gdyż podjechali już tak blisko do zamku Cragden, że było go widać na szczycie wzgórza. Natychmiast zrozumiała pobieżny opis Harousa. To była górzysta okolica i Jesionna, choć niedoświadczona, zauważyła dolinę za zaporą z gór. Zamek Cragden stał przy wejściu do tej doliny, zamykając ją tak szczelnie jak wiązka trzciny korkująca dzban.

– A miasto, o którym mówiłeś?

– Rendelsham.

– Tak, Rendelsham. Czy ono leży dalej?

– Zbudowano je w dolinie. Na czasy pokoju jest dość potężne, a rezydencja królewska wygląda jak zamek. Lecz jest to zamek z książki dla dzieci i nigdy by się nie obronił w razie wybuchu wojny. Widać to po fortyfikacjach. To dlatego wzniesiono zamek Cragden, żeby stolica nie musiała znosić trudów walki.

Jesionna przemyślała to w milczeniu. Oceniała, że po godzinie jazdy dotrą do zamku Cragden i może nawet na własne oczy zobaczy fortecę, o której jej tyle opowiadano. Wedle szacunku Harousa mieli tam przyjechać późnym popołudniem.

Lecz zapomniała o wszystkich pytaniach, kiedy zbliżyli się do zamku. Wznosił się na ostrym skalnym występie i kontrolował dostęp do rozciągającej się za nim doliny. Kiedyś go pobielono, ale potężne kamienie, z których był zbudowany, zaczynały prześwitywać przez biel, nadając mu dziwnie przytulny wygląd. Jednak wszelkie ślady przytulności zniknęły, kiedy podróżni podjechali bliżej. Wjechali po stromym podejździe, przebyli drewniany most zwodzony nad przepaścią tak głęboką, że aż zapierało dech, gdy się do niej zajrzało, i znaleźli się w bramie, której sama wysokość i ogrom sprawiły, że strach ścisnął serce Jesionny. Brama była tak długa, że

tworzyła rodzaj tunelu; panujący w niej półmrok rozjaśniały pochodnie po obu stronach. Dwuskrzydłowe wrota stały otworem, gotowe do zamknięcia i zagrodzenia żelaznymi sztabami. Wykonano je z wielu warstw drewna i wzmocniono metalem.

Jesionna spojrzała w górę; tam w półmroku, w specjalnie dla nich wyżłobionych zagłębieniach, wisiały dwie konstrukcje, przypominające masywne drzwi, w odległości dwóch tuzinów kroków od siebie. Każda miała ostre kolce na samym dole. Dziewczyna trąciła konia kolanem, żeby się wydostać spod jednej z tych ogromnych, niebezpiecznych rzeczy, zanim na nią spadnie.

– To brony – wyjaśnił Harous. Obserwował ją, najwidoczniej oceniając jej reakcje. – Jeżeli jakiś najeźdźca przejdzie przez bramę, możemy uwięzić go między nimi i zniszczyć. Brony nie spadną na ciebie przez przypadek, nie bój się. I popatrz tam. – Wskazał na otwory w obu kamiennych ścianach. Dalej był jeszcze jeden mur z podobnymi otworami. Jesionna jęknęła z wrażenia, gdy zrozumiała, że łucznik mógł stać bezpiecznie i strzelać poprzez mury do napastnika, mając w polu widzenia niemal cały tunel. – I w górze.

Dopiero teraz zauważyła otwory w suficie, przez które można było zrzucić różne rzeczy na głowę nieprzyjaciela, pod warunkiem że zdołał on dotrzeć tak daleko. Ponownie pchnęła konia do przodu. Na końcu tunelu drugie wrota czekały, by je zamknąć i zagrodzić sztabami.

– Na pewno ten wielki zamek nigdy nie padł, hrabio Harousie – powiedziała, starając się powstrzymać nerwowe drżenie głosu.

– Raz, w odległej przeszłości, zdobyto go zdradą... Ach, spójrz tylko, kto wyszedł nam na spotkanie. Posłaniec, którego wysłałem, spełnił swój obowiązek. To jest piękna pani Marcala.

Jesionna podniosła oczy i ujrzała kobietę, jeszcze młodszą i piękniejszą niż osoba, którą widziała tak krótko – gdzie? W miejscu, gdzie Zazar uwięziono w płomieniach. Marcala podeszła, gdy Harous pomógł dziewczynie zsiąść z konia. Zmęczona długą jazdą, Jesionna poruszała się powoli, nieco sztywno, a Marcala płynnie i z wdziękiem. Miała na sobie wspaniałą fioletową suknię, która szeleściła z każdym jej ruchem; obłok słodkiej woni poprzedził ją, gdy się zbliżyła. Jesionna nagle zdała sobie sprawę, że nosi strój za skóry luppersa, teraz wytarty i brudny po podróży, i że na pewno cuchnie końskim potem. Wcale nie słodko.

– Witaj w domu, panie – powiedziała Marcala z uśmiechem. Odwróciła się do Jesionny. – A kogóż my tu mamy?

– Gościa, o którego przybyciu cię uprzedzono, moja droga pani. Pączek z Bagien, który, jak mam nadzieję, zamienisz w jeden z najpiękniejszych kwiatów Rendelu... choć oczywiście nigdy ci nie dorówna. – Ujął rękę Marcali i musnął ustami jej palce. – Chcę, żebyście zostały przyjaciółkami.

– Jak każesz, panie. – Uśmiechnęła się do Jesionny i nagle dziewczyna z całego serca zapragnęła, żeby zjawiła się tu Zazar, by udzielać jej rad, bo instynktownie wyczuła, że Marcala nigdy nie będzie jej przyjaciółką. A ona jeszcze nie poznała zwyczajów panujących między cudzoziemskimi kobietami.

Niechętnie przyznając, że – chwilowo – Rendelianie mają nad nimi przewagę liczebną, Snolli zawrócił konia w stronę Nowego Voldu. Przynajmniej Obern żył i zbytnio nie ucierpiał. Chociaż to, w jaki sposób przeżył upadek z klifu, pozostaje tajemnicą. Na razie chłopak będzie musiał brać życie takim, jakie jest, i jak najlepiej wykorzystać swoją sytuację. Później, kiedy Snolli dowie się, dokąd zabrano Oberna, zorganizuje odsiecz i zbrojnie zażąda zwrotu syna. Poczul dumę ze zdolności Oberna, bo zdał sobie sprawę, że nie mógłby umieścić lepszego szpiega wśród Rendelian, nawet gdyby planował to od tygodni. Obern i Harvas, który na pewno ucieknie, jak mu kazano, dostarczą dokładnych informacji o tym, jak się rzeczy mają w Rendelu. Zawsze dobrze jest znać wroga.

Podniósł gwałtownie głowę, wyrwany z zamyślenia. Inni wrogowie już się do nich zbliżali.

– Ludzie z Bagien! – powiedział Kather, kładąc rękę na ramieniu Snollego. – Wygląda na to, że tym razem nie trzymają się swojego brzegu rzeki.

I rzeczywiście, gromada mieszkańców Bagien wiosłowała z determinacją, kierując się do miejsca, gdzie zatrzymali się Morscy Wędrowcy. Sześciu w każdej łodzi, zauważył Snolli. I trzy łodzie...

Znowu wrogowie przewyższali ich liczebnie, ale lepsza broń Morskich Wędrowców i ich kolczugi usuwały nierówności.

– Z koni – rozkazał Snolli. – Moglibyśmy ich wyprzedzić i uciec, ale ponieważ nie zdołaliśmy uwolnić Oberna, ręce mnie świerzbią do walki.

Jego towarzysze ponuro skinęli głowami na znak, że czują to samo. Zanim łódki Ludzi z Bagien zgrzytnęły przy brzegu rzeki, pięciu Morskich Wędrowców odesłało Kasaiego z końmi w bezpieczne miejsce i ustawiło się w szyku bojowym. Osłonięci tarczami, uśmiechając się szeroko, podnieśli broń w oczekiwaniu. Dordan starannie wycelował z łuku i zabił pierwszego Człowieka z Bagien, który postawił nogę na ziemi nie będącej częścią Krainy Bagien. Pozostali zaczęli wrzeszczeć i wymachiwać włóczniami. Odpowiedziały im donośne okrzyki bojowe Morskich Wędrowców. Dordan przewiesił łuk przez ramię i chwycił topór.

Potem, zanim jeszcze Morscy Wędrowcy zdołali zaatakować, jak mieli w zwyczaju, Ludzie z Bagien rzucili się na nich. Snolli szybko wpadł w znajomy rytm walki, chociaż bardzo brakowało mu Oberna, który zawsze osłaniał mu plecy. Kasai, choć nie wojownik, dysponował specyficzną bronią. Zaczął bić w bęben i to

uporczywe, pulsujące dudnienie dodało sił Morskim Wędrowcom, a jednocześnie przeraziło ich przeciwników.

Włócznia z grotem z muszli uderzyła Snollego w ramię i wstrząsnęła nim, chociaż się roztrzaskała, zanim zdołała przebić jego mocną zbroję. Naczelnny wódz przypomniał sobie o tym stylu walki z meldunków Oberna; Wojownicy z Bagien przede wszystkim dźgali włóczniami, a rzucali nimi dopiero w ostateczności. Zorientował się więc, że szala zwycięstwa przechyla się na stronę Morskich Wędrowców. – Nie dajcie im uciec, jeśli zdołacie! – krzyknął. Nieprzyjacielski wojownik, który cisnął włócznią, zaczął uciekać, ale Kather zabił go, zanim ten dotarł do swego czółna. Pozostali zdołali wgramolić się do łodzi, odepchnąć je od brzegu rzeki i znaleźć się na względnie bezpiecznej powierzchni wody.

Kasai przestał bębnić. Snolli wyprostował się i otarł pot z czoła. Zerknął na miecz i wytarł go szmatą zdartą z ciała ostatniego przeciwnika. Mniej niż połowa wrogów uciekła; pozostali leżeli skuleni na zaimprovizowanym polu bitwy, jako dowód męstwa pięciu Morskich Wędrowców. Jeden z nieprzyjaciół stał w czółnie, wymachując pięścią i wrzeszcząc wyzywająco.

– Mam mu dać ostatnią nauczkę? – spytał Dordan. Wziął łuk i stał teraz przy Snollim ze strzałą na cięciwie. Krew strumykiem płynęła mu po twarzy, bo grot z muszli drasnął go w czoło.

– Wygląda na ich przywódcę. Tak, zdejmij go, jeśli zdołasz.

Ale prąd szybko zniósł łódki z dala od brzegu, gdzie zostali Morscy Wędrowcy, i strzała Dordana tylko utkwiała w burcie jednej z nich. Wódz Ludzi z Bagien wybuchnął drwiącym śmiechem. Jego podwładni skierowali łodzie na jeden z niezliczonych dopływów rzeki i zniknęli w oddali.

Snolli splunął.

– Innym razem – powiedział, odwrócił się i spojrzał na swoich towarzyszy. – Ktoś jest poważnie ranny? – zapytał.

– Tylko same zadrapania – odrzekł beztrąsko Kather. – Ledwie mieliśmy czas, żeby się rozgrzać, gdy rzucili się do ucieczki.

Snolli uśmiechnął się niewesoło, podziwiając ducha bojowego swoich ludzi.

– Byli naprawdę mężni. Gdyby mieli odpowiedni ekwipunek, poszłoby nam znacznie gorzej. Wracajmy do domu – rzekł. – Mamy dość do roboty przed powrotem Oberna. – Zwrócił się do Kasaiego. – Zapamiętaj: kiedy wrócimy na zamek w Nowym Voldzie, chcę posłać dwa nasze statki na morze, żeby sprawdzić, czy nie ma więcej uciekinierów z północy. Czuję, że zanim to się skończy, będziemy potrzebowali wszystkich wojowników, których zdołamy zebrać.

Liczni szpiedzy królowej Ysy zaczęli dostarczać jej informacji o zbrojnych wypadach z Bagien Bale. Te incydenty stawały się coraz poważniejsze; wybuchały walki między Ludźmi z Bagien a Rendelianami, nie zawsze zwycięskie dla tych ostatnich. Początkowo napaści miały miejsce w pobliżu brzegu rzeki granicznej, ale stopniowo docierały coraz dalej. Wiele razy porządni wieśniacy, nie obeznani z bronią, stawali się celem ataków tych, którzy żyli dotąd w granicach Bagien Bale.

Co gorsza, góry ogniste pomrukiwały coraz bardziej złowrogo. Wyczuwało się, że coś wisi w powietrzu, jak gdyby zło śpiące daleko na północy obudziło się i przystąpiło do działania. Trzy niepokojące okna w Wielkiej Świątyni Wiecznego Blasku zaczęły zmieniać się jeszcze szybciej. Cień w mlecznobiałym oknie poruszył się, jak gdyby coś wynurzało się spod śniegu, a kiedy to zauważono, królowa Ysa kazała zasłonić je kotarą.

Natychmiast zwołała posiedzenie Rady Królewskiej. Pięciu z siedmiu jej członków przebywało w pobliżu. Tylko Erft, wymawiając się sędziwym wiekiem, nie przybył do stolicy, żeby asystować przy śmierci króla, a Harous był, jak zawsze, nieobecny z powodu kolejnej tajemniczej wyprawy. Obaj jednak przysłali zastępców – Edgard występował w imieniu Erfta, a Chevin Harousa. Królowa Ysa zajęła miejsce z jednej strony stołu; jako przewodniczący Rady, Royance siedział naprzeciw niej, na przeciwległym krańcu.

Royance polecił przynieść mapę, na której zaznaczono szpilkami miejsca, gdzie miały miejsce ataki. Natychmiast zauważono ich charakterystyczny przebieg; Ludzie z Bagien zapuszczali się na jakieś siedem i pół kilometra od brzegu rzeki. Nie było jednak żadnej gwarancji, że, rozzuchwaleni, z czasem nie pójdą dalej.

– Musimy zacząć wysyłać patrole – oświadczyła Ysa. – Tak nie może dłużej trwać. I oczekuję, że wszyscy się do tego włączycie. To nie jest jakaś lokalna sprawa. Odkąd sięgamy pamięcią, Ludzie z Bagien Bale zawsze pozostawali u siebie. Lecz gdy raz opuszczają Bagna, nikt nie jest w stanie przewidzieć, że nie zechcą nas najechać, jeśli tak postanowią.

– Zgoda, wasza królewska mość – powiedział leniwie Gattor. – Mogę dać dziesięciu jeźdźców z mojej drużyny.

– A ja, przemawiając w imieniu mego pana, Erfta, obiecuję przysłać dwudziestu. Możemy też dostarczyć konie dla tych, którzy ich nie mają. Rowanwald zawsze słynął z dobrych koni. – Edgard z dumą powiódł wzrokiem wokół stołu.

– Głównym celem tych napaści były ziemie Domu Dębu, które chroni hrabia Harous – odezwał się Chevin. – Jako jego pełnomocnik mam prawo zobowiązać się do przysłania tylu jego ludzi, ilu będzie trzeba. Upoważnił mnie też do zaproponowania drużynom z innych domów pobytu w zamku Cragden, czyli miejsca do spania i wyżywienia na czas tej akcji.

Pozostali członkowie Rady skinęli głowami i Jakar z Yacaster zabrał głos w imieniu ich wszystkich:

– To zmniejszy kłopoty z zakwaterowaniem. Sam zobowiązuję się przysłać prowiant i inne zapasy na utrzymanie dwunastu ludzi, których dostarczę.

– Wszystkimi musi dowodzić hrabia Harous albo ja sam w razie jego nieobecności – podsumował Chevin. – Inaczej zapanuje chaos.

Pozostali członkowie Rady skinęli głowami na znak zgody. Panujące wśród nich napięcie nieco zelżało. To dobrze, pomyślała Ysa. W ten sposób łatwiej będzie kierować patrolami. Może to zagrożenie zjednoczyło skłóconych zwykle wielmożów na tyle, że żaden nie dostrzeże w tym okazji do wyciągnięcia korzyści dla siebie samego.

– Zapamiętajmy, że naszym celem jest przegnać Ludzi z Bagien, choć niekoniecznie ich zabić – dodał Liffen z Lerklandu. Pochodził z jednego z rodów spokrewnionych z niemal wygasłym Domem Jesionu. Ysa nie miała powodu, żeby go lubić lub ufać mu, ale uznała jego wypowiedź za mądrą.

– Zgadzam się – rzekł Royance. – Nie podsycajmy płomienia, którego może nie będziemy w stanie zgasić. Jeśli Ludzie z Bagien otwarcie uznają się za naszych wrogów, będziemy mieli dość czasu, by się z nimi rozprawić.

Ysa zamyśliła się nad przyszłością, podczas gdy doradcy królewscy zaczęli układać ogólny plan tego, co mimo pojednawczych słów miało przekształcić się w wojnę między Rendelem a Krainą Bagien. Drużynicy Harousa będą stanowili większość spośród tych, którzy wyruszą, żeby przegnać – albo zabić – Ludzi z Bagien. A to znaczy, że sam Harous często będzie na polu bitwy i, jak zwykle, z dala od codziennego życia na dworze królewskim. Ktoś taki jak on nigdy nie dowodził na tyłach. W ten sposób jego wpływy się zmniejszą, Królowa Szpiegów zaś będzie trzymać rękę na pulsie. Ysa doszła więc do wniosku, że może na razie odłożyć sprawę gościa Harousa. Ta kobieta nie jest niebezpieczna, przynajmniej w tej chwili, a napastnicy z Bagien tak.

Później, jeśli Ysa uzna to za wskazane, może, jak to się mówi, “coś zrobić” z tą nędzną dziewczką, w połowie rodem z Bagien, którą Harous przywiózł jako pamiątkę z jednej z licznych tajemniczych wypraw. Ysa uśmiechnęła się do siebie. Mówiono, że Królowa Szpiegów od czasu do czasu może się posunąć aż do morderstwa, jeśli otrzyma odpowiednio wysoką zapłatę. A teraz znajduje się w idealnej sytuacji.

Może zbyt idealnej? Ysa zastanowiła się chwilę. Być może, jeśli już do tego dojdzie, powinien to zrobić ktoś inny. Lepiej wyłączyć z tego Marcała. Miała mnóstwo ludzi do takiej pracy. Ludzi, którzy, raz wykorzystani, stawali się zbędni...

Tak. Może to być cios noża w nocy lub czara z trucizną, kiedy Marcała w sposób oczywisty będzie gdzie indziej. Ysa zbyt ceniła Królową Szpiegów, żeby stracić ją na wyeliminowanie bękartu dawnej rywalki. W dodatku martwej rywalki.

Królowa na razie wyrzuciła z pamięci całą tę sprawę i zwróciła uwagę Rady na inne problemy, które stwarzali Ludzie z Bagien – problemy przeoczone podczas przyjemnych dyskusji o wojnie. Napastnicy nie tylko grabili, lecz także palili wszystko wokół i jeśli wkrótce się ich nie powstrzyma, w Rendelu może zabraknąć żywności.

– Dziękujemy waszej królewskiej mości za przypomnienie o tym – odparł Royance. – Musimy rozważyć ewentualność przeniesienia utarczek z powrotem na teren samych Bagien Bale. Jeżeli ich mieszkańcy znowu zostaną tam zamknięci, nie będą niszczyć naszych ziem.

– A na Bagnach i tak nie ma nic wartego zachodu – dodał Gattor. Pozostali członkowie Rady wybuchnęli śmiechem.

Teraz świat Jesionny składał się ze wspaniałych nowych strojów, cienkiej białej pościeli, wanien z wodą z olejkiem różanym – i mydłem! – i mnóstwa potraw, o których nawet nie słyszała, a co dopiero mówić o kosztowaniu. Zupełnie zapomniała o Obernie, o Bagnach, nawet o Zazar, gdy zrozumiała, ile musi się nauczyć, żeby żyć tym nowym życiem. Kiedy nie pobierała nauk, spacerowała wzdłuż murów zamku Cragden albo jeździła konno po okolicy. Przez większość czasu w tych przejażdżkach towarzyszyła jej pani Marcała, ale niekiedy, gdy akurat przebywał w zamku Cragden, był to Harous. Z czasem zaczęła wyczekiwać tych wycieczek z prawdziwą przyjemnością.

Początkowo myślała, że może pojadą do niezwykłego, połyskującego białą miasta, które, jak powiedział jej Harous, zajmowało skalny występ w głębi doliny. Jeszcze nie, oświadczyli jej oboje, Marcała i Harous. Data tej wizyty będzie zależała od tego, jak szybko Jesionna nauczy się zachowywać zgodnie ze swoim statusem społecznym.

Każdego ranka otrzymywała nowy dar, przysłany przez Harousa. Jednym z pierwszych była suknia z niebieskiej tkaniny, która, tak jak szaty Marcali, szeleściła uroczo przy każdym ruchu dziewczyny. Początkowo Jesionnę przeraził głęboki dekolt w kształcie litery V, sięgający do miejsca, gdzie spódnice przyszyto do stanika. Stroje Marcali nie wydawały się aż tak nieskromne, bo cienka biała tkanina wypełniała dekolt. Ale Marcała wyjaśniła Jesionnie, że takie suknie nakłada się na jeszcze jedną,

spodnią szatę, znacznie mniej wyciętą.

Te spodnie szaty – w lecie uszyte z cienkiego, ozdobionego koronkami płótna, a w zimie z czystej, delikatnej wełny – świadczyły o statusie społecznym ich właścicielki równie wyraźnie jak ozdobne wierzchnie suknie. Im dłuższa była taka suknia i z im bardziej kosztownego materiału, tym wyższa ranga kobiety, która je nosiła. Suknia Marcali sięgała podłogi, tak jak strój Jesionny.

Wraz z wieloma nowymi sukniami dziewczyna dostała pasujące do nich obuwie i błyskotki, przysłane w szkatułce na biżuterię. Natychmiast włożyła opalizującą bransoletę, którą tam znalazła, a potem jeszcze inne podarowane jej klejnoty. W tej samej szkatułce umieściła kamień mocy i magiczny przewodnik. Harous podarował jej przybory toaletowe, a wśród nich pierwsze prawdziwe zwierciadło, jakie Jesionna widziała w życiu, i słoik z różem – Marcala zaś pokazała jej, jak go używać. Dostała też przybory do haftowania – i zaraz zaczęła się uczyć posługiwania nimi – oraz flakon perfum, które wyrabiano z pewnych niebieskich kwiatów, jak powiedziała jej Marcala. Każdego ranka Jesionnie przynoszono coś nowego, aż wreszcie zaprotestowała.

– Marcalo, tego już za wiele! – zawołała, podnosząc parę złotych kolczyków wysadzanych maleńkimi, niebieskimi kamieniami, które zaśniły w świetle poranka. – To wszystko wprawia mnie w zakłopotanie.

– Och, Harous ma taki zwyczaj – odparła Marcala. Podniosła głowę i Jesionna zauważyła kolczyki, które tamta nosiła – trochę większe i bardziej ozdobne od jej własnych, ozdobione purpurowymi kamieniami. – Jest bardzo szczodry dla wszystkich swoich ulubionych gości.

– Od razu widać, że ty się do nich zaliczasz – powiedziała taktownie Jesionna. – Ale dlaczego ja?

– Są powody, które z czasem zrozumiesz.

Jesionna powstrzymała pytanie cisnące się jej na usta – ile czasu upłynie, zanim ona wszystko zrozumie? – i udała potulną prowincjuskę. Przekonała się, że jest to najlepszy sposób postępowania z jej mentorką.

– Oczywiście masz rację, Marcalo. Jestem bardzo wdzięczna za wszystko, co już mi pokazałaś. Ktoś tak niedouczony jak ja musi być dla ciebie prawdziwym utrapieniem.

– To nic takiego – odparła Marcala, wzruszając ramionami. – Aha, kazałam zanieść do twojej komnaty stół i talerz z owocami. Poćwiczymy zachowanie przy stole, a potem pójdziemy na dół do Wielkiej Sali na prawdziwy posiłek. Pamiętaj, żeby położyć serwetkę na kolanach, tak jak cię uczyłam, by nie zabrudzić sukni.

Tak wielu rzeczy musi się nauczyć. Umyć palce i wytrzeć je serwetką, ale nigdy obrusem. Wytrzeć chlebem sos z mięsa na talerzu. I kroić chleb własnym nożem –

dostała taki od Harousa, sztylet stołowy z rękojeścią wysadzaną niebieskimi kamieniami – a nie rwać palcami. Rano je się owsiankę łyżką i nie zostawia się nic w misce. Nie opiera się łokci na stole ani nie macza mięsa w solniczce. Wszystkie kawałeczki wkłada się do ust sztylitem stołowym, nie palcami, i nawet ser – prawdziwy przysmak! – kroi się najpierw na maleńkie kawałeczki, a dopiero potem je.

Wczesne truskawki właśnie dojrzewały i to one leżały na misce do owoców, którą przygotowała Marcala do nauki. Kiedy Jesionna spróbowała pierwszej truskawki, omal nie zapomniała wszystkiego, co nauczyła ją Marcala, tak bardzo zapragnęła wpakować do ust cały pyszny owoc.

– Za kilka miesięcy – powiedziała Marcala z lodowatym uśmiechem – będą jabłka i gruszki.

– Czy są równie wyśmienite jak truskawki?

– Na swój sposób.

Marcala niechętnie, zdaniem Jesionny, oświadczyła, że dziewczyna może przyłączyć się do służby zamkowej w Wielkiej Sali na południowy posiłek.

– A ponieważ już najadłaś się truskawek, nie przyniesiesz nam wszystkim wstydu, obżerając się mięsem.

Jesionna daremnie szukała w tonie Marcali przyjaznej kpiny, chociaż kobieta się uśmiechała.

Krzesło Harousa u szczytu stołu było puste, jak zwykle. Marcala zajęła miejsce z prawej, a Jesionna z lewej. Zauważyła Oberna, daleko w dole, przy jednym ze stołów ustawionych rzędami w Wielkiej Sali, uśmiechnęła się i pomachała mu ręką. Kiedy nadarzyła się okazja, posłała do Morskiego Wędrowca pazia z wiadomością, że chce się z nim zobaczyć.

Obern natychmiast wstał i podszedł do niej. Złamane ramię nadal nosił na temblaku, ale po ruchach widać było, że go nie boli.

– Twoja zbroja i miecz, o ile wiem, nadal są bezpieczne – powiedziała mu. – Zwinęłam też twoją kolczugę i odłożyłam na bok. Myślę, że ci, którzy nas pojмали, nawet ich nie szukali. Bardzo się spieszyli.

– Dziękuję ci, Jesionno – odparł. – Twoje słowa mnie uspokoiły. To był miecz Rinbella, uważany za bardzo dobry i bardzo ceniony przez mój lud.

– Może później wrócisz po niego.

– Może. Jeszcze raz ci dziękuję. – Wrócił na swoje miejsce przy niższym stole.

Marcala obserwowała ich z wyraźnym zainteresowaniem, ale nic nie powiedziała.

Po posiłku obie damy poszły na górę, gdzie oczyściły zęby zielonymi gałązkami leszczyny. Przynajmniej to nie było żadną nowością, bo Jesionna powtarzała ten rytuał od bardzo dawna.

W następnych dniach dowiedziała się o kapuście i cebuli, soczewicy i grochu, fasoli i kaszy z prosa. Zaczęły jej smakować paszteciki z wołowiny i baraniny i gęste zupy z kawałków mięsa duszonego z jarzynami. Nauczyła się, że w tym świecie jada się lekkie śniadania złożone z chleba i owsianki z piwem lub rozwodnionym winem. Wolała zresztą rozcieńczone wino od kwaśnego piwa. Po śniadaniu pobierała lekcje, a w południe jedzono obfity posiłek. Kolacja była o zmroku; czasami zmieniała się w okazję do hulanki i obżarstwa i nazywano to ucztą. W takich razach Jesionna wychodziła wcześniej razem z Marcalą. Zauważyła jednak, że Obern zostawał w Wielkiej Sali, najwidoczniej znalazł przyjaciół wśród ludzi Harousa.

Niektóre kobiety zostawały na uczcie, powiedziała jej Marcala.

– Wtedy zawsze jest okazja do flirtu i zalotów. Jest też muzyka i tańce.

– Muzyka! – powtórzyła Jesionna. – Co to takiego?

I tak po południu zaczęła się uczyć o muzyce i o tańcach u jednego z osobistych sług Harousa, który słyszał z tego, że dobrze tańczył. Muzyka stała się dla niej niemal pasją, jak gdyby wypełniła jakieś puste miejsce w jej duszy, o istnieniu którego dotąd nie wiedziała. Te lekcje sprawiały jej największą radość.

Na noc udawała się do komnaty w jej własnych apartamentach, do łoża zasłoniętego kotarami i baldachimem, które należało tylko do niej – ten zbytek nigdy się jej nie znudził. Przed zaśnięciem kierowała myśli ku Zazar, zastanawiając się, gdzie jest i co porabia Mądra Niewiasta, czy kiedykolwiek pomyślała o swojej wychowawicy.

– Och, Zazar, gdybym tylko mogła porozmawiać z tobą, posłuchać twoich mądrych słów – powiedziała półgłosem.

Czasami śniła o życiu na Bagnach Bale. Raz ujrzała we śnie Zazar, która powtórzyła słowa, wypowiedziane do Jesionny tuż przed podróżą do zrujnowanego miasta, Galinthu.

– To jest droga, którą odtąd tylko ty będziesz kroczyć. – Zamilkła. – Mam teraz dużo pracy – dodała, a potem zniknęła.

Ten sen dodał otuchy Jesionnie, chociaż nie znalazła odpowiedzi na dręczące ją pytania. I tak mijały jej dni na zamku Cragden, jeden za drugim. Gdy budziła się o świcie, czekał na nią codziennie inny podarunek od Harousa.

Pewnego ranka był to tak niezwykle upominek, że przyniósł go jej sam, nie powierzył żadnemu słudze. Wtedy po raz pierwszy od przybycia do zamku Cragden zobaczyła go z bliska. Nosił wymyślnie haftowaną kurtę z szerokimi, luźnymi rękawami, bardzo różniącą się od ekwipunku bojowego, w którym go poznała. I wyglądał jeszcze bardziej urodziwie.

– Och! – szepnęła Jesionna, gdy otworzyła paczuszkę i wyjęła złoty naszyjnik. To była wspaniała ozdoba – złoty krąg ozdobiony błyszczącym niebieskim kamieniem,

takim jak te w jej kolczykach. Po obu stronach przymocowano do niego łańcuszki wysadzone mniejszymi kamieniami. Chciała zaraz włożyć go na szyję, ale nie mogła poradzić sobie z zapięciem. Harous zajął się tym, odsuwając na bok jej włosy.

– Gotowe – rzekł i odwrócił ją w stronę zwierciadła. – Spójrz. Pięknie ci w nim, tak jak przypuszczałem.

I rzeczywiście wyglądał bardzo ładnie na jej szyi. Dotknęła go delikatnie.

– Czy kazałeś go dla mnie zrobić? – zapytała.

– Pod pewnym względem. To bardzo, bardzo stary klejnot – gdy go zdejmiesz, zobaczysz na odwrocie ślady świadczące, że kiedyś była to brosza. Kiedy ją znalazłem, była połamana i właściwie zniszczona. – Wyciągnął kilka fragmentów matowego niebieskiego kamienia. – To było w tamtej broszy. Zastąpiłem go szafirem. Myślę, że to jest lazuryt. Możesz go mieć, jeśli chcesz.

Jesionna w zamyśleniu wzięła od niego kawałki lazurytu i ułożyła na stole.

– Ale skąd wiedziałeś...

– Dużo czytam, badam i pamiętam. – Wyjął zza pazuchy amulet zawieszony na sznurku. – I władam mocami, które chyba dobrze znasz. Poznajesz to?

Jesionna wyciągnęła rękę, ale nie odważyła się dotknąć wisiorka.

– To wygląda niemal jak coś, co moja opiekunka mogłaby...

– Opiekunka? Masz na myśli Zazar? – Roześmiał się, widząc jej zaskoczenie. – O, tak, dobrze znam Zazar. To ona mnie posłała do tego zrujnowanego miasta, żebym cię stamtąd zabrał, zanim zabiją cię Ludzie z Bagien.

– W takim razie musisz być jednym z tajemniczych wędrowców, którzy przybywali do Zazar w nocy. Zawsze wtedy kazała mi iść spać, ale czasami i tak ich widziałam.

– Tak, często odwiedzałem Zazar. Dobrze się znamy. Mądrze postąpisz, słuchając mnie. Możesz mi zaufać, tak jak jej ufałaś.

Jesionna pochyliła głowę, przypominając sobie mgłę, która go wtedy otaczała. Tylko Zazar mogła dać mu kamień Mocy – niepodobny do tego, który sama nosiła, lecz o podobnych właściwościach.

– Tak, panie Harousie.

– To dobrze. A teraz wróćmy do twojego naszyjnika. To symbol potężnego niegdyś rodu, z którego pochodzisz. Kazałem jubilerowi naprawić go, na ile to możliwe, ale żeby nadal wyglądał jak rodowy klejnot. Przyjrzyj się temu, co na nim przedstawiono.

Jesionna znowu spojrzała w zwierciadło.

– Wydaje się, że to ogień bucha z szafiru... och, już wiem! To naczynie podobne do dzbana. A wokół jest jakiś napis...

– Tak. To tak zwane motto. “W każdym Jesionie wieczny płomień”. A znaczy to,

że w członkach Rodu Jesionu pali się jasny płomień – jedni płoną lojalnością, drudzy ambicją, a jeszcze inni namiętnością. – Pocałował ją w kark.

Zaskoczona dziewczyna poczuła, że się rumieni.

– Dziękuję ci, panie Harousie – wykrztusiła. – Dziękuję za twoją uprzejmość.

– Masz jasne włosy, tak jak twoja matka. Tak jasne, że wydają się niemal srebrne.

Ona nosiła je rozpuszczone, tak jak ty. Tak mówią.

– Moja matka? Znałeś moją matkę?

– Nie, ale słyszałem opowieści o niej. Podobno była bardzo piękna. Jesteś do niej podobna.

Zmieszana Jesionna zaniemówiła. Nie wiedziała, jak ma zareagować na to nowe dla niej zachowanie Harousa. Zaskoczył ją. Zapytała się w duchu, jakie są prawdziwe powody jego postępowania. Bez względu na to, czy jest przyjacielem Zazar, czy nie, nie zrobił tego z dobroci serca. Na pewno czegoś oczekuje od niej, Jesionny... może czegoś, na co ona nie zechce wyrazić zgody.

– Jestem taka, jaka jestem – odparła. – I nie uważam się za piękną...

– Ale nie masz nic przeciwko temu, że ja tak sędzę?

Pokręciła głową.

– Nie, nie mam.

Później włożyła okruchy lazurytu do szkatułki na biżuterię, dołączając je do innych skarbów, które zgromadziła.

Tego dnia Jesionnie bardzo trudno było zadowolić Marcalę podczas lekcji. Dziewczyna wreszcie rozumiała, co powoduje jej mentorką: Marcala była zazdrosna. Ale jak mogła ją przekonać, że nie musi się niczego obawiać? Oczywiście Jesionna podziwiała Harousa, ale wiedziała, że w obecnej sytuacji ma znacznie niższy status społeczny niż on. Czy nie jest on wielkim panem w tym kraju? A ona czyż nie jest tylko gościem w jego domu, całkowicie zależnym od niego? Nawet pokarm, który jadła, nie mówiąc już o pięknych strojach, które nosiła, były jego własnością. O ile wyżej od niej muszą stać bajeczne istoty mieszkające w cudownym zamku w głębi doliny? Zamku błyszczącego w blasku słońca, który widziała z murów siedziby Harousa?

Rano, zaraz po ich przybyciu do zamku Cragden, Harous przysłał swojego osobistego lekarza, by zbadał Oberna. Chociaż syn Snollego uważał się za nieoczekiwanego i raczej niechcianego gościa, przypuszczał, że Harous jest dostatecznie inteligentny, żeby wykorzystać go jak najlepiej. To zdrowy rozsądek kazał rendeliańskiemu wielmoży zadbać o zdrowie Oberna.

Medyk usunął łupki nałożone przez Jesionnę, zastąpił je innymi, cmoknął językiem na widok prawie zagojonej rany na głowie Morskiego Wędrowca, natarł ją cuchnącym balsamem – Obern zatęskniła pachnącym kwiatami napojem, którego

użyła dziewczyna – i spakował swoją torbę.

– Biorąc pod uwagę, że odniosłeś poważne obrażenia i że leczył cię nieumiejętnie ktoś, kto nie zna się na medycynie, bardzo szybko powracasz do zdrowia – oświadczył nieco pogardliwie Rendelianin. – Może to dlatego, że masz bardzo silny organizm.

Obern powstrzymał się od uwagi, że może ten ktoś nie znający się na medycynie miał jednak talent, którego nie sposób się nauczyć. A teraz, kiedy dano mu ubranie i nie miał nic do roboty, jak tylko czekać na wyzdrowienie, zaczął się nudzić.

Nabrał zwyczaju jadać posiłki razem z drużynnikami Harousa i chodzić z nimi na plac ćwiczebny, gdzie doskonalili się w sztuce władania bronią. Kiedy mieli wolne, grał z nimi w różne gry i odkrył, że ich ulubiona gra planszowa, z żołnierzami i królami, niewiele różni się od tej, która zawsze sprawiała mu przyjemność.

Wkrótce poznał lepiej kilku z nich i pobyt w zamku Harousa stał się dla niego mniej uciążliwy. Wśród nowych znajomych był Ralse, członek grupy, która schwytała Oberna i Jesionnę, a także Ehern.

– Mam nadzieję, że nie masz mi tego za złe – powiedział kiedyś Ralse. – Wykonywałem tylko rozkazy.

– Nie żywię urazy – odparł Obern i uśmiechnął się szeroko. – Wyrównuję rachunki.

– Ja również – roześmiał się Ehern. – Lubię cię, Cudzoziemcze. Skąd pochodzisz?

I tak oto Obern opowiedział swoim nowym przyjaciołom o Jaszczurczych Jeźdźcach, o wojnie w krajach Północy, o desperackiej ucieczce i o znalezieniu opuszczonego zamku, który wzięli w posiadanie.

– Fiu, fiu! – powiedział potem Ralse. – Nic dziwnego, że tak dobrze się trzymałeś podczas podróży tutaj! Każdego innego ze złamanym ramieniem, kto kilka razy dostał mocno po głowie, trzeba by było wieźć w lektyce.

– Morscy Wędrowcy nie płaczą z powodu kilku siniaków.

– Ani nad niczym więcej, ręczę za to. – Ehern obrzucił Oberna taksującym spojrzeniem. – Szkoda, że jesteś w areszcie domowym. Mógłbyś nam się przydać do patrolowania.

– Patrolowania?

– Tak. Bagniaci zaczęły przepływać rzekę graniczną, od kiedy byliśmy tacy mili, że ich tego nauczyliśmy... – Ralse skrzywił się i splunął – ...i robią niezły bałagan po naszej stronie. Pan Harous wraz z innymi wielmożami musi wysyłać patrole, aby ich stąd przegnać. Może zauważyłeś, jaki mamy tłok w koszarach w tych dniach, śpimy po trzech w jednym łóżku.

Obern zastanowił się nad tym w milczeniu.

– Czy kiedy wyzdrowieję, nie mógłbym odbywać patroli razem z wami? Chętnie znów pobylbym na otwartej przestrzeni.

– Musiałbyś porozmawiać o tym z hrabią – odparł Ralse. – Co do mnie, byłbym zadowolony z twojego towarzystwa. Wyglądasz na porządnego gościa. Ale rozkazy to rozkazy.

I tak Obern spędzał czas, czekając. Raz zwrócił się do hrabiego Harousa z prośbą o posłuchanie, ale odpowiedź go zniechęciła. Hrabia nie odmówił kategorycznie, ale na razie miał na głowie tyle spraw, że nie mógłby udzielić Obernowi, swemu honorowemu “gościowi”, tak długiej audiencji, jak tego wymaga dobry obyczaj. Obern musi poczekać.

I czekał. Od czasu do czasu widywał Jesionnę przy południowym posiłku i niekiedy przy kolacji. Ucieszył się, kiedy mu powiedziała, że jego kolczuga i cenny miecz Rinbella są bezpieczne, a raczej na tyle bezpieczne, na ile to możliwe – ukryte w ruinach, gdzie ich schwytano.

Ale ucieszył się jeszcze bardziej, gdy się uśmiechnęła i pomachała do niego. Ku swemu zaskoczeniu stwierdził, że Jesionna bardziej go interesuje od miecza, a powinno być odwrotnie, gdyż Morski Wędrowiec nade wszystko cenił swoją broń.

Z każdym dniem stawała się coraz piękniejsza. Ktoś nauczył ją, jak dbać o włosy, tak że spadały połyskliwą kaskadą do połowy pleców. Jej cera nabrała blasku, policzki i usta miały barwę róży. A stroje nosiła teraz tak wspaniale, że każdy mężczyzna po prostu musiał kilka razy na nią spojrzeć. Sam Obern nie odrywał od niej wzroku. Musiał przyznać, że wpadła mu w oko. Ze wstydem przypomniał sobie Neave i ich małego synka. To o nich powinien się martwić. A przecież Jesionna była wciąż obecna w jego myślach.

Patrole wysyłane regularnie z zamku Cragden zaczęły wywierać pewien skutek, jeśli chodzi o ataki Ludzi z Bagien. Już mniej chętnie palili zagrody uczciwych rolników i nie zabijali każdego Rendelianina, który natknął się na nich na swoje nieszczęście. Jednak królowa Ysa nie chciała wydać rozkazów zmniejszenia liczby patroli lub nawet rezygnacji z nich.

Inne wieści docierające do niej z zamku Cragden nie były tak pocieszające. Mniej więcej co trzy dni Marcala znajdowała sposobność, żeby odwiedzić królową i przekazać jej informacje o tej dziewczynie, Jesionnie, którą Harous uczył dobrych manier – w jakim celu? Ysa musiała przyznać, że najlepsza pora na pozbycie się tego intruza już minęła z powodu konieczności walki z Ludźmi z Bagien i rosnącej wiedzy o nieuchronnym zagrożeniu z północy. Już tyle ludzi wiedziało o istnieniu Jesionny, że gdyby stało się jej coś złego, podejrzenie zaraz padłoby na królową. Była pewna, że Harous broniłby tej dziewczyny nawet przeciw prawowitej regentce. Gdybyż tylko kazała usunąć tę przybłądę, kiedy tylko dowiedziała się o jej istnieniu! No cóż, kiedyś jeszcze nadejdzie okazja. Czerpała nadzieję z wrogości Marcali do Jesionny. Nie znaczy to, że ją za to potępiała.

Choć Jesionna była tylko mieszańcem, pozostała kobietą, a Marcala знаła ciemne zakamarki męskich dusz, ich fascynację tym, co nieznanne i zakazane. Kiedyś można będzie to wykorzystać.

– Wiem, że Harous zamierza poślubić tę bladą, chuderlawą smarkulę! – powiedziała znowu Marcala. Powtarzała tę opinię podczas każdej wizyty w komnatach Ysy, a po raz pierwszy zrobiła to wkrótce po przybyciu Jesionny. Dzisiaj nawet płakała. – Inaczej nie traktowałby jej tak, prawda?

– No, no – uspokoiła ją królowa – To ciebie kocha, jestem tego pewna.

Natychmiast zorientowała się, że popełniła błąd, ale już nie mogła cofnąć swoich słów.

Na szczęście Marcala chyba tego nie zauważyła. Królowa Szpiegów tak bardzo była pochłonięta własnymi uczuciami, że nie zdawała sobie sprawy, iż Ysa miała duży wpływ na stosunek Harousa do niej i jej do Harousa.

Ysa musiała jednak przyznać, że obawy Marcali nie były bezpodstawne. Rzuciła czar, żeby Harous pokochał Marcalę, a Marcalę jego. Lecz u hrabiego przede wszystkim liczyły się jego ambicje. Choć mieszane pochodzenie Jesionny mogło budzić wątpliwości, była ona jednak dziedziczką Domu Jesionu. Stawała się więc

cennym nabytkiem, mogąc rościć pretensje do Jesionowa, gdzie teraz osiedlili się Morscy Wędrowcy. Harous istotnie mógłby ożenić się z Jesionną, choć na to nie zasługiwała, i zatrzymać Marcalę jako kochankę.

Krzywiąc usta, królowa pomyślała o własnym położeniu: Boroth też z czasem zaczął przedkładać ordynarne dziewczki służebne nad swoją szlachetnie urodzoną, piękną żonę. O, tak, ona dobrze wiedziała, jak się aranżuje takie związki dla wygody mężczyzn.

– Jest niezdarna i nie umiała się zachować, zanim się nią nie zajęłam – ciągnęła Marcalę. – To jej okropne ubranie! Włosy miała w strasznym stanie, a jej cera... Mam ci ją opisać, pani?

– Nie – odparła królowa, powstrzymując dreszcz obrzydzenia. To była ostatnia rzecz, jaką chciała usłyszeć. – Uwierz mi, że zrobię wszystko, żeby zauroczenie Harousa tą kreaturą z Bagien pozostało tylko przyjaźnią, jak sam twierdzi, i niczym więcej. A możesz być pewna, że mam duże wpływy.

– Jestem wdzięczna waszej królewskiej mości. – Marcalę przyłożyła do oczu pięknie haftowaną chusteczkę.

– A teraz wróć myślami do bardziej użytecznych dla mnie spraw. Ten mężczyzna, który został schwytany z... z Jesionną. – Królowa zająknęła się, wymawiając imię tej przybłądy. Cóż, równie dobrze może się do tego przyzwyczaić... przynajmniej na razie. – Opowiedz mi o nim.

– Och, to nikt ważny – odparła Marcalę, wzruszając ramionami. – Mówi, że jest Morskim Wędrowcem. Twierdzi też, że jest synem ich wodza, ale prawdopodobnie kłamie.

– Może tak, może nie. Czy grozi mu śmierć?

– Nie. Harous postępuje z nim tak ostrożnie jak z Jesionną. Bardzo o się nich troszczy.

– W takim razie ten mężczyzna nie musi się bać o swoje życie, czyli nie ma ważnych powodów, żeby kłamać. Załóżmy, że ten Cudzoziemiec... jak on ma na imię?

– Obern.

– Załóżmy, że ten Obern jest tym, kim mówi i że ta dziewczyna uratowała mu życie. Mamy ją i jego – w każdym razie ma ich Harous. Nie sadzę, żeby poddał próbie swoje oddanie Koronie, rzucając nam wyzwanie, jeśli uznamy, iż mamy wobec tych dwojga inne plany. Nie, jeśli będziemy postępować ostrożnie. Myślę, że przedstawię tę sprawę Radzie. Nawet Harous im się nie sprzeciwi.

– Tak sądzisz, pani?

Ysa spojrzała na swoją Królową Szpiegów z czułością, której powodem była całkowita zależność, jaką teraz okazywała jej Marcalę. Przedtem była trochę zbyt

niezawisła, zbyt samodzielna. A teraz polegała na Ysie ze wszystkim i królową to bardzo cieszyło. W dodatku Marcala podsunęła jej pewną broń, którą Ysa może teraz rozporządzać wedle swojej woli. Musi postanowić, jak wykorzystać tego Oberna.

– Wiem na pewno – odparła stanowczo królowa. – W istocie... Czy możesz pozostać poza zamkiem Cragden jeszcze przez godzinę?

– Oczywiście. Harous wyruszył z jednym z patroli, a Jesionna przez większą część dania będzie uczyć się muzyki.

Królowa omal nie parsknęła śmiechem na myśl o nieokrzęsanej przybłądzie grającej na lutni lub, na Widmo Kambara, tańczącej! Ale zdołała się opanować.

– To dobrze. Wezwę Royance'a, a ty opowiesz mu to, co mówiłaś mnie. Odpowiesz też na wszystkie pytania, jakie ci zada. Potem zdecydujemy, co robić dalej.

Podczas gdy czekały na przewodniczącego Rady Królewskiej, Marcala skorzystała ze sposobności, by zatrzeć wszelkie ślady łoż. Próżność nadal kazała jej wyglądać jak najatrakcyjniej dla mężczyzn, niezależnie od uczuć, jakimi darzyła Harousa.

W miarę jak Marcala opowiadała swoją historię, Royance unosił coraz wyżej siwe brwi, aż wydawało się, że zaraz znikną pod linią włosów.

– To rzeczywiście bardzo skomplikowana sytuacja – rzekł, kiedy Marcala skończyła. – I jesteś pewna tego wszystkiego?

– Kiedy nie pełniłam roli nauczycielki, miałam dość wolnego czasu. Istnieją księgi i zapiski, które pan Harous ukrył w jednej z wież; i z ciekawości zajrzałam kiedyś do nich. Zaznaczył sam szczególnie interesujące miejsca. Jedno to pełne drzewo genealogiczne Domu Jesionu, wraz z rodem królewskim. Inne zawiera omówienie znaków i symboli wszystkich czterech wielkich domów, wraz z ich dewizami i zawołaniami, a także ich dzieje. Jest tam mowa zarówno o naszej miłościwej królowej – pochyliła głowę przed Ysą – jak i o naszym królu z czasów, kiedy oboje byli małymi dziećmi. Oczywiście nie wspomniano o księciu, który urodził się już po napisaniu tej księgi.

– To interesujące, ale nie dotyczy pochodzenia tej dziewczyny. Ona ma na imię Jesionna, co jednak o niczym nie świadczy. Czy nie powiedziałaś, że wychowała ją Zazar na Bagnach Bale? O tej kobiecie krążyły bardzo dziwne pogłoski. Może jej zainteresowanie Jesionną to tylko jakiś żart.

– Można by tak pomyśleć, gdyby nie wygląd tej dziewczyny – odparła Marcala. – W tych księgach jest kilka miniatur owych portrecików kobiet z Rodu Jesionu. Podobieństwo rysów twarzy, koloru oczu i włosów Jesionny jest uderzające. Widać, że ona rzeczywiście pochodzi z Domu Jesionu.

Royance zwrócił się do Ysy.

– Przypuszczalna data jej narodzin pasuje do czasu wyjazdu innej kobiety z Rodu Jesionu, wasza królewska mość. Jestem pewien, że pamiętasz ten incydent, pani.

– Pamiętam – odrzekła królowa przez zaciśnięte zęby.

– W owym czasie myślano, że Dom Jesionu sam się unicestwił. W raportach dużo mówiono o znalezieniu strzał z herbem Jesionu i o wewnętrznych walkach między różnymi gałęziami tego rodu. O ile dobrze pamiętam, wieść o tym przywiózł pan Lackel z Gwardii Pałacowej Jej Królewskiej Mości. Czy się nie mylę?

– Nie. Posłałam go właśnie z powodu pogłosek o wielkim konflikcie w łonie tego domu. Jak wiesz, ostrożność nakazuje powstrzymać takie walki, zanim przerodzą się w wojnę domową... chociaż okazało się, że było już za późno.

– Zawsze zastanawiałem się, co uczyniłabyś, pani, gdyby Lackel odnalazł panią Aldithę wcześniej niż jej krewni.

Ysa była przygotowana na takie pytanie; szybko się zorientowała, dokąd zmierza Royance.

– Jego królewska mość niepokoił się o bezpieczeństwo pani Aldithy. I ja również, jako jego lojalna żona.

– Chociaż plotka głosiła, że pani Alditha nosi w łonie jego dziecko?

Ysa wzruszyła ramionami z, jak miała nadzieję, wiarygodną nonszalancją. Sprawiało jej radość, że mówi otwarcie o tym, czego jakiś czas temu tylko się domyślała.

– Plotki to nie fakty, panie. Ja uważam, że okoliczności śmierci pani Aldithy z rąk jej krewnych wskazują raczej na coś gorszego... na zakazany związek z kimś z jej własnego rodu. Może miała romans ze sługą lub z kimś równie nisko urodzonym? Jednak po długich rozmyślaniach nad tym problemem doszłam do wniosku, że mogło tu też chodzić o przypadek wyjątkowej rozpusty. Dopuszczają się tego nieliczni nasi ziomkowie, którzy, jak wieść niesie, udają się do Krainy Bagien w poszukiwaniu rozkoszy. Przecież pani Alditha wracała na Bagna... jak myślę, do swojego kochanka. Sądzę, że ta nowa dziedziczka Rodu Jesionu jest mieszańcem i że to z jej powodu zabito panią Aldithę.

Słowa królowej jakby wypełniły komnatę czyjąś niemal namacalną obecnością. Royance skrzywił się ze wstrętem.

– Oby tak nie było, wasza królewska mość.

Ysa machnęła ręką, a potem splótła palce tak, żeby było widać Pierścienie.

– Jakie to ma znaczenie po tylu latach? Znalazła się dziewczka, która zdaje się pochodzić z Rodu Jesionu. To znaczy przynajmniej w połowie. Tylko to jest pewne.

– Więc zaprzeczasz, pani, że spłodził ją Boroth?

Ysa wiedziała, że musi starannie dobrać następne słowa.

– Muszę, panie. Boroth mógł uganiać się za innymi kobietami, ale nie był głupi.

Sekretny romans z tak wysoko urodzoną damą, zwłaszcza po małżeństwie ze mną, byłby powodem do otwartego buntu. Jeśli policzysz lata, przekonasz się, że ta dziewczyna musiała się urodzić wtedy, kiedy król i ja byliśmy rok po ślubie, a ja właśnie poczęłam Floriana. Król bardzo się o mnie troszczył, gdyż nosiłam w łonie jego następcę. Czy uważasz, panie, że świeżo upieczony mąż, którego żona jest z nim w ciąży, angażowałby się w taki romans? Uważam, że to absurd. Twierdzę, że ojcem tej dziewczyny był jakiś mężczyzna z Bagien. Jak inaczej przeżyłaby tam, gdzie Cudzoziemców zabija się na miejscu? – Popatrzyła uważnie na Royance'a, żeby ocenić wpływ, jaki wywarły na nim jej słowa.

Westchnął.

– Muszę przyznać, że to, co mówi wasza królewska mość, ma sens. Myślę jednak, że musimy dowiedzieć się więcej, zanim zamkniemy tę sprawę.

– Nie powinna cię niepokoić możliwość istnienia innego dziedzica królestwa oprócz Floriana. Nawet jeśli mój mąż spłodził tę dziewczynę, tę Jesionnę, czemu kategorycznie zaprzeczam, na zawsze pozostanie ona tylko królewskim bękartem. Ale, jak już powiedziałam, odrzucam taką możliwość. – Teraz przytoczyła swój najważniejszy argument, który zachowała na koniec. – Jeśli ona jest dzieckiem Borotha, dlaczego Zazar nie pokazała jej już dawno temu?

– Nie umiem odpowiedzieć na to pytanie – odparł Royance. – Pozwól, pani, że się zastanowię nad tą sprawą prywatnie. – Zwrócił się do Marcali. – Nie obawiaj się, moja droga. Widzę, że jesteś najlepszą kandydatką na żonę dla Harousa. Jeżeli ta dziewczyna nie jest królewskim bękartem, w takim razie niepewne pochodzenie uniemożliwi jej małżeństwo z arystokratą z tak wysokiego rodu jak Harous i użyję moich wpływów w Radzie, aby przeforsować tę decyzję. A jeśli jest królewskim bękartem, w takim razie stoi zbyt wysoko, żeby mógł ją poślubić którykolwiek z naszych wielkich panów... z wyjątkiem księcia Floriana, a to również jest zakazane, gdyż byłiby przyrodnym rodzeństwem. Jeżeli tak się rzeczy mają, powtórzę na posiedzeniu Rady to, co teraz powiedziałem.

Królowa wstała, dając znak, że audiencja jest skończona.

– Wiedziałam, że mogę polegać na twojej mądrości i doświadczeniu, panie – powiedziała, podając Royance'owi rękę do pocałowania. – Pani Marcala i ja odetchnęliśmy z ulgą, wiedząc, że ta sprawa jest teraz w twoich rękach, panie.

Wielmoża uklonił się i wyszedł. Ysa i Marcala patrzyły na siebie przez długą chwilę.

– No cóż – powiedziała w końcu Marcala. – To coś nowego. Nie przyszło mi do głowy, że Jesionna może być dzieckiem Borotha.

– I nie powinnaś więcej o tym myśleć – odrzekła stanowczym tonem Ysa. – Ta sprawa jest zamknięta. Matka Jesionny była dziwką. Nieważne, kto spłodził dziecko...

pewnie jeden z wielu. A teraz wracaj do zamku Cragden i o niczym nie mów Harousowi.

Marcała uniosła brew.

– Oczywiście, że nie. To on zawsze pierwszy wie o wszystkim. Ucieszę się, gdy się dowie, że przynajmniej tym razem tak nie było.

Ona również opuściła królową. Ysa chodziła po komnacie tam i z powrotem, zbyt niespokojna, żeby usiąść i pomyśleć spokojnie. Wydawało się, że jej najgorsze obawy się sprawdzają. Mimo tego, co powiedziała Royance'owi, wiedziała, że łatwo można będzie dowieść, iż ta dziewczyna, Jesionna, jest córką Borotha i, co więcej, argumentować, że bardziej nadaje się do rządów nad Rendelem niż Florian. Niektórzy mogą też uznać, że takie dziecko – choć bękart – jest znacznie lepsze od syna Ysy. Przecież Jesionna przysłała na świat przed nim, i choć z nieprawego łoża, po obojgu rodzicach odziedziczyła królewską krew – a Florian nie. Jest też bez wątpienia dziedziczką Jesionowa, gdyby chciała wysunąć pretensje do posiadłości swoich przodków.

Jest niebezpieczna, bardzo niebezpieczna, bo zagraża wszystkiemu, o co Ysa walczyła. Jest nawet zbyt niebezpieczna, by ją usunąć. Ysa przycisnęła ręce do skroni; ten pulsujący ból sprawiał, że czuła się chora. Dlaczego wcześniej nie pozbyła się tej przybłedy? Dlaczego Ludzie z Bagien właśnie teraz atakowali Rendel? To ich napady sprawiły, że nie poświęciła dość uwagi tej fatalnej sytuacji.

Dotknęła Pierścieni, szukając pociechy.

– Dębie, Cisie, Jesionie i Jarzębino – mruknęła. – Pomóżcie mi teraz.

Royance wyszedł ze spotkania z królową i panią Marcałą bardzo zatroskany. Nie mógł wyzbyć się przeczucia, że Ysa nie była z nim całkiem szczerą i że coś ukrywa. Udał się do swojej miejskiej rezydencji i wysłał posłańców do różnych osób, wzywając ich na rozmowy.

Kiedy wprowadzono do niego Lackela, wypytał go dokładnie. Dawny dowódca Gwardii Królowej, teraz na emeryturze z powodu kalectwa, zachował dawną lojalność wobec swojej pani. Mimo to opowiedział historię tamtej strasznej, burzliwej nocy, kiedy znalazł martwych wojowników Domu Jesionu, przeszytych strzałami z herbem tego rodu; mówił o łodzi, którą dostrzegł w mroku i o zwłokach, które ześliznęły się z niej do wody i zniknęły.

– Myślałem, że to ta, której szukaliśmy, panie – powiedział Royance'owi. – I tak o tym zameldowałem.

– Dobrze postąpiłeś, Lackelu, i nie musisz się tego wstydzić. Dziękuję ci.

Inni, którzy byli wtedy z Lackelem, powtórzyli Royance'owi niemal to samo. A więc to było pewne... ale nic więcej.

Royance postanowił złożyć wizytę Harousowi. Kiedy tylko jeden z jego ludzi przyniósł wieść o powrocie pana na zamku Cragden z patrolu, odbył krótką podróż i został natychmiast wpuszczony do prywatnej komnaty Harousa.

– Chciałbym spotkać się z twoim gościem – powiedział Royance po wymianie grzeczności. – Pani Marcala dużo mi o niej opowiadała. Królowa też się nią interesuje.

– Pobiera teraz nauki. Ale mogę umówić ci spotkanie na później.

– Więc to prawda, że zabrałeś ją z Krainy Bagien?

– Tak. Jak wiesz, interesuje mnie wiele rzeczy i kiedy usłyszałem o młodej dziewczynie, która nie pochodzi z Bagien, a jednak tam żyje, zrozumiałem, że muszę rozwiązać tę zagadkę. I tak poznałem Zazar, o której chyba słyszałeś.

– O Mądrej Niewieście? Niemal wszyscy w Rendelu o niej słyszeli.

– I, jak przypuszczam, korzystali z jej usług. No cóż, udałem się na spotkanie z Zazar i podczas załatwiania innej sprawy dostrzegłem przelotnie właśnie tę dziewczynę, o której plotkowano. – Harous z roztargnieniem dotknął amuletu, który wyjął spod obcisłego kubraka. – Później chciałem po nią wrócić, ale Zazar ją ukryła. Dużo czasu spędziłem na poszukiwaniach tej kryjówki. Ale w końcu znalazłem dziewczynę i zabrałem ją tutaj, gdzie jej miejsce.

– Rozumiem – rzekł Royance. – I jakie masz plany co do niej?

– Najpierw musimy być pewni, kim ona jest. Nie ulega wątpliwości, że pochodzi z Domu Jesionu; jej wygląd o tym świadczy. Nie mam całkowitej pewności co do jej rodziców. Uważam że jej matką mogła być pani Alditha, która zginęła w tajemniczych okolicznościach.

– Wiem o tym. A jej ojciec?

– Jeszcze nieznany.

– Jakiś mężczyzna z Bagien?

– Na pewno nie.

Royance rozmyślał przez chwilę.

– Czy zgodzisz się, żeby Rada przesłuchała tę dziewczynę?

– Jeśli tego żądasz, to tak się stanie.

– Możliwe, że pamięta ona więcej, niż my się dotychczas dowiedzieliśmy. –

Royance wstał. – Król jest bliski śmierci. Powinieneś tymczasowo przenieść się do twojego domu w stolicy. Byłoby wielce niestosowne, gdyby zabrakło cię wtedy, gdy ogłosimy Floriana naszym królem.

Harous skrzywił się ze wstrętem.

– Tak, wiem. On jest... no cóż, wydaje się oczywiste, że Rada będzie niezbędna w najbliższej przyszłości. Niech ktoś inny przejmie twoje obowiązki i zajmie się patrolowaniem. Jesteś bardziej potrzebny w Rendelsham.

– Jak każesz, panie Royance – odparł Harous. Ukłonił się wyższemu rangą wielmoży. – Proponuję spotkanie za dwa dni. Na uczcie w mojej miejskiej rezydencji. W obecności członków Rady i pani Jesionny.

– To będzie doskonałe rozwiązanie.

Nie tylko Royance'owi spotkanie w komnacie Ysy dało dużo do myślenia. Marcala zamknęła się w najskrytszej komnacie swoich apartamentów, gdzie nikt jej nie będzie przeszkadzał. Dysponowała bardzo ważną informacją, o której tylko ona wiedziała, przynajmniej na razie. Nie miała bowiem najmniejszych wątpliwości, że Jesionna nie jest półkrwi dziewczką z Bagien. A w tej sytuacji możliwość, że spłodził ją Boroth, stała się znacznie większa, choćby dlatego, że królowa tak gwałtownie temu zaprzeczała.

Royance na pewno przybędzie, żeby sam zobaczyć Jesionnę. W takim razie to tylko kwestia czasu, kiedy przewodniczący Rady każe przyprowadzić tę paskudną dziewczynę przed oblicze króla. Marcala nic na to nie może poradzić.

Zdawała też sobie sprawę, że Harous znał – lub podejrzewał – prawdziwe pochodzenie Jesionny. Zawsze był ambitny, nic więc dziwnego, że chciał się ożenić z tą chuderlawą smarkułą! Bliskie powiązania z tronem, a jeśli nawet nie, to zdobycie należących do niej posiadłości Domu Jesionu – tak czy inaczej, stałby się najbogatszym wielmożą w kraju, rywalizującym nawet z królem.

Marcala uważała, że zna swoich chlebodawców; dobrze wiedziała, że Ysa zawsze miała pewne skłonności do oszukiwania samej siebie. Ale... ale nigdy do tego stopnia! Jak ona sama mogłaby obrócić to na swoją korzyść? Jeszcze nie wiedziała, ale na pewno znajdzie jakiś sposób.

Na razie musi się skupić na pokrzyżowaniu planów Harousa. Jego wariackie pomysły na pewno skończyłyby się karą śmierci za bezczelność. Nie zniosłaby tego. Ale jak długo Jesionna nie ma męża, będzie celem dla każdego innego wielmoży mającego podobne ambicje.

– Nie mogę nic zrobić, zanim Jesionna nie uda się na dwór i nie zostanie przedstawiona królowej – powiedziała do siebie Marcala. Ale potem – ach, potem Jesionnę trzeba szybko wydać za mąż za każdego, kto nie jest Harousem i nie jest tak niebezpieczny, żeby usunął go jakiś rywal. Ale kto by to mógł być? Ktoś, z kim sojusz będzie uważany za korzystny, odpowiedziała sobie, zadowolona, że znów jasno myśli. Słyszała plotki o kilku próbach zawarcia traktatu z Morskimi Wędrowcami, którzy zawładnęli Jesionowem. A potem pojawiło się rozwiązanie tego problemu tak nagle i wyraźnie, że aż usiadła, zdumiona.

Obern! Im dłużej o tym myślała, tym bardziej doskonały wydawał się jej ten plan. To oczywiście musi być Obern. Jeśli nawet nie był królewskim synem, to pochodził z

wysokiego rodu wedle standardów Morskich Wędrowców. I jego lud już osiadł w posiadłości Domu Jesionu; na pewno zgodzą się, żeby syn ich wodza poślubił dziedziczkę tego rodu i w ten sposób umocnił ich prawa do tych ziem. Co więcej, widziała spojrzenia, jakie wymieniali Jesionna i Obern, i zrozumiała, że oboje będą zadowoleni z takiego związku.

Tak, musi w jakiś sposób spowodować, żeby to inni uczestnicy tego groteskowego dramatu postanowili wydać Jesionnę za Oberna. I co więcej, musi rozegrać to tak sprytnie, żeby myśleli, iż jest to ich własny pomysł. Oczywiście, przede wszystkim królowa. I Royance. Łatwo nim pokieruje. Zauważyła, jak na nią patrzył.

Skrzywiła usta. A jeśli nawet się okaże, że Morscy Wędrowcy nie mają tak wyrafinowanych obyczajów jak Rendelianie, Jesionna nie zauważy różnicy.

Wstała z krzesła i zaczęła chodzić tam i z powrotem, przesuując rękami po ciele. Kiedy jej plan wejdzie w życie, nadejdzie pora na przypomnienie Harousowi, że ona, Marcali, nadal tu jest, że czeka i tęskni.

Harous zawsze zachowywał odpowiedni dystans w stosunku do niej. Ale to się zmieni. Postanowiła, że jeszcze tej nocy pokaże mu pewne urocze, osobiste korzyści płynące z wyboru jej, a nie Jesionny. Kiedyś po prostu nie lubiła tej dziewczyny; teraz nienawidziła jej tak bardzo, jak kochała Harousa.

Jesionna wpadła w zachwyty, kiedy poinformowano ją, że Harous i część jego domowników mają przenieść się na jakiś czas do stolicy. Pobiegła z tymi wieściami do Marcali, którą zastała na oszklonej, nasłonecznionej werandzie, zajętej haftowaniem damskiej torebki.

– Co powinnam zrobić? Co mam ze sobą zabrać? A co ty weźmiesz?

– Nic – odparła sztywno Marcali. – Nie poproszono mnie, żebym ci towarzyszyła. Polecono mi zostać tutaj i nadzorować zamek Cragden podczas nieobecności pana Harousa.

– Och – powiedziała Jesionna, nieco zaskoczona chłodem Marcali. – Ależ... ależ to bardzo odpowiedzialne stanowisko! To dowodzi, jak bardzo Harous na tobie polega.

Marcali odłożyła haft z udaną obojętnością.

– Tak, przypuszczam, że tak. Pan Harous powiedział, żebym ci pomogła?

– Tak, tak. Ale jeśli ci to sprawia kłopot...

– To żaden kłopot. Poślij sługę po kufry. Musimy dopilnować, żebyś przyniosła nam wszystkim zaszczyt w Rendelsham, kiedy się tam pokażesz.

Wierzchnie suknie, spodnie szaty, szpilki do włosów, buty i pończochy. Róż i perfumy. Tak dużo było do zabrania! Jesionna nigdy przedtem nie musiała się

martwić o swoją garderobę, wystarczyło upewnić się, że nagolenice są całe, a strój ze skóry luppersa nie ma dziur. Teraz zaś wyglądało, że nie znajdzie się dość kufrów na jej rzeczy osobiste, których będzie potrzebować podczas krótkiego pobytu w miejskiej rezydencji Harousa. Marcala nalegała, żeby Jesionna zapakowała co najmniej sześć wierzchnich sukien i z tuzin spodnich szat.

– Pamiętaj, żeby koniecznie zabrać tę suknię – powiedziała Marcala, podnosząc niebieską szatę, jeden z pierwszych podarunków Harousa dla Jesionny. – To najpiękniejsza ze wszystkich, jakie masz, i będzie ci potrzebna.

– Dlaczego?

– Ma odbyć się uczta, na której będą najważniejsi ludzie w królestwie. Tylko po to, żeby się z tobą spotkać.

Jesionna zarumieniła się z zakłopotania.

– Jestem nikim i nic nie znaczę. Czemu ktoś chciałby się ze mną spotykać?

– Nie wiem. – Marcala zmarszczyła brwi, ale zaraz się rozchmurzyła. – Mimo to polecono mi, żebym zaprezentowała cię tak wspaniale, jak tylko mi się uda. Musisz wziąć swoje klejnoty, te wysadzone szafirami. A zwłaszcza naszyjnik. Poślę z tobą Ayfare jako twoją służebną.

Jesionna skłoniła głowę.

– Dziękuję ci, pani Marcalo, za wszystko, co dla mnie zrobiłaś.

– Nie zapomnij o zachowaniu przy stole – upomniała ją Marcala i odwróciła się, odprawiając w ten sposób dziewczynę.

Jesionna chciała zapewnić Marcalę, że nie ma nic niestosownego w jej stosunkach z Harousem, ale nie wiedziała, jak to zrobić. Wyciągnęła rękę, ale nie śmiała dotknąć ramienia Marcali. Nabrała pewności, że tamta straci jej rękę lub zrobi coś gorszego. Ta kobieta nigdy nie była jej przyjaciółką, nigdy nie będzie. Jesionna musi się z tym pogodzić. Ten nowy, chłodny stosunek do Jesionny dowodził, że teraz Marcala z niezrozumiałych powodów stała się jej wrogiem.

Zaskakująco dużo ludzi wchodziło w skład świty Harousa. Jesionna początkowo jechała w powozie, otoczona kuframi ze swoimi rzeczami, ale kiepskie resory i wyboista droga sprawiły, że szybko przesiadła się na konia. Mimo woli pomyślała, że w Rendelu ocenia się chyba rangę szlachcica po liczbie sług i członków świty potrzebnych do krótkiej podróży. W przeciwieństwie do nich Zazar świetnie sobie radził w towarzystwie jedynie Kazi. Z pewnym zaskoczeniem Jesionna zobaczyła Oberna jadącego z tyłu, w towarzystwie kilku gwardzistów hrabiego Harousa. Doszła jednak do wniosku, że skoro oboje są w niezręcznej sytuacji, nie całkiem gości, lecz kogoś więcej niż więźniów, to on również powinien pojechać. To logiczne. Od czasu do czasu dołączała do niego, zadowolona, że Morski Wędrowiec tak szybko wraca do zdrowia.

Była to przyjemna, powolna podróż do stolicy Rendelu. Jesionna na jakiś czas zapomniała o zmartwieniach i serce zabiło jej szybciej, kiedy wjechali na przedmieścia. Spięła konia i dogoniła Harousa. Razem przejechali przez bramę miasta, minęli jakąś okazałą budowlę – jedną z mniejszych świątyń, jak wyjaśnił jej wielmoża. Potem zbliżyli się do wielkiego zamku; nawet kiedy podjechali całkiem blisko, zamek nadal wyglądał jak wspaniałe dzieło mistrza cukiernika.

– Kto mieszka w tych wysokich wieżach? – zapytała Harousa. Tak wyciągała szyję, że omal nie spadła ze swego wierzchowca.

Harous podtrzymał ją ramieniem.

– Teraz nikt tam nie mieszka. Kiedyś używano ich jako wież obserwacyjnych. Z najwyższej można zobaczyć prawie cały Rendel, od jednego krańca do drugiego.

Jesionna łatwo w to uwierzyła. Kiedy jechali przez miasto, pomyślała, że nie umiałyby sobie wyobrazić tak wspaniałych budowli. Na pewno kiedyś podobnie wyglądały ruiny na Bagnach, kiedy były nowe, piękne i dumne.

– Gdzie jest twój dom? – zapytała Harousa.

– O, tam.

Orszak podjechał do drzwi małego fortu, o pięknych proporcjach, wzniesionego u podstawy rampy prowadzącej do zamku. Jesionna uznała za stosowne, że ten, kto strzeże stolicy w zamku Cragden, pilnuje również wejścia do siedziby króla. Spojrzała na Harousa z jeszcze większym szacunkiem.

– Potem zabiorę cię do zamku – obiecał Harous. – Tam jest Wielka Świątynia Wiecznego Blasku i dziedziniec, gdzie rosną Cztery Drzewa.

– Jakie drzewa?

– Te, które symbolizują cztery Wielkie Domy Rendelu: Dąb, Cis, Jesion i Jarzębina.

Nagle Jesionna przypomniała sobie moment, kiedy Zazar nakreśliła w powietrzu zarysy czterech liści, a ona zidentyfikowała je prawidłowo, chociaż nigdy przedtem ich nie widziała. Czy to mogą być te same drzewa?

– Cieszę się – odpowiedziała Harousowi. – Chciałabym zobaczyć to wszystko. Pójdziemy tam jutro?

Wielmoża roześmiał się.

– Nie. Ale wkrótce, obiecuję. Najpierw udamy się na bankiet, gdzie spotkasz wielkich panów królestwa. Później pokażę ci wszystko, co chcesz zobaczyć.

– Kiedy? Kiedy odbędzie się ten bankiet?

– Jutro w południe. Dziś po południu i wieczorem musisz odpocząć, żebyś na bankiecie wyglądała jak najpiękniej.

Jesionna zamilkła, jak zawsze, kiedy Harous – lub ktokolwiek inny – komentował jej wygląd. Mimo woli zapytała się w duchu, czy reagowałaby w taki sposób, gdyby to

Obern zauważył, jak ona wygląda. Ale zaraz odegnął tę myśl.

W ciągu godziny znalazła się w pokojach gościnnych w rezydencji Harousa, a Ayfare umieściła jej rzeczy na właściwych miejscach. Wyglądało to tak, jak gdyby mieszkała tu całe życie. Miała chęć nie posłuchać Harousa, wymknąć się i obejrzeć miasto, ale ten postawił strażę przy wszystkich bramach. Musiała zaspokoić ciekawość, spacerując na szczycie murów, skąd widziała dużo, ale na pewno nie wszystko to, co chciała zobaczyć.

Niebawem nadeszła wyznaczona pora wielkiej uczy. Ayfare sumiennie pracowała nad wyglądem Jesionny, nie dając za wygraną, dopóki nie zadbała o każdy szczegół. Wykąpała ją i umyła włosy, aż błyszczały jak złoto. Nawet Jesionna, przedtem trochę tym znużona, musiała przyznać, że wygląda niemal tak wspaniale jak jej otoczenie. W swoim odbiciu w długim ściennym zwierciadle nie mogła się doszukać kwiatuszka z Bagien, który Harous schwytał w sieć i zabrał z tej zalanej przez wodę krainy na południe. Na samym końcu włożyła kolczyki z szafirami, a Ayfare zapięła jej naszyjnik o odpowiedniej długości, który spoczął w takim miejscu, by zwrócić uwagę na dekolt niebieskiej sukni. Dotknęła karku, przegubów i piersi perfumami z niebieskich kwiatów, rozkoszując się ich zapachem.

Potem sama, jak z niewiadomego powodu rozkazał jej Harous, i mocno zdenerwowana zeszła po schodach i wkroczyła do Wielkiej Sali.

Siedmiu mężczyzn, a wśród nich Harous, już siedziało przy długim stole. Mały stolik z jednym krzesłem umieszczono z przodu tak, że siedząca przy nim osoba mogła widzieć każdego z tej siódemki i być przez nich widziana. Jeszcze zanim zajęła miejsce przy tym stoliku, Jesionna poczuła się jak okaz na wystawie. Zrobiła się czujna i podejrzliwa i ledwo usłyszała imiona, które wymienił Harous, wskazując po kolei na każdego z tych siedmiu mężczyzn. Edgard, zastępca Erfta z Domu Jarzębiny; Gattor z Bilth; Royance z Grattenboru; Valk z Mimonu; Jakar z Yacasteru; Liffen z Lerklandu – te imiona przemknęły w umyśle dziewczyny i tylko z trudem skojarzyła je z twarzami.

Niemal natychmiast mężczyźni, z wyjątkiem Harousa, zaczęli zadawać jej pytania. Kim jest? Skąd przybyła? Jak została wychowana? Przez kogo? Dlaczego uniknęła losu Cudzoziemców na Bagnach?

Wiedziona instynktem, odpowiadała ostrożnie, mówiąc tylko tyle, aby zadowolić pytającego. Raz tylko przypomniła sobie ostrzeżenie Marcali, żeby odpowiednio zachowywać się przy stole. Nie miała jednak okazji do skompromitowania siebie ani swego gospodarza; kiedy podawano i zabierano po kolei wspaniałe dania, Jesionna była zbyt zajęta udzielaniem odpowiedzi na niekończący się potok pytań tych budzących lęk mężczyzn o surowych rysach twarzy. Straciła apetyt i ledwie skubnęła jedzenia.

Poczuła się jeszcze gorzej, gdy zdała sobie sprawę, że niektórzy z tych wielmożów, wypytujących ją tak nieustannie, patrzą na nią wrogo. Dlaczego? Gniew tylko zwiększył zamęt w jej umyśle. Przecież oni nawet jej nie znali! Mimo to nadal odpowiadała bardzo powściągliwie, ważąc każde słowo i nigdy nie mówiąc więcej niż to było konieczne.

Harous przerwał te pytania jeszcze jednym, wypowiedzianym życzliwym tonem.

– Proszę, opowiedz moim przyjaciółom o tym, jak i w jakich okolicznościach spotkałaś tego żeglarza. Ten mężczyzna – rzekł, zwracając się do swoich towarzyszy – jest tu ze mną. Zaraz poślę po niego.

Odrężywszy się trochę, Jesionna opowiedziała szczegółowo o spotkaniu z Obernem – jak widziała jego upadek ze skały i jak mu pomogła.

– To było przypadkowe spotkanie, panowie – dodała. – Niewiele o nim wiem oprócz tego, że wydaje się dobrym człowiekiem.

Otęły wielmoża o sennych oczach – Gattor – zabrał głos w tej właśnie chwili.

– Co to za ozdoba, którąnosisz na szyi?

– To dar od hrabiego Harousa – odrzekła Jesionna. – Powiedział, że to herb mojego domu. Nie wiem, co przedstawia.

Gattor roześmiał się, zerkając z ukosa na Harousa.

– Zawsze jesteś najsprytniejszy? – rzekł. – No cóż, taka przezorność zawsze przynosiła korzyści w przeszłości, a teraz również. – Wstał z krzesła, obszedł stół i uklonił się nisko Jesionnie. – Przyjmij wyrazy szacunku, droga pani. – Potem odszedł bez słowa, nawet do gospodarza.

Pozostali wielmoże – z wyjątkiem Harousa i siwowłosego Royance – po kolei wyszli z sali, ku całkowitemu oszołomieniu i konsternacji Jesionny. Wydawało się, że nagle przestali się nią interesować, na równi ze sprawami, o które tak skwapliwie pytali.

Kiedy odeszli na stronę, Harous zwrócił się do Royance'a.

– Myślę, że czas już sprowadzić do ciebie Oberna, panie.

Dał znak jednemu z gwardzistów i zaraz potem Obern wszedł do Wielkiej Sali.

– Czy już jadłeś? – zapytał uprzejmie Harous.

– Tak. Z twoimi ludźmi. – Unosząc brew, Obern spojrzał na resztki uczyty – gęś upieczoną z piórami, małego dzika podlewanego sosem z miodu podczas pieczenia, różne ciasta i paszteciki.

– Mimo to nałóż sobie na talerz i przyłącz się do nas, żeby opowiedzieć nam swoją historię. O ile sobie przypominam, zwróciłeś się do mnie z jakąś prośbą, ale nie miałem wtedy dla ciebie czasu, za co przepraszam. Teraz mogę cię wysłuchać.

– Chciałem wtedy tylko prosić o pozwolenie na odbywanie patroli z twoimi ludźmi – wyjaśnił Obern. Odciał sporą porcję dziczyzny i zaczął jeść z apetytem, choć

trochę niezdarnie z powodu temblaka.

– Twoje ramię jeszcze nie całkiem się zrosło – rzekł Harous. – Nie możesz ani szybko jeździć, ani walczyć.

– To się zmieni za kilka dni. Teraz rozumiem, że są ważniejsze problemy, którymi zajmują się rendeliańscy dostojnicy, i że ja mogę mieć jakiś udział w ich rozwiązaniu, chociaż nie wiem, co też to mogłoby być.

– Moi ludzie mówią mi, że uważasz się za kogoś w rodzaju księcia wśród twego ludu – powiedział Royance.

Harous spojrział z lekkim zaskoczeniem na starszego mężczyznę.

– Masz dobrych szpiegów – skomentował.

– To konieczne, jeśli się chce żyć tak długo jak ja – odparł Royance. Skinął głową Obernowi. – Czy to prawda? Jesteś księciem?

– Mój ojciec jest naczelnym wodzem tych Morskich Wędrowców, którzy teraz mieszkają w Nowym Voldzie... niegdyś zwanym Jesionowem, jak nam powiedziano... i w zamku, który opuszczono. Nie wiem, czy to czyni mnie księciem. Zawsze byłem tylko przybocznym gwardzistą mego ojca, choć powierzał mi ważne zadania.

– A mimo to miałeś duże znaczenie – odparł Royance. – Dziękujemy ci, Obernie. Proszę, uważaj się za gościa honorowego nie tylko hrabiego Harousa, lecz także mojego. Nie należy lekceważyć mojej przychylności.

– Dlatego dziękuję ci.

Zapanowało milczenie i Obern, rozumiejąc, że jego rola w tajemniczych wydarzeniach tego dnia dobiegła końca, wstał, skinął głową, a potem wyszedł tymi samymi drzwiami, którymi go wprowadzono.

Pozostali dwaj mężczyźni siedzieli przy stole, nic nie mówiąc. Royance kazał przynieść jeszcze jedną butlę wina i sączył je w zamyśleniu, skubiąc małą kiść winogron i gomółkę świeżego sera.

Nagle odsunął to wszystko na bok.

– Zgadzałem się z tobą, panie Harousie... teraz, kiedy ją zobaczyłem i porozmawiałem z nią. Przywiodłeś ją tutaj, żeby pokazać nam wszystkim, kim ona jest. Dostrzegłeś to pierwszy, a teraz cała Rada również o tym wie. Nawet jeśli nas nie wezwano, musimy pójść do pałacu. – Wstał i wyciągnął rękę do Jesionny. – Chodź ze mną, moje dziecko. Jest ktoś z kim musisz się spotkać, zanim nie będzie za późno.

W sypialni króla Borotha tłoczyło się jeszcze więcej dworzan i pieczeniarzy niż zwykle. Ysa kazała ustawić małe krzeselko na podwyższeniu obok królewskiego łóżka i siedziała tam, patrząc na umierającego męża.

Albowiem nawet najwięksi optymiści rozumieli, że monarcha wkrótce wyda ostatnie tchnienie. Ysa z irytacją zauważyła że w komnacie nie ma członków Rady

Królewskiej. Wreszcie przyszło pięciu naraz. Ale gdzie jest Royance? I Harous? Czyżby Royance odwrócił się od niej? Bez niego... Nie chciała nawet myśleć o takiej ewentualności. Nie, nadal jest jej wierny i tylko coś niezwykle ważnego mogło go zatrzymać. Dlatego nie stał przy łożu Borotha w tej decydującej chwili, Florian...

Ta myśl zmaterializowała się po chwili. Florian wszedł w otoczeniu swoich faworytów i hulaków, a zachowanie całego towarzystwa zupełnie nie pasowało do miejsca, gdzie czaiła się śmierć. Księżę pociągnął mistrza Lorgana za rękaw.

– Jak długo król jeszcze pożyje? – zapytał. Zniecierpliwienie w jego głosie rozniewało Ysę. Odwróciła się do syna.

– Ugryź się w język! – syknęła jak atakujący wąż. – Możesz chyba poczekać, aż wyzionie ducha, zanim wdrapiasz się na tron, który jest za duży dla ciebie.

Księżę otworzył usta, by odpowiedzieć, ale przerwała mu grupka ludzi wchodzących do komnaty śmierci. Wybałuszył na nich oczy, milcząc choć ten jeden raz.

To był Royance, za nim Harous i jakaś nieznajoma dziewczyna. Royance postukał laską w podłogę, by zwrócić uwagę obecnych.

– Niech dowiedzą się wszyscy, że tak długo, jak nasza królowa nosi cztery Pierścienie, ta starożytna moc, którą przysiągłem wspierać, nadal włada Rendelem! – powiedział donośnym głosem, który napełnił komnatę. – Wszystko, co robię, robię dla niej. – Ukłonił się Ysie i odszedł na bok.

Stuk laski Royance'a o podłogę musiał obudzić konającego króla, który nagle usiadł prosto na łożu, patrząc na młodą obcą kobietę. Łzy popłynęły mu z oczu. Drżąc, wyciągnął ręce.

Ysa ujęła jego dłonie i zaczęła recytować litanie Pierścieni, ale Boroth nie zwrócił na to uwagi. Wyrwał ręce z jej uścisku i wyciągnął ramiona, jakby kogoś witał. Drżącym głosem, lecz tak głośno, że wszyscy go słyszeli, zwrócił się do dziewczyny stojącej z Harousem i Royance'em.

– Córko! – rzekł. A potem powtórzył: – Córko! Witaj, moja córko.

– Nie ma tu żadnej córki – powiedziała zawzięcie Ysa. Podniosła ręce do góry. – Przysięgam na moc Pierścieni! – Lecz ku przerażeniu królowej, jej ręce zadrżały i opadły; Pierścienie nagle stały się za ciężkie, by mogła je utrzymać. Jeśli jej podejrzenia – w które nie chciała wierzyć – są prawdziwe, nie ma chwili do stracenia. Można zaprzeczyć temu, czego dwór nie był świadkiem. – Royance, każ wszystkim wyjść. To, co się stanie, to prywatna sprawa. – Odwróciła się, by uciszyć króla, który nadal usiłował mówić, choć z jego gardła wydobywało się przedśmiertne charczenie.

– Zostaw mnie! – powiedział wreszcie, wyraźniej niż od wielu dni. – Krew wzywa krew, a tu stoi krew z mojej krwi, moja córka. – Uśmiechnął się do niej z wielką czułością i słodyczą.

Zapach perfum dziewczyny napłynął ku Ysie. Natychmiast go rozpoznała. Król odwrócił głowę, zwracając się do kogoś, kogo nikt poza nim nie mógł zobaczyć.

– Teraz rozumiem, Alditho, moja ukochana. Moja córka... – Westchnął głośno, zamknął oczy i opadł martwy na poduszki.

Ysa spojrzała na niego ze strachem, a potem zwróciła wzrok na dziewczynę, którą Borothe nazwał córką. Tłum dworzan cofnął się, pozostawiając Jesionnę samą w smudze światła. Stała, zaciskając przed sobą ręce, najwyraźniej przerażona tym, co się przed chwilą stało, patrząc z obrzydzeniem na trupa tego, który uznał ją za swoją córkę. Nosiła barwę Domu Jesionu – niebieską – której nie widziano na dworze od szesnastu lat. Nic dziwnego, że Ysa jej nie rozpoznała; to nie był bękart, mieszaniec z Bagien, ohydna kreatura, którą sobie wyobraziła! Na szyi miała naszyjnik z herbem Domu Jesionu, herbem, o którym Ysa myślała, że już nigdy go nie zobaczy.

– Kto... – zdołała tylko wykrztusić królowa.

– Jestem Jesionna – odparła drżącym głosem kobieta... nie, raczej dziewczyna.

I tak oto królowa Ysa w końcu rozpoznała córkę Aldithy i Borothe, patrząc w twarz, łączącą rysy jej największej rywalki i męża, który leżał martwy między nimi.

W tłumie pieczeniarzy w komnacie zaczął się ruch, frakcje tworzyły się na oczach Ysy. Oczywiście pochlebcy Floriana nadal go otaczali, ale inni się zawahali w pół kroku, co wskazywało, że są gotowi przedłożyć nawet nieślubną córkę nad księcia.

Kiedy w końcu łuski spadły jej z oczu, Ysa zaczęła myśleć szybko i jasno. Zagadkowe słowa Royance'a znaczyły, że dał jej możliwość wyboru, wiedząc, jak z całego serca nienawidzi syna. Ona i Florian mieli wrogów, którzy z radością poprą kandydaturę Jesionny, żeby tylko pozbyć się królowej i jej syna; podadzą jako usprawiedliwienie podwójne królewskie pochodzenie córki Borothe. Nie będzie ich obchodzić, że Jesionna może nie mieć pojęcia o rządzeniu krajem. Nie, to im będzie bardzo na rękę, bo wtedy zagarną władzę, co zawsze było łatwe przy upadku dynastii. Lecz władzę nadal miała Ysa i potężna Rada Królewska, dla której ta nieślubna córka byłaby tylko figurantką. Oczywiście Ysa nadal rządziłaby krajem w cieniu tronu. To istotnie kusząca perspektywa.

Kiedyś ona sama poważnie zastanawiała się nad usunięciem Floriana, wiedząc, że nie nadaje się na króla. Ale ustąpić tron dziecku rywalki i całkowicie odsunąć krew Domu Cisu od sukcesji? Nie! Była żoną króla, a teraz jest wdową po nim, i choć Florian będzie kiepskim władcą, Ysa dopilnuje, żeby jej syn zasiadł na tronie Rendelu.

Bez wahania zwróciła się do Floriana, który osłupiał po raz pierwszy w życiu. Wyciągnęła ręce, żeby wszyscy widzieli Pierścienie.

– Król umarł! – zawołała, daremnie starając się powstrzymać drżenie głosu. – Niech żyje król!